

Polski snajper zabija Adolfa Hitlera.  
To początek niesamowitej powieści *historical fiction*!

Piotr Zychowicz, autor *NADCHODZI III WOJNA ŚWIATOWA*

# REDER

'44



PIOTR  
CZARNECKI



PIOTR CZARNECKI

REDER  
'44



DOM WYDAWNICZY REBIS



## Spis treści

Dedykacja

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

Bibliografia

*Dedykuję  
niezastąpionej Mamie Krystynie  
i bratu Michałowi*

# Skok

Była lipcowa noc 1944 roku. Na wysokości siedmiu tysięcy metrów wielki lancaster przesywał powietrze. Wydawał się płynąć w gęstej mgłę ponad poduszką z ciemnych kłębiastych chmur. Ten sielski obraz kontrastował z tym, co działo się daleko pod nim, gdzie niemiecka pożoga wojenna trawiła całą Europę. W tylnej kabynie samolotu panował półmrok, co chwilę rozjaśniany z lekka przez zepsutą mrugającą lampę nad wejściem.

Siedziało tam obok siebie siedmiu żołnierzy w mundurach strzelców alpejskich. W półmroku trwali w dziwnym letargu niczym terakotowa armia, czekając na bój. Przed nimi, tyłem do kabiny pilotów, siedział oficer w mundurze SS-Unterscharführera. Na prawym rękawie miał widoczny znak oddziałów górskich – „szarotkę”, Edelweiss Abzeichen der Waffen-SS, której przyglądał się od czasu do czasu.

Pod czapką widoczna była opalona twarz okolona ciemnymi włosami, z kilkoma bliznami. Ten wysoki, barczysty mężczyzna o zimnym, beznamiętnym spojrzeniu zdawał się nad czymś intensywnie myśleć. Wzrok wbijał przed siebie, ale niewątpliwie myślami był w innym miejscu. Nagle cztery wielkie silniki lancastera zawyły głośniejsze, przerywając monotony olbrzymi hałas wypełniającyabinę. Samolot wpadł w turbulencję, podskoczył, po czym mocno opadł, tym samym zaburzając spokój dziwnej zbieraniny pasażerów.

Oficer przeciągnął się i wstał, kierując się w stronę kabiny pilotów. Wtedy z tylnej części samolotu odezwał się po polsku młody chłopak o szczupłej twarzy i zawadiackich oczach, wyraźnie ożywiony:

– Panie poruczniku, daleko jeszcze? Lecimy i lecimy. Mógł pan zorganizować jakąś fajną radiooperatorkę zamiast brzydala Wiktora, to czas by płynął milej. – Powiedziałwszy to, obejrzał się wielce ucieszony na żołnierza siedzącego za nim.

Porucznik Reder znieruchomiał i rzucił przez ramię:

– Jak jeszcze raz usłyszę słowo po polsku, to zostaniesz w samolocie i wrócisz do Anglii!

Chłopak się zmieszał. Przypomniał sobie, że właśnie złamał rozkaz.

– Przepraszam, panie poruczniku. To się więcej nie powtórzy – odpowiedział już po niemiecku, wyraźnie zmartwiony.

Reder ruszył do kabiny pilotów, ale zwołnił i dodał jeszcze dla rozładowania atmosfery:

– A jak będziesz marudził, to przeniosę cię do francuskich jednostek pomocniczych. – Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu, co wskazywało na to, że rozbawił go własny żart.

– Wszędzie, tylko nie do żabojadów! Ciężko coś robić z rękami w górze – odparł chłopak zadowolony, że jego przewinienie poszło w niepamięć.

Po chwili porucznik zniknął w kabynie pilotów.

– Andrzej, ty to nie wiesz, kiedy być cicho – powiedział siedzący obok zbesztanego jego brat bliźniak Mikołaj, jednocześnie wymierzając mu potężnego szturchańca w ramię.

Brat nie omieszkiał oddać mu ciosu. Zaowocowało to krótką szamotaniną, zakończoną po chwili remisem.

W przeciwieństwie do reszty oddziału dla nich była to pierwsza tak poważna akcja. Zdenerwowanie maskowali żartami, byli jednak wyraźnie przejęci tym, co ma się wydarzyć. Bliźniacy pochodzili z Bydgoszczy, gdzie większość Polaków od dziecka równie dobrze jak po polsku mówiła po niemiecku. Dzięki temu zostali wybrani do tej misji. Jako dzieciaki ganiłi się z Hitlerjugend po uliczkach Bydgoszczy, a we wrześniu 1939 roku zaciągnęli się do wojska, by walczyć z Niemcami. Potem, jak większość oddziału, nie chcieli złożyć broni i przez Węgry oraz Francję dotarli do Anglii. W Polsce i we Francji wiele się nie nawojowali, więc gdy tylko pojawiła się możliwość walki z Niemcami w 10. Commando złożonym z Polaków, od razu dołączyli do „polskich komandosów”. Po miesiącach szkolenia znaleźli się w lancasterze lecącym do serca III Rzeszy.

Chwilę po wyjściu porucznika w kabynie znów zapanował spokój i słychać było jedynie hałas silników bombowca.

Tymczasem Reder w kabynie pilotów skierował wzrok na przednią szybę, próbując dojrzeć coś w czarnie otchłani.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Minęliśmy Monachium i powinniśmy być gdzieś za Rosenheim. Przynajmniej tak twierdzi nawigator. – Porucznik spojrział w prawo na skuloną nad mapami i radarem sylwetkę majora Jonesa. – Niedługo otrzymamy schodzić nad to pańskie jezioro. To będzie trudne, bo według map i danych wywiadu, które otrzymaliśmy, nie ma żadnych punktów orientacyjnych poza szczytem Hochkönig. Żadnych światła miasteczek czy fabryk. Że też musiał pan wybrać na cel lotu miejsce, gdzie diabeł mówi „dobranoc” – z typową angielską flegmą zwrócił się do porucznika kapitan Wilson.

Wąsaty pilot wydawał się znudzony długim lotem. Był jednym z najbardziej doświadczonych dowódców załóg bombowych w Royal Air Force. Dowodził eskadrami w nalotach na Berlin, Hamburg i Drezno. Przywykł do ataków messerschmittów i eksplozji artylerii przeciwlotniczej wokół bombowca. Gdy otrzymał rozkazy lotu z grupą spadochroniarzy, trochę się zdziwił, że zamiast kolejnej misji bombowej ma niańczyć kilku komandosów. Jednak rozkaz to rozkaz. Uznał, że musi to być coś ważnego, i przeszedł nad tym do porządku dziennego.

– Mało tego! Powiem panu, poruczniku, że jeszcze mniej podoba mi się druga część planu. Jest mi pan winien butelkę szkockiej za tę diabelską eskapadę – dodał.

Reder uśmiechnął się i odparł:

– Proszę mi wierzyć, że jeżeli wrócimy cało z tej misji, to chętnie kupię panu dwie butelki szkockiej. Co więcej, osobiście poproszę generała Gubbinsa, żeby zmienił panu przydział na Sycylię, gdzie będzie pan mógł wyrzucić tylek na tamtejszych plażach.

– Słyszałeś, Will? – zwrócił się kapitan Wilson do siedzącego obok za sterami drugiego pilota, porucznika Williama Cunninghama. – Porucznik Cunningham będzie świadkiem pańskiej obietnicy – rzucił do Redera.

Następnie nastąpiła cisza, podczas której każdy z rozmówców zajął się czymś innym. Kapitan mocował się z szybą w bocznym okienku, które nie chciało się otworzyć. Cunningham pilnował kompasu i wysokościomierza, nawigator Scott wlepił wzrok w ekran radaru. Reder zaś wrócił wspomnieniami do słonecznej Italii, gdzie spędził kilka miesięcy skąpanych zarówno w słońcu, jak i we krwi. Z tych wspomnień wyrwał go głos kapitana:

– Niech pan idzie do swoich. Jak będziemy mijać tę przeklętą górę, dam panu znać.

W odpowiedzi Reder klepnął kapitana w ramię i przeszedł do tylnej części samolotu.

Zajął swoje miejsce i spojrzął na siedzącego przed nim podchorążego Konarskiego. Rozumieli się bez słów. Znali się jeszcze ze szkoły oficerskiej. Razem walczyli w kampanii wrześniowej, przebywali w obozie dla internowanych na Węgrzech, a potem przez Francję dotarli na Wyspy, gdzie dołączyli do batalionu strzelców. W szkockim Achnacarry Commando Depot przeszli szkolenie z technik walki, znajomości broni, sapersko-minowe i inne. Poznał tam też resztę obecnych, czyli sierżanta Jana Paszkowskiego, strzelca wyborowego Jakuba Pieniążka i radiooperatora Wiktora Sawickiego, który stał się obiektem żartów Andrzeja. Bliźniacy dołączyli we Włoszech, a siedzący obok Janka plutonowy Kudera, nazywany ze względu na swoją posturę Mamutem, uzupełnił oddział stosunkowo niedawno. Konarski siedział w milczeniu, trzymając w ustach papierosa, a w prawej ręce zapalniczkę, którą dla zabawy raz po raz krzesał ogień. Reder pamiętał, jak z Konarskim zgłosili się na ochotnika jesienią 1942 roku do 1. Samodzielnej Kompanii Commando. Na szkoleniu w Achnacarry i później w Algierii obaj byli prymusami, ale Konarski miał to coś, czego brakowało innym: nerwy ze stali i niesamowity instynkt do walki. Reder przekonał się o tym już w Pescopennataro, gdzie przeszli swój chrzest bojowy. W obliczu niebezpieczeństwa Konarski zamieniał się w prawdziwą maszynę do zabijania. W Pescopennataro odparli natarcie ponad 200 niemieckich strzelców alpejskich, posyłając do piachu jedną czwartą z nich. Z ich oddziału tylko trzech żołnierzy odniosło lekkie rany. Wtedy po raz pierwszy zobaczył, na co stać Konarskiego w ogniu walki. Jego odwaga i zdolności bojowe tak zaimponowały alianckiemu dowódtwu, że otrzymał awans na podchorążego. Reszta chłopaków też pokazała, że w obliczu niebezpieczeństwa zrobią, co do nich należy. Szczególnie w piekle Monte Cassino, gdzie na stokach Colle Sant'Angelo przyszło im się zmierzyć z oddziałami 1. Dywizji Strzelców Spadochronowych, elitą wojsk niemieckich. Reder zmarszczył czoło, co stanowiło oznakę, że coś go trapi. Czuł się odpowiedzialny za to, żeby odstawić ich do domu w jednym kawałku. Bał się jednak, że tym razem może być inaczej. Ta misja róż-

niła się od wcześniejszych. Tyle rzeczy mogło pójść nie tak, jak zaplanował, że odczuwał niepokój. Głęboko na terenie wroga, bez wsparcia. To nie dawało mu spokoju.

Widząc charakterystyczną brudną na czole dowódcy, Konarski przestał się bawić zapalniczką i powiedział:

– Panie poruczniku, proszę się tak nie stresować. Daliśmy radę w tym pubie, to damy i tutaj.

Słyszac to, wszyscy nagle się ucieszyli i na chwilę napięcie ustąpiło żartem na temat angielskiego pedantyzmu. Tylko Kudera nie znał tej historii, więc mu opowiedzieli, jak w jednym ze szkockich pubów doszło do bójki z angielskimi artylerzystami mającymi znaczną przewagę liczebną. Bójka miała ciekawe zakończenie. Kiedy opadł kurz, interweniowali wezwani policjanci, jednak będąc pod wrażeniem profesjonalizmu Polaków, zamiast ich aresztować, kazali im tylko układać pokonanych artylerzystów wzdłuż, a nie w poprzek chodnika, żeby nie blokowali przejścia.

Krążyła plotka, że awantura w pubie potwierdziła ich profesjonalny trening i tym samym przyspieszyła wyłot do Algierii. Druga teoria była taka, że dowództwo miało już dość ich burd, bijatyk w miejscowych knajpach i chciało się ich jak najszybciej pozbyć.

Z kabiny pilotów wychyliła się głowa Cunninghama, który zakomunikował:

– Nawigator ma Hochkönig na radarze. Przygotujcie się do skoku.

Zniknął tak szybko, jak się pojawił. Po chwili lewy silnik maszyny zawył głośniejsz, a samolot przechylił się, zmieniając kurs.

Reder wstał i zaczął sprawdzać po kolei haki linek spadochronów zaczepionych do żelaznej liny biegnącej wzdłuż sufitu. Reszta bez słowa zaczęła przygotowywać się do skoku. Zdrętwieli i zmarzli podczas długiego lotu, przez co ich ruchy stały się lekko niezdarne. W ciasnej przestrzeni z trudem dopinali i poprawiali kurtki, broń, sprzęt. Reder zaczął hak spadochronu pojemnika z ładunkami wybuchowymi i dodatkowym sprzętem na linie obok innych haków. Ustawili się w kolejności do skoku. Najpierw porucznik Reder, za nim Konarski i Kudera. Następnie stanęli bliźniacy, którzy uściskali się i przeżegnali, jak to mieli w zwyczaju. Wreszcie za nimi stali Pieniążek i Sawicki z przenośną radiostacją przymocowaną na piersiach.

Przez chwilę prawie stracili równowagę podczas jednego z kolejnych wyczuwalnych manewrów pilota. Samolot przechylał się i zmieniał wysokość kilkukrotnie, po czym znieruchomiał. Nagle zapaliła się zielona lampa oznaczająca strefę zrzutu.

– Panowie, powodzenia – głośno powiedział Reder.

Chciał chyba dodać coś jeszcze, ale w tym momencie strzelec pokładowy sierżant Henry otrzymał na słuchawki rozkaz otwarcia drzwi. Przesunął je najpierw tylko trochę. Przez szczelinę wpadły do środka mroźne powietrze i ryk silników, zagłuszając porucznika. Reder stojący najbliżej zmrzył oczy i instynktownie zasłonił twarz. Sierżant Baker otworzył szeroko drzwi, ukazując czarną otchłań, w której za chwilę mieli zniknąć, jednocześnie dając ręką znak, żeby zaczęli skakać. Reder bez wahania podszedł do drzwi i chwycił się ich krawędzi. Zrobił to w ostatniej chwili, gdyż pęd powietrza niczym lodowy bokser wymierzył mu cios i pchnął do tyłu na stojącego za nim Konarskiego. Niewiele brakowało, a wyrzuciłby się, niechybnie powodując efekt domina w skoczkach stojących w szeregu blisko jeden za drugim. Zrobił jeszcze pół kroku i energicznym ruchem ramion wyrzucił się z samolotu. Pęd powietrza szarpnął jego ciałem i zaczął gwałtownie spadać, pogrążając się w ciemności. Po chwili poczuł szarpnięcie, spojrzał do góry i zobaczył nad sobą czaszę spadochronu.

Jak zawsze w tej fazie skoku poczuł ulgę. Wiatr rozkołysał go na wszystkie strony. Nie lubił tego. Zawsze chciał mieć nad wszystkim kontrolę, a teraz był zdany na los. Patrzył w dół na ciemnoszare zarysy płaskowyzu, na którym mieli wylądować. Wyobrażenia podsuwała mu czarne obrazy, jak to będzie miał pecha i połamie się na jakimś drzewie. Kolejny zimny podmuch smagnał go po twarzy. To mu pomogło. Powiedział sobie, że trzeba myśleć trzeźwo, po co ten strach, przecież robił to już tyle razy. Spojrzał do góry i na boki, zobaczył parasole spadochronów i sylwetki podwładnych. Chciał ich poczyścić, czy wszyscy otworzyli spadochrony, ale gdy zaczął, kolejny podmuch obrócił go i stracił rachubę. Przeniósł wzrok na dół. Ciemnoszara ziemia była coraz bliżej. W oddali widział wyraźne zarysy zboczy Hochkönig i ukształtowanie terenu. Na szczęście nigdzie nie było drzew, tylko gdzieś tam kępy gęstych krzaków i wysokogórskiej surowej roślinności. Szybko zbliżał się do ziemi. Złączył nogi i ugiął je lekko w kolanach. Pociągnął linki spadochronu i przygotował się na uderzenie. Nogi z impetem dotknęły podłoża, udało mu się nie przewrócić. Wiatr szarpał spadochronem, ciągnąc go lekko za sobą. Zmarzniętą dłonią udało mu się szybko odpiąć spadochron. Zwinął go pośpiesznie i nie-



dbale, po czym schował w pobliskiej kępie krzaków i karłowatych drzew. Ciężko dysząc, oparł dłonie na kolanach i zaczął łąpać powietrze, co na tej wysokości wcale nie było łatwe. Kiedy wyrównał oddech, wyprostował się i wyjął małą latarkę. Zaczął rozglądać się za resztą oddziału i nawoływać.

Minęło kilka minut, gdy zaczęli schodzić się ze wszystkich stron. Zbierali się powoli, w milczeniu, czekając na kolejnych. Po półgodzinie byli już prawie wszyscy.

– Brakuje Sawickiego, panie poruczniku – powiedział Konarski.

Reder rozejrzał się jeszcze raz wokoło, czy na ciemnym górzystym horyzoncie nie pojawia się sylwetka zaginionego komandosa.

– Kto skakał przed nim? Ty, Kuba? – zapytał.

Strzelec Pieniążek wskazał ręką na pobliski pagórek.

– Ostatni raz go widziałem, jak opadał za tamto wzniesienie – odrzekł.

– Pochowajcie spadochrony w krzakach i pójdziemy go szukać – rzucił stanowczo Reder.

Tymczasem znaleźli pojemnik z zaopatrzeniem, granatami i materiałami wybuchowymi. Przepakowali zawartość do dwóch plecaków i ruszyli w kierunku wzniesienia, za którym zniknął ich towarzysz. Odbezpieczyli broń, przygotowani na każdą ewentualność. Nie było wiadomo, co stało się Sawickiemu. Zakładali, że miał wypadek przy lądowaniu i jest ranny. Nie można było jednak wykluczyć, że natknął się na wrogi patrol, który dziwnym trafem znalazł się na tym pustkowiu. Weszli na wzgórze i spojrzeli w dół. Kilkadziesiąt metrów od nich, na czymś w rodzaju półki skalnej, między wysokimi krzakami zobaczyli światełko. Zbliżając się do niego, dostrzegli białą płachtę spadochronu oplatającą krzaki i nieśmiało polyskującą latarkę. Kiedy podeszli zupełnie blisko, ujrzeli rękę Sawickiego wystającą spod płótna i miarowo poruszającą latarką.

Donośnym, lecz nabrzmiałym obawą głosem Konarski zapytał:

– Wiktor, żyjesz tam? Jesteś ranny?

– Żyję, nic mi nie jest, tylko nie mogę się ruszyć – usłyszeli stłumiony głos spod spadochronu.

Wszystkim kamień spadł z serca i ruszyli koledze z pomocą. Okazało się, że Sawicki spadł w gęste krzaki i przewrócił się na wznak, zaplątany w linki. W dodatku upadł tak nieszczęśliwie, że przygnieciony radiostacją na piersiach, gałęziami i płótnem spadochronu nie mógł się podnieść. Przypomniawszy sobie jednak o latarce i wyswobodziwszy jedną rękę, zapalił światełko wskazujące jego pozycję. Potem pozostawało mu tylko czekać, aż koledzy go odnajdą. Minuty dłużyły się niemilosiernie, a perspektywa zakończenia żywota w tak żalosalnej sytuacji zaczynała nabierać realnych kształtów. Dlatego głos Konarskiego ucieszył go jak nigdy przedtem. Pomyślał tylko, że dziś jeszcze nie umrze, i bardzo był tym uszczęśliwiony. Kudera z Mikołajem wdarli się w gęstwinę i zaczęli uwalniać niefortunnego skoczka z płataniny linek, płótna i gałęzi. Cała operacja się przeciągała, co zirytowało porucznika.

– Mamut, przestańcie się bawić i wyciągnijcie go z tych krzaków. Już i tak za dużo czasu straciliśmy.

Mamut posłusznie postanowił działać po swojemu. Odsunął Mikołaja, dał krok do przodu i pochylił się, zanurzając się niemal cały w zaroślach. Następnie złapał Sawickiego pod pachy i podniósł razem z radiostacją, kłębowiskiem spadochronu i gałęzi, tak jak wyciąga się dziecko z kąpieli. Cofnąwszy się o dwa kroki, postawił na ziemi wyswobodzonego radiooperatora.

– Dzięki, Mamut – skwitował całe zajście szczęśliwy, lecz zakłopotany swoją nieporadnością Sawicki.

Następnie poodcinali z niego linki i resztę spadochronu. Wymienili kilka przyjaznych klepinięć i w milczeniu ruszyli za porucznikiem w dół zbocza zgodnie z planem akcji.

Przemarsz po górzystym terenie nie należał do łatwych. Cały czas schodząc, co chwilę potykali się o kamienie i inne niespodzianki, na których nietrudno było skrócić kostkę. Po dwóch godzinach zeszli w dolinę i skierowali się w stronę lasu z wierchołkami drzew majestatycznie kołyszącymi się na tle jaśniejszego nieba. Gdy do niego dotarli, zaczynało świtać. Reder przystanął, wyjął kompas i świecę latarką na mapę, szybko sprawdzili ich położenie. Wszystko musiało iść po jego myśli, bo energicznym ruchem schował kompas i mapę.

Rzucił w stronę oddziału zdawkowe „Już niedaleko” i wszedł do lasu.

Pozostali ruszyli za nim. Przedzieranie się przez ciemny, gęsty iglasty las nie należało do najprzyjemniejszych. Gałęzie tysiącami igieł raz po raz uderzały w zmarznąłą twarz i dłonie, zadając ból. Osłaniając głowę rękami, pochyłony porucznik parł z determinacją naprzód, uważając przy tym, by nie potknąć się o grube wystające korzenie drzew. Słyszał, że reszta podąża za nim. Co jakiś czas było słychać, jak Paszkowski z cicha klnie pod nosem. Najwyraźniej miał już dość uroków bawarskiej przyrody.

W końcu dotarli do skraju lasu. Zatrzymali się pod osłoną ostatnich drzew. Reder wyjął lornetkę i uważnie obserwował coś w oddali.

– Chyba jesteśmy na miejscu. – Podał szkła stojącemu obok Konarskiemu.

Ten wziął lornetkę. Przez minutę patrzył w miejsce, które wcześniej obserwował porucznik, i odpowiedział:

– Tak, to musi być tutaj. – W jego głosie dało się wyczuć napięcie. Odwrócił się do pozostałych. – Zdaje się, że dotarliśmy. Na wszelki wypadek przygotujcie papiery. Mordy w kubeł i bez potrzeby się nie odzywać. A ty wiesz, co – powiedział do Pieniżka.

Pieniżek jako jedyny w oddziale nie znał niemieckiego. Miał jednak inne zdolności, które dowództwo postanowiło wykorzystać w tej misji. Złapali oddech, sprawdzili papiery i wolnym krokiem wyszli z lasu w kierunku budynków, które zobaczyli przez lornetkę.

Po kilku minutach marszu dotarli na brzeg jeziora i znajdującej się tam przeprawy promowej. Stało tam kilka drewnianych domków i pusta zagroda dla bydła. Przy samej przystani widoczna była mała wartownia, za nią na jeziorze cumował prom. Była to długa na dwadzieścia metrów barka przymocowana do małego kutra rybackiego. Jednostka lata świetności miała za sobą. Można to było stwierdzić po grubym zielonym nalocie na burtach i zdartej w wielu miejscach farbie ukazującej deski mocno już nadgrzyzione zębem czasu. Kiedyś służyła głównie do przewozu bydła na pastwiska, jednak od kilku lat ruch na jeziorze znacznie wzrósł. Pomimo dość wczesnej pory na brzegu zebrała się już spora grupa ludzi. Bauer prowadzący dwie krowy, mężczyzna na wozie zaprzężonym w dwa konie, trzech żołnierzy Wehrmachtu, którzy wyglądali, jakby wracali z przepustki. Kilka osób krzątało się przy budynku z prawej strony przystani, pełniącym rolę sklepu, jadłodajni i piwiarni w jednym. Oddział Redera podszedł bliżej i zatrzymał się przy zagrodzie, z dala od innych.

Porucznik oparł się plecami o ogrodzenie, zapalił papierosa i powiedział do Paszkowskiego:

– Idź i zapytaj, o której odpływa.

Jan zdjął plecak, położył go pod deskami ogrodzenia i ruszył wolnym krokiem w kierunku promu. Zatrzymał się przy konnym wozie i chwilę rozmawiał z woźnicą. Wrócił, ospale powłócząc nogami.

– Za jakieś pół godziny – poinformował.

W nagrodę dostał od dowódcy fajkę i zaciągnął się z nieukrywaną przyjemnością.

– Odpocznijcie i zjedzcie coś – zakomenderował Reder, po czym sam wyciągnął puszkę z racji żywnościowych zabranych na wyprawę. Wziął wielki nóż, który miał przytwierdzony do pasa, i wprawnym ruchem ją otworzył. Inni poszli za jego przykładem i wkrótce cała ósemka zaczęła pałaszować śniadanie, popijając zawartością manierek. Reder, jedząc, spoglądał na konie. Jego twarz pojaśniała, najwyraźniej widok tych zwierząt działał na niego kojąco. Pomyślał, że gdyby nie konie, jego życie potoczyłoby się inaczej. Gdyby nie to, że kilku oficerom spodobało się, jak w zawodach skoków w Gdyni pokonał oficera SS, nie awansowałby tak szybko i nie stałby teraz w sercu Alp.

Paweł Reder pochodził z majątku pod Gdańskiem. Był inteligentnym, wykształconym, szarmanckim młodzieńcem, przed którym świat stał otworem. Od dziecka wpajano mu takie wartości, jak uczciwość, sprawiedliwość i patriotyzm. Rodzice chcieli, by został prawnikiem, jednak chłopak postanowił ukończyć szkołę kadetów i zostać żołnierzem. Trochę na złość ojcu, ale głównie dlatego, że kochał konie i chciał być ułanem. Nie bez znaczenia było też to, jak oficerski mundur działał na kobiety, może nawet wtedy to było dla niego najważniejsze. Ukończył szkołę kadetów oraz oficerską. Otrzymał przydział do 1. Pułku Strzelców Konnych. Ze względu na osiągnięcia w jeździectwie sportowym został przeniesiony do Centrum Wyszkolenia Kawalerii jako instruktor. Przed wybuchem wojny wybrano go do kadry olimpijskiej i przygotowywał się do igrzysk w 1940 roku. Zamiast na olimpiadzie znalazł się jednak tutaj, nad Königssee, w niemieckim mundurze i ze straceńczą misją.

Jego rozmyślenia przerwał szybko zbliżający się do przystani warkot silnika. Po chwili między budynki wjechał z impetem ogromny czarny mercedes, prawie potrącając idącego tamtędy człowieka. Wielkie reflektory rzucały złowrogie światło na całą przystań. Wartownicy podeszli do kierowcy i po krótkiej rozmowie oraz okazaniu dokumentów pośpiesznie podnieśli szlaban, a limuzyna wtoczyła się na skrzypiące deski promu.

– Przeczuwam kłopoty – powiedział Konarski do dowódcy, patrząc na samochód.

Obaj przestali jeść i przyglądali się sytuacji na promie. Drzwi pasażera otworzyły się i wysiadł oficer w czarnym płaszczu i mundurze SS. Szybkim krokiem poszedł na rufę kutra, gdzie stał kapitan. Nieogolony wilk morski w podeszłym wieku, ubrany w zniszczony gruby sweter z golfem, od dłuższego czasu

leniwie popijał kawę z wielkiego kubka, do którego ukradkiem dolewał alkohol z piersiówki trzymanej w kieszeni. Na dziobie krzątał się jego pomocnik. Chłopak odwalał za kapitana całą robotę: sprawdzał liny mocujące prom, czyścił pokład, a nawet majstrował przy silniku. Widząc podchodzącego oficera, przezornie schował się w sterówce.

Esesman zbliżył się do kapitana i głośno zarządził:

– Odplywaj!

Kapitan spokojnie spojrzął na zegarek.

– Za pół godziny, na pewno przyjdzie jeszcze kilka osób – odpowiedział.

– Mam to w dupie, śpieszę się. Odplywaj! – ponownie rozkazał esesman. Wyraźnie zirytowała go postawa kapitana, dlatego nachylił się i ciszej dodał: – Płyn albo znajdę ci lepsze zajęcie.

Po czym odwrócił się i odszedł do samochodu.

Zmotywowany w ten brutalny sposób kapitan odwrócił się w stronę brzegu i tubalnym głosem zawołał:

– Wsiadać, odpływamy!

Strażnik podniósł szlaban i gromadka pasażerów zaczęła pakować się na prom.

– No, koniec jedzenia, zbieramy się – powiedział Reder, obserwując, co się dzieje na promie.

Zamknął puszkę z napoczętą mielonką i oddał ją Mamutowi, który dźwigał jeden z plecaków.

– Nawet zjeść w spokoju nie można. Przeklęty esesman. Ciekawe, gdzie mu się tak śpieszy – marudził, jak to miał w zwyczaju, Janek Paszkowski.

Konarski podszedł do porucznika.

– Mam złe przecucia – mruknął, patrząc na oficera opartego o mercedesa i palącego papierosa. – Może poczekamy na następny?

– Też mi się to nie podoba, ale prom wraca za ponad sześć godzin. Musimy płynąć teraz – odparł Reder.

Powoli ruszyli na pokład. Dość nietęgą minę miał też Mamut, który nie umiał pływać. Nikomu się nie przyznał. W końcu lecieli w góry, nie nad morze. Teraz ogrom wody oraz niebudząca zaufania kupa zbitych desek, na których mieli płynąć, przypawiły go o dziwne ściskanie w żołądku. Nie należał do strachliwych, ale czuł niemalą dyskomfort. Na Śląsku tyle wody naraz nie widział. Małe, ciasne chodniki kopalni, w których pracował przed wojną, wydawały mu się teraz komfortowe w porównaniu z perspektywą znalezienia się na środku tego jeziora. Przed nimi weszli na prom młodzi żołnierze Wehrmachtu, dwóch miejscowych rolników, kobieta zapewne pracująca w miasteczku po drugiej stronie jeziora, bauer z krowami, a na końcu wtarabanił się woźnica z wozem. Reder wprowadził oddział na barkę od strony kutra, tak by nie rzucać się w oczy oficerowi SS.

Po chwili kapitan uruchomił silniki. Najpierw dało się słyszeć stłumione terkotanie, a potem plusk za rufą. Śruba zaczęła się mocniej obracać, popychając prom do przodu, ku ogólnemu zadowoleniu pasażerów. Oprócz, rzecz jasna, Mamuta, którego widok oddalającego się brzegu nie cieszył. Mimo sędziwego wieku kuter dobrze sobie radził na wodach jeziora, coraz szybciej ciągnąc barkę i jej zawartość. Minęło kilka minut, a przystań ze swymi domkami była już ledwie widoczna. Königssee wtulone w uroczą dolinę, ze szmaragdową taflą wody, roztoczyło przed nimi swój bajkowy krajobraz.

Każdy na promie czymś się zajął. Kapitan rozsiadł się wygodnie w kabinie. Jedną ręką trzymał koło sterowe, a drugą przytykał do ust fajkę z dużym cybuchem, puszczając co chwilę kłęb dymu. Jego pomocnik położył się spać na wytartym materacu i stercie szmat w sterówce. Woźnica zszedł z wozu i zaczął zawieszzać koniom worki z owsem, a reszta pasażerów rozmawiała, oglądała w milczeniu widoki lub usiadłszy na deskach, pogrążyła się w drzemce. Podobnie uczynili strzelcy górscy, którzy zmęczeni długim marszem usiedli oparci tyłem do kutra i wrócili do jedzenia, które musieli przerwać. Konarski zagłębił się w lekturze *Der Zauberberg* Thomasa Manna, którą zabrał ze sobą na wyprawę jako kamuflaż, a bracia rozprawiali o łowieniu ryb i spekulowali, jakie sztuki można by złowić w tym jeziorze. Paszkowski podziwiał kościół z pięknymi czerwonymi kopułami na lewym brzegu jeziora. Miał podłużny kształt i z oddali przypominał okręt płynący w malowniczej scenerii wysokich szczytów i bujnej zieleni.

Paszkowski przed wojną był wziętym inżynierem architektem, ukończył studia na wydziale architektury w Poznaniu. Po wybuchu wojny brał udział w kampanii wrześniowej, jako żołnierz Wojska Polskiego przekroczył granicę Polski, po czym był internowany w Rumunii. Następnie przedostał się na Zachód i w lutym 1940 roku trafił do Francji. Został żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie,

odkomenderowany do kompanii sanitarnej 2. Dywizji Strzelców Pieszych, która walczyła w Alzacji. Nie odpowiadała mu jednak służba na tyłach. Po przybyciu do Anglii poprosił o przeniesienie, trafił do Achnacarry i został komandosem. Tak wichry wojny przyniosły go na Königssee, gdzie w promieniach wschodzącego pomarańczowego słońca podziwiał barokowy kościół z dwiema cebulastymi kopułami i czerwonym dachem. Wyjął pusty notatnik, ołówek i zaczął szkicować sylwetę kościoła na tle górskiego krajobrazu. Wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. Pomyślał, że to pierwsza normalna rzecz, jaką robi od miesięcy. W całości oddał się szkicowaniu, tak jakby istnieli tylko on, kościół i notatnik. Chciał zapamiętać o wojnie, o okropieństwach, które widział. Nie myśleć o poległych kolegach, o tym, że za chwilę sam może zginąć w tych obcych bawarskich górach.

W pewnej chwili znieruchomiał. Poczuł na sobie czyjś wzrok. Ktoś go obserwował. Ręka mu zdrętwiała, a krtąń się zacisnęła tak, że z trudem przełknął ślinę. Przestał szkicować i powoli podniósł oczy. Obok siebie zobaczył czarne oficerskie buty, a wyżej postać esesmana w czarnym skórzanym płaszczu. Postać ta w tym momencie nabrała nadludzkich rozmiarów, niczym demon roztaczając nad nim swą złowrogą moc. Krew uderzyła mu do głowy, skronie zaczęły pulsować, a serce waliło w piersiach niczym młot. Zareagował instynktownie. Szybko poderwał się z pokładu, stanął na baczność. Przed nim stał esesman o blond włosach wystających spod czapki z trupa czaszką, świdrującym wzroku i wyciosanej twarzy teutońskich bogów wojny. Przez chwilę w milczeniu upajał się widokiem stojącego na baczność żołnierza, po czym bez słowa powolnym ruchem wyjął notatnik z jego ręki. Przez chwilę oglądał szkic, po czym rzekł:

– Macie talent, żołnierzu. Co robiliście przed wojną?

– Studiowałem architekturę na Uniwersytecie Ruprechta i Karola w Heidelbergu, Herr SS-Standartenführer – odpowiedział głośno Paszkiewicz, błyskawicznie przypominając sobie swoją legendę do tej misji.

– Dobrze, dobrze, takich ludzi nam trzeba. Niedługo będzie pan projektował domy i miasta na Wschodzie, gdy oczyścimy te tereny z dzikusów. Tacy ludzie jak pan będą tworzyć tam aryjską cywilizację. – Esesman oddał Paszkowskiemu notatnik.

Podszedł do nich Reder.

– Coś nie tak, Herr SS-Standartenführer? – zapytał, próbując zdjąć ciężar rozmowy z barków Paszkowskiego.

Esesman odwrócił się, badając wzrokiem porucznika.

– Nic się nie stało, podziwiałem tylko talent pana podwładnego – odpowiedział.

– Tak, widziałem już, co potrafi. Mogę pana zapewnić, że do walki ma równe uzdolnienia jak do rysowania. Pozwoli pan, Herr SS-Standartenführer, że się przedstawię. Unterscharführer Max Grabner – kontynuował Reder.

– SS-Standartenführer Werner Gleichmann. Co sprowadza pana i pańskich ludzi tutaj, w te piękne bawarskie góry? – przedstawiwszy się, niby grzecznościowo zapytał esesman.

– Przeniesiono nas z Norwegii. Do ochrony terenu. Część rannych z naszego plutonu przebywa na leczeniu w tutejszym szpitalu – odpowiedział Reder, patrząc Niemcowi prosto w oczy.

– W takim razie jeszcze się spotkamy i będziemy mieli okazję porozmawiać. Będę pana przełożonym. Chętnie posłucham kiedyś opowieści z kampanii norweskiej.

– To będzie dla mnie zaszczyt, Herr Standartenführer. – Reder lekko się uśmiechnął i wyprostował przed niedoszłym szefem.

Gleichmann, wyraźnie ukontentowany, cofnął się i odwrócił, żeby odejść, gdy nagle coś zauważył. Odwrócił się znowu, minął Redera, Paszkowskiego i podszedł do Kuby Pieniążka.

– Piękna broń – powiedział, patrząc na mausera Kar98 na ramieniu tamtego. – Sam mam mausera do polowań. Jak się sprawuje w boju? – rzekł do Kuby, który poczuł w tym momencie nagle uderzenie gorącą.

Czuł, jak pot spływa mu po karku.

Wszyscy z oddziału znieruchomieli, ponieważ Pieniążek jako jedyny z nich nie znał ani słowa po niemiecku. Miał jednak zdolności, a właściwie dar, który czynił go najważniejszym elementem układanki w tej akcji polskiego wywiadu. Kuba był najlepszym snajperem w całej dywizji. Jako syn leśniczego od małego biegał po lasach ze strzelbą. Tak żył się z bronią, że właściwie stanowiła przedłużenie jego ciała. W wieku czternastu lat już strzelał lepiej od ojca i innych myśliwych, przed którymi starszek się nim chełpił. Jego pewna ręka i sokoli wzrok ratowały kolegów z oddziału w 1939 roku podczas

przeprawy na Dunajcu, gdzie osłaniał swoich i z prawie kilometra zabijał jednego Niemca za drugim, aż liczba ciał spływająca warkim nurtem zatrzymała wroga na drugim brzegu. Tak samo strzelał do wrogów jak do kaczek w Pescopennataro, gdzie po całodniowej wymianie ognia zabił czternastu strzelców alpejskich, a pod Monte Cassino zdejmował niemieckich snajperów i likwidował gniazda CKM-ów, dzięki czemu uratował życie wielu szturmującym wzgórze żołnierzom. Konarski, który przez cały czas miał oko na esesmana i jego kierowcę, widząc jego zainteresowanie Pieniążkiem, przeszedł za wóz. To była najlepsza pozycja do ewentualnej wymiany ognia z esesmanami i żołnierzami Wehrmachtu. Skierował niepostrzeżenie lufę zawieszoną na ramieniu karabinu na trzech młodych żołnierzach, jednocześnie obserwując esesmana siedzącego za kierownicą mercedesa. Jeżeli rozmowa przybierze kiepski obrót, bez problemu zlikwidują piątkę Niemców, jednak to byłby koniec ich misji.

– Oberschütze Schäfer nie słyszy, pod Narwikiem wybuch granatu uszkodził mu słuch. Co do ma-sera, to sam widziałem, jak zjął wroga z pięciuset metrów, a do tarczy trafia z siedmiuset – wtrącił się Reder, z napięciem obserwując, czy Gleichmann kupi tę bajeczkę.

– Ach tak... – Wyraźnie zaskoczony oficer długo przyglądał się Kubie. – Kto by pomyślał... in-walida, a jednocześnie dobry żołnierz – skwitował.

– Dobrze, że tego nie słyszał – zażartował Reder.

– Dobre – zaśmiał się Gleichmann, choć uśmiech na jego twarzy przypominał dziwny grymas. – Pan mi się podoba, Grabner. Tutejsza kadra SS to straszne sztywniaki. Dobrze dla odmiany porozmawiać z prawdziwym frontowym bohaterem. Jak pan się zakwateruje, proszę mnie odwiedzić. Napijemy się Jägermeistra i opowie mi pan o Norwegii. Kwaternistrz powie panu, gdzie mnie znaleźć.

– Dziękuję, Herr Standartenführer. Wypełniałem tylko obowiązek względem Führera i ojczyzny. Na pewno skorzystam z zaproszenia – odpowiedział Reder.

Esesman odwrócił się i odszedł do trzech żołnierzów Wehrmachtu, którzy stanowili następny punkt jego małego obchodu. Wszyscy odetchnęli, a najbardziej Kuba, który ni cholery nie wiedział, czego chciał od niego esesman i o czym rozmawiał z porucznikiem. Nie pojmował, czy gadka zmierza w dobrym kierunku, czy za chwilę zacznie się strzelanina. Wymienili z porucznikiem wymowne spoj-rzenia.

– Spocznij, Schäfer. Dobrze mieć w oddziale żołnierza, którym można się pochwalić. – Reder skinie-niem dał mu znać, że wszystko dobrze i że esesmana chwilowo mają z głowy.

Usiedli z powrotem na deskach, również Konarski opuścił miejscówkę za wozem, dołączając do reszty. Dalszy rejs mijiał w dość sennej atmosferze. Standartenführer Gleichmann po krótkiej rozmowie z żołnierzami na przepustce wrócił do mercedesa. Usadował się wygodnie na tylnej kanapie i zaczął przeglądać jakieś dokumenty. Miejscowi cywile prowadzili nudną rozmowę, a Reder z kompanami w ciszy oczekiwali, aż dojdą do przystani. W pewnym momencie usłyszeli niosący się po wodzie odgłos silnika. Zobaczyli płynącą z przeciwka łódź patrolową. Mała kilkuosobowa motorówka zbliżała się do promu. Gdy była tuż obok, zwróciła, a jeden z Niemców, nie zważając na to, że jest już prawie jasno, włączył wielki reflektor i mocny snop światła zaczął wędrować po pasażerach promu. Najwyraż-niej jednak patrol nie zauważył nic podejrzanego, bo po chwili łódź popłynęła dalej. Po kilkunastu minutach w oddali ukazał się brzeg. Z minuty na minutę można było dostrzec coraz więcej szczegółów na przystani. Budynek wartowni, stary magazyn, szlaban, za którym stała policja wojskowa RSD, Reichssicherheitsdienst. Dalej rozciągało się miasteczko Schönaun am Königssee ze swymi kolorowymi domami.

Prom dobił do brzegu. Wartownicy podnieśli szlaban. Najpierw na brzeg wytoczył się czarny merce-des. Wartownik rzucił okiem na dokumenty okazane przez kierowcę, zsalutował i wóz z piskiem opon odjechał z przystani. Po młodych żołnierzach Wehrmachtu i miejscowych do wartowników zbliżyli się żołnierze piechoty górskiej. Pierwsi papiery podali Reder i Konarski. Fałszywe dokumenty przygotowa-ne do tej akcji powinny wystarczyć do pobieżnej kontroli, jeżeli jednak policjantowi kontrolującemu papiery coś się nie spodoba i zacznie wydzwaniać, żeby ich sprawdzić, to będą mieli kłopot. Wartownik spojrzął na dane jednostki i zdjęcie Maxa Grabnera, następnie przyjrzał się twarzy. Oddał przepustkę i machnął, żeby iść dalej. Następnie całą procedurę zaliczył cały oddział. Przeszli za szlaban i minąwszy tablicę Schönaun am Königssee, znaleźli się w miasteczku.

Otoczyły ich średniowieczne domy z ozdobnymi portalami oraz oknami, przykryte spiczastymi dachami. Każde z kolejnych pięter było coraz mniejsze. Na drewnianych zwieńczeniach fasad widniały daty powstania budynków. Była godzina 8.30 i miasteczko budziło się do życia. Z piekarni dochodził

zapach świeżego chleba. Mleczarz ustawiał na wozie bańki z mlekiem. Dzieci w krótkich tyrolskich spodenkach, śmiejąc się i krzycząc, biegły do pobliskiej szkoły. W promieniach porannego słońca to wszystko wyglądało bajkowo. „Jakie piękne to miejsce, a ile zła się tu dzieje”, pomyślał Reder. Idąc główną ulicą miasteczka, dotarli do kafejki położonej nieco na uboczu. Z jej ogródka roztaczał się wspaniały widok na górę Kehlstein wznoszącą się ponad miastem. Na zachodnim krańcu jej grzbietu mieściła się potężna, imponująca rezydencja górująca nad okolicą niczym zamek mitycznych władców. Reder z Konarskim zatrzymali się i jak zauroczeni obserwowali miejsce, które było celem ich misji. Na szczycie rezydencji powiewała na wysokim maszcie wielka swastyka. Flagę wciągano na maszt tylko wtedy, gdy w rezydencji przebywał jej gospodarz. Oznaczało to, że dane zdobycie przez polski wywiad były prawdziwe. Znajdowali się we właściwym miejscu i o właściwym czasie, by odmienić losy wojny.

Ich misja była tak tajna, że o jej celu w całej Armii Andersa wiedziało tylko kilku najwyższych rangą dowódców. Nie zostali o niej powiadomieni ani rząd polski, ani alianci. Suwerenna decyzja generała Andersa i jego bliskich współpracowników miała zmienić bieg wojny i pomóc Polsce odzyskać wolność. Do wykonania zadania wybrano ośmiu ochotników z 10. Commando, wyszkolonych do walki w terenie górzystym, doświadczonych w boju i znających niemiecki, co było konieczne, by dotrzeć na miejsce. Na dowódcę oddziału wyznaczono najbystrzejszego z oficerów, o ponadprzeciętnej wiedzy taktycznej, zimnej krwi i umiejętności improwizacji w krytycznych sytuacjach. Co najważniejsze, bezwzględne w osiągnięciu wytyczonych mu celów. Dowództwo wiedziało, że nie zawaha się poświęcić życia własnego czy podkomendnych, by wykonać zadanie. Tak było we Włoszech na stokach Colle Sant' Angelo, kiedy po kilkudziesięciu godzinach walk, pozbawieni wody i amunicji, komandosi Redera roztrzaskiwali czaszki broniących się Niemców kamieniami, walcząc z furią, odwagą i zawziętością, jakiej nikt nigdy nie widział. Kiedy zdobyli szczyt, klasztor na Monte Cassino nie istniał. Były tylko gruz, a u podnóża góry ukazał się makabryczny widok setek zabitych i rannych. Polski sztandar zawisł na tych ruinach, a polscy komandosi dowiedli, że nie ma dla nich misji niemożliwych. Teraz stali tu, u podnóża innej góry, i znów mieli dokonać niemożliwego. Wypełnić zadanie, którego nikt wcześniej nie potrafił zrealizować.

Z oddziału dokładny cel misji znali tylko Reder i Konarski. Z uwagi na tajność reszta otrzymała jedynie plan zadania. Na tygodniowym szkoleniu polskiego wywiadu uczyli się map, topografii terenu. Cele były oznaczone kryptonimami: alfa, bravo, charlie. Każdy znał na pamięć swoją część, wiedział, co i kiedy miał zrobić. Nie wiedzieli tylko co, a raczej kto jest celem misji. Reder postanowił wtajemniczyć ich po wyskoczeniu z samolotu. Później jednak zmienił zdanie. Pomyślał, że lepiej będzie, gdy nie znając wszystkich faktów, potraktują to jak zwykle nowe zadanie. Mniej stresu – mniej okazji do błędów.

Obaj z Konarskim stali w milczeniu, patrząc na górę, do której zaraz mieli się skierować. Była to twierdza nie do zdobycia, z siecią tuneli i bunkrów we wnętrzu góry, przez co wszelkie naloty bombowe nie miały sensu. Otoczona trzema pierścieniami stref ochronnych, których pilnowała armia strażników. Pierwszą linię ochrony stanowili cywilini wartownicy, robotnicy różnych specjalności, cieśle, murarze itp. Zagorzali naziści. Obstawiali zewnętrzne obszary i drogi. Co kilkaset metrów mieścił się posterunek straży cywilnej uzbrojonej w karabiny, blokada, drut kolczasty. Straż wewnętrznego kręgu to ochrona osobista, RSD, policja wojskowa z psami. Obstawiali wszystkie wzgórza, z których widać było rezydencję i drogi dojazdowe. Można było ich ominąć tylko po okazaniu specjalnych przepustek z ciemnoniebieską pieczęcią. Ostatnią linię ochrony stanowiła gwardia przyboczna. Specjalnie doboriani żołnierze Ehre Kompanie/IV. SS-Wachbataillon LSSAH (Leibstandarte SS Adolf Hitler). Do ich zadań należała osobista ochrona celu misji Polaków. Wachbataillon składał się wyłącznie z rdzennych Niemców, wychowanych w duchu ideologii narodowosocjalistycznej, elitarnych, sfanatyzowanych żołnierzy.

Wszystkie te zabezpieczenia sprawiały, że ataki z powietrza czy frontalny były skazane na niepowodzenie. W całym tym misternym systemie ochrony była jednak mała rysa. Dzięki informacjom polskiego wywiadu powstał plan, który miał wykorzystać tę lukę i pozwolić na dotarcie do celu. Ten plan mieli zrealizować porucznik Reder i jego oddział.

Wciągnęli świeże górskie powietrze pełną piersią, jakby byli na wycieczce krajoznawczej. Z jednej strony poczuli ulgę, że dotarli pod tę piekielną górę, z drugiej wiedzieli, że teraz zaczną się najgorsze. Reder popatrzył na swojego zastępcę, jak bardzo zmienił się przez ostatnie lata. Gdy poznali się w szkole oficerskiej, był to młody, szczupły chłopak z jasnymi, kędzierzawymi włosami. Wiecznie uśmiechnięty, z niespożytą energią do działania. Jakże odmieniła go wojna. Zmężniał, a ze szczerego młodzieńczego uśmiechu, na który dawały się poderwać wszystkie dziewczyny, nie pozostało już wiele.

Nadal jednak potrafił rzucić celny żart czy rozbawić go w najczarniejszych sytuacjach. Kiedy pakowali się w kłopoty, Konarski wydawał się w swoim żywiole. Był z nim podczas najtrudniejszych akcji, tak było i teraz. Dodawało mu to otuchy i pewności w działaniu. Reder wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Konarskiego oraz innych palaczy z oddziału. Bliźniacy nie palili, więc wyciągnęli zakonspirowaną amerykańską gumę do żucia. Wcześniej przepakowaną, żeby w razie wpadki nie wykryto jej pochodzenia.

– Panowie, koniec wycieczki. Jak dopalę fajkę, zabieramy się do roboty. Zgodnie z planem razem z Kubą i Wiktorem pójdę w dół doliny, a potem wzdłuż strumienia w górę, na wzgórze numer jeden – powiedział Reder. Zrobił pauzę, zaciągnął się papierosem, powoli wypuścił dym i kontynuował: – Podchorąży Konarski wraz z Jankiem, bliźniakami i Mamutem tą krętą ścieżką – tu wskazał za siebie – ruszą na wzgórze numer dwa. Gdy załatwicie sprawę na dwójce, idźcie na wartownię i eliminujecie wartowników. Potem organizujecie podwózkę, czekacie na nas i razem odjeżdżamy do punktu „charlie”.

– Spokojnie, szefie, wiemy, co robić – odparł Konarski, podając porucznikowi jeden z plecaków.

Reder odebrał plecak i zawiesił na ramionach.

– Mam nadzieję, bo drugiego podejścia nie będzie. Jakies pytania?

– Tak, ja mam dwa... Czy dowiemy się, kto jest celem, oraz czy wracając, możemy zahaczyć o tę gospodę, którą mijaliśmy, i buchnąć Szwabom te kiełbaski, od których zapachu burczy mi w brzuchu? – rzucił Kudera, milcząco od przeprawy promowej.

– Wszystkiego dowiecie się za dwie godziny. A co do kiełbasek, Mamut, to niestety nie zahaczmy – odpowiedział porucznik.

– No to idziemy. Do zobaczenia po akcji – rzucił Konarski, podając rękę dowódcy, a potem Sawickiemu i Pieniążkowi.

Pożegnali się i obie grupy udały się w wyznaczonych kierunkach.

Reder z Kubą Pieniążkiem i radiotelegrafistą Wiktorem Sawickim minęli drewnianą chatę oraz gospodarstwo na końcu miasteczka i ruszyli w dół doliny. Szli długo w niezamieszkanym terenie. Trzymali się rzeczki płynącej po zachodniej stronie szczytu Kehlsteinu. Alpy i te obszary były bardzo intensywnie wykorzystywane gospodarczo. Wszędzie widzieli stada pasących się krów, a dźwięk ich dzwonek towarzyszył im, aż weszli do lasu. Tam przystanęli. Porucznik zjął plecak, postawił na ziemi i zaczął czegoś szukać. W końcu wyciągnął dwa tłumiki do ich pistoletów maszynowych MP 40, popularnie zwanych schmeisserami. Jeden podał Sawickiemu, a drugi założył na swoją broń. Ustawili się w szyku. Z przodu szedł porucznik, za nim Sawicki, a na końcu Pieniążek. Dotarli do rzeczki, która zmieniła się w mały górski potok o bystrym nurcie. Teren zaczął się wznosić, co uczyniło marsz bardziej uciążliwym. Mieszany alpejski las, momentami bardzo gęsty, nie ułatwiał wspinaczki. Świerki, limby i różne gatunki modrzewi ograniczały pole widzenia i zmuszały do zmian kierunku marszu. Nogi zapadały się w gruby dywan z mchów, paproci, porostów, przyozdobiony kwiatami. Musieli uważać na szczeliny skalne, które pojawiały się w wyższych partiach lasu. Łatwo było tam złamać nogę, co w tych okolicznościach praktycznie równałoby się śmierci. Szli powoli, przystając, co chwilę nasłuchując i wypatrując patroli. Przebyli lasem już dobry kilometr, gdy porucznik wyjął mapę i zaczął coś sprawdzać.

Podszedł do niego Sawicki i cicho zapytał:

– Coś nie tak?

– Albo ta mapa jest do dupy, albo zabłądziliśmy – odpowiedział jeszcze ciszej wyraźnie zdenerwowany Reder. – Zobacz: według mapy tu powinna być polana, za polaną czterysta metrów lasu, a za nim drucziana siatka.

– To co robimy? – wydyszał Sawicki, zmęczony już długim marszem pod górę.

Dołączył do nich Pieniążek.

– Co jest?

– Chyba się zgubiliśmy – poinformował go krótko Sawicki, po czym nastąpiła chwila, gdy każdy dawał się szukać sposobu na dotarcie do celu.

– Zrobimy tak – przerwał niemą burzę mózgow porucznik. – Pójdziemy jeszcze przez pół godziny dalej w tym samym kierunku. Może poruszamy się wolniej, niż obliczyłem, bo pod górę, w gęstych krzakach i tak dalej. Jeżeli za następne dwa kilometry ten cholerny las się nie skończy, to skręcimy do wzgórza numer dwa. Znajdziemy podchorążego Konarskiego i z resztą oddziału pójdziemy na wschód w górę szczytu. Tam spróbujemy znaleźć ogrodzenie i będziemy musieli za nie przeleźć.



– Wtedy nie obejdzie się bez strzelaniny z ochroną i strażnikami z rezydencji, w dodatku będziemy bez osłony na odkrytym terenie – ocenił sytuację wyraźnie zmartwiony Sawicki.

– Tak, wiem, ale nie będzie innej opcji. Dlatego idziemy dalej prosto, przyspieszamy i może dotrzemy w końcu do tej polany – zdecydował porucznik, składając mapę i chowając w plecaku.

Sawicki, który na chwilę przykleknął, zmęczony targaniem radiostacji, podniósł się ciężko. Reder zdecydowanie ruszył naprzód, trzymając poprzedni kierunek. Radiooperator podążył za nim, zachowując kilkumetrowy odstęp, a szyk zamykał strzelec Pieniążek, pilnując tyłów. Parli uparcie przed siebie, teren stawał się jednak coraz trudniejszy. Ich żołnierskie buty ześlizgiwały się z kamieni i fragmentów skał, a stromienię coraz trudniej było pokonywać. Najgorzej miał Sawicki, któremu radiostacja zaczynała coraz bardziej ciążyć i przeszkadzać w marszu. Był już wyczerpany. Żałował, że nie ma z nimi Mamuta, oddałby mu na chwilę sprzęt. W tej sytuacji nie miał zastępstwa. Pieniążek był małej postury i z ciężarem raczej daleko by nie zaszedł. Porucznika też nie wypadało prosić. Poza tym i tak wydawał się lekko zdenerwowany przedłużającym się marszem przez niekończący się las. Sawicki podrzucił radiostację wyżej, zacisnął dłoń na mocujących ją pasach, zagryzł zęby i przyspieszył kroku.

Był typem inteligenta. Przed wojną chciał zostać konstruktorem samolotów. Interesowała go fizyka, lubił majsterkować, grzebać w starych radiach, samochodach, pociągało go wszystko, co nowoczesne i postępowe. Nienawidził biegania, sportu i wszelkiego wysiłku fizycznego. O ironio, skończył w Alpach, zasuwając kilometrami pod górę z ciężką radiostacją.

Jego rozmyślenia przerwał błysk światła, który poraził mu oczy. Po chwili kolejny i następny. Podniósł głowę i spojrzał w dal przed siebie. Między drzewami widać było jasne prześwit. Gęste snopy światła raz po raz strzelały w nich barwnymi refleksami. Las przed nimi przerzedzał się, a światło zwiastowało jego skraj. Zdał sobie sprawę, że od pewnego czasu szło mu się łatwiej. Nawet nie zauważył, że teren się wypłaszczył, pozwalając na dłuższe i pewniejsze kroki. Zmierzali szybko w stronę pobliskiego światła niczym żeglarze kierujący się ku latarni. Zajęło im chwilę, nim dotarli do ostatnich drzew i ich oczom ukazała się wielka polana, o której mówił porucznik.

Reder przystanął na brzegu lasu, odwrócił się na chwilę do Sawickiego i z ulgą powiedział:

– Jest ta cholerna polana...

Rozejrzał się uważnie, czy nie widać jakiegось niebezpieczeństwa, po czym pewnym, energicznym krokiem wszedł na wielką zieloną polanę znajdującą się dokładnie tam, gdzie wskazywała mapa. Sawicki i Pieniążek bez wahania podążyli za nim. Byli już blisko celu, wystarczyło przebyć polanę, potem czterystumetrowy zagajnik za nią i wyjdą prosto na ogrodzenie, zza którego zaatakują wroga. Reder był tym wyraźnie podniecony – nareszcie przejdzie do działania i wykona misję, której szczególnie poświęcił ostatnie dwa tygodnie. Zaczął już układać w głowie plan tego, co wydarzy się w ciągu następnej godziny. Żeby czegoś nie pominąć i nie zepsuć. Nie zniweczyć misji, w której tak wiele osób pokładało nadzieję. Przebyli już ponad połowę polany i zbliżali się do zagajnika, gdy nagle za drzew wyłonili się niczym duchy dwaj Niemcy z wymierzoną w nich bronią. Byli to policjanci Reichssicherheitsdienst patrolujący z psem wzgórze. Normalnie mieli być w tej okolicy za dwadzieścia minut, ale dzisiaj pechowo, nie wiedząc czemu, znaleźli się tu wcześniej. Reder przystanął i szybko ocenił sytuację. Strażnicy stali z bronią gotową do strzału, równie zaskoczeni spotkaniem jak oni. Wielki owczarek niemiecki zaczął warczeć i ujadać na obcych. Szarpiąc i wyrwijąc się na smyczy, kłapał zębiskami.

– Halt – rozkazał stanowczym głosem dowódca patrolu, unosząc wyżej lufę karabinu. Wielki Niemiec z czerwoną twarzą, małymi i głęboko osadzonymi oczami badał ich rozbieganym, nerwowym wzrokiem. – Co tu robicie? To zamknięta strefa.

– Chyba zablądziliśmy, szukamy koszar. Dzisiaj przyjechaliśmy, przydzielono nas do ochrony – odparł Reder. – To nasze papiery – dodał, wyciągając przepustkę i kierując się w stronę Niemców.

– Jak to zablądziście? Po co schodziliście z drogi między posterunkami? – rzucił kolejne pytania strażnik. Był zaniepokojony sytuacją, obcy w pilnie strzeżonym miejscu, gdzie nie powinno być nikogo poza patrolami, wzbudziło jego podejrzliwość. Teraz spostrzegł jeszcze zbliżającego się Pieniążka, co dodatkowo go podenerwowało. Podszedł do swojego partnera trzymającego ujadającego psa i ciszej powiedział: – Pilnuj ich, coś mi tu nie gra.

Jego kompan szeroko rozstawił nogi i mocniej zacisnął ręce na broni.

Reder szedł do nich powoli, trzymając w wyciągniętej ręce dokumenty. Przepustki nie są ważne w tej strefie. Niemiec za chwilę ich rozbroi i odprowadzi do dowództwa, gdzie zdemaskują ich fałszywe papiery i przykrywkę. Postanowił działać szybko i zdecydowanie. Zbliżał się do Niemców od swojej



lewej strony, za nim szedł Sawicki. Przepustka, którą machał, nic im nie da, ale postanowił ją wykorzystać, by zając czymś dowódce patrolu. Był już metr od nich. Owczarek ujadł niczym Cerber, tocząc pianę z pyska, a napięcie potęgowało się wraz ze zmniejszającym się dystansem pomiędzy nimi. Reder specjalnie przeszedł przed strażnikiem z psem, by podać dowódcy dokumenty. Jeszcze krok i stanął przed Niemcem, jednocześnie podając mu papiery. Zrobił to tak, że na ułamek sekundy zasłonił idącego za nim Sawickiego. Dowódca skupił się na przepustkach, odbierając je od porucznika, a drugi Niemiec wychylił się w prawo, żeby spojrzeć na Sawickiego, jakby wyczuwając podstęp. Było już jednak za późno. Sawicki, korzystając z chwilowej osłony, błyskawicznie podniósł broń do ramienia, wycelował i w momencie, gdy Niemiec wychylił się zza Redera, strzelił dwa razy. Rozległ się trzask zamka karabinu i cichy świst kul wychodzących przez tłumik. Pierwsza trafiła Niemca w bark. Druga weszła nad okiem, roztrzaskując czaszkę i zalewając resztę twarzy krwią. Trafiony padł jak rażony piorunem, wypuszczając z ręki smycz, a pies niechybnie skoczyłby do gardła porucznikowi, gdyby nie trafiła go następna szybka seria Sawickiego. Zaskowyczał i padł na ziemię w kałuży krwi. Gdy rozległ się świst strzałów, Reder błyskawicznie przyskoczył do dowódcy patrolu, podbijając mu broń do góry. Jednocześnie drugą ręką dobył noża, który szybkim ruchem wbił Niemcowi w krtań. Ten, zaskoczony niespodziewanym atakiem, zdążył tylko złapać dłoń Redera z nożem wbitym w swoją szyję i charcząc głośno, rozpaczliwie próbował odciągnąć rękę napastnika. Jednak bez skutku. Topiąc się we własnej krwi, dławiąc i dusząc, zdążył jeszcze spojrzeć zrozpaczonego wzrokiem w oczy Redera, jakby błagając o pomoc, po czym upadł. Przez chwilę jego ciałem targały konwulsje, po czym znieruchomiał. Nastąpiła cisza.

– Kurwa, skąd oni się tu nagle wzięli?! – wyszczał zdenerwowany Sawicki. – Ja pierdole, za stary jestem na takie rzeczy – dorzucił, nie mogąc ochłonąć.

– Ty za stary! Każdy by chciał mieć taki refleks – odrzekł Reder, któremu tętno po tym incydencie nie podskoczyło bardziej niż po grubszym rozdaniu w pokera. Wyjął nóż z szyi Niemca, wytarł o jego kurtkę i schował za pasem.

– Wiedziałeś, że strzeleż? – zapytał Sawicki, żyjąc jeszcze wydarzeniem sprzed chwili.

– Wiedziałem, nie marudź. Weź się w garść. Musimy ukryć ciała, nie mogą tu zostać – powiedział porucznik, podchodząc do Niemca z dziurą w szyi. – Weź go za nogi – dodał, łapiąc nieboszczyka za ręce.

Zaciągnęli zwłoki do zagajnika i przykryli gałęziami, potem wrócili po drugiego Niemca. Zaczęli powtarzać czynność, gdy usłyszeli głos Kuby Pieniążka:

– Co z psem?

Wtedy zdali sobie sprawę, że Pieniążek stoi jak wryty od momentu zabicia strażników. Z reguły widział walkę przez lunetę snajperki, nie był przyzwyczajony do oglądania takiej jatki z bliska. Mierzący do niego strażnicy, szybka reakcja kolegów, krew i strzępki mózgu na trawie – wszystko to trochę go oszołomiło.

– Jak to co? Też w krzaki. Weź go za łapy i ciągnij za nami – wydał polecenie porucznik.

Pieniążek podszedł do zwierzęcia.

– Szkoda go, ładny pies.

– Szkoda?! – zdziwił się Reder. – To bydlę prawie odgryzło mi rękę, gdy przy nim stałem – dodał, sapiąc.

Pieniążek uznał, że lepiej nie kontynuować tematu. Zaciągnął owczarka do zagajnika. Zamaskowali zdjęty patrol gałęziami i ruszyli dalej.

Czterysta metrów lasu przebyli szybko i bez problemów. Dotarli do skraju zagajnika i linii drzew, za którymi była wkopana w ziemię druciana siatka. Idący z przodu porucznik przystanął, podnosząc rękę i dając w ten sposób Sawickiemu oraz Pieniążkowi znak, by się zatrzymali. Położył się na ziemi i podczołgał do ogrodzenia w miejscu, gdzie rosły wysokie krzaki tworzące naturalną osłonę. Wyciągnął lornetkę, przyłożył do oczu i obserwował znajdujący się przed nim teren. Za siatką wzgórze łagodnie opadało. Jakies sześćset metrów dalej biegła wąska, udeptana ścieżka. Ciągnęła się na lewo od pagórka, który wcześniej zasłaniały drzewa, prowadziła pod górkę i zniknęła za drzewami po prawej stronie. Reder wyjął mapę i zaczął sprawdzać pozycję. Byli dokładnie tam, gdzie powinni. Daleko przed nimi rozpościerał się otwarty teren z trzystumetrowym odcinkiem odsłoniętej ścieżki, na której niedługo miał się pojawiać cel ich misji. Podniósł rękę jeszcze raz, przywołując do siebie Pieniążka, i dał znak Sawickiemu, że ma przygotować radiostację i obstarwić tyły.

Pieniążek po cichu podczołgał się do porucznika, znikając pod osłoną gęstych zarośli.

– Jesteśmy na miejscu zgodnie z planem – powiedział cicho Reder. – Reszta należy do ciebie – dodał.

Kuba wiedział, co ma robić. Sięgnął do plecaka, który leżał za porucznikiem, i wyjął saperkę oraz maskującą siatkę na twarz. Podczołgał się pół metra do przodu i wykopał mały dołek pod pierś, przygotowując w ten sposób stanowisko strzeleckie. Założył siatkę maskującą i ułożył się wygodnie na przygotowanym miejscu. Poglądził swojego mausera Kar98, skorygował celowniki teleskopowe z czterokrotnym powiększeniem. Następnie załadował specjalną wyselekcjonowaną amunicję Patronne schwers Spitz-geschoss – nabój z ciężkim pociskiem ostrołukowym z rdzeniem stalowym. Dał ręką znać porucznikowi, że jest gotowy i żeby ten się wycofał za linię drzew. Następnie przycisnął kolbę mausera do ramienia i położył palec na spuście, po czym zastygł w bezruchu niczym wąż czekający na ofiarę. Potrafił tak leżeć godzinami, nie zdradzając swojej pozycji. Ten małowówny chłopak miał instynkt przetrwania, który w połączeniu z inteligencją i wytrwałością pozwolił mu przeżyć dłużej niż innym strzelcom. Wiedział, że błąd lub chwila nieuwagi mogą go zgubić. We Włoszech poznał dwóch amerykańskich snajperów, równie dobrych jak on albo nawet lepszych. Chwalili się liczbą trafień i przy piwie opowiadali, gdzie i ilu fryców danego dnia zabili. Zakładając się przy tym, kto nazajutrz będzie lepszy. Byli młodzi, butni i pewni siebie. Ta pewność ich zabiła. Kilka dni później ich ciała znaleziono ze snajperkami wsadzonymi w odbyt aż po lunetę. Tak Niemcy mścili się na snajperach. Wiedział, że musi być od nich mądrzejszy i sprytniejszy. Nigdy nie używał tego samego stanowiska dwa razy z rzędu. Miał kilka przygotowanych i często je zmieniał. Nie współpracował z obserwatorem, ufał tylko sobie. Miał nieprawdopodobną zdolność oceniania odległości do celu, dzięki czemu idealnie obliczał trajektorię strzału i pocisk zawsze spadał tam, gdzie powinien. Prawie nigdy nie chybiał, więc nie zdradzał swojej pozycji przy powtórnych strzale. Teraz też cierpliwie czekał, aż cel wyłoni się zza wzgórza. Mijały minuty, ale nic się nie działo. Po ścieżce przed nim hulał tylko alpejski wiatr. Poruszał drzewami tak rytmicznie, że działał na zmęczonego marszem strzelca niczym kołysanka. Gdyby nie to, że komary ciężko niemiłośniernie, bałby się, że zasnąć. Trwał w bezruchu, stanowiąc niemal jedność ze swoim zdobyczym mausem. Zdobył go we Włoszech, po bitwie zabrał go zabitemu niemieckiemu snajperowi. Wcześniej używał mosina, ale mauser Kar98 z czterokrotnymi celownikami teleskopowymi dużo bardziej mu odpowiadał. Miał mocny, twardy i ostry odrzut, ale do tego przywykł. Jego ramię z czasem nauczyło się przyjmować energię strzału. Z mausera bił rekordy odległości. Miał nadzieję, że dzięki tej broni doczeka końca wojny. Czasami myślał o mauserze jak o kolekdze. Kiedy godzinami leżał sam w ukryciu, żeby nie zwariować i nie zasnąć, mówił do niego w myślach jak do kompana. Teraz też myślał o różnych dziwnych rzeczach, takich bez sensu również. O czymkolwiek, byle nie zasnąć. Stawały mu przed oczami obrazy, które utkwiły mu w pamięci. Ojciec zabierający go na pierwsze polowanie. Potem na peronie, gdy żegnał go przed jego wyjazdem na front w 1939 roku. Pierwsza bitwa, pierwszy kolega z oddziału, który zginął obok niego w okopie. Pierwszy zabity Niemiec. Teraz, gdy strzela i zabija, właściwie już nic nie czuje. Nie odczuwa radości czy ekscytacji z trafienia. Nie ma też żadnych wyrzutów sumienia, że właśnie zabił czyjegoś syna, brata, może ojca małych dzieci. Robił to machinalnie, bezrefleksyjnie, bezuczuciowo. Starał się przypomnieć sobie, jak było kiedyś, na początku. Niewiele z tego zostało w pamięci. Tyle dni, tygodni, miesięcy od wybuchu wojny i pierwszej krwi. Pamiętał tylko kołatanie serca, trzęsące się ręce i ten ogromny strach, czy śmierć nie zbliża się właśnie po niego. Teraz już było mu to obce. Nie czuł nic – strachu czy euforii po zwycięstwie. Kiedy tak leżał, byli tylko on, mauser i wróg, którego musiał zlikwidować, zanim tamten zabije jego.

Nagle zza pagórka wyłoniła się postać. Był to wysoki mężczyzna w wojskowych spodniach, oficerkach i grubym ciemnym golfie. Szedł ścieżką wolnym, lecz miarowym krokiem, co jakiś czas spoglądając do tyłu i rozglądając się na boki. Pieniążek poczuł wyrzut adrenaliny. To mógł być moment, na który czekali. Czy rzeczywiście tak jest, czy to tylko przypadkowy spacerowicz na porannej wycieczce? Czekał na rozwój wypadków. Mężczyzna przeszedł dobry kawałek ścieżką na wprost strzelca, kiedy jakieś siedemdziesiąt metrów za nim na wzgórzu pojawił się drugi człowiek. Był niższy, w długim płaszczu z wysoko postawionym kołnierzem i w wojskowej czapce. Szedł lekko zgarbiony, z rękami splecionymi z tyłu, patrząc cały czas przed siebie. Z tej odległości nie dało się dostrzec dobrze rysów twarzy, częściowo zasłoniętej kołnierzem płaszcza. Nie rozglądał się, nie zwracał uwagi na piękno przyrody. Obserwujący go przez lunetę Pieniążek wręcz czuł, że mężczyzna ten rozmyśla o czymś ważnym, coś go dręczący. Jego przygarbiona postać zdawała się dźwigać niewidoczny ciężar. Było w tej osobie coś

mrocznego, niewytłumaczalnego, co sprawiło, że Pieniążek poczuł dziwny dreszcz. Po chwili po lewej zza tego samego pagórka wyłonił się mężczyzna będący kopią pierwszego. Równie wysoki, w podobnym ubraniu, idący takim samym równym, miarowym, charakterystycznym krokiem. Nie miał broni długiej, ale zapewne miał kaburę z bronią przy pasie. Tak jak ten z przodu.

Teraz strzelec był już pewien, że mężczyzna w środku jest celem, a dwóch pozostałych to ochroniarze. Wszystko było tak jak w danych wywiadu, które otrzymali do tej misji. Ćwiczyli dokładnie tę sytuację przez cały tydzień przed wylotem. Wszystko się zgadzało: czas, topografia terenu, zardzewiała siatka przed nim i ścieżka, na której miał pojawić się cel w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Cel był już na wprost niego, w idealnym miejscu do oddania strzału. Jeżeli się zawaha, za chwilę mężczyzna zniknie za drzewami po prawej. „To musi być on”, pomyślał i postanowił oddać strzał. Spojrzał na wierzchołki drzew, oceniając kierunek i siłę wiatru. Skorygował urządzenie na snajperce. Docisnął kolbę do ramienia, przesunął lekko palcem po spuście, jakby chciał go wyczuć. Potem wstrzymał oddech, wziął pierś mężczyzny w celownik. Delikatnie nacisnął spust. Lufę poderwało nieco do góry, padł strzał. Pocisk z impetem i hukiem opuścił lufę i po sekundzie trafił w cel. Wszedł w pierś mężczyzny, przebijając płuco i rozrywając lewą komorę serca. Roztrzaskawszy żebra, wyszedł z drugiej strony, powodując bryzgnięcie krwi na twarz i jednocześnie kładąc krwawy cień za nim. Mężczyzna zatrzymał się i zachwiał, po czym upadł na kolana. Strzelec nie czekał, machinalnie przeładował broń, przymierzył powoli w statyczny już cel. Wystrzelił jeszcze raz, tym razem mierząc w głowę. Ponownie poczuł kopnięcie mausera i podrzut lufy. Rozległ się strzał, a po chwili głowa mężczyzny wręcz eksplodowała. Pocisk trafił w skroń, rozrywając czaszkę, z której część poleciała w trawę, a część, z kawałkami mózgu i okiem, zawisła na resztkach skóry i tętnic. Mężczyzna z tryskającą na wszystkie strony fontanną krwi z czegoś, co chwilę wcześniej było jego głową, przewrócił się bezwładnie na lewy bok. Jego ciałem targały konwulsje. Po chwili wierzgnął jeszcze dwa razy nogą w nienaturalny sposób i zastygł w bezruchu. Strzelec wykonał zadanie, lecz nie zakończył akcji. Postanowił zlikwidować jeszcze ochroniarzy.

Gdy padły strzały, ochroniarz bez wahania rzucił się biegiem do trafionego mężczyzny. Pieniążek z bezwzględnością i dokładnością maszyny powtórzył czynności. Przeładował, przymierzył, wstrzymał oddech i strzelił. Biegący ochroniarz, trafiony w szyję, wyrzucił nogi do przodu i padł na ścieżce jakieś pięć metrów od swojego szefa. Strzelec szybko skierował lunetę w lewo, chcąc dokończyć dzieła klasycznym hattrickiem. Ale drugi z ochroniarzy, widząc, jak pierwsze dwa pociski roztrzaskują mężczyznę będącego celem, rzucił się do ucieczki i zniknął za pagórkem. Pieniążek powędrował celownikiem z powrotem na pierwszego zabitego mężczyznę, jakby upewniając się, czy we flakach i kałużach krwi pośrodku zielonej równiny nie tli się jeszcze życie. Nastąpił bezruch i cisza. Z lufy mausera unosiła się smużka dymu. Te kilka sekund napięcia zmęczyło strzelca. Wyrównał oddech, chciał chwilę odpocząć.

Obok niego znalazł się porucznik. Oparty na łokciach patrzył przez lornetkę na ofiary leżące na ścieżce.

– To cel. Na pewno nie żyje? – zapytał.

– Ten kisiel na trawie to jego mózg, więc raczej nie żyje – odparł Pieniążek.

– Muszę mieć pewność, zanim to nadam – z powagą w głosie upewniał się porucznik. – Nie ma miejsca na „raczej”.

– Na pewno – potwierdził Pieniążek. – Tylko drugi ochroniarz uciekł – dodał.

Reder milczał przez moment, jakby napawając się chwilą. Odwrócił głowę do Pieniążka.

– Dobra robota. Właśnie zabiłeś Adolfa Hitlera. Spadajmy stąd – rzucił, zbijając się do lasu.

Pieniążek lekko zeszytywniał, słysząc słowa porucznika. Domyślał się, że cel misji to ktoś ważny. Ktoś z elity lub któryś z feldmarszałków czy generałów, ale Hitler? Pierwszą myślą było, że porucznik żartuje, lecz jego poważny ton i okoliczności zdawały się to potwierdzać. Naprawdę zabił Hitlera. Co teraz? Jednym strzałem zakończył wojnę? Będzie się chwalił kolegom? To naprawdę możliwe?

Z natoku myśli wyrwał go głos porucznika:

– Kuba, zbieraj się, zaraz będzie tu gorąco.

Pieniążek otrzeźwiał, poczołgał się do drzew i wstał. Przy pierwszym z brzegu drzewie stał Reder i pośpiesznie wbijał coś w pień, za którym wcześniej snajper leżał i oddawał strzały.

– To prawda, co pan powiedział? – spytał.

– Tak. Możesz być z siebie dumny.

– Co pan robi?

– Zostawiam coś na pamiątkę. Zobacz – powiedział porucznik, odchodząc od drzewa.

Pieniążek podszedł i zobaczył na korze orzełka ze starego munduru porucznika, który przebył z nim daleką drogę: od kampanii wrześniowej aż do miejsca, w którym wyrównali rachunki z Hitlerem.

Nagle w oddali z rezydencji Berghof usłyszeli odgłos syren alarmowych.

– Już wiedzą. Zaczęło się, chodźmy – rzucił porucznik i razem z Pieniążkiem udali się w głąb zagajnika, gdzie czekał na nich Sawicki z radiostacją.

Po chwili byli przy radiooperatorze. Od kiedy usłyszał wystrzały, był gotowy. Włączył radiostację i upewnił się, że wszystko jest sprawne. Nastawił umówioną częstotliwość i czekał. Wkrótce zobaczył wśród drzew zbliżające się znajome sylwetki.

– Nadaj „potwierdzam wykonanie operacji «Abaddon»” – polecił porucznik, stając obok.

## Król Olch

Wzgórze numer dwa było oddalone od wzgórza numer jeden o około dwa kilometry. Podchorąży Konarski z resztą oddziału dotarli tu bez przeszkód. Teraz stali ukryci za drzewami, obserwując patrol policji RSD. Trzech Niemców stało na szczycie wzgórza, żywiłowo rozmawiając. Dowódca patrolu, nordyk o smukłej budowie ciała, wydłużonej głowie i pociągłej twarzy, tubalnym głosem opowiadał o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Jego czerwony nos nie był skutkiem mrozu, bo jak na tę porę roku w Alpach było dość ciepło. Zdradzał zamiłowanie właściciela do mocnych trunków. Pechowo dla ukrytych nieopodal Konarskiego i pozostałych spadochroniarzy trójka Niemców uczestniczyła wczoraj w całonocnej libacji, której przebieg wspominali, a w zasadzie próbowali odtworzyć. Powinni teraz kontynuować patrol, przeczesując lasy i pobliskie sektory. Zamiast tego usiedli na zwalonym drzewie i leczyli kaca, popijając wodę z manierek. Nordyk gawędziarz ciągnął swoją opowieść, a jego kompani raz po raz wybuchali gromkim śmiechem. Działo to na nerwy przypatrującemu się z oddali Konarskiemu. W dodatku nie zanosilo się na to, by leniwy patrol miał się stąd prędko ruszyć. Konarski postanowił zlikwidować przeszkodę, bo czas naglił. Musieli zająć wyznaczoną pozycję zgodnie z planem, zanim porucznik rozpocznie akcję. Ponadto istniało niebezpieczeństwo, że Niemcy mogą w końcu udać się w stronę wzgórza numer jeden i pokrzyżować plany porucznika. Cofnął się ostrożnie do oddziału i po cichu wydał rozkazy:

– Wychodzimy we trzech. Ja biorę dowódcę. Janek, likwidujesz tego z lewej, a ty, Mikołaj, zdejmujesz tego z prawej. Andrzej z Mamutem zostajecie z tyłu za drzewami i ubezpieczacie nas na wypadek, jakby inny patrol wyszedł z lasu.

Wstali i zgodnie z planem wyszli zza drzew prosto na Niemców. Zostało im do nich jakieś piętnaście metrów, gdy Konarski otworzył ogień do dowódcy, który nawet nie zdążył zareagować. Szeroko rozwarł zdziwione oczy, a jego podłużna twarz wydłużyła się jeszcze bardziej. Wyciągnął rękę po broń, kiedy dostał serię. Zachwiał się, a jego mundur zabarwił się na czerwono. Padł na twarz. Dwóch pozostałych Niemców zalał grad pocisków z broni Paskzowskiego i młodszego z braci. Świst kul, jęki Niemców, brzęk zamków MP 40 wyposażonych w tłumiki – i w kilka sekund cała trójka leżała martwa na ziemi. Polscy żołnierze podeszli do zabitych i przetrząsnęli im kieszenie, szukając dokumentów, które mogą się przydać. Zabrali papierosy, a Mamut znalazł nawet czekoladę, którą od razu zjadł. Zaciągnęli trupy w krzaki, zamaskowali, po czym udali się dalej.

Doszli do stoku wzgórza, skąd rozciągał się widok na zachodni skraj grzbietu Kehlsteinu. Stał tam budynek przypominający schronisko lub luksusową willę. Prowadziła do niego wąska, kręta ścieżka, a tysiąc metrów poniżej asfaltowa droga kończyła się na podziemnym parkingu. Stamtąd do wnętrza obiektu wrzędzało się windą. Konarski, podobnie jak porucznik, znał cel misji. Wiedział, że przybyli tu zabić Hitlera. Teraz znajdowali się na wzgórzu numer dwa, skąd widział herbaciarnię na Kehlsteinie. Według wywiadu co dzień rano spacerem przychodził do niej Hitler. Również dzisiaj miał przybyć ścieżką biegnącą zboczem wzgórza numer jeden, gdzie zamachu mieli dokonać porucznik z Pieniążkiem. Konarski z oddziałem byli planem B. Gdyby atak na wzgórzu numer jeden się nie powiódł i Hitler dotarłby do herbaciarni, mieli zaatakować budynek. Najpierw ostrzelać z panzerfausta, a potem wyeliminować straż i dostać się do środka.

Wizja szturmowej herbaciarni nie napawała optymizmem. Już stąd dostrzegł kilku strażników w czarnych mundurach SS-Wachbataillon, elitarnej gwardii przybocznej Führera. W budynku musiało być ich jeszcze co najmniej kilkunastu. Do tego krzątający się personel cywilny, którego część zapewne stanowili tajniacy. Leżał ukryty, obserwując budynek i teren wokół, próbując znaleźć słaby punkt. Jego uwagę przykuł starszy jęmość z sekatorem w ręku, leniwie spacerujący pod żywnościem. Czasem skubnął przeczki tutaj, czasem tam, powoli przemieszczając się po Adlerhorst, Orlim Gnieździe Hitlera. Po chwili człowieczek odłożył sekator, nabrał wody do dużej zardzewiałej konewki i zaczął podlewać kwiaty rosnące wokół pięknego tarasu. Konarski pomyślał, że to najlepsza fucha pod słońcem. Gość wstaje rano, wypija kawę, a potem jego jedynym obowiązkiem jest podlanie kwiatków w pięknych oko-

licznościach przyrody. Ma gdzieś krwawą jatkę rozgrywającą się kilkaset kilometrów dalej. Jego to nie dotyczy. Jakże mu zazdrości!

Z rozmyślań wyrwał go głos Paszkowskiego:

– A jak im się nie uda?

– Uda się, dlaczego ma się nie udać? Wałkowaliśmy to przez tydzień. Dane wywiadu na razie się zgadzały. Wszystko do tej pory idzie zgodnie z planem, a Pieniążek rzadko chybia – odpowiedział.

– Jakby to było takie proste, to już wcześniej ktoś by spróbował. Nawet nie wiemy, na kogo polujemy. A poza tym skąd wywiad zdobył tak dokładne mapy terenu, dane o celu i takie tam? Może to jakaś ściema i pułapka? – drażył Paszkowski.

Podobno ludzie dzielą się na tych, dla których szklanka jest do połowy pełna, i na takich, dla których ta sama szklanka jest do połowy pusta. Dla Paszkowskiego szklanka była zawsze rozbita. Większego czarnowidza świat nie widział. Nikt nie chciał z nim pić, bo po kilku głębszych zawsze wpędział wszystkich w depresję. Chyba że stawał, wtedy koledy chętnie z nim pili, tyle że na smutno.

– Tak, kurwa, zastawili pułapkę w środku Alp, żeby złapać w nią twoją cenną dupę – zirytował się Konarski, który sam już nerwowo zerkał na zegarek, oczekując sygnału od porucznika. Zrządzenie Jana nie pomagało, tylko potęgowało jego własny niepokój. – Nie przyszło ci do głowy, że nikt wcześniej nie miał danych tej twierdzy? Najwidoczniej fryce mają tu kreta, który wie, co się święci, i ratuje tyłek, przechodząc do zwycięskiej drużyny – kontynuował już spokojniej.

– Obyś miał rację. Tylko że już dziesiąta i nic. Wymyśl lepiej, jak po cichu podejść te strażę, bo inaczej przykrną nas ogniem z wyższych pięter i będzie niewesoło. Tak na wypadek, gdybyśmy jednak zobaczyli raketę – smutnym głosem powiedział Paszkowski.

Czerwona rakietka miała oznaczać fiasko akcji na wzgórzu numer jeden. Gdyby cel z jakichś względów nie został zlikwidowany, dotarłby do herbaciarni obserwowanej przez Konarskiego. Porucznik Reder miał wtedy dać raketnicą sygnał do szturmowania budynku.

Konarski obserwował herbaciarnię, jednocześnie spoglądając w kierunku wzgórz numer jeden. Dlaczego nadal nic się nie dzieje? W końcu jakiś patrol znajdzie ich albo trupy trzech Niemców i element zaskoczenia weźmie w łeb. Pomyślał, że gdyby Paszkowski wiedział, na kogo polują, to pewnie z nerwów dostałby sraczkę. W duchu przyznał Pawłowi rację, że lepiej było nie mówić reszcie, z jakiego powodu są właśnie tutaj.

Nagle jego rozmyślenia przerwał huk wystrzału odbijający się echem po górach. Następnie usłyszał drugi strzał i trzeci. Spojrzał w stronę, z której dobiegał dźwięk. Patrzył dłużej, minęło kilka chwil, a rakiety nadal nie było widać. W oddali rozległ się ryk alarmu z rezydencji Berghof, a po chwili przeźrawliwe wycie syren dało się słyszeć w herbaciarni.

„Udało im się, naprawdę im się udało!” – zdążył pomyśleć. Usłyszał Paszkowskiego:

– Dzięki Bogu nie musimy atakować tego gniazda żmij. To co teraz? – W jego głosie słychać było ulgę.

– Zmywamy się po cichu i idziemy do wartowni – odpowiedział mu Konarski, cofając się do ukrytych w lesie braci Świderskich i Kudery.

Po chwili byli już razem. Była też krótka radość z wykonanego zadania. Mikołaj wypowiedział coś w rodzaju modlitwy dziękczynnej za talent snajperski Kuby Pieniążka, który uchronił ich od szturmowania batalion SS w herbaciarni. Szybko ruszyli do wartowni w dole zbocza, gdzie mieli się spotkać z porucznikiem Rederem, Pieniążkiem i Sawickim. Plan dalszych działań w założeniach był prosty. Musieli zaatakować oraz zdobyć główną wartownię strzegącą północnej drogi. Zatrzymać pościg, który wyruszył z rezydencji za zamachowcami, do przybycia porucznika. Zdobyć ciężarówką uciec w stronę Salzburga, gdzie na starym, opuszczonym lotnisku polowym miał wylądować kapitan Wilson i zabrać ich do Francji. Plan ten był niestety trudny do zrealizowania. O ile przy herbaciarni obyło się bez walki, to przy wartowni starcie z żandarmerią będzie już konieczne. Najbardziej jednak bali się tego, co nadejdzie z Berghofu. Żołnierze Ehre Kompanie/IV. SS-Wachbataillon LSSAH to prawdziwa elita. Świetnie uzbrojeni, z przewagą liczebną ruszą za nimi. Będą chcieli zamknąć zewnętrzny pierścień ochrony. Jeżeli pierwsi przejadą obok wartowni, zablokują drogi wyjazdowe i nawet mysz się nie prześlizgnie przez ten kordon. W takiej sytuacji oddział polskich komandosów znalazłby się w pułapce, pomiędzy batalionem SS a policją RSD z wartowni. Z tego potrzasku już by się nie wydostali. Ale nawet dotarcie na opuszczone lotnisko pod Salzburgiem nie gwarantowało bezpiecznego powrotu. Gdy Sawicki powiedział dowództwu przez radio o wykonaniu misji, kapitana Wilsona wysłano w lot po grupę śmiałków

w umówione miejsce. Nie było jednak pewne, czy lecący w biały dzień lancaster nie zostanie dostrzeżony i zestrzelony przez przelatującego akurat w pobliżu messerschmitta.

Konarski parł szybko naprzód, poganiając pozostałych. Chciał jak najszybciej dotrzeć do wartowni. W końcu zza drzew, trochę poniżej nich, zamajaczyły kształty budynków. Dał znać reszcie, żeby zwolnili. Wyciągnął lornetkę i ostrożnie podczołgał się do ostatnich drzew na zboczu. Jakiś osiemdziesiąt metrów dalej biegła droga przecięta szlabanem, przy którym znajdowały się dwie budki strażników. Około dwudziestu metrów dalej znajdowały się drewniane minikoszary i magazyn na broń. Naprzeciwko koszar stały dwa motocykle BMW-R12 z bocznym wózkiem i dwie ciężarówki Opel Blitz. Konarski, znajdując się trochę powyżej wartowni, miał świetny widok na cały teren. Ucieszył się ciężarówce. Teraz zajął się przeglądem wroga. Dwaj strażnicy przy szlabanie trzymali MP 40, nerwowo rozglądając się wokoło. Kilku innych w pośpiechu przemieszczało się pomiędzy koszarami a zbrojownią. Wartownia miała połączenie telefoniczne z rezydencją, więc już na pewno wiedzieli, co się stało. Zresztą syreny wyjące na Kehlsteinie było słychać aż tutaj, czyli było jasne, że o akcji z zaskoczenia mogą zapomnieć. Reszta oddziału zbliżyła się do Konarskiego.

– Dwóch strażników przy szlabanie. Czterech czy pięciu przed zbrojownią i najprawdopodobniej kilku w budynku. Działamy od razu, żeby zdążyć przed przejazdem kolumny SS – zarządził Konarski.

– Wpierw zdejmujemy straż przy szlabanie? – zapytał Paszkowski.

– Nie. Najpierw Mamut wali z rury w koszary. To powinno załatwić Szwabów w środku i oszołomić tych przy szlabanie. Wtedy ja z sierżantem i Mikołajem zdejmujemy tę dwójkę i przebiegamy na drugą stronę. Zajmujemy pozycję naprzeciw zbrojowni. Andrzej z Mamutem zostają i z góry strzelają do tych, którzy wyjdą z budynku – szybko nakreślił zadania Konarski. – Na pozycje.

Sprawnie rozciągnęli szyk wzdłuż linii drzew. Kudera zaczął przygotowywać granatnik do strzału. Wyjął pocisk z rury. Zamontował spłonkę i wyjął zawleczkę. Podniósł dźwignię celownika i odbezpieczył. Wycelował w budynek i nacisnął spust. Szarpnęło jego ramieniem, pocisk opuścił wyrzutnię i w ulamku sekundy uderzył w koszary. Rozległ się huk i ściany z drewna się rozpadły, strzelając tysiącami drzazg i wiórów, a za chwilę zmieniły się w chmurę pyłu. Jednocześnie Konarski, Paszkowski i Mikołaj Świdorski wyskoczyli zza drzew, dziurawiąc seriami ze swoich MP 40 wartowników przy szlabanie. Ogluszeni i zdezorientowani wybuchem, nie zdążyli nawet wystrzelić, gdy padli martwi na ziemię. Kudera zostawił bezużyteczną już wyrzutnię, złapał karabin i razem z Andrzejem pruli ogniem w to, co zostało po koszarach. Dokładnie w tuman pyłu, który unosił się w miejscu wybuchu, gdyż nic innego nie dało się dostrzec. Konarski dobiegł do ułożonych przed koszarami worków z piaskiem, które miały służyć wartownikom jako osłona w razie ataku z zewnątrz. Teraz posłużyły jemu i biegnącemu za nim Paszkowskiemu. Schowani za nimi otworzyli ogień do piątki żandarmów znajdujących się przy zbrojowni. Trafili jednego, a reszcie udało się dobiec do budynku i stamtąd odpowiedzieli ogniem.

Mikołaj przebiegł schylony za Konarskim i Paszkowskim i dotarł do ciężarówki zaparkowanej pięć metrów dalej. Oparł się plecami o szoferkę i chwycił granat przyczepiony do pasa. Wyciągnął zawleczkę, wychylił się lekko za maskę i z całej siły rzucił w kierunku zbrojowni. Bum! Granat wybuchł przy ścianie, raniąc Niemca strzelającego przez okno i zwalając stertę desek z dachu. Tymczasem pył z koszar opadł i ukazał ocalałe tylną i boczną ścianę budynku wraz z kawałkiem dachu, który o dziwo cały się nie zawałił. W środku za stertą gruzu, połamanych desek, mebli i kilku trupów dwóch żandarmów zaczęło ostrzeliwać się na osłep. Próbowali się porozumiewać, ale chwilowo ogłuchli od wybuchu i słychać było, jak między seriami puszczanymi w każdym możliwym kierunku pokrzykują na siebie nerwowo. Rozpoczęła się regularna strzelanina pomiędzy Konarskim i Paszkowskim schowanymi za workami, Mikołajem Świdorskim strzelającym zza ciężarówki a Niemcami w zbrojowni i w gruzowisku koszar. Dodatkowo Kudera i Andrzej Świdorski walili z góry w koszary, zasypując Niemców gradem pocisków, tak że ci nie mogli wystawić nawet czubka głowy. Niemcy w zbrojowni nie próżnowali. Otworzyli drzwi, w których za ścianą ognisty rozbrzydł Konarski zdążył dostrzec ustawiony MG 42. Zaraz potem usłyszeli dźwięk przypominający jazgot piły tarczowej, a śmiercionośne serie z karabinu zaczęły łamać i ścinać drzewa za nim. Ten ciężki karabin maszynowy nie bez przyczyny nazywany był przez żołnierzy „piłą Hitlera”: podczas strzelania serią, ze względu na szybkostrzelność, odgłos wystrzeliwanych pocisków zlewał się w jeden dźwięk przypominający piłę tarczową. Maschinengewehr 42 przetestowany przez grenadierów pancernych z Afriki Korps siał później zniszczenie i śmierć na wszystkich frontach. Teraz przeważał szalę zwycięstwa na stronę Niemców. Przygwoźdzeni ogniem Polacy nie mogli nic zrobić. Nagle jeden z pocisków przebił worki z piaskiem

i trafił Paszkowskiego w lewe ramię, przechodząc ze świstem i łamiąc drzewo za nim. Ręka spłynęła krwią. Konarski spojrzął na Jana z trwogą w oczach. Paszkowski oderwał postrzępiony pociskiem rękaw, odsłaniając ranę, z której sikała krew. Zobaczył, że na szczęście pocisk tylko drasnął ramię, nie uszkadzając tętnic i mięśni.

– Będę żył! – krzyknął do Konarskiego, po czym złapał granat i nie podnosząc się, cisnął w koszary. – Macie, skurwysyny! – zaklął głośno. Przewiązał ramię oddartym rękawem. Wystawił rękę z karabinem nad worki i posłał trzy krótkie serie w stronę zbrojowni. – Wymyśl coś, bo jesteśmy w czarnej dupie – rzucił do Konarskiego zaraz po tym, jak kolejny pocisk przebił ich osłonę i przeszedł centymetry od jego głowy.

Konarski spojrzął na pagórek za drogą, skąd strzelali Mamut i Andrzej. Było jednak widać ognie z lufy tylko jednego karabinu. „Czemu nie strzelają obaj?”, pomyślał. Wyjął lusterko, wystawił je nad worki i zaczął oceniać sytuację przed nimi. W pewnej chwili dostrzegł schyloną postać przebiegającą przez drogę na tyły koszar. Rozpoznał sylwetkę Andrzeja, który niepostrzeżenie podbiegł do ściany budynku i szybkim ruchem wrzucił dwa granaty przez okno. Wybuchy jeden po drugim wyrzuciły w powietrze obydwo strzelających Niemców wraz z kupą desek i kawałkiem stołu, za którym się kryli. Gdy ciała bezwładnie upadły na ziemię, na wszystko zawałił się dach, grzebiąc pod sobą trupy.

Widząc śmiałą akcję brata, Mikołaj postanowił mu pomóc. Rzucił granat przed zbrojownię. Wybuch wyrwał dziurę w ziemi, miotając odłamkami na wszystkie strony i uciszając kaem na kilka sekund. Chłopak zerwał się szybko i wyskoczył zza ciężarówki, po czym pobiegł co sił w nogach do drzew rosnących w pobliżu zbrojowni. Zdążył pokonać może parę metrów, gdy opadł kurz po wybuchu granatu i natychmiast ponownie rozległ się charakterystyczny jazgot karabinu. Strzelec MG 42, ogłuszony wybuchem, z opóźnieniem dostrzegł błyskawiczny manewr wroga próbującego oflankować ich pozycję. Od razu posłał serię pocisków za Mikołajem. Ten miał szczęście, pociski rozryły ziemię tuż za nim. Biegł jak opętany, słysząc odgłos podążającej za nim śmierci. Gdy dopadł do drzew, serce mało nie wyskoczyło mu z piersi. Usłyszał za sobą wybuch i odgłos dartej stali. Seria pocisków go nie dosięgnęła, za to uderzyła w jeden z motocykli stojących za ciężarówką. Trafiony w zbiornik pojazdu błyskawicznie stanął w płomieniach i eksplodował z taką siłą, że podskoczył niemal na metr w górę, a kawał urwanej blachy przeleciał dobre dziesięć metrów i wbił się w drzewo tuż obok głowy Mikołajaka. Cała akcja, od wybuchu granatu do eksplozji motocykla, trwała kilka sekund, jednak odniosła skutek i odwróciła uwagę Niemców od tego, co działo się za wartownią.

Andrzej wykorzystał bohaterski rajd brata i dobiegł do zbrojowni w momencie, gdy wybuchający BMW-R12 znalazł się z powrotem na ziemi. Stojący przy drzwiach żandarm odwrócił się w jego stronę, dostrzegając zagrożenie. Los Niemców był już jednak przesądzony. Andrzej otworzył ogień, trafiając pierwszego w głowę i z rozpędem wpadając do środka na zaskoczonych pozostałych. Nie przestając strzelać, puścił serię w strzelca kaemu i drugiego, trzymającego taśmę z pociskami. Pociski rozrywały ich klatki piersiowe, gdy Andrzej poczuł ukłucie i ból pod obojczykiem. Spojrzył w prawo i zobaczył Niemca z wycelowaną w niego dymiącą lufą karabinu. Instynktownie się pochylił i skoczył na wroga tuż pod lufą i drugim wylatującym pociskiem. Z impetem wpadł na niego, po czym obaj przewrócili się na podłogę usłaną łuskami z MG 42. Przeciwnik był większy od niego, ale Andrzej był szybszy. Prawą ręką ścisnął karabin i z całej siły uderzył kolbą Niemca w twarz. Ten zalał się krwią, lecz się nie poddał. Obrucąc złapał broń Andrzeja, broniąc się przed drugim ciosem. Żandarm, wysoki i masywny, był silniejszy. Ręce niczym wykute ze stali złapały broń i nie chciały puścić. Andrzej próbował wyrwać karabin, ale przeciwnik trzymał mocno broń i jego lewą rękę, powoli przejmując kontrolę nad walką. Po chwilowej próbie sił Niemiec potężnym kopnięciem zrzucił z siebie Andrzeja. Przeturlali się w śmiertelnym zwarciu, z dłońmi na karabinie. Niemiec przygniół Polaka prawym łokciem, blokując mu ruchy, a lewą ręką sięgał po nóż. Andrzej próbował odepchnąć go od siebie lub chociaż wyswobodzić rękę. Bezsukcesznie – karabin dociskał go do ziemi, nie pozwalając na żaden manewr. „To koniec”, pomyślał Andrzej, patrząc w wytrzeszczone oczy Niemca. Z jego zaciśniętych szczęk toczyła się pianą, a żyły na skroniach nabrzmiały, gdy tłamsił swoją ofiarę. Niemiec podniósł rękę z nożem, by zadać cios. Nagle jego głowa eksplodowała, a huk wystrzału wypełnił pomieszczenie. Twarz Andrzeja zalała krew napastnika, a śmiertelny uścisk ustąpił. Zrzucił z siebie niedoszłego zabójcę i usiadł zmęczony, ciężko łapiąc oddech. Przetarł rękawem zachlapaną krwią oczy. Spojrzył przed siebie i powiedział:

– Lepiej późno niż wcale.

– Daj spokój. Nic ci nie jest? – odpowiedział Mikołaj stojący w drzwiach zbrojowni.



Lufa jego broni jeszcze dymiała po wystrzeleniu pocisku, który rozłupał głowę Niemca. Ręce trzęsły mu się po wydarzeniach ostatnich chwil. Podszedł do Andrzeja, wyciągnął rękę i pomógł mu wstać. Ten wyglądał jak Kuba Rozpruwacz po nocnym wypadzie. Cały zachlapany krwią Niemca, trzymał się za lewe ramię, z którego przez dziurę w mundurze ciurkiem leciała krew. Mikołaj podparł brata i pomógł mu wyjść, bo ten po walce z żandarmem osiłkiem był tak wyczerpany, że ledwo mógł ustać na nogach.

Przed zbrojownią była już reszta ekipy z „bitwy o wartownię”. Wszyscy z niepokojem patrzyli, co się stało z Andrzejem, który swoim wypadem uratował im tyłki. Kiedy zobaczyli bliźniaków wychodzących z budynku, kamień spadł im z serca.

– Dobra robota – stwierdził Konarski, szeroko się uśmiechając.

– To pochwała? Nie wierzę, panie podchorąży! – odpowiedział Andrzej.

– Nie przyzwyczajaj się – rzucił Konarski i podszedłszy, uciskał bohatera ostatniej akcji.

Potem reszta złożyła mu wyrazy uznania, a Paszkowski zabrał się do opatrywania jego postrzelonego ramienia.

– Chcesz być chirurgiem, idź na wojnę, jak mawiał Hipokrates – powiedział, badając ranę. – Rodzice chcieli, żebym został chirurgiem. Szkoda, że tego nie widzą.

Na szczęście po szybkich oględzinach okazało się, że kula przeszła na wylot. Jan wyciągnął opatrunki, które mieli ze sobą. Oczyszczył ranę, zdezynfekował odkażającą zasypką i założył bandaż. Zrobił mu coś w rodzaju prowizorycznego temblaka. Zabieg zakończył optymistycznie:

– Zrobione. Do wesela się zagoi.

– Dzięki. Teraz zajmij się swoją ręką, bo też nieciekawie wygląda – powiedział Andrzej. – Pomóc ci?

– No taa... faktycznie z tego wszystkiego o tym zapomniałem. – Paszkowski spojrzał na swoje ramię rozorane pociskiem. – Dam sobie radę.

Usiadł i powtórzył czynności medyczne na sobie. Ponieważ jedną ręką szło mu to opornie, w końcu Andrzej wstał i pomógł mu zakończyć nierówny pojedynek z bandażami. Po udanym zabiegu, jak przystało na niedosłusznego chirurga, zapalił papierosa, częstując też Andrzeja. Ten jednak jak zawsze odmówił. W milczeniu przyglądali się krzątanie kolegów, którzy kierowani pokrzykiwaniami Konarskiego przygotowywali się do kolejnego etapu misji.

– Pozbierajcie amunicję od Niemców. Mamut, weź MG i ustaw przy drodze. Mikołaj, idź z nim do zbrojowni, weź amunicję do MG i zobacz, co jeszcze tam jest – komenderował Konarski.

Sam podszedł do plecaka i wyjął ładunek wybuchowy. Podbiegł do mostka łączącego drogę z budynkami strażników. Położył dynamit z boku drogi, a żyłkę przyczepioną do zawleczonej przeciągnął ostrożnie w poprzek, zaczepiając o rosnące tam drzewo. Wszystko zamaskował gałęziami choinek i wrócił do Kudery przygotowującego stanowisko kaemu.

– Janek, zobacz, czy opel odpali! – krzyknął do Paszkowskiego.

Paszkowski zgasił niedopałek, wstał i podszedł do ciężarówki. Drzwi szoferki były otwarte, więc szybko wskoczył za kierownicę. Wyjął nóż, pomajstrował pod nią i po chwili silnik zaczął pracować. Wrzucił wsteczny, wycofał, potem wrzucił jedynek i wyjechał na drogę, ustawiając wóz w stronę Salzburga. Wysiadł i podszedł do Konarskiego.

– Mam nadzieję, że porucznik dotrze tu przed esesmanami – powiedział.

– Jak ręka? – zapytał Konarski.

– Drobnostka. U Andrzeja kula przeszła na wylot, opatrzyłem i też powinno być okej – odpowiedział Jan.

Nagle wśród wszechogarniającej ciszy i szumu drzew w oddali dał się słyszeć słaby pomruk, który z czasem stawał się coraz głośniejszy. Wkrótce wyraźnie było słychać silniki pojazdów zbliżających się od strony rezydencji. Nie było wątpliwości, że psy gończe z Berghofu zostały spuszczone z łańcucha. Zmęczeni i wyczerpani wczesnoporannym marszem oraz walką z żandarmami Polacy musieli teraz stać czoło jeszcze trudniejszemu przeciwnikowi. Elitarnym jednostkom SS.

– Mikołaj, idź z Andrzejem na górę. Mamut z Jankiem do kaemu – szybko wydał dyspozycje Konarski, sam zajmując pozycję na gruzach wartowni.

W milczeniu czekali na to, co nieuchronie.

Odgłos silników narastał. Jeszcze chwila i zza zakrętu wyjechał konwój SS. Z przodu jechał Kübelwagen z kierowcą i oficerem, a kilka metrów dalej ciężarówka Opel Blitz z kilkunastoma żołnierzami. Kübelwagen wjechał na mostek, a gdy dojeżdżał do jego końca, rozległ się wybuch. Samochód wyrwał żyłkę rozciągniętą przez Konarskiego i dynamit eksplodował, rzucając przód wozu na barierkę

mostu. Kübelwagen stanął w płomieniach. Kierowca zginął od wybuchu, a ciężko ranny oficer, płonąc, wyskoczył z auta i po kilku metrach padł martwy na ziemię. Równocześnie z wybuchem Mikołaj wystrzelił do ciężarówki ze zdobycznego panzerfausta. Pocisk uderzył w szoferkę opla, podpalając też budę z tyłu. Kilku esesmanów zginęło, ale reszta zaczęła wyskakiwać. Dwóch zdjęł Andrzej serią z MP 40, około dziesięciu udało się jednak wydostać i zająć pozycje na moście i przed nim. Kudera rozpoczął ostrzał z kaemu. Rozbłyśki pocisków MG 42 przykryły ogniem zaporowym Niemców na moście, raniąc kilku. Esesmani szybko się przegrupowali i odpowiedzieli ogniem. Pociski gwizdały nad głowami Polaków. Jeden z Niemców cisnął granat w stronę stanowiska kaemu. Na szczęście spadł kilka metrów za daleko, wznecając tylko chmurę odłamków i dymu.

Konarski będący najbliżej wrogów wycelował i strzelił do esesmana ostrzeliwującego się zza szoferki opla. Pierwsze pociski poszły zbyt wysoko, wybijając dziury w blasze nad głową Niemca. Wycelował jeszcze raz. Wstrzymał oddech i pociągnął za spust. Tym razem pociski trafiły w cel. Głowa Niemca zalała się krwią i osunął się martwy na ziemię. Konarski podniósł się trochę, chcąc podejść bliżej, gdy usłyszał świst, poczuł ukłucie i ostry ból w nodze. Upadł i złapał się za tyłkę. Pomagał nogawkę – była poszarpana i przedziurawiona. Podciągnął ją i przyjrzał się nodze. Pocisk wyrwał kawał mięsa pod kolanem, leciała krew. Nie wyglądało to dobrze, ale nie było czasu o tym myśleć. Kilka serii z broni Niemców waliło obok niego, musiał się odczołgać do tyłu.

Tymczasem Kuderze i Paszkowskiemu skończyła się amunicja do kaemu. Rzucili w stronę mostu dwa granaty i wycofali się za worki z piaskiem. Szala przechyliła się na korzyść Niemców, którzy zaczęli przejmować inicjatywę. Widać było, że esesmani są doświadczeni w walce i świetnie wyszkoleni. Ponieśli duże straty, mimo to wykorzystali naturalne osłony i bynajmniej nie myśleli o kapitulacji. Trzech zsunęło się z mostka i poruszając się w zagłębieniu terenu, próbowało zająć wroga z boku od strony gruzów wartowni. Obszar ten miał na oku Konarski, ale po postrzale w nogę i silnym ostrzale Niemców musiał się wycofać i teraz nie widział zbliżających się przeciwników. Również strzelający z góry Świderscy nie mogli dostrzec trójki esesmanów, których zasłonił mostek i pojazdy na nim. Piątka Polaków, związana wymianą ognia z Niemcami na moście i za nim, nie była świadoma niebezpieczeństwa zakradającego się z dołu.

Pierwszy z esesmanów, schylony, dotarł do sterty desek będących do niedawna ścianą wartowni. Dwóch kompanów podążało za nim i wszyscy znajdowali się już kilka metrów od leżącego w pobojowisku Konarskiego. Esesman z twarzą czarną od prochu i ognia na moście niczym wąż bezszelестnie sunął wzdłuż chaosu zniszczeń. Nagle znieruchomiał i podniósł dłoń, dając swoim znak, że wypatrzył ofiarę. Podniósł się, przyłożył broń do ramienia i wycelował w głowę niczego niespodziewającego się Konarskiego. Rozległ się strzał. Jednak to esesman padł martwy w zgliszcza, a nie Konarski. Wystrzał nie padł z broni esesmana, tylko z lasu na tyłach Niemców. Po chwili drugi oraz trzeci – i dwóch pozostałych ciężko rannych esesmanów upadło za wartownią na ziemię. Jednocześnie z lasu za mostem na tyły zaskoczonych Niemców wypadło dwóch żołnierzy w mundurach strzelców alpejskich, grzejąc z pistoletów maszynowych.

Pierwsi esesmani dostali z bliska w plecy i głowę, tak że krew obryzgała przebiegających obok Redera i Sawickiego. Niemcy nawet nie zdążyli pomyśleć, że to koniec. Polacy, prac naprzód z bronią przy ramieniu i dokładnie celując, dotarli do mostu, likwidując odsłoniętych, niespodziewających się niebezpieczeństwa wrogów. Ostatni dwaj esesmani, spostrzegłszy zagrożenie, odwrócili się, oddając strzały zza ciężarówki. Byli już jednak w celownikach polskiego komanda i po dwóch szybkich strzałach Redera i Sawickiego przekonali się o wartości szkolenia w Achnacarry. Po kilku sekundach wszyscy esesmani zostali unieszkodliwieni i nastała cisza. Reszta Polaków była równie zaskoczona szybkim obrotem sprawy jak martwi Niemcy. Najbardziej Konarski, który wstał i pokuśtykał do trzech esesmanów trafionych w jego pobliżu. Kiedy zobaczył, co mu groziło, otarł rękawem spocone czoło i westchnął. Podszedł do dwójki leżącej metr dalej. W odróżnieniu od pierwszego esesmana ci otrzymali postrzał w korpus, ale jeszcze żyli. Obaj ciężko ranni, jęczeli i wili się z bólu. Konarski przykuśtykał bliżej, przyłożył lufę do głowy blondwłosego młodzieńca o orlim nosie. Z umorusanej ziemią i prochem twarzy spojrziała na niego para białek przerażonych oczu. Błagalne spojrzenie przeszło go na wskroś. Trwało to może sekundę, po czym Konarski, nie namyślając się, nacisnął spust. Potem dobił drugiego rannego Niemca i wolno poszedł na most. Wszyscy zebrali się razem, chcąc się dowiedzieć, jak poszło grupie porucznika na wzgórzu numer jeden. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, z lasu wybiegł Pieniążek, którego trzy celne strzały dosięgły esesmanów przy wartowni.

Podbiegł do reszty i krzyknął:

– Zabiłem Hitlera!

– Co? – zapytał stojący najbliżej Kudera.

– Zabiłem Hitlera – powtórzył z dumą i satysfakcją Pieniążek.

– Co on gada? – zwrócił się do porucznika Paszkowski.

– Mówi prawdę. Jesteśmy w Berghofie, rezydencji Adolfa Hitlera. Führer był celem misji i jakąś godzinę temu starszy strzelec Pieniążek odstrzelił mu łeb – odpowiedział Reder.

– O kurwa... – Paszkowski złapał się za głowę. – Masz u mnie duże piwo. Chodź, niech cię uściskam! – dokończył, rzucając się na Kubę z szeroko rozłożonymi ramionami „na misia”.

Cała ekipa najpierw zaniemówiła, a potem ruszyła w ślady Paszkowskiego, z gratulacjami i pytaniami do bohatera. Uściskom i żartom nie było końca. Wreszcie do wyrazów uznania zabrał się Mamut, który podniósł małego Pieniążka i zaczął go ścisnąć tak, że strzelcowi zaczęło brakować tchu. Niechybnie zginąłby w objęciach Mamuta, gdyby porucznik nie kazał im zakończyć uprzejmości i szybko załadować się na ciężarówkę.

Zebrali ekwipunek i sprawnie wskoczyli na pakę opla. Reder z Paszkowskim, który był kierowcą, wsiedli do szoferki i po chwili ciężarówka pomknęła krętymi drogami w stronę Salzburga. Jazda górskimi trasami nie należała do łatwych. Paszkowski operował pedałami, to hamując, to rozpędzając wóz, który co chwilę przechylał się na ostrych zakrętach. Nagle za jednym z nich wyłonił się szlaban. Był to zewnętrzny posterunek pilnowany przez dwóch cywilnych wartowników z bronią. Gdy wyjechali z zakrętu, mieli do szlabanu jakieś czterysta metrów. Paszkowski spojrzął pytająco na Redera. Ten rzucił stanowcze „Gazu”. Nie było już sensu udawać Niemców czy strzelać do ochrony. Kierowca docisnął pedał, a opel z hukiem przebił szlaban i pomknął jak strzała obok zdziwionych strażników. Tak uciekli poza strzeżony teren Berghofu. Jeszcze kilkadziesiąt kilometrów i zobaczą wąsatego kapitana Wilsona, który zabierze ich do domu. Wszyscy byli już skrajnie wyczerpani, nie mówiąc o odniesionych ranach. Wizja uśmiechniętego Wilsona, porucznika Cunninghama podającego kawę i dźwięku silników lancastera złała się z rytmem silnika opla i sprawiła, że Reder odpłynął w objęcia Morfeusza.

Zaczęły mu się jawić obrazy domu. Zielone łąki i pola, na których pasły się konie. Podszedł do nich, zaczął je karmić i czesać w barwach wschodzącego czerwonego słońca. Nagle jego ulubiony siwek głośno parsknął, nerwowo wydymając chrapy. Wtedy i on usłyszał dochodzący z dala szum, brzęczenie, jakiś nieidentyfikowany dźwięk, który zbliżał się i rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Po chwili był już nie do zniesienia. Dręczący, świrdrujący głowę hałas spłoszył konie. Łąka zniknęła, a zamiast niej pojawiły się domy, sklepy, brukowane uliczki. Szedł prostą ulicą między budynkami w stronę irytującego odgłosu. Ulica zdawała się nie mieć końca, a po bokach wisały flagi ze swastykami. Szedł i szedł, czując coraz większe zmęczenie, aż dotarł na ogromny plac pełen ludzi. Zaczął przeciskać się przez tłum, idąc za źródłem hałasu. Przebił się przez ciżbę i jego oczom ukazał się podest ze stojącym tam przemawiającym człowiekiem. To on był źródłem hałasu, który teraz brzęczał jeszcze głośniejsze. Brzęk ten świ-drował Rederowi głowę za każdym razem, gdy mówca otwierał usta. Rozejrzał się, miejsce wydało się znajome. Raptem zobaczył obok ojca, który smutnym wzrokiem patrzył przed siebie. Olsniło go i przypomniał sobie, skąd zna to miejsce. Był w Gdańsku, wybrali się z ojcem na Długi Targ obejrzeć wystąpienie Hitlera. To on był tym mówcą i sprawcą hałasu. Reder zaczął rozglądać się po znajomych kamienicach, gdy w jednym z okien zobaczył Pieniążka z karabinem złożonym do strzału. Chciał coś do niego zawołać, gdy poczuł, że ktoś stojący za nim ciągnie go za ramię i woła: „Panie poruczniku, panie poruczniku...”. Chciał się odwrócić do tego kogoś, gdy z okna kamienicy padł strzał... Wtedy się obudził.

Paszkowski szarpał go za ramię i krzyczał:

– Panie poruczniku, dojeżdżamy! Proszę się obudzić.

– Już nie śpię. Gdzie jesteście? – zapytał błyskawicznie rozbudzony Reder.

– Jakiś kilometr, może dwa od lądowiska.

– Jezu, ale mnie zmogło. Czemu mnie nie budziłeś? – Reder był zirytowany swoją słabością i tym, że odpadł i przekimał całą drogę.

– Padł pan jak kawka. Nic się nie działo. Droga prawie pusta, nie było sensu pana budzić – odpowiedział Paszkowski.

Reder pośpiesznie wyciągnął mapę. Sprawdził coś i pokazał kierowcy palcem punkt na niej.

– Za chwilę będzie las. Skręcisz w prawo w pierwszą drogę. Przejedziesz z trzysta metrów, wjedziesz w las i się zatrzymasz – zakomenderował.

Przejechali jeszcze kilkasie metrów i zgodnie z oczekiwaniami pola wzdłuż drogi zastąpiły gęste drzewa. Kierowca skręcił w boczny leśny dukt i po trzystu metrach wjechał w las, lawirując między drzewami. Opel na dużych kołach podskakiwał na nierównościach, po czym się zatrzymał, a silnik zgasił. Ciszę, która zapanowała w lesie po wyłączeniu silnika, zmąciły dźwięki otwieranych drzwi sferki i żołnierzy wyskakujących z paki. Zebrał się przy kabinie, czekając na rozkazy.

– Przejdę do ładowiska i sprawdzę, czy wszystko okej. Czy nasza podwózka już czeka – poinformował Reder. – Podchorąży Konarski jest ranny. Andrzej też. Zostaniecie tutaj z Jankiem i jak sprawdzimy ładowisko, Mikołaj wróci po was i podjedziecie pod samolot – kontynuował.

– Mogę iść – wtrącił Konarski, który kuśtykając na przestrelonej nodze, sam sobie przeczył.

– Taa, jasne. Zostajecie. – Reder zakończył dyskusję, patrząc na nogę Konarskiego.

Krótkie „Idziemy” porucznika wystarczyło, by piątka komandosów bezszelestnie zniknęła w lesie.

Szli jak w transie, kolejny raz w ciągu doby przebijając się przez gęste gałęzie bijące ich po twarzach. Zaczynało już zmierzchać, a otaczający las wydawał się coraz bardziej ponury. Nie było widać ani słychać żadnych zwierząt czy ptaków. Nie było w nim nic z bajkowych opowieści czy poetyckich opisów Goethego. Jeżeli mityczny Król Olch kiedyś władał tą krainą, to z pewnością już dawno wyemigrował do Szwajcarii. Po chwili marszu przystanęli. Zza drzew przebijała smugi jasnego światła. Powoli podeszli bliżej. Przed nimi rozciągała się ogromna polana rozświetlona reflektorami wojskowych pojazdów. Pośrodku urzeli wielki czterosiłnikowy bombowiec. Lancastera otaczał kordon żołnierzy SS. Obok stały dwie wojskowe ciężarówki i czarny mercedes, którego widzieli już wcześniej. Przed samolotem klęczała jego załoga. Za nią stało trzech esesmanów z bronią wycelowaną w ich głowy. Stojący przed nimi oficer właśnie kopął z wściekłością Brada Bakera, jednego ze strzelców pokładowych. Przeształ na chwilę, odwrócił się i podeszedł do kapitana Wilsona. Uderzył go w twarz, krzycząc:

– Kto i kiedy ma się tu zjawić?!

Reder rozpoznał oficera. Był to SS-Standartenführer Werner Gleichmann, którego spotkali na promie. Szef ochrony Hitlera w Berghofie.

Gleichmann po porannym spotkaniu wrócił do swojego biura w rezydencji. Kiedy otworzył butelkę whisky, rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął przeglądać zaległe raporty, rozległ się alarm. Po chwili wpadł jego adiutant i oznajmił, że dokonano zamachu na Führera. Nie znał szczegółów. Powiedział tylko, że zamach przeprowadzono w drodze do herbaciarni, nie wiedział jednak, czy Hitler przeżył. Gleichmann poczuł się, jakby uderzył w niego grom, to on odpowiadał za ochronę Führera. W pierwszej chwili pomyślał, że to pewnie kolejna nieudana próba. Przyszło mu do głowy, że jeżeli Führer przeżył, to całą złość wyładuje na nim. W najlepszym wypadku czekał go ruski front. Jeżeli nie przeżył, to lepiej wykazać się przed nowym szefem. Nie zamierzał beczynnie czekać, musiał działać. Jedyne, co mogło go uratować, to szybkie złapanie zamachowców. Sam opracował procedury na wypadek sabotażu w Berghofie. Odstawił szklaneczkę z whisky i pobiegł do pokoju taktycznego, tam czekali już wszyscy dowódcy wart. Zgodnie z ustalonym wcześniej planem esesmani mieli zamknąć drogi prowadzące do rezydencji. Pierwszy oddział wysłał na przystań promu, drugi na południe, do wartowni numer jeden. Najbardziej prawdopodobny był jednak kierunek północny – do Salzburga. Tam postanowił udać się osobiście z plutonem SS. W ten oto sposób Gleichmann znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Zbliżając się do Salzburga, usłyszał i zobaczył lądujący samolot kapitana Wilsona. Dłatego stał teraz przed angielskimi lotnikami z furią w oczach.

Reder z przerażeniem obserwował całą sytuację zza drzew. Plan ucieczki legł w gruzach, nie było szans na odbicie samolotu. Niemców było zbyt wielu. Ze złością walnął pięścią w drzewo, aż spłynęła krwia. Tysiące myśli kłębiły się w głowie, nie umiał jednak znaleźć wyjścia. Powinni oddalić się stąd jak najszybciej, ale widok dręczonych Anglików mu na to nie pozwalał. Sympatyczny kapitan ryzykował życie swoje i załogi, by ich stąd zabrać, a teraz miał z tego powodu zginąć.

Co robić? Co robić? – pytał sam siebie. Reszta oddziału stała jak wmurowana za nim, w milczeniu obserwując dramatyczne sceny na polanie.

Tymczasem Gleichmann tłukł Wilsona na wszystkie sposoby, ten jednak milczał. Po kolejnej serii ciosów esesman przerwał. Przymknął nabiegłe oczy i powiedział:

– Nie chcesz gadać, to patrz. – Wyciągnął pistolet i strzelił w głowę kłęczącemu obok sierżantowi Jonesowi. Ze skroni trysnęła krew, po czym biedak osunął się bezwładnie na ziemię obok przerażonego Wilsona. – Zaczynasz gadać albo on będzie następny. – Oficer przyłożył łufę lugera do głowy Cunnighama.

Wystrzał podziałał na Redera jak trzęźwiący policzek. Odwrócił się do oddziału i rozkazał:

– Mamut, wyciągnij z plecaka dwa granaty dymne. Wszyscy odbezpieczyć broń i za mną.

Przewiesił karabin przez ramię, odwrócił się i ruszył na polanę. Reszta zgodnie z rozkazem podążyła za nim. Od linii drzew do samolotu było jakieś pięćdziesiąt metrów. Gdy wyszli z lasu, esesmani stojący najbliżej od razu skierowali lufy karabinów w ich stronę. Ale widząc niemieckie mundury, niezdecydowanie opuścili broń.

Reder szedł szybkim, pewnym krokiem w stronę Gleichmanna i Anglików. Minął czterech Niemców stojących najbliżej, dalej byli Gleichmann i trzech esesmanów za Anglikami. Za nimi samolot, który kilku Niemców przetrząsało, szukając informacji o zamachowcach. Kilkadziesiąt metrów za samolotem stały ciężarówki i mercedes Standartenführera, a przy nich pluton SS. Pozostali przeszukiwali zagajnik za polaną.

Gleichmann odwrócił się, słysząc za plecami zamieszanie. Zdziwił się na widok Redera. Widać było, że przypomina sobie, skąd zna jego twarz. Najwidoczniej szybko sobie przypomniał, ponieważ jego brwi się zsunęły, a podejrzliwy wzrok przeszył porucznika na wylot.

– Co pan tu robi, Herr Grabner? Wszędzie dziś pana pełno.

Jego ton nie przypominał już przyjacielskiej pogawędki na promie. Reder wiedział, że oficer nie kupi kolejnej historyjki. Nie po zamachu i nie parę metrów od angielskiego bombowca. Ich oczy się spotkały, Gleichmanna rozbłyśły w dziwny sposób. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć lub wydać rozkaz. Reder był już metr od niego, błyskawicznym ruchem wyciągnął z kabury pistolet i strzelił mu prosto w łeb. Z czoła Gleichmanna poleciała struga krwi. Zachwiał się, lecz nim upadł, Reder doskoczył do niego i lewą ręką przycisnął ciało do siebie, nie pozwalając na to. Jednocześnie nie przestając strzelać, władował cały magazynek lugera w trzech esesmanów za Anglikami. Padał strzał za strzałem i zaskoczeni Niemcy w kilka sekund leżeli martwi. W tym czasie reszta Polaków rozprawiła się z żołnierzami obok nich.

– Mamut, rzucaj! – krzyknął Reder, po czym Kudera cisnął daleko przed siebie dwa granaty dymne, które trzymał w rękach.

Gdy reszta Niemców usłyszała strzały i zorientowała się w sytuacji, oddzieliła ich już dymna kurtyna. Reder rzucił pistolet w pustym magazynkiem, złapał jedną ręką karabin i zaczął strzelać przez dym w stronę Niemców. Spojrzył na Anglików. Chciał krzyknąć, by uciekali do linii drzew, lecz nie musiał. Tamci wyrwali już z miejsca, biegnąc, ile tchu w piersi. Spowalniał ich tylko strzelec Jackson, tak pobity, że ledwo mógł ustać na nogach.

Za kłębow dymu błyskały lufy karabinów. Niemcy rozpoczęli ostrzał. Pociski świślały dookoła. Ciemna dotąd polana rozbłyśła od wymiany ognia. Polacy wycofywali się w stronę lasu, osłaniając angielskich lotników. Ostatni był Reder, strzelając i nadal trzymając trupa Gleichmanna jedną ręką niczym tarczę. Czuł, jak w ciało trafiają pociski. Kilka przeleciało obok jego głowy. Jeden tak blisko, że aż poczuł ciepło i usłyszał świst koło ucha.

Byli już prawie przy drzewach, gdy Niemcy przebiegli dystans od ciężarówek do samolotu i powoli zaczęli przebijać się przez kłęby dymu. Ich ogień stawał się coraz silniejszy i celniejszy. Dwie kule trafiły sierżanta Harrisa, radiotelegrafistę. Dostał w kręgosłup i padł jak ścięty. Pociski dosięgły też Kudere. Otrzymał postrzał w lewe ramię. Impet pocisku był tak ogromny, że wielkie chłopisko padło w trawę. Twardy Ślązak szybko się jednak podniósł, przerzucił broń do drugiej ręki i dalej strzelając, cofnął się do drzew. W końcu pod gradem pocisków Polacy i Anglicy dotarli na skraj polany i do linii lasu.

– Ja i Mikołaj osłaniamy odwrót. Reszta biegiem do ciężarówki. Wiktor, ty prowadzisz – zakomenderował porucznik, stając za drzewem i zmieniając magazynek. – Dajcie nam swoje zapasowe magazynki.

Reder z Mikołajem Świderskim pośpiesznie załadowali broń i otworzyli ogień do zbliżającego się pościgu. Reszta rzuciła się przez las do zaparkowanej dalej ciężarówki.

– Strzelamy na przemian. Jeden strzela, drugi się cofa. Nie wychylaj się zza drzew. Wystarczy, że będą słyszeć strzały, to ich spowolni. Wszystkich i tak nie trafisz – poinstruował Mikołaja.

Spojrzał na jego młodą twarz. Nie było na niej cienia strachu. Wiedział, że go nie zawiedzie, że może na nim polegać.

– Tak jest, panie poruczniku – odpowiedział chłopak, odbezpieczając karabin i posyłając krótką serię w kierunku Niemców.

Esesmani nieustępliwie podążali za nimi, słyszeli ich krzyki i ujadanie psów. Co chwilę las rozbłyśkiwał ogniem karabinów, a pociski biły po drzewach wokół nich. Odwrót zdawał się nie mieć końca, tak jakby las przez ostatnią godzinę rozrósł się kilkukrotnie. Niemcy z każdą chwilą się zbliżali. W rozbłyskach z luf mogli już zobaczyć ich sylwetki. W końcu dotarli do ciężarówki. Wszyscy byli już w środku, a Sawicki czekał z włączonym silnikiem. Rzucili się biegiem do wozu. Reder wskoczył do szoferki, a Mikołaj na pakę.

– Jedź! – krzyknął porucznik.

Sawicki wcisnął gaz do dechy. Koła zabuksowały w miejscu, wyrwywając trawę, i ciężarówka pomknęła między drzewami, pod ogniem Niemców, którzy właśnie wypadli z lasu. Kilka pocisków trafiło w samochód, jednak bez szwanku zniknął w mroku.

Reflektory przebiły ciemność, wskazując drogę. Chwila niepewności i z leśnego duktu wypadli z piskiem opon na szosę, którą przyjechali. Oddalając się od Salzburga, samolotu i Niemców, a kierując z powrotem w stronę Berghofu.

– Co teraz? Dokąd mam jechać? – zapytał Sawicki.

Porucznik wyciągnął latarkę i rozłożył mapę, nerwowo wodząc po niej światłem.

– Gdzie jedziemy? – powtórzył pytanie Sawicki.

– Nie wiem. Jak coś wymyślę, to ci powiem – odpowiedział porucznik. – Na razie grzej, ile wlezie, byle dalej stąd.

Sawicki głęboko westchnął. Wiedział, że ich plan ucieczki właśnie wziął w łeb, a planu B nie mieli.

Przejechali bez słowa jeszcze kilka kilometrów, gdy porucznik przybliżył mapę i zaczął się czemuś dokładnie przyglądać. Zgasił latarkę i rzucił zdawkowo, lecz stanowczo:

– Zatrzymaj wóz.

Sawicki nacisnął hamulec i opel z piskiem opon stanął po kilku metrach. Porucznik wyskoczył z szoferki i pobiegł na tył ciężarówki. Wspiął się na pakę i zawołał:

– Wilson!

Po chwili zobaczył twarz kapitana, który zapytał:

– Słucham?

– Poleci pan focke-wulfem?

– Nie wiem, nigdy nie leciałem. Dlaczego pan pyta?

– Poleci pan czy nie? – naciskał Reder.

– Jak będę musiał, to polecę, w końcu to samolot i to samolot. Chyba – niepewnie odpowiedział Wilson. – Tylko skąd pan tu wytraśnie bombowiec?

– Przygotujcie się, za pół godziny będziemy na miejscu – rzucił porucznik i zniknął tak szybko, jak się pojawił. Umykając przed natłokiem pytań, którymi chcieli go zarzucić wszyscy, z Konarskim na czele.

Wskoczył do szoferki, rozłożył mapę przed Sawickim, włączył latarkę, po czym powiedział:

– Zobacz, tu musimy dojechać.

– Co tutaj jest? – zapytał z wahaniem, ale i nadzieją w głosie Sawicki.

– Lotnisko dla dowódcztwa z rezydencji – odpowiedział porucznik.

– Chce pan porwać samolot? – zdumiał się Sawicki. – Skąd pewność, że jakiś w ogóle tam będzie?

– Pomyśl: Adolf przyleciał tu samolotem wczoraj, więc on musi tam na niego czekać – objaśnił swój plan Reder.

– Wilson da radę nim odlecieć?

– Musi, nie ma wyjścia. Najwyżej się rozbijemy. Lepsze to, niż dać się złapać albo zastrzelić – stwierdził Reder.

Sawicki odpalił silnik, wcisnął gaz i ruszyli w stronę lotniska.

– Myśli pan, że będzie strzeżone? – zapytał po dłuższej chwili.

– Na pewno, ale to będzie zwykła straż. Może załogi samolotów, obsługa. Wszystkie oddziały SS z ochrony rezydencji pojechały nas szukać. Tam ich raczej nie będzie – uspokoił go Reder, chociaż sam nie był pewien, co zastaną na miejscu.

W sfoferce zapadła cisza. Sawicki skupiał się na prowadzeniu. Nagle zapytał:

– Jak nam się nie uda, myśli pan, że było warto? To, czego dokonaliśmy, coś zmieni? Wojna bez Adolfa szybciej się skończy?

Reder pomyślał chwilę i odparł:

– W dowództwie twierdzili, że to bardzo ważne, pomoże polskiej sprawie. Nie znam wszystkich szczegółów, ale wolę myśleć, że tak. Tyłu belek co na naszej odprawie jeszcze nie widziałem, więc chyba było to ważne. Jeżeli nie, to przynajmniej jednego pojeba z wąsikiem mniej – skwitował.

Sawicki się uśmiechnął.

– Tak, przynajmniej Kuba jest wygrany. Jak opowie w barze, że odstrzelił Adolfa, to wszystkie dziewczyny jego. – Raptem ugryzł się w język i spochmurniał, gdy zrozumiał bezsens swojej wypowiedzi. Jeżeli stąd nie odlecą, już nigdy nie trafią do żadnego baru.

Zamilkli obaj. Wpatrywali się w czarną przestrzeń przed nimi. Ponure cienie drzew na tle nieba rozjaśnionego blaskiem księżyca. Nigdzie żadnego życia, pusta szosa przed nimi rozświetlona reflektorami opla. Ten brak ludzi, zwierząt, aut na drodze był dołujący. Przez całą wojenną tułaczkę przywykli do zgłębku, ludzkiej krzątanimy, kolumn wojskowych samochodów na drogach i szumu szkockich miast z ich normalnym życiem. Tu były tylko ciemność i obawa o to, co przyniosą najbliższe godziny.

„Noc wyraźnie jest nieprzyjazna”, pomyślał Reder. „Chociaż nie różni się od dnia niczym poza tym, że jest ciemno. Dlatego w nocy częściej doznaje się mentalnego spustoszenia”.

W dodatku był wyczerpany fizycznie. Cały dzień bez chwili odprężenia. Dopiero teraz poczuł całe to zmęczenie. Czuł się, jakby miał zemdleć. Obrazy były rozmazane, a oczy zaczynały mu się same zamykać. Nie mógł na to pozwolić. Musiał być czujny. Odpowiadał za wszystko i musiał zachować kontrolę do końca, choćby najgorszego. Odkręcił szybę w drzwiach. Zimne, rześkie górskie powietrze go otrzeźwiło. Poczuł się lepiej, pewniej. Popatrzył na Sawickiego, który dzielnie kręcił kierownicą i wóz połykał kolejne kilometry.

– Nieźle prowadzisz. Gdzie się nauczyłeś? – zapytał, chcąc przerwać przygnębiającą ciszę.

– Ojciec miał przed wojną warsztat samochodowy. Zawsze po naprawie objeżdżałem samochody. Potem kupiliśmy zdezelowanego fiata, wyremontowaliśmy i mogłem wozić się nim po mieście na taksówce. To były fajne czasy – odpowiedział Sawicki.

Nagle zauważyli, że droga się rozwidła.

– To musi być tutaj, skręć w lewo. – Porucznik podświetlił mapę, upewniając się, że dotarli do skrzyżowania na lotnisko polowe.

Poczuł zdenerwowanie, a właściwie podniecenie. Adrenalina skoczyła mu na myśl o zbliżającej się akcji. Co zastaną na lotnisku? Gniazdo kaemów? A może nic? Może nie będzie ani ochrony, ani samolotów. Znowu gonitwa myśli, co ukaże się na końcu tej polnej drogi. Sprawdził swoje MP 40. Nachylił się do Sawickiego i wyciągnął z jego kabury pistolet, po czym dokręcił tłumik, który miał w kieszeni. Spojrzał na kierowcę i rzucił:

– Pożyczam. Swój wyrzucę przy lancasterze.

Daleko przed nimi reflektory oświetliły coś, co przypominało szlaban. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i ujrzeni posterunek. Sawicki zwolnił pedał gazu i opel po cichu na luzie się tam dotoczył. Ciężarówka zatrzymała się i nastąpiła cisza.

– Co jest? Nikogo nie ma? – wyszeptał Sawicki.

Faktycznie na pierwszy rzut oka lotnisko wyglądało na opustoszałe. Na prawo stała budka strażnicza. Dalej było widać zabudowania, przed którymi zaparkowano samochód cysternę. Reder mrużył oczy, próbując dostrzec coś jeszcze w ciemnościach, gdy nagle Sawicki wyciągnął rękę i wskazując coś palcem, prawie krzyknął:

– Kurwa, jest! Miał pan rację!

Porucznik podążył wzrokiem w tamtym kierunku. Najpierw nic nie dostrzegł, jednak po dłuższej chwili, kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zobaczył połyskującą sylwetę, która w miarę przyglądania się nabierała realnych kształtów samolotu.

Na wielkim polu służącym za pas startowy, jakieś trzysta metrów przed nimi stał wielki bombowiec z oznaczeniami 26+00. Przez kilka sekund siedzieli jak zahipnotyzowani widokiem samolotu, kiedy niespodziewanie z budki strażników wyłoniły się dwie postaci i wolnym krokiem zbliżyły do ciężarówki. Gdy wartownicy podeszli do szoferki, Reder odkręcił szybę. Niemiec nachylił się do okna i sennym, nieco zirytowanym głosem rzucił:

– Pokażcie papiery. Rano będzie lot czy co? Czemu tłuczecie się tu po nocny?

Reder podniósł rękę, w której trzymał już lugera, i zamiast odpowiedzi posłał Niemcom po kulce w głowę. Cichy syk pocisków wylatujących z tłumika i obaj upadli na ziemię. Wysiadł z wozu, a po chwili w paki wyskoczyła reszta oddziału i angielscy lotnicy.

– Co dalej, poruczniku? – zapytał cicho Konarski stojący najbliżej.

– Mamut i Kuba, ukryjcie ich gdzieś. – Reder wskazał na leżących Niemców. – Sierżant Paszkowski, Mikołaj, za mną do pierwszego budynku. Podchorąży z Andrzejem, sprawdź drugi budynek.

– A ja? – dopytywał z szoferki Wiktor.

– Ty na razie czekaj w wozie i pilnuj pilotów, żeby nic im się nie stało.

Po cichu ruszyli w stronę budynków. Porucznik stanął przy pierwszym oknie i przez chwilę zaglądał do środka. Potem spojrzął na podchorążego Konarskiego, który zajął pozycję przed drugim budynkiem. Podeszedł do drzwi i otworzył je kopniakiem. W środku panował półmrok rozjaśniany jakąś naftową lampką. Uderzył go zgnily, zatechły zapach pomieszczenia. Stał w nim wielki stół, przy którym siedzieli trzech Niemców w koszulach i spodniach z szerokimi szelkami. Niczego się nie spodziewając, siedzieli sobie i grali w karty. Na widok Redera znieruchomieli. Ich twarze przybrały wyraz jak u dzieci przyłapanych na podkradaniu cukierków. Oficer otwierający drzwi w tak bezpardonowy sposób zszokował i przestraszył ich jednocześnie. Nie oczekiwali chyba jednak najgorszego. Zanim zdążyli o coś zapytać, porucznik oddał długą serię z biodra i skosił całą trójkę tak, jak siedzieli. Karty wypadły im z rąk, a kubek z kawą, który trzymał jeden z nich, upadł na ziemię i potoczył się tak, że kawa rozlała się długą strużką aż pod nogi porucznika. Reder szybko rozejrzał się po pomieszczeniu. Po prawej stronie były tylko meble i wielka radiostacja pod ścianą. Nie było tam nikogo. Po lewej stały piętrowe łóżka. Na jednym z nich zobaczył skuloną i trzęsącą się postać. Gdy podeszedł bliżej, Niemiec zeskoczył na ziemię, ukląkł i jękając się, zaczął błagać o litość.

Miał na sobie brudny kombinezon. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na groźnego.

– Co tu robisz? Jesteś z obsługi? – zapytał porucznik.

– Jestem mechanikiem. Mam na imię Martin... Martin Fischer – wydukał drżącym głosem.

– Jest tu jeszcze ktoś?

– Nie, nikogo nie ma. Rano przychodzi Jens, drugi mechanik, ale dziś wrócił na noc do domu do miasteczka.

– Inni żołnierze?

– Nie, przyjeżdżają, tylko kiedy jest lot, razem z pilotami i resztą obsługi. Teraz nikogo więcej nie ma.

Porucznik znowu się rozejrzał. Podeszedł do stołu, zrzucił z krzesła zabitego Niemca i usiadł zmęczony. Paszkowski z Mikołajem przetrząsali budynek, sprawdzając, czy ktoś jeszcze się nie ukrył, i szukając wszystkiego, co mogło im się przydać, od amunicji po prowiant. Reder podniósł ze stołu kubek, przystawił do nosa i powąchał. Pachniał kawą, która jeszcze nie wystygła. Szybkim ruchem przechylił naczynie i się napił. Już dawno żadna kawa tak mu nie smakowała. Po chwili poczuł burczenie w brzuchu. Przypomniawszy sobie, że przez cały dzisiejszy dzień nic nie jadł. Na stole stały talerze z chlebem i kiebasą. Złapał pęto i ugryzł. Przysiadł na krześle i przez kilka sekund delektował się posiłkiem. Do pomieszczenia weszli Konarski z Andrzejem. Po chwili dołączyli jeszcze Kudera z Kubą Pieniżkiem, zaniepokojeni odgłosem strzałów i błyskami w budynku. Mamut od razu rzucił się na kuchenkę i znajdujące się na niej zapasy.

– W budynku obok jest magazyn. Jakieś części, sprzęty, nie znam się na tym – poinformował Konarski.

– On się zna – odrzekł Reder, wskazując na skuloną postać. – Jest mechanikiem. Weź go ze sobą, niech ci pokaże, co i jak. Tylko pilnujcie go, żeby czegoś nie odwalił. Pozbierajcie amunicję i idźcie do Wiktora. Razem pomóżcie Anglikom odpalić ten cholerny samolot. Dwóch niech pilnuje drogi, żeby w razie czego nas ostrzec. SS może tu być w każdej chwili, trzeba się pośpieszyć.



– Rusz dupę, kolego, pomożesz nam uruchomić samolot. Jak zobaczę, że coś kombinujesz, od razu strzelę ci w łeb – powiedział Konarski do Niemca, jednocześnie podnosząc go za kołnier bluzy i ciągnąc za sobą.

Po chwili wszyscy oprócz Redera opuścili domek. Porucznik na chwilę zamknął oczy. Oparł ciężką głowę na rękach. Przez moment pomyślał, że ten szalony plan może się powiedzie. Wstał, podszedł do radiostacji pod ścianą, powyrywał wszystkie kable i przywalił w nią krzesłem, upewniając się, że sprzęt nie nada się już do użytku. Spojrzał ostatni raz na trupy Niemców i wyszedł, podążając za resztą w stronę samolotu.

– Zajmowałeś się już tą maszyną? – zapytał Niemca Konarski.

– Tak, razem z Jensem. Jestem mechanikiem silnikowym, pracuję tu dwa lata.

– Co zwykle robisz, żeby przygotować samolot do lotu?

– Cały przegląd zrobiliśmy dzisiaj. Trzeba tylko wstawić akumulatory i zatankować.

– Gdzie są te akumulatory?

– W magazynie, na wózku.

– To chodźmy tam. Zabierzemy je i zamontujemy.

Mechanik potulnie skinął głową i ruszył wykonać polecenie. Był całkowicie skołowany. Jeszcze pół godziny temu spał pod ciepłym kocem, a teraz miał łufę przystawioną do głowy, w dodatku przez niemieckiego oficera. Przy całym zamieszaniu w Berghofie nikt z dowództwa nie pomyślał, żeby zadzwonić na lotnisko i powiadomić ich, co się dzieje.

Po chwili znaleźli się w magazynie. Wyciągnęli wózek z akumulatorami i zaczęli ciągnąć w stronę samolotu.

Pieniążek z Paszkowskim zlizowali Sawickiego przy drodze. Wiktor razem z Anglikami podeszli do maszyny.

Pierwsi wskoczyli bliźniacy, którzy nie mogli się doczekać, żeby zobaczyć samolot Adolfa. Wkrótce w środku byli już prawie wszyscy. Z trudem pomieścili się w ciasnej kabinie condora. Oglądali luksusowe wnętrza, skórzane kanapy i fotele. Nagle Andrzej krzyknął: „Zaklepuję!”, wskakując na wielki fotel za drewnianym stołem. Był to osobisty fotel Hitlera, wyposażony w poszycie z tylnego pancerza i automatyczny spadochron z wyrzutniami w dół.

Andrzej rozsiadł się wygodnie i zadowolony powiedział:

– Tak to mogę podróżować! Jeszcze zimne piwko i możemy lecieć.

Oczywiście rozbawił pozostałych.

Kiedy chcieli rozsiąść się na kanapie, do środka wpadł Konarski, który tymczasem z mechanikiem zamontował akumulatory.

– Co to, wczasy?! – zdenerwował się. – Mikołaj i Andrzej, idźcie po cysternę, trzeba zatankować.

Bliźniacy szybko i posłusznie wstali, wyskoczyli z samolotu i pobiegli do stojącej przy budynkach cysterny.

Tymczasem kapitan Wilson wszedł do kabiny pilotów i zaczął czegoś szukać. W końcu znalazł starą, zniszczoną książkę. Rozsiadł się wygodnie w fotelu pilota i zawołał Wiktora:

– Chodź, siadaj. – Wskazał na miejsce drugiego pilota. – Przetłumaczysz mi procedurę startu. – Podał mu książkę.

Sawicki przerzucał kartki, a kapitan zadawał pytania o tabliczki przy wskaźnikach oraz kolejne procedury. Za nim stanął Cunningham i uważnie przysłuchiwał się rozmowie, czasem rzucając jakieś uwagi czy pytania.

Wilson odpałił rozrusznik, by zrobić próbę silników. Spojrzał za okno. Pierwszy silnik zaskoczył i zaterkotał. Potem zafurkotały drugi i trzeci, aż w końcu zagrały wszystkie cztery. Śmigła się rozpedziły i zamieniły w błyszczące koła. Kapitan sprawdził wszystkie wskaźniki, przestawił trymer i rzekł:

– Pięknie, chyba wszystko gra. Teraz musicie dolać paliwa.

– Wspaniale! Jest pan wielki. Idę powiadomić porucznika – rzucił Wiktor, wyskoczył z samolotu i pobiegł do Redera.

Wilson wygasił silniki i też wyszedł rozprostować nogi. Po chwili spotkali się z Rederem.

– Podchorąży przekazał mi, że wszystko w porządku – zagadnął porucznik.

– Musi pan tylko rozpaść ognisko, żeby oświetlić pas, bo nie widać, gdzie się kończy. Tak się nie da wystartować – odpowiedział Anglik.

– Zaraz powiem komuś, żeby się tym zajął. Mam nadzieję, że zdążymy. Chłopaki poszli już po cysternę.

Nagle odwrócili głowy. W ich stronę jechali oplem Paszkowski z Pieniążkiem, nerwowo machając rękami. Zatrzymali ciężarówkę kilka metrów przed nimi.

Kuba wychylił głowę z szoferki i krzyknął:

– Jadą jakieś pojazdy, widać światła! Dwa kilometry stąd, na drodze. Trzy pary reflektorów. Najprawdopodobniej konwój Gleichmanna.

– Kurwa, wiedziałem – zaklął pod nosem porucznik. – Przetawcie ciężarówkę dwadzieścia metrów dalej. Ustawcie się w poprzek, a po bokach wykopcie dziury. Musimy zająć pozycje do obrony i utrzymać się, aż zatankujemy samolot.

Szybko wykonali polecenie porucznika. Ustawili ciężarówkę i zaczęli kopać po bokach, czym się dało. Znalezionymi w wozie saperkami, kolbami karabinów, rękami. Pomagało im dwóch Anglików, szeregowy Henry i sierżant Baker. Wzięli pistolety maszynowe zabitych Niemców i razem z Polakami przygotowywali się do obrony. Tymczasem bliźniacy podjechali cysterną do samolotu i załoga razem z mechanikiem zabrała się do tankowania.

Porucznik też wykopał dół i położył się jak najgłębiej. Przyłożył broń do ramienia. Obok niego pozycję zajął Konarski, który ledwo kuśtykał na przestrzelonej nodze. Na lewo i na prawo od nich położyli się pozostali Polacy razem z Anglikami. Najdalej znajdowali się Świderscy, którzy mieli odprowadzić cysternę od samolotu, gdy tylko skończy się tankowanie.

Po kilku minutach na lotnisko wpadły z impetem dwa plutony SS za czarnym mercedesem Gleichmanna, którego zastąpił niższy rangą oficer. Zajęli pozycje jakieś trzysta metrów od Polaków i ukryli się za pojazdami. Wykonali to szybko i sprawnie. Było widać po tym doświadczenie. Po kilku sekundach nad głowami komandosów przelatywały pociski smugowe, rozświetlając lotnisko. Niemcy mieli przewagę ognia, zasypali obrońców gradem pocisków. Reder podniósł broń, żeby wycelować w esesmana kucającego przy ciężarówce. Puścił dwie krótkie serie, kładąc Niemca drugą. Zaraz musiał jednak schylić głowę i schować się w wykopie, gdyż niemieckie pociski były przed nim w ziemię. Walka rozgorzała na dobre. Konarskiemu i Pieniążkowi również udało się trafić przeciwników. Ale Niemcy strzelali równie celnie. Reder miał obok na pozycji sierżanta Bakera. Ten zdążył wystrzelić kilka serii w kierunku Niemców, kiedy pocisk trafił go w głowę. Leżał teraz martwy obok porucznika, w kałuży krwi. Kudera, który chodził z zakrwawioną ręką od czasu strzelaniny przy lancasterze, oberwał drugi raz w to samo ramię. Zarwał, chwycił się za nie i schował w dole. Wiedział jednak, że musi strzelać, inaczej nikt nie wyjdzie stąd żywy. Wystawił zdrową rękę z karabinem ponad wykop i strzelał, aż skończyła mu się amunicja.

Redera zastanawiało, dlaczego Niemcy, mając przewagę liczebną, nie przypuścili frontalnego ataku, tylko się okopali i prowadzili ogień z daleka. Niestety wkrótce dane mu było rozwikłać tę tajemnicę. Usłyszał świst, huk i dwa metry przed nim spadł granat moździerzowy, wyrwijając wielką dziurę w ziemi. Przy okazji zasypując jego oraz Konarskiego piachem i odłamkami. Teraz się wydało, co kombinowali Niemcy. Ustawili moździerz za ciężarówką i zaczęli ostrzelać pozycje Polaków. Zaraz spadł i wybuchł następny granat, tuż obok Paszkowskiego i drugiego z Anglików, raniąc ich odłamkami. Paszkowski dostał w głowę. Pocięła krew, nic nie widział, przecierał oczy rękawem. Henry oberwał gorzej, w piersi. Teraz leżał, charcząc i łapczywie chwytając powietrze. Reder obrócił się do Kudery i krzyknął:

– Mamut, rzuć dymny!

Ten wyciągnął z plecaka ostatni granat i cisnął z całej siły. Dym zasnuł pole. Na chwilę ostrzał osłabł. Reder spojrzął do tyłu, co z samolotem. Załoga właśnie skończyła tankowanie. Świderscy przerwali ostrzeliwanie Niemców, przemieszczali się, by przestawić cysternę, gdy granat z moździerza rozerwał się tuż pod ich nogami. Widząc to, Reder zastygł. Czuł, jak jego gardło momentalnie wyschło i się ścisnęło. Nie mógł nic powiedzieć, nawet przełknąć śliny. Potem zobaczył leżącego Andrzeja. Był porozrywany i krwawił. Dwa metry dalej leżała jego noga. Obok martwego klęczał zakrwawiony Mikołaj. Na kolanach zbliżył się do brata i objął jego głowę. Zastygł tak w niemym krzyku. Obok niego były pociski smugowe, ale żaden go nie trafił. Reder spojrzął na Konarskiego, ten nawet nie widział, co się dzieje. Zasypany pociskami, wcisnął głowę w ziemię. Po lewej wykrwawiali się ranni Polacy i Anglicy. Porucznik pomyślał, że to już koniec. Przed oczami przemknęły mu obrazy najbliższych, do głowy przyszło tylko: „I chuj”. Dziwnie go to uspokoiło. Zawsze myślał, że będzie czuł strach przed śmiercią.

W tej chwili nic nie czuł. Szybkim ruchem załadował ostatni magazynek i podniósł się, waląc do Niemców. Nagle gdzieś z lewej strony dobiegł go głośny dźwięk silnika. Spojrzał i zobaczył, jak obok nich śmiga cysterna, waląc pełnym gazem w kierunku Niemców. Przez sekundę patrzył za oddalającym się pojazdem, po czym ujrzał, jak Mikołaj z pełną prędkością uderza w ciężarówkę esesmanów. Potężny huk i wybuch prawie obaliły go na ziemię. Cysterna i ciężarówka wybuchły tak, że słup ognia podniósł się na dwadzieścia metrów. Impet eksplozji był tak ogromny, że wozy stopiły się w jedno. Zarówno Mikołaj, jak i Niemcy znajdujący się w pobliżu, zginęli w jednej chwili.

Strzelanina ucichła. Niemcy schowani za drugą ciężarówką, powaleni falą uderzeniową, zbierali się z ziemi, otrzępując się z prochu, popiołu, odłamków, części pojazdów i strzępów martwych kompanów. Zamilkł też moździerz, gdyż jego obsługa oberwała kawałkami blachy z ciężarówki. Polacy też przestali strzelać, przez chwilę nie mogąc uwierzyć w to, co widzą. Kłęby czarnego dymu przysłoniły wszystko i rozdzieliły przeciwników.

Pierwszy ogarnął się porucznik. Spojrzał do tyłu, słysząc charakterystyczne terkotanie silników focke-wulf'a. Kapitan Wilson uruchomił silniki, ustawił maszynę do startu i czekał na nich.

Reder krzyknął głośno:

– Do samolotu, biegiem!

Podniósł leżącego obok Konarskiego, podparł go ramieniem i prawie ciągnął jak najszybciej, na jego jednej zdrowej nodze, w stronę samolotu. Również pozostali zrozumieli, że muszą wykorzystać ten moment na ucieczkę. Mamut wstał, podniósł i przerzucił przez zdrowe ramię rannego Anglika i zaczął biec z nim do samolotu. Wiktor z Kubą ratowali Janka Paszkowskiego, który nadal nic nie widział przez krew zalewającą mu oczy. Dotarli do maszyny, kiedy czarny dym zaczął się rozwiewać. Esesmani ponownie otworzyli ogień, a kule zaczęły świstać im nad głowami. Przy samolocie stał jeszcze mechanik.

Porucznik syknął do niego przez zęby:

– Wypierdalaj!

Mężczyzna machnął ręką w niejasnym geście podziękowania i rzucił się biegiem ku swoim. Przebył może z piętnaście metrów, gdy dosięgły go pociski esesmanów, którzy w ciemności nie odróżnili go od wroga.

Wskoczyli do samolotu. Jako ostatni wciągnął się Reder, który wcześniej właściwie wrzucił Paszkowskiego do środka. Zatrzasnął drzwi i pobiegł do kabiny pilotów.

– Ruszaj, zabieraj nas stąd! – krzyknął do Wilsona.

– Nie dam rady, nie widzę pasa! Nie wiem, gdzie się kończy, uderzymy w drzewa!

– Patrz tylko na prędkościomierz i podnieś przy startowej. Nie mamy wyjścia! – wręcz wrzeszczał na niego Reder.

Do kabiny wpadł Kuba i zawołał:

– Jadą za nami!

Miał na myśli Niemców, którzy zbliżali się ciężarówką do samolotu, ciągle strzelając.

Silniki od dłuższego czasu chodziły na wysokich obrotach. Wilson zwolnił hamulce. Maszyną szarpnęło, stojący w kabinie Reder i Kuba o mało się nie przewrócili. Prędkościomierz podskoczył i focke-wulf toczył się coraz szybciej po pasie startowym, wzniesając za sobą chmurę pyłu. Wilson nie widział nic przed sobą w ciemności, więc skupił wzrok na strzałce prędkościomierza. Odliczał w myślach: „Jeszcze chwilę, jeszcze kilka sekund, trzy, dwa, jeden...”. Prędkościomierz pokazał minimalną prędkość, przy której samolot powinien oderwać się od ziemi. Kapitan pociągnął wolant do siebie i maszyna się poderwała. Pilot zwiększył szybkość. Poculi lekkie uderzenie, samolotem zatrzęsło. To podwozie zahaczyło o wierzchołki drzew. Po chwili słychać było tylko ryk silników na zewnątrz i ciężko oddychającego pilota. Otarł rękawem skórzanej kurtki pot z czoła.

Popatrzył na Cunninghama siedzącego w fotelu drugiego pilota. Tamten był błydy ze strachu. Wymienił spojrzenia, lecz nie byli w stanie nic powiedzieć. Obejrzał się i powiedział do porucznika:

– Chyba się udało.

– Dobra robota. Teraz wiem, dlaczego mówili, że jest pan najlepszy – stwierdził Reder.

– Niech pan się modli, żebyśmy dobrze wybrał trasę, bo jeszcze nie leciałem bez nawigatora. – Nawiązał w ten sposób do zabitego Jonesa. – Będziemy mieć cholerne szczęście, jak nie zestrzeli nas przypadkowy messerschmitt albo nasze myśliwce.

– Niech pan nie kracze, tylko leci – rzucił Reder i opuściłabinę pilotów.

Przeszedł tam, gdzie siedziała reszta oddziału. Wyglądali jak siedem nieszczęść. Wszyscy ranni i skrajnie wyczerpani. Na podłodze leżał strzelec Weber, któremu nie dane było doczekać happy endu. Krótco po starcie stracił dużo krwi, nie odzyskał przytomności i umarł mimo usilnych prób reanimacji ze strony Sawickiego. On sam miał farta, jako jedyne nie dosięgły go dziś kule. Poukładał więc wszystkich na kanapach i gdzie się dało. Wyciągnął opatrunki i bawił się w lekarza. Porucznik również rzucił się na wielką skórzaną kanapę, bez sił, ciężko oddychając. Mijały minuty, a oni trwali tak w ciszy, bez słów. Słysząc było tylko buczenie silników samolotu. W niepewności lecieli w długą drogę do domu na obcej ziemi, do oddziału, do swoich. Tylko jeden fotel w kabinie pozostał pusty. Nikt go nie zajął, nikt nie pomyślał, żeby w nim usiąść, bo wszyscy pamiętali, że zaklepał go Andrzej.

## Gra o tron

Noc walczyła z dniem, by wreszcie ulec w krwawych barwach wschodzącego słońca. Pola, budynki i górujący nad posiadłością Hohenwald pałacyk spowijała gęsta mgła. Jak gdyby chcąc ukryć tajemnicę gospodarza tych ziem.

Jak okiem sięgnąć, widać było pola uprawne, zielone łąki, zadbane budynki gospodarskie i mieszkalne, stajnie, które usytuowane były wokół panującego nad otoczeniem dworku. Były tu nawet kuźnia, miejscowa straż pożarna, browar i oberża. Dworek stanowił siedzibę rodu von Mansfeldów od XVI wieku. Znany był w całej Europie z hodowli koni czystej krwi rasy trakehner, których źrebiętom wypalano tu znak dębu na zadzie. Oprócz hodowli koni majątek słynął ze swoich walorów łowieckich. W dworku gościli wysocy rangą pruscy urzędnicy, ministrowie i inni znamienici goście, bawiąc się i spędzając czas na łowach w okolicznych lasach bogatych w zwierzynę. Na przełomie XIX i XX wieku rezydencję odwiedzał sam cesarz Wilhelm II. Wielu możnych z Prus spędzało tu letnie wakacje. Wnętrze dworu, służba – wszystko stało na niespotykanym nigdzie indziej poziomie. Sień, parter, salonik wyłożone boazeriami z wymalowanymi scenami o chińskiej tematyce, modnej w XVIII wieku. Salon dekorowany białymi boazeriami z malunkami przedstawiającymi antyczne budowle. Sufit ozdobiony złożoną sztukaterią, barwnie malowany. Okazały kryształowy żyrandol. Dalej ogromna jadalnia z obrazami, freskami i rzezbami z motywami mitologicznymi. Salon myśliwski, sala koncertowa i pokój tarasowy. Na kolejnych piętrach znajdowały się liczne sypialnie, saloniki, gdzie zwykle goście delectowali się kawą oraz rozmowami o przyszłości Niemiec i świata. Na ścianach wyeksponowano broń białą, poroża łosi, jeleni, nadające miejscu charakter związany z łowectwem. Całość była ogrzewana bogato zdobionymi kominkami i piecami kaflowymi. Dziś jednak dworek świecił pustkami. Pomieszczenia były ciche, nie licząc krzątającej się na dole służby. Na górnych piętrach wszystkie okna były ciemne, światło paliło się tylko w jednym pokoju. W sypialni właściciela tej wspaniałej posiadłości.

Na łóżku siedział mężczyzna wysokiego wzrostu, silnej budowy, o krótko ostrzyżonych włosach koloru ciemnobłond, jasnych oczach i z szerokim wydatnym podbródkiem. Ubrany w koszulę, spodnie od munduru i wysokie lśniące oficerki. Palił papierosa, spoglądając nerwowo to na wielki rzeźbiony pozłacany zegar na komodzie pod ścianą, to na telefon przy drzwiach sypialni. Na łóżku za mężczyzną spała kobieta. Była obrócona plecami, spod puchowej koldry naciągniętej na ramiona wystawały blond włosy. Mężczyzna dopalił papierosa i zgasił niedopałek w popielniczce stojącej na stoliku nocnym przy łóżku. Była wypełniona po brzegi, co wskazywało, że pałac spędził bezsenność, paląc jedną fajkę za drugą. Wysoki blondyn prawie od razu sięgnął po paczkę leżącą na stoliku nocnym i wyjął kolejnego papierosa. Drugą ręką chwycił zapalniczkę i kiedy chciał go zapalić, raptem rozległ się głośny dzwonek telefonu. Otworzył szufladę, wrzucił tam akcesoria niedrowskiego nałogu, szybkim krokiem podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę z kości słoniowej.

– Kurt von Mansfeld, słucham – odezwał się z napięciem w głosie. Przez dłuższą chwilę słuchał rozmówcy, po czym rzucił stanowczo: – Tak jest, jestem gotowy. Już jadę, panie admirałe.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się. Łóżko było puste, a po drugiej stronie pokoju stała w nocnej koszuli żona Kurta, którą obudził dźwięk telefonu i rozmowa.

– Führer nie żyje – powiedział krótko, patrząc na kobietę.

Jej wargi zaczęły drżeć, a z oczu pociekły łzy. Zakryła twarz dłońmi i cicho zapłakała.

Kurt podszedł do żony i ujął jej twarz w dłonie.

– Nie płacz. Nie martw się, przecież tak miało być. Wszystko będzie dobrze, nic nam się nie stanie – pocieszał ją.

Kobieta trochę się uspokoiła i usiadła na łóżku. Próbowiała dojść do siebie. Wiedziała, że musi być silna tak jak jej mąż. Ma być dla niego oparciem, a nie ciężarem.

Kurt w tym czasie włożył mundur, pas z bronią i gruby oficerski płaszcz. Chwilę szukał czapki, w końcu ją znalazł i ponownie podszedł do żony.

– Powtórz jeszcze raz, co ustaliliśmy – poprosił.

– Czekam do wieczora na wieści od ciebie, a jeżeli do rana się nie odezwiesz, zabieram dziewczynki i wyjeżdżam – odpowiedziała powoli i już spokojnie.

– Tak. Jak tylko będę mógł, zadzwonię. Jeżeli telefony nie będą działać, przyślę tu Hansa. Pamiętaj: jeżeli przyjedzie ktoś inny, nie ufaj mu. To będzie znaczyło, że coś się stało i ten ktoś nie jest ode mnie. Weź tylko podręczny bagaż. Nie zabieraj walizek, nie pakuj się. Powiedz wszystkim i służbie, że jedziesz do mnie do Berlina. Każ kierowcy zawieźć się na stację i pierwszym pociągami jedź do rodziców.

– Wiem, nie musisz powtarzać. Biorę tylko dokumenty do konta w Zurychu i płaszcz z wszytymi diamentami, nic więcej. Jadę do rodziców i czekam na ciebie trzy dni. – Powiedziawszy to, znów się rozplakała.

– Nie płacz, Ewo. To ostateczność, gdyby coś mi się stało. Pamiętaj, czekasz tylko trzy dni i ani chwili dłużej. Czwartego dnia rano niech ojciec zawiezie cię na lotnisko. Lecisz do Lizbony, potem już tylko rejs do Buenos i będziecie bezpieczne. Powtórz, że tak zrobisz. Muszę mieć pewność, nie mogę przez cały dzień martwić się jeszcze o was.

Po tych słowach Ewa znów się rozszlochała. W końcu doszła do siebie, uspokoiła się i już rzeczowo odpowiedziała:

– Tak zrobię. Trzy dni i ani chwili dłużej. Bądź spokojny, zachowam się, jak trzeba.

– Pójdę pożegnać się z dziewczynkami. Pewnie jeszcze śpią, nie będę ich budził – powiedział Kurt.

Wolnym krokiem udał się przez korytarz do pokoju obok, w którym spały dwie blondwłose dziewczynki. Był dobrym, kochającym ojcem, więc na widok córek i na myśl, że może ich więcej nie zobaczyć, ścisnęło go w gardle. Wpatrywał się w nie, gładząc po włosach, jakby chcąc zatrzymać ich obraz w pamięci. W końcu się wyprostował i wyszedł z pokoju, kierując się z powrotem do sypialni. Czułe pożegnał się z żoną, stanął w drzwiach i odwrócił się ze słowami:

– Do zobaczenia w lepszych Niemczech.

– Lepszych? Czy aby na pewno? – odparła.

– W naszych Niemczech – podkreślił stanowczo Kurt i wyszedł.

Z sypialni udał się wielkimi krętymi schodami na parter rezydencji. Zbiegł szybko po wysokich stopniach, na dole minął służbę przygotowującą śniadanie. W całym domu pachniało świeżą kawą. Ruszył jednak od razu do wyjścia. Wyszedł na ganek, przed którym stał czarny mercedes. Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Rzadko korzystał z usług szofera. Lubił prowadzić sam, mieć kontrolę. Jeździł szybko i pewnie, był w tym dobry.

Ruszył z piskiem opon, objechał olbrzymią fontannę przed domem. Kochał ten samochód – zapach skóry, drewno na desce rozdzielczej. Nic jednak nie mogło się równać z poczuciem mocy, kiedy wcisnął pedał gazu. Sześciocylindrowy silnik, pięćdziesiąt pięć koni mechanicznych, mrużąc pieszczotliwie, rozpędzał auto do stu kilometrów na godzinę. Kurt szybko mijali folwarczne zabudowania posiadłości. Oberżę, kościół, tartak, pola, aż wypadł na szosę prowadzącą do Berlina. Wjechał w drogę biegnącą przez las, wijącą się to w lewo, to w prawo. Pod osłoną drzew było jeszcze ciemno, zapalił światła. Pokonywał szybko i sprawnie kolejne zakręty z towarzyszącym manewrom piskiem opon, a wielkie reflektory mercedesa omiały jasnymi sнопami szosę i drzewa. Droga była pusta, o tej porze nie było na niej wozów, ciężarówek czy innych pojazdów.

„To dobrze, szybko dojadę do Berlina”, pomyślał. Zastanawiał się, co tam zastanie. Czy wszystko, co sobie zaplanował, poszło zgodnie z ustaleniami. Tak długo czekał na ten dzień. Wiele tygodni przygotowań, tak dużo zaangażowanych osób. Jednak to on dokonał tego, czego inni bezskutecznie próbowali. To on zmienił historię i będzie kształtował przyszłość, tak jak zechce, on, Kurt von Mansfeld, chyba że nie dożyje jutra i skończy z kulą w głowie jeszcze tego dnia. Nie było już odwrotu, dzisiejszy dzień zadecyduje o zwycięstwie lub śmierci.

Gdyby kilka miesięcy temu ktoś powiedział, że on, syn arystokraty, jeden z najbliższych współpracowników Hitlera, będzie brał udział w spisku, wyśmiałyby go. Jeszcze niedawno był dumny, że realizuje wizję wielkich Niemiec. Gdy Niemcy zajęli Polskę, a potem Francję w kilka dni, Hitler jawił mu się jako geniusz i Kurt patrzył w niego jak w obraz.

Jako młody oficer Abwehry na placówce I – Abwehrstelle w Królewcu prowadził wywiad wojskowy przeciwko Polsce oraz ZSRR. W wydziale II, Sabotage und Sonderaufgaben sekcja I H Ost – armie wschodnie – wywiad na ZSRR, opracowywał i wykonywał na tyłach wroga zadania dywersyjne i sabotażowe, zakłócanie łączności i komunikacji. Kurt był w tym naprawdę dobry. Mógł wykażać się kre-

atywnością. Osobiście opracował i wdrożył plan Kampf und Sabotageorganisation. Tym samym od lutego 1939 roku tworzył na terenie Polski organizacje bojowe i sabotażowe. Z ludności pochodzenia niemieckiego werbował za pieniądze agentów do budowy baz i akcji sabotażowych. W chwili wybuchu wojny organizacje te niszczyły drogi, węzły kolejowe, budynki użyteczności publicznej i wojskowe. W późniejszej fazie konfliktu chroniły strategiczne zakłady przemysłowe i fabryki, tak by wchodząca armia niemiecka mogła przejmować je w stanie nienaruszonym. Osobiście opracował też plan przetransportowania i zakonserwowania niemieckich komandosów, którzy w przebraniach 1 września brali udział w walkach w Wolnym Mieście Gdańsku, zdobywając między innymi budynek Poczty Polskiej.

Dowódcą wydziału II był wtedy podpułkownik Erwin Lahousen, który będąc pod wrażeniem błyskotliwych pomysłów Mansfelda, szybko go awansował. I przedstawił nawet na jednej z audiencji Führerowi.

Po rozpoczęciu działań przeciwko ZSRR Kurt prowadził podsłuch radiowy, od początku przechytując liczne zaszyfrowane meldunki ze stacji nadawczych. Niestety niemiecki wywiad nie potrafił tych meldunków odszyfrować. Pomógł w tym Mansfeld. Opracował śmiały plan porwania szefa radzieckich agentów, Wiktora Sokołowa alias Kent. Zatrzymano go w Marsylii. Żeby zmusić Sokołowa do mówienia, Mansfeld polecił uprowadzić również jego narzeczoną, Margaret Barczę. Sokołow, aby ratować ukochaną, wyśpiewał wszystko, podał im kod. To, co z meldunków odczytał niemiecki wywiad, było tak cenne, że trafiło prosto na biurko admirała Canarisa. Po tej akcji admirał Canaris, szef Abwehry, osobiście wezwał do siebie Mansfelda i uczynił swoim oficerem sztabowym.

Mansfeld po raz pierwszy zraził się do Hitlera przed ofensywą na Rosję. Przy opracowaniu planu Barbarossa ostrzegwał dowództwo i Führera o błędnych założeniach co do liczebności radzieckich dywizji, które szacowano na dwieście. Mansfeld na podstawie meldunków wywiadu wskazywał na trzysta sześćdziesiąt dywizji, więc prawie dwukrotnie więcej. Ostrzegwał też, że Rosja dysponuje nowymi modelami czołgów – ciężkimi czołgami oraz lekkimi pojazdami o specjalnie zmodyfikowanym pochylonym panczeru. Przedstawił też meldunki potwierdzające produkcję samobieżnych wyrzutni raketowych zwanych organami Stalina. Hitler nie dał jednak wiary tym ostrzeżeniom. Twierdził, że dane o dywizjach są zawyżone, a co do sprzętu, to Rosja nie jest w stanie wyprodukować takiej broni, że to na pewno są tylko prototypy, a nie sprzęt w seryjnej produkcji. Twierdził, że gdyby Związek Radziecki miał takie czołgi czy rakiety, użyłby ich już przeciwko Finlandii czy w Polsce we wrześniu 1939 roku. Hitler zarzucił mu wtedy przesadę, a nawet oskarżył go o sianie paniki wśród oficerów. Mansfeld po raz pierwszy przestał ufać Führerowi. Od tamtej pory uważnie dobierał słowa, a niektóre informacje zatrzymywał dla siebie.

Wiele miesięcy później, kiedy niemiecka ofensywa załamała się pod Moskwą i zakończyła klęską pod Stalingradem, błędne decyzje Hitlera przyplaciło życiem lub niewolą ponad pół miliona niemieckich żołnierzy. Wtedy przestał widzieć w nim geniusza taktyki, a zaczął postrzegać go jako furiata, który zaślepiony swoimi wcześniejszymi zwycięstwami podejmuje nieracjonalne decyzje.

Nie potrafił też zrozumieć ślepej żądzy mordu, z jaką Hitler eksterminował Żydów i ludność z ziem zajętych na Wschodzie. O ile pierwsze czystki na Żydach, pozbawienie praw, wysiedlenia stosowane w Niemczech po objęciu władzy przez Hitlera miały podłoże polityczne i ekonomiczne, które potrafił zrozumieć, to raporty, które dotarły do niego po ataku na Związek Radziecki w 1941 roku, wstrząsnęły nim i przyprowadziły o młodości.

Jako oficer przydzielony do posuwających się w głąb Rosji oddziałów Wehrmachtu otrzymał raport z miejscowości pod Kijowem, która nazywała się Babi Jar. Z raportów wynikało, że Wehrmacht i przemieszczające się za nim grupy operacyjne – Einsatzgruppen, w tym Waffen-SS, dokonywały systematycznych mordów na ludności żydowskiej. 29 i 30 września 1941 roku Niemcy zamordowali tam ponad trzydzieście trzy tysiące osób, głównie Żydów. Rozstrzeliwano bez przerwy przez trzydzieści sześć godzin.

Nigdy nie był antysemitą ani też nie interesował go specjalnie los Żydów czy rasowe pogadanki Hitlera. Było mu to obojętne. Zajęty robieniem kariery, nawet przesadnie się nad tym nie zastanawiał. Jednak tamten raport już wtedy go poruszył i skłonił do refleksji, że też bierze w tym udział. Nie popierał tego, a nawet potępiał bestialskie mordowanie niewinnych cywilów, nie było to jednak dla niego na tyle ważne, by wyrazić, co myśli na ten temat, i narażać swoją karierę.

W miarę awansu w strukturach Abwehry i zyskiwania dostępu do tajnych raportów i dokumentów stało się dla niego jasne, co Hitler rozumiał przez „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. Wie-

dział, co działo się w niemieckich obozach koncentracyjnych rozsiąanych po całej Europie. Zaczęło go to martwić już po klęsce stalingradzkiej i kontrofensywie Rosjan. Armia niemiecka przestała być niezwykciężona, a widmo porażki zaczęło zaglądać w oczy. Teraz klęska Niemiec była już nieuchronna. Było to tylko kwestią czasu. Nie chciał trafić do niewoli jako oficer biorący udział w ludobójstwie.

W rozmowach ze znajomymi wojskowymi na temat końca wojny przejawiał się strach, że zwycięzcy mogą chcieć powiesić wszystkich wysokich rangą oficerów za skalę zbrodni, jakich dokonali Niemcy. Bez względu na to, w jakich formacjach służyli i jaki był w tym ich udział. W jego rozumowaniu było to słuszne i logiczne. Dlatego już od dłuższego czasu bał się, że jeżeli nic nie zrobi, zawiśnie za cały ten bałagan, którego narobili Hitler ze swoimi współpracownikami.

Owszem, mógł, jak inni, spakować zrabowane złoto i z pomocą Watykanu uciec do Argentyny. Jednak urodził się i został wychowany do wyższych celów, a nie do tego, żeby jak pies z podkulonym ogonem zmykał na drugi koniec świata. Wielka Rzesza była już tylko fikcją. Niemcy znajdowały się w punkcie zwrotnym swojej historii, a zarazem przyszłości. On chciał ten moment wykorzystać i zająć należące mu miejsce na czele nowych Niemiec.

O tym, że istnieje coś takiego jak antyhitlerowski ruch oporu, słyszał już dawno, jeszcze w 1939 roku. Było tajemnicą poliszyneła, że grupa generałów i wysokich rangą oficerów przeciwnych Hitlerowi próbuje strącić go z tronu. Później wraz ze zwycięstwami Wehrmachtu rosła siła i władza wodza. Wielu oficerów wycofało się wtedy z opozycji. Część pod wpływem uznania dla jego zwycięstw, a część z powodu wcześniejszych niepowodzeń i strachu przed zemstą Führera. Mówią, że sukces ma wielu ojców, a porażka jest sierotą – tak było i w tym przypadku. W 1943 roku, kiedy Hitlerowi w końcu powinęła się noga pod Stalingradem, nowy ruch opozycyjny przybrał na sile. Spiskowcy pod przewodnictwem generała Henninga von Tresckowa postanowili jak najszybciej i za wszelką cenę usunąć Hitlera oraz podjąć rokowania z aliantami.

Wtedy też Mansfeld, który już wcześniej uczestniczył w nieformalnych tajnych spotkaniach, otrzymał oficjalne zaproszenie do udziału w spisku. Głównym powodem przystąpienia do zмовy było to, że spiskowców aktywnie wspierali Wilhelm Canaris i Erwin Lahousen, jego szefowie i osoby, których poglądy podzielał. Na jego decyzji zaważyło też to, że 19 lutego 1944 roku Canaris został pozbawiony funkcji szefa Abwehry, a wielu oficerów wywiadu zostało aresztowanych pod zarzutem spisku antyhitlerowskiego. Kurta aresztowanie ominęło. Pewnie z powodu wcześniejszych zasług oraz z braku dowodów na jego współpracę ze spiskowcami. W nowych strukturach Abwehry, zreformowanej przez Himmlera i praktycznie pozostającej w jego gestii, nie było już jednak dla niego przyszłości. Z funkcji, jaką sprawował przy boku admirała Canarisa, został zesłany do pracy biurowej i przerzucania papierków. To uraziło jego dumę.

Zaczął więc opracowywać plan przewrotu. Im więcej czasu spędzał na tajnych spotkaniach grupy spiskowców, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jest to banda nieudaczników, którym nawet jeżeli w końcu jakiś zamach się powiedzie, to nie będą w stanie wynegocjować korzystnych warunków pokoju z aliantami. Pomysły i nieudane zamachy zaczęły go irytować. Ostatnia próba dokonana przez von Tresckowa zawiódła z powodu nieodpalenia zamarżniętych zapalników w pakunku w samolocie Hitlera, kolejne podejście w Wilczym Szańcu zostało odwołane przez Stauffenberga, bo nie przybyli Göring i Himmler. Mansfeld nawet pomyślał wtedy, że skoro tyle razy nie udało się zdrowym i sprawnym oficerom, to jak ma tego dokonać ktoś bez połowy palców i oka. „Pewnie znów spierdoli”, podsumowała kolejny plan Stauffenberga. Niemoc i odkładanie decyzji utwierdziły go w przekonaniu, że musi działać sam.

Przygotował plan i przy pierwszej sposobności przedstawił go Canarisowi. Ten początkowo był sceptyczny, nie chciał o tym słyszeć, ale w końcu uległ pod naporem sensownych argumentów. Zaakceptował wszystko. Dał się też przekonać, że to on, Wilhelm Canaris, powinien stanąć na czele nowych Niemiec i prowadzić rozmowy z aliantami. Jako osoba wiarygodna, która już wcześniej deklarowała swój sprzeciw wobec Hitlera, a nie po prostu zmieniła zdanie w obliczu klęski, jak duża część spiskowców. Z zapleczem politycznym i wojskowym Abwehry miała pod swoją komendą żołnierzy w liczbie wielu dywizji.

Canaris miał ponownie stanąć na jej czele i wykorzystując jej wojskowe zasoby, przejąć jednoosobowe dowodzenie. Mansfeld stwierdził w rozmowie z Canarisem:

– W demokrację można bawić się później, a teraz trzeba silną ręką posprzątać ten burdel.



Rozwiązanie to miało jeden najważniejszy aspekt, o którym Mansfeld nie wspominał: że po zamachu i odsunięciu innych od władzy to on w cieniu Canarisa będzie pociągał za sznurki. Co dawałoby mu nieograniczone wpływy.

Jego koncepcja zamachu stanu w dużej części wykorzystywała Walkirię, plan przygotowany przez ludzi skupionych wokół von Tresckowa. Na czele spisku stali Carl Friedrich Goerdeler, prawnik i były burmistrz Lipska, który po udanym puczu miał zostać nowym kanclerzem, oraz generał Ludwig Beck, były szef Sztabu Generalnego – miał on zostać nową głową państwa. Podwaliny zostały położone wcześniej, kiedy to plan operacyjny opracowany przez generała Friedricha Olbrichta chytrze podsunęto do aprobaty Hitlerowi. Powołano tym samym wojska rezerwy do obrony pionu dowodzenia na wypadek zamieszek i starć wewnątrz Niemiec. Zamierzano wykorzystać mobilizację wojsk rezerwy. Miały stać w gotowości i po udanym zamachu zająć dzielnicę rządową w Berlinie oraz aresztować najwyższych przywódców reżimu, dowództwo i innych wysokich oficerów SS oraz gestapo. Działania miały być skoordynowane z innymi miastami w Niemczech oraz w państwach okupowanych, z Paryżem, Wiedniem, Pragą i innymi. Główną postacią w całej tej układance był generał Friedrich Fromm, dowódca Armii Rezerwowej.

Fromm był niczym chorągiewka: to wspierał spiskowców, jak w wypadku podsunęcia Hitlerowi planu Olbrichta, to znów udawał, że o niczym nie wie, w dodatku przestrzegając ich przed podejmowaniem rewolucyjnych działań. Generał miał jednak dziwną słabość do Kurta. To właśnie podczas jednego ze spotkań, na którym był też Mansfeld, zaferował się przedłożyć Hitlerowi plan Olbrichta utworzenia wojsk rezerwy na wypadek desantu aliantów czy buntu kilku milionów robotników przymusowych. Później wielokrotnie zmieniał zdanie w zależności od sytuacji politycznej i militarnej, głównie na froncie wschodnim. Umiejętnie lawirował, to wchodząc w tyłek Hitlerowi, to knując za jego plecami. Zawsze dbając, by jego decyzje nie miały dla niego negatywnych konsekwencji. W obecności Kurta stał się gorliwym zwolennikiem puczu i aprobował wszystkie pomysły spiskowców, potem sprytnie się z nich wycofywał. Krążyły plotki o jego homoseksualnych skłonnościach, być może coś w tym było i Mansfeld faktycznie wpadł mu w oko. Kiedyś nawet po kilku piwach pułkownik von Quirmheim śmiał się, że tylko dzięki Kurtowi Fromm przedłożył papiery Hitlerowi. Mansfeld wolał w to nie wnikać. Na samą myśl, że stary generał chciałby położyć na nim swoje łapy, przechodziły go dreszcze. Tak czy owak Fromm, od którego wiele dzisiaj zależało, był jedną wielką niewiadomą. Nie sposób było przewidzieć, jak zareaguje i po czyjej stronie się opowie. Na wszelki wypadek Kurt przygotował też plan B.

Koła mercedesa żwawo zadudniły po bruku. Nawet nie spostrzegł, że dotarł już do rogatki Berlina. Na peryferiach miasta jak zawsze panował wielki ruch. Wozy, samochody z zaopatrzeniem przemieszczały się w tę i z powrotem, opóźniając przejazd. Po kolejnych kilkunastu kilometrach dojechał do skrzyżowania, na którym patrol zatrzymywał i zawracał nadjeżdżające pojazdy. Była to oznaka wdrożenia planu Walkiria przez jego współpracowników. Podjechał do żołnierzy, zatrzymał samochód i przez odkręconą szybę zapytał:

– Co się dzieje, żołnierzu? Dlaczego blokujecie dojazd do centrum?

– Nie wiem, panie pułkowniku, nic nam nie powiedziano. Wypełniamy tylko rozkazy. Rano ogłoszono mobilizację i przywieziono nas tutaj – odpowiedział żołnierz.

Mansfeld podał mu swoje dokumenty oraz żółtą przepustkę uprawniającą do poruszania się dziś po stolicy. Przepustki zostały wcześniej przygotowane i rozdane wszystkim spiskowcom. Była to swego rodzaju legitymacja uczestników puczu.

Po okazaniu dokumentów ruszył do centrum Berlina. Jeszcze kilka razy zatrzymywały go blokady i żołnierze. Z auta widział, jak miasto się wyludnia. Mieszkańcy, widząc wojskową zawieruchę na ulicach, ukrywali się w domach lub po prostu uciekali z centrum. Niebawem dotarł do berlińskiej centrali spiskowców, przy Bendlerstrasse. Przed budynkiem panował duży ruch wojsk rezerwy oraz cywilnych pracowników. Od razu wypatrzył jednak w tłumie znajome twarze.

Wsiadł z samochodu i natychmiast podeszło do niego kilku oficerów w mundurach Abwehry. Przed nim stanął wysoki mężczyzna o krótkich rudych włosach wystających spod czapki. Miał szelmowski wyraz twarzy, ale jednocześnie nie wiedzieć czemu budził swoim wyglądem zaufanie. Krótko zasalutował i powiedział:

– Dobrze, że pan jest, Herr Mansfeld.

– Witaj, Wernerze. Jak przebiega operacja? Wszystko zgodnie z planem? – zapytał Kurt.

– Niestety nie. Na razie zdołaliśmy obsadzić tylko strategiczne punkty miasta, skrzyżowania, zablokować wejścia i wyjścia z budynków rządowych. Generał Olbricht i kapitan Ulrich Wilhelm Schwerin von Schwanenfeld udali się do generała Fromma, ale ten odmówił współpracy i nie chce wydać rozkazu aresztowania członków rządu – szybko relacjonował Werner.

Poszli od razu po schodach na drugie piętro, do siedziby generała Olbrichta. W korytarzu prowadzącym do jego biura panowały tłok i nerwowa krzątanina.

Jako pierwszy powitał go tam wiceprezydent policji, Fritz Dietlof von der Schulenburg. Wyciągnął rękę, pytając:

– Czy to pewne? Führer rzeczywiście nie żyje? Podobno pan kierował akcją i ma najlepsze informacje?

– Tak, to pewne. Martwi mnie tylko to, że skoro pan jeszcze się waha, to jak mamy przekonać resztę dowódców. Proszę wybaczyć, ale muszę pilnie zobaczyć się z Olbrichtem. – Mansfeld dość szorstko zakończył rozmowę, szybko kierując się do biura generała.

Otworzył drzwi i wszedł do zadymionego pomieszczenia, za nim Werner. W biurze oprócz Olbrichta znajdowali się von Quirnheim, generał Ludwig Beck, Schwerin von Schwanenfeld, Generaloberst Erich Hoepner i von Stauffenberg.

Na widok Kurta grupka, która dotąd prowadziła ożywioną debatę, umilkła. Pierwszy w jego stronę ruszył Olbricht ze słowami:

– Dobrze, że pan jest. Powie nam pan, co się, do cholery, dzieje, bo poza telefonem od generała Oстера o śmierci Hitlera i rozkazie mobilizacji oddziałów rezerwowych nic więcej nie wiemy. Pan wie, że niewiedza oznacza chaos.

– Panowie, najważniejsze, że tyran i szaleniec prowadzący Niemcy w otchłań został usunięty. Sposobność do zamachu pojawiła się nagle i nie mogłem was wcześniej uprzedzić – odpowiedział Mansfeld.

– Bzdura! Jak mógł pan nie wiedzieć o czymś takim wcześniej?! To wymagało wielkich przygotowań, wyboru ludzi! – Stauffenberg rzucił się na Kurta niczym wściekły pies. Jego jedyne oko nabrzmiało tak, jakby za chwilę miało wypaść z oczodołu, a głos rwał się z podenerwowania.

– Tak, to prawda. Herr Oberst ma rację, powinien był pan nas powiadomić o swoich zamiarach. Działanie na własną rękę jest niedopuszczalne! Bez porozumienia z nami wszystkimi! – zawtórował Stauffenbergowi generał Beck, zanim na głowę Kurta posypały się kolejne krytyczne głosy innych zgromadzonych w pokoju puczystów.

Mansfeld spojrział na nich i pomyślał, iż miał rację, biorąc ich za karierowiczów walczących o stołki pod przykrywką patriotyzmu. Zamiast gratulować mu udanego zamachu, martwili się tylko, że tracą kontrolę nad sytuacją. Ale tego przecież się spodziewał. Miał przed sobą dwie frakcje walczące o władzę. Jedną reprezentowali starzy politycy i generałowie, jak Goerdeler czy Beck, a druga to Stauffenberg popierany przez młodych oficerów Wehrmachtu. Ten ostatni był też najbardziej niezadowolony z dzisiejszego zamachu. Cały czas planował, że to on zabije Hitlera i cały splendor, uznanie oraz chwała spłyną na jego osobę. Marzyło mu się, że po bohaterskim czynie z poparciem młodych z Wehrmachtu w końcu uda mu się zostać przywódcą pohitlerowskich Niemiec. Był zawiedziony sukcesem Kurta i nawet nie próbował tego ukryć.

„Jakże są żałośni”, pomyślał Mansfeld, który wiedział, że spiskowcy mają już nawet od jakiegoś czasu wydrukowane listy objaśniające, kto i jakie funkcje ma objąć w nowym rządzie. Wybrali też rzecznika rządu, choć Hitler nadal twardo rządził krajem. „To doprawdy żałosne”, pomyślał raz jeszcze, po czym zwrócił się do zebranych:

– Rozumiem wasze zdenerwowanie, ale naprawdę nie było innego wyjścia. Wszystko rozegrało się tak szybko. Później wam dokładnie wyjaśnię, a teraz zajmijmy się operacją. Czas nagli, liczy się każda minuta. Jak rozwija się plan? Słyszałem, że generał Fromm odmówił współpracy i wydania rozkazu aresztowania.

Po jeszcze kilku nerwowych uwagach grupka w końcu ucichła, a Olbricht zaczął relacjonować sytuację.

– Po ogłoszeniu mobilizacji udaliśmy się do Fromma. Poinformowaliśmy o zamachu i poprosiliśmy, żeby do nas dołączył i wydał rozkazy. Generał jednak wściekł się, że podrobiliśmy jego rozkaz mobilizacji. Wpadł w szal i histerię. Nie chciał wierzyć, że Hitler nie żyje. Zaczął biegać, krzyczeć, że wszyst-

kich powieszają i przez nas jego też – opowiadał generał, który chyba jako jedyny w całym pokoju był uczciwy i cieszył się z sukcesu.

– Mogliście powiedzieć, żeby zadzwonił do Berghofu i to potwierdził – powiedział Mansfeld.

– Tak zrobiliśmy. Zadzwonił, ale tam oficer łącznikowy powiedział mu, że ma zakaz udzielania informacji. Potem zadzwonił do Goebbelsa, ale on też nie potwierdził śmierci Hitlera. Minister nie chciał z nim rozmawiać, przekazał, że jest zajęty. Dlatego generał Fromm nabrał podejrzeń, że to kolejna nieudana próba – kontynuował Olbricht.

– Gdzie on teraz jest? – zapytał Mansfeld.

– Nie mając wyjścia, aresztowaliśmy go w jego własnym biurze. Siedzi tam zamknięty pod strażą – odpowiedział generał.

– Może pan by z nim porozmawiał? – nieśmiało rzucił von Quirnheim.

„Jak trwoga to do Boga”, pomyślał Mansfeld. Przeszło mu też przez myśl, że stary lis Fromm odstał teatr, żeby spokojnie poczekać w swoim biurze i bezpiecznie obserwować, kto zakończy dzień w gronie wygranych. Dlatego chciał się z nim zobaczyć dopiero w ostateczności.

– Jeżeli będzie to konieczne, tak zrobię. Mam jednak inny pomysł. – Odwrócił się do Olbrichta. – Kto miał zająć dzielnicę rządową i dokonać aresztowań?

– Berliner Wachbataillon majora Ernsta Remera. Ten powiedział, że nie wykona rozkazów, dopóki nie dostanie ich osobiście od generała Fromma. Interweniował nawet Oberst Stauffenberg jako szef sztabu Armii Rezerwowej, lecz to też nie odniosło skutku.

– Gdzie jest major Remer?

– Nadal na placu obok Bendlerblocku – poinformował von Quirnheim.

– W takim razie udam się do niego i spróbuję z nim porozmawiać – rzekł Mansfeld. – Proszę mnie jeszcze tylko poinformować, jak przebiegają inne założenia operacji. Wiem już, co się nie powiodło. – Tu spojrzął na Stauffenberga. – A co udało się już przeprowadzić?

– Po tym, jak von Quirnheim rozesał telegram do regionalnych dowódców o treści: „Führer Adolf Hitler nie żyje”, wszczęto umówione działania w Paryżu, Wiedniu i Pradze. Rozpoczęto tam aresztowania oficerów SS i gestapo. Oddział majora Friedricha Jacoba zajął siedzibę radia przy Masureenallee. Jak ustalono wcześniej, czołgi ze szkoły oficerskiej w Poczdamie przybyły do Berlina i zajęły pozycje na głównych drogach wjazdowych do miasta.

– Czyli reszta idzie zgodnie z planem – ucieszył się Mansfeld. – W takim razie pozostało nam jeszcze najważniejsze. Musimy zająć dzielnicę rządową i aresztować Himmlera, Goebbelsa, Göringa i ich oficerów, zanim zdołają przeprowadzić kontruderzenia jednostkami SS. Proszę działać dalej, a ja udam się do majora Remera.

Ruszył w stronę drzwi, żeby jak najszybciej zakończyć swoją wizytę w gabinecie spiskowców. Najlepsze zachował na koniec.

– Mam dla panów dobrą wiadomość. Admirał Canaris postanowił nas osobiście wspomóc w walce z reżimem i przybyć dziś do Berlina. Powinien tu być lada chwila.

– A po co on tutaj? – wyszczał przez zęby Stauffenberg, po czym zamilkł, ponieważ zrozumiał, że tylko on powiedział na głos to, co wszyscy pomyśleli.

– Proszę ważyć słowa, Herr Oberst. Admirał Canaris działał w opozycji i próbował obalić Hitlera, kiedy pan jeszcze wiernie służył Führerowi. To, że jesteśmy tu w tej chwili, zawdzięczamy admirałowi. Na drugi raz proszę się zastanowić, zanim pan coś palnie – zbeszał go Mansfeld, po czym wyszedł i trzasnął drzwiami.

Za nim wysunął się Werner. Ponownie precyzyjnie się przez tłum wojskowych i urzędników w budynku biegających nerwowo z meldunkami i rozkazami. Gdy wyszli na zewnątrz, Werner zapytał:

– Co teraz?

– Teraz musimy przekonać majora Remera – odparł Mansfeld, po czym szybkim krokiem udali się do zaparkowanego mercedesa.

Kurt włączył silnik i spytał:

– Gdzie stacjonujecie?

– Zaparkowaliśmy na Friedrichstrasse, dwie ulice dalej. – Werner wskazał ręką kierunek.

Mansfeld ruszył ostro z miejsca, szybko przebył dwie przecznice i skręcił w prawo. Wjechałszy w uliczkę, zobaczył zaparkowane po prawej stronie dwie wojskowe ciężarówki. Przejechał powoli koło wojskowych opli, których kierowcy na znak Wernera odpalili silniki i ruszyli za mercedesem.

Przedziwiny konwój przejechał jeszcze trzy ulice i skręcił na plac przy dzielnicy rządowej, gdzie stajonował major Remer ze swoim batalionem.

Mansfeld zajeżdżał tam i zgasił silnik. Za nim zatrzymały się ciężarówki. Wysiadł z samochodu. Przed nim, na środku placu, stał w szeregach jak do apelu batalion Armii Rezerwowej. Sam Remer po drugiej stronie dziedzińca przechadzał się wolnym krokiem.

Na batalion – w czystych lśniących mundurach prosto z magazynu – składała się zbieranina rekrutów ze szkół wojskowych, personel jednostek zapasowych, zasilony rannymi i chorymi żołnierzami, którzy wrócili niedawno z frontu i przeszli rekonwalescencję w szpitalach. Tylko ci ostatni brali udział w prawdziwej walce i mieli doświadczenie na froncie. Stanowili jednak mały odsetek. Reszta tej dziwnej armii prezentowała raczej niewielką wartość bojową.

Mansfeld szedł środkiem placu, patrząc na twarze żołnierzy. Można było stwierdzić, że większość z nich nie miała jeszcze osiemnastu lat. „Powinni być teraz w szkole”, pomyślał.

Podszedł do majora, zasalutował i powiedział:

– Panie majorze, melduje się Oberst Kurt von Mansfeld. Przybyłem tu z polecenia admirała Canarisa. Czy możemy porozmawiać na osobności?

Remer objął chłodnym wzrokiem Mansfelda i jego oddział, który tymczasem wyskakiwał z ciężarówek po drugiej stronie placu. Przez chwilę jakby się zastanawiał, w końcu wykonał ruch ręką, wskazując wejście do budynku za sobą i dając tym samym znak, by Mansfeld podążył za nim. Nie wiadomo, czy przekonał go wyższy stopień rozmowcy, czy jego oddział właśnie wypakowujący się z ciężarówek. Skutek był taki, że obaj zniknęli w środku.

Komandos Mansfelda leniwie jeden po drugim wyskoczyli z ciężarówek, zajmując miejsce na placu jakieś dwadzieścia metrów od eleganckiego i idealnie wyprasowanego batalionu Remera. Wzbudzili w tych drugich zainteresowanie, a jednocześnie wywołali dreszcz swoim wyglądem. Przypominali bandę rabusiów, która wychodzi raz na jakiś czas z leśnych ostępów na gościniec i napada na przejezdnych. W brudnych, postrzępionych mundurach, na których jeszcze znajdowało się błoto z rosyjskich dróg, tynk z budynków Charkowa i krew ich martwych kolegów. Mundury maskujące, które wyszły z fabryki dopasowane do rosyjskiej scenerii, teraz miały kolory upodobniające je właściwie do każdego otoczenia. Po powrocie z Rosji mogli je wymienić na nowe, lecz uczyniło to tylko kilku, a reszta, czy to z lenistwa, czy też traktując je jako talizman, miała je na sobie nadal. Pod hełmami i czapkami widniały ponure twarze o zimnych oczach, nierzadko gęsto zarośnięte. Poorane brudami od prochu, wiatru i przeroźliwego mrozu, jakiego doświadczyli na froncie wschodnim. W porównaniu z rosyjską kampanią dzisiejsza akcja była niczym majowa wycieczka. Gdy w 1941 roku skakali ze spadochronami jako piąta kolumna, wcielając w życie plan Barbarossa, byli pełni zapału po kampanii wrześniowej. Żądni wrażeń i gotowi wykonać każdy, nawet najniebezpieczniejszy rozkaz dla chwały swojej, Führera i Niemiec. Za linią frontu zdobywali mosty, lotniska, węzły kolejowe, elektrownie – w spektakularnych akcjach. Teraz z tego ognia nie zostało już nic. Tylko chęć przeżycia, doczekania końca wojny za wszelką cenę.

Wyruszało do Rosji w liczbie pułku, teraz została ich jedynie garstka. Wszyscy zawdzięczali życie jednej osobie, swojemu dowódcy, von Mansfeldowi. Kiedy ich oddział, zdziiesiątkowany po wielu miesiącach krwawych walk w głębi Rosji, dostał rozkaz wyjazdu do zimowego obłożenia Stalingradu, Mansfeld wiedział, co ich czeka. Sfałszował rozkaz przełożonego i wysłał kilkudziesięciu szczęśliwców do domu, do Niemiec. Gdyby nie to, trafiliby do stalingradzkiego kotła, gdzie pewnie w najlepszym wypadku zamarzliby w okopach, a w najgorszym pozjadali się nawzajem z głodu. Wiedzieli, że zawdzięczają mu życie, teraz poszliby za nim w ogień. Nie było rozkazu, którego by nie wykonali.

Każdy z nich przeszedł piekło i tak też wyglądali: jakby właśnie wrócili z królestwa Lucyfera. Każdy wyróżniał się na swój sposób. Młodzi chłopcy Remera ukradkiem rzucali spojrzenia w stronę wojska, takiego jeszcze nie widzieli. Patrząc na nich, młodzieńcy byli prawie przekonani, że to piekielne zastępy dzisiejszego poranka przybyły do Berlina. Na przedzie stał Heinrich Heckman, syn szewca z Kolonii, który, o ironio, na wschodniej kampanii zdarł swoje wojskowe buty, tak że przez dziury wlewała się woda. Pewnie chodziłby jak szewc bez butów, gdyby nie ściągnął ich zabitemu niemieckiemu oficerowi. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że zrobił to, odrąbując siekierą zamarznętą nogę truposza i wydłubując resztki stopy z buta nożem, podczas gdy siedział z innymi przy ognisku.

Obok niego stał Markus Langer, z naszymi z naszyjnikami z ludzkich uszu na piersi. Były to trofea po zabitych w walce wręcz czerwonoarmistach. Dalej Kurt Klimke z charakterystyczną czerwoną twarzą, bez

lewego ucha, które tak samo jak lewą dłoń amputowano mu z powodu odmrożeń ostatniej zimy na froncie wschodnim. Każdy z członków oddziału był swoistym egzemplarzem i odbiciem indywidualnych tragicznych przeżyć operacji Barbarossa. Jedną cechą mieli jednak wspólną: wszyscy byli uzbrojeni po zęby. W najnowsze pistolety maszynowe MP 40, FG 42 Fallschirmjägergewehr, specjalne karabiny dla spadochroniarzy, karabin samopowtarzalny Gew 43, Stg 44 (Sturmgewehr), karabin automatyczny na nabój pośredni kaliber 7,92 mm, dwa karabiny maszynowe MG 42, raketowe granatniki przeciwpancerne kalibru 88 mm Panzerschreck, a także mnóstwo Eihandgranate 39 oraz najnowszą zabawkę przeciw czołgom dla piechoty Panzerwurfmine, czyli granat przeciwpancerny z ładunkiem kumulacyjnym zdolnym przebić pancierz średniego czołgu. Każde wojsko na taki widok wołałoby zejść im z drogi, można było więc sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarli na członkach Armii Rezerwowej i ich dowódcy.

Tymczasem Mansfeld z majorem Remerem przeszli przez ciemny, nieoświetlony korytarz, na końcu którego znajdowały się drzwi. Major je otworzył i weszli do małego biura, które zajął na czas operacji.

Usiadł za niewielkim, prowizorycznym biurkiem, kurtuazyjnym gestem poprosił Mansfelda, by zajął miejsce naprzeciw niego, i od razu przeszedł do rzeczy:

– Nie zrobię nic bez wyraźnych pisemnych rozkazów od generała Fromma.

– Nie wiem, co ma pan na myśli, ale jak już pan słyszał, Niemcy znalazły się dziś nad przepaścią. Führer zginął w zamachu przygotowanym przez spisek antynarodowosocjalistyczny. Na szczęście Abwehra przeprowadziła błyskawiczne śledztwo, w trakcie którego udowodniono, że przywódcami zamachu stanu są najwyżsi członkowie rządu oraz wysocy oficerowie SS i gestapo. W ramach szeroko zakrojonych kontrewolucyjnych działań panu przypadł obowiązek i zaszczyt aresztowania głównych osób odpowiedzialnych za zamordowanie naszego wodza Adolfa Hitlera.

Remer otworzył usta i chciał coś powiedzieć, lecz Mansfeld zdecydowanym ruchem ręki dał mu do zrozumienia, żeby nie przerywał.

– Zanim pan coś powie, majorze, chciałbym przedstawić panu, jak wygląda sytuacja. – Sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną na pół kartkę, którą rozpostarł na biurku przed majorem. – To jest pańska nominacja na stopień pułkownika, osobiście podpisana dziś rano przez admirała Canarisa. W tym momencie musi pan podjąć ważną decyzję. Pozostały nam tylko dwie opcje. – Mansfeld zrobił dłuższą pauzę. – Przyjmuje pan nominację i wypełni obowiązek względem Rzeszy i admirała Canarisa albo będę musiał pana zastrzelić. – Mówiąc to, Kurt odpiął kaburę i położył dłoń na rękojeści lugera.

Major Remer, który był człowiekiem wyjątkowo odpornym na stres, zmierzwił rozmówcę wzrokiem wytrawnego pokerzysty, oceniając, czy ten blefuje. Potem bez słowa powoli wziął dokument do ręki i zaczął czytać. Po chwili zapytał:

– Gdzie jest teraz generał Fromm?

– Obecnie jest niedysponowany. Obawiam się, że będzie musiał pan podjąć decyzję sam – odpowiedział Mansfeld.

– Muszę przyznać, że ma pan wyjątkowy dar przekonywania, Herr Mansfeld. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak przyjąć nominację admirała. Proszę powiedzieć, co mam robić. Jakże są dokładne rozkazy?

– Od tej chwili aż do zakończenia akcji będzie pan podlegał bezpośrednio admirałowi Canarisowi i mnie. Trzeba jak najszybciej zająć dzielnicę rządową i aresztować przywódców spisku, zanim skontaktują się z wiernymi dywizjami SS. Przybyły ze mną oddział majora Wernera będzie panu towarzyszył podczas aresztowań w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Major Werner będzie służył panu pomocą w przypadku oporu ze strony SS.

– Jak pan sobie życzy. – Remer złożył dokument awansujący go na pułkownika i włożył do kieszeni. Razem ruszyli do wyjścia.

Na dziedzińcu Mansfeld podszedł do Wernera.

– Wszystko załatwione. Pojedzie pan z majorem do siedziby SS i pomoże w razie problemów. Proszę też patrzeć mu na ręce, żeby nas czymś nie zaskoczył. Ja wracam teraz do centrali w Bendlerblock. Dalej proszę działać zgodnie z planem, spotkamy się po zakończeniu operacji.

– Tak jest, Herr Mansfeld – odpowiedział Werner.

Kurt wszedł do samochodu i ruszył w stronę centrali spiskowców. W lusterku widział, jak oddział Wernera oraz batalion majora Remera opuszczają plac i kierują się do dzielnicy rządowej. Po kilku minutach dotarł na miejsce. Przed budynkiem na Bendlerstrasse gromadził się coraz większy tłum. Byli

to głównie żołnierze domagający się wyjaśnień. Schodziło się coraz więcej ludzi, tak że wartownikom trudno już było ich powstrzymać przed wtargnięciem do budynku. Mansfeld siłą przebił się przez ciżbę i wszedł do środka. Od razu skierował się do biura Olbrichta.

Na miejscu zastał samego generała, von Quirnheima i Stauffenberga.

– Rozmawiałem z majorem Remerem i skłoniłem go do współpracy. Właśnie powinien dokonywać aresztowań w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych – poinformował zebranych.

– To dobra wiadomość. Trzeba jak najszybciej aresztować Himmlera i Goebbelsa. Wtedy reszta dowódców na pewno przejdzie na naszą stronę – stwierdził von Quirnheim.

– Generał Erich Hoepner chwilowo zastąpił generała Fromma, ale dowódcy niektórych regionów nie chcą wykonywać jego rozkazów – powiedział Olbricht. – Na szczęście generał Karl Heinrich von Stülpnagel w Paryżu i pułkownik Heinrich Kodré w Wiedniu aresztowali już członków SS. To potwierdzone. Niedługo ma przybyć feldmarszałek Erwin von Witzleben, żeby osobiście telefonować do dowódców dywizji. Na razie mamy za sobą tylko 7. i 15. Armie w północnej Francji. Nie mamy łączności z generałem Blaskowitzem dowodzącym na południu Francji 1. i 19. Armia. Podobnie nie ma kontaktu z Georgem von Küchlerem z Grupy Armii Północ. Właściwie tylko kilka pojedynczych dywizji na południu meldowało swoją gotowość. Kontakt z innymi na razie jest niemożliwy. Żaden z dowódców nie chce się wychylać, dopóki nie będzie miał rozeznania w sytuacji. Nawet ci, którzy wcześniej deklarowali współpracę, teraz chowają głowę w piasek – kontynuował opis postępów operacji.

– Pańscy oficerowie podjęli działania? – Mansfeld zwrócił się do milczącego Stauffenberga.

– Tak, w większości wykonali swoje zadania, ale dowodzą tylko mniejszymi odcinkami i ośrodkami. Dopóki dywizje frontowe nie przejdą na naszą stronę, nie można mówić o sukcesie operacji – odpowiedział Stauffenberg.

W tej chwili na korytarzu powstał jakiś hałas i zamieszanie. Quirnheim wyszedł sprawdzić, co się dzieje. Po chwili wrócił i poinformował o przyczynie zamętu:

– Podobno admirał Canaris godzinę temu wylądował na lotnisku Rangsdorf. Wkrótce ma być u nas.

– Dobrze, w takim razie chodźmy go przywitać – powiedział Olbricht, po czym cała trójka skierowała się ku wyjściu. – Pan nie idzie? – zapytał zdziwiony Mansfelda, widząc, że ten nadal siedzi wygodnie w fotelu.

– Nie, rozmawiałem z admirałem dziś rano. Lepiej zostanie tutaj i będę nadzorował przychodzące meldunki – odpowiedział Kurt.

– Jak pan woli, może faktycznie tak będzie lepiej. – Olbricht skinął głową i wyszedł.

Budynek powoli się wyludniał, ponieważ prawie wszyscy chcieli zobaczyć i przywitać admirała Canarisa. Zostały tylko osoby funkcyjne w pokoju łączności. Mansfeld wstał, wyszedł z biura i podążył do sekretarki Olbrichta siedzącej przy biurku przed jego drzwiami. Popatrzył na młodą kobietę w obcisłej garsonce i o dużych, namiętych ustach, po czym zapytał:

– Fräulein Rita, czy może pani coś dla mnie zrobić?

Blondynka spojrzała na niego, rumieniąc się uroczo.

– Czego pan sobie życzy, Herr Mansfeld? – odpowiedziała, figlarnie przewracając oczami.

– Proszę mi zrobić kawę i przynieść do pokoju łączności.

– Z cukrem czy ze śmietanką?

– Gorzką. Pani jest zbyt słodka, żeby jeszcze dosładzać – odparł Mansfeld.

– Jak pan sobie życzy – zachichotała Rita, jednocześnie rozglądając się, czy nikt ich nie słyszy. – Spotkamy się wieczorem? – spytała.

– Dziś chyba nie dam rady. – Kurt pokręcił głową.

– Pan nie da rady? Niemożliwe! – Odpięła górny guzik koszuli i odsłoniła obfity, seksowny biust.

– Dziś tylko kawa – rzucił Mansfeld i ruszył do pokoju łączności.

Ritę uwiódł i zwerbował kilka miesięcy temu. Właściwie nawet trudno nazwać to werbunkiem. Po prostu spotykają się, kiedy on jest w Berlinie. W pokoju 409 hotelu Kempinski po seksie Rita opowiada mu, co się dzieje w biurze szefa. Wszystkie papiery przechodzą przez jej ręce, więc Mansfeld zna każde posunięcie spiskowców.

Tymczasem zebrani na dole przed budynkiem puczyści wraz ze zgromadzonymi żołnierzami i tłumem ciekawskich gapiów wyczekiwali przybycia admirała Canarisa. Nie musieli długo czekać, gdyż nagle dał się słyszeć warkot zbliżających się pojazdów, a ziemia pod ich stopami zaczęła drżeć. Po

chwili wyłonił się konwój, w którym jechał admirał. Na przodzie podążały dwa Leichter Schützenpanzerwagen Sd.Kfz., lekkie półgąsienicowe transportery opancerzone. Za nimi sunęły dwie limuzyny mercedesa, wioząc za kuloodpornymi szybami Canarisa i świtę jego oficerów. Potem można było naliczyć kilkanaście ciężarówek wyładowanych żołnierzami, a konwój zamykało sześć czołgów typu Panzerkampfwagen V Panther. Ku zdziwieniu wszystkich konwój, nie zatrzymując się, przemknął z szybkością 45 kilometrów na godzinę po Bendlerstrasse i zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Ten swoisty pokaz siły wywarł wielkie wrażenie na zgromadzonych. Taki też był jego cel. Ponad pół tysiąca żołnierzy Division Brandenburg, dywizji do zadań specjalnych Abwehry, przez tydzień sprowadzano w tajemnicy pod Berlin z całej Europy. Małymi grupami, w porozumieniu z zaufanymi i lojalnymi wobec Canarisa dowódcami. Do wieczora do stolicy miały przybyć jeszcze ponad dwa tysiące żołnierzy z oddanej admirałowi dywizji. Jako ostatnie koleją przyjechały pantery, które były podarunkiem prosto z frontu zachodniego od generała Erwina Rommla.

Kiedy pojazdy zniknęły za rogiem następnej ulicy, zszokowani i jednocześnie wściekły spiskowcy z generałem Beckiem na czele ruszyli z powrotem na drugie piętro budynku w poszukiwaniu Mansfelda. Znaleźli go w pokoju łączności i od razu zasypali setką pytań i pretensji, że ponownie nie byli powiadomieni o sytuacji. Pierwszy do ataku ruszył generał Beck:

– Herr Mansfeld, dlaczego nie wiedzieliśmy o przybyciu tak dużych oddziałów do Berlina i gdzie, do cholery, udał się admirał Canaris?

– Nie mam zielonego pojęcia. Panowie, wiem tyle co wy i jestem tak samo zdziwiony – odpowiedział Mansfeld, który oczywiście doskonale o wszystkim wiedział, ponieważ to on zaplanował każdy ruch Canarisa oraz mobilizację komandosów Abwehry w celu przejęcia berlińskiego tronu. Wiedział też, że admirał zmierza do siedziby radia przy Masureenallee. Wolał jednak przed Beckiem i innymi udawać zaskoczonego, żeby go nie zamęczali. Byli na niego wystarczająco źli z powodu niepowiadomienia o dacie zamachu. – Admirał Canaris na pewno niedługo zobaczy się z panami i wszystko wytłumaczy – kontynuował, postanawiając szybko zmienić temat. – Naszym głównym problemem jest teraz brak odpowiedzi ze strony dywizji frontowych. Tylko część generałów jasno opowiedziała się po naszej stronie. Większość nadal jest niezdecydowana. Nie mówiąc już o dywizjach SS, które na pewno będą wierne Himmlerowi. Oberst Stauffenberg, proszę jeszcze raz osobiście skontaktować się z frontowymi oficerami pańskiej organizacji.

Jeszcze przez chwilę debatowali, jak skłonić niepewnych generałów do odpowiedzi, kiedy do pokoju wszedł młody oficer i włączył odbiornik, mówiąc:

– W radiu ogłosili, że za chwilę z odezwą do narodu wystąpi admirał Canaris.

Generał Beck i inni ponownie wybuchnęli. Jak Canaris może bez uzgodnienia z nimi przemawiać w radiu?! Chyba najbardziej zdenerwowało ich jednak to, że sami na to nie wpadli, już od kilku godzin mając do dyspozycji siedzibę berlińskiego radia.

Cały zgiewek i hałas nerwowej dyskusji ucichł, kiedy z głośników popłynął głos admirała Canarisa:

*Rodacy! Nasz Führer Adolf Hitler nie żyje. W tym czarnym dniu musimy być silni i zjednoczeni jako naród. Za tym haniebnym zamachem stoją pełniący najwyższe funkcje politycy, oficerowie SS i gestapo. Osobiście stanąłem na czele kontrrewolucyjnych sił i przysięgam, że zrobię wszystko, by osoby za to odpowiedzialne zostały ukarane. W związku z dzisiejszymi wydarzeniami władzę ustawodawczą i wojсковą przejmują Abwehra wraz z Armią Rezerwową. Do czasu zażegnania niebezpieczeństwa, które zawisło nad naszą ojczyzną, będę pełnił funkcję naczelnego wodza. Niech Bóg będzie z nami!*

Głos admirała ucichł, a w pokoju nastała cisza i atmosfera tak zgęstniała, że można by ją kroić nożem. Generał Beck zrobił się tak czerwony na twarzy, jakby za chwilę miał dostać udu. Od razu rozgorzała awantura, która oczywiście skupiła się na osobie Mansfelda.

– Nie takie były ustalenia, przecież to ja miałem być nowym kanclerzem! – wrzeszczał generał Beck.

– Panie generale, widocznie admirał uznał, że powiadomienie o śmierci Hitlera i o tym, kto teraz przejął władzę, będzie dobre dla operacji – odpowiedział Mansfeld. – Na pewno jest to tymczasowe i nie musi się pan martwić o swój urząd – ściemniał.

– Przecież to samowolka Canarisa i jawny zamach stanu! – krzyczał dalej Beck, nie mogąc się uspokoić.

– Panie generale, zamach stanu w zamachu stanu? Proszę nie wygadywać bzdur – parsknął Mansfeld.

Oczywiście jeszcze bardziej rozsierdził tym Becka.

Na szczęście dla Kurta sytuację uratowała lawina meldunków przychodzących od kolejnych generałów i dowódców frontowych oddających się pod rozkazy admirała Canarisa. Przemówienie odniosło zamierzony skutek i na chwilę przechyliło szalę zwycięstwa na stronę puczystów. Wiadomość o tym korzystnym zwrocie akcji trochę uspokoiła grupkę spiskowców.

W końcu operacja weszła na właściwe tory i zaczęła nabierać rozpędu. Wszyscy w centrum operacyjnym skupili się na nawiązywaniu łączności z poszczególnymi ośrodkami. Czas mijał szybko, a w całym budynku słychać było tylko telefony, dalekopisy, krzątanie oficerów oraz personelu pomocniczego.

Zaczął zmierzchać, kiedy do budynku wszedł major, a właściwie teraz już pułkownik Remer. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami udał się do Mansfelda i chciał zdać mu relację z przeprowadzonej akcji. Ten jednak zabrał go do biura i poprosił, żeby przedstawił sytuację wszystkim zainteresowanym.

– Według rozkazów udałem się na Wilhelmstrasse, by w pierwszej kolejności zająć najważniejsze powierzone mi budynki rządowe – relacjonował świeżo upieczony pułkownik. – Wysłałem oddziały do Nowej Kancelarii Rzeszy, Urzędu Spraw Wewnętrznych, Ministerstwa Komunikacji oraz Ministerstwa Lotnictwa, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Oświecenia Publicznego i Propagandy Rzeszy. We wszystkich tych urzędach operacja przebiegła sprawnie. Dokonano aresztowań urzędników według podanych mi wcześniej wytycznych. Ja natomiast osobiście razem z majorem Wernerem pojechałem do Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Tam napotkaliśmy opór esesmanów, którzy zabarykadowali się w budynku i otworzyli do nas ogień. Odpowiedzieliśmy ogniem, a major Werner ze swoimi ludźmi przypuścili szturm na budynek. Po szybkiej i sprawnej akcji obiekt został zdobyty, a wszyscy esesmani zatrzymani. Poza tymi, którzy zostali zastrzeleni podczas szturmów przez pańskich ludzi. – Tu spojrzął na Mansfelda. – Muszę przyznać, że oddział majora Wernera okazał się bardzo pomocny i byłem pod wrażeniem ich działania.

– Zatrzymaliście Himmlera? – Nie wytrzymał Stauffenberg, chcąc się dowiedzieć najważniejszego.

– Niestety nie. Reichsführer zapadł się pod ziemię. Przeszukaliśmy cały obiekt, ale nigdzie go nie było – odpowiedział Remer.

– Może ukrył się gdzieś w budynku? Przepytałeś jego ludzi? – zapytał Mansfeld.

– Tak, dokładnie wypytałem cały personel. Twierdzą, że Reichsführer wyjechał z Berlina dziś przed południem.

– Jest pan pewien? Może kłamali? – dążył Mansfeld.

– Pytałem kilkakrotnie. Potem major Werner przestrzelił kolana dwóm esesmanom i pytał ponownie. Odpowiedź była taka sama, więc raczej nie kłamali i Himmlera już tu nie ma – odpowiedział Remer. – Udało nam się jednak zatrzymać ministra propagandy Goebbelsa, ministra lotnictwa Hermanna Göringa, Alberta Speera, ministra sprawiedliwości Ottona Thieracka, ministra do spraw wyżywienia i gospodarki rolnej Herberta Backego, ministra gospodarki Rzeszy, prezesa Reichsbanku Walthera Funka, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Kaltenbrunnera i wielu innych członków rządu oraz oficerów SS i gestapo. Wszyscy zgodnie z rozkazami zostali odeskortowani na dziedziniec Bendlerblocku. Grossadmiral Karl Dönitz został zatrzymany oddzielnie i przewieziony w miejsce odosobnienia zgodnie z zaleceniami.

– Dziękuję, Herr Oberst. Dobrze przeprowadzona akcja. Proszę nas teraz zaprowadzić do zatrzymanych – zwrócił się do Remera Mansfeld.

– Tak, oczywiście. Proszę za mną.

– Stauffenberg, czy uda się pan ze mną do aresztantów? – zapytał Kurt.

– Oczywiście – odpowiedział Stauffenberg, od razu ruszając za nim.

Dołączył do nich jeszcze porucznik Werner von Haeften, adiutant Stauffenberga. Reszta spiskowców, czy to ze zmęczenia, czy kierowana innymi pobudkami, postanowiła zostać w budynku.

Kiedy szli ciasnym korytarzem, Mansfeld zbliżył się do Stauffenberga i cicho powiedział:

– Rozumiem, panie pułkowniku, że co do dalszych wydarzeń jesteśmy zgodni?

– Tak. Dziś nasze opinie wielokrotnie się różniły, ale akurat w tej kwestii się zgadzamy – odparł Stauffenberg.

Szybko znaleźli się na dziedzińcu, gdzie w otoczeniu kordonu wojska znajdowało się ściśniętych około stu zatrzymanych przez pułkownika Remera osób. Nawet tutaj zachowali jednak hierarchię i na przedzie stali Göring, Goebbels i Speer.

Gdy zobaczyli przybyłych, ożywili się.



– Co tu się, do cholery, wyprawia? Mogłem się domyślać, że to wy za tym stoicie! – krzyczał Goebbels, ujrawszy Stauffenberga i Mansfelda. – Jak śmiecie?! Rozkazuję natychmiast nas uwolnić albo staniecie przed plutonem egzekucyjnym! – wrzeszczał jak opętany. Nawet w tej chwili stosował swoją retorykę i chciał być rzecznikiem innych. Kuśtykał gorączkowo przed pilnującymi żołnierzami na swojej zdeformowanej nodze. Rzucił się tak, że stalowa obręcz, którą nosił, wcisnęła mu się w ciało do krwi, przez co jego głos nabrał jeszcze bardziej donośnego i piskliwego tonu. – Co z moją żoną i dziećmi?! – krzyczał, jak zwykle gestykułując rękami.

Inaczej zareagował Göring, który jak na taką sytuację był wyjątkowo spokojny.

– Zdrajcy! Jak mogliście zamordować Führera?! – rzucił tubalnym głosem. – Himmler was wszyskich powywiesza na berlińskich latarniach!

Speer stał ze zwieszoną głową, nic nie mówiąc.

– Panie pułkowniku, zechce pan przemówić do aresztantów, a ja w tym czasie porozmawiam z pułkownikiem Remerem – powiedział Mansfeld do Stauffenberga.

– Oczywiście. Proszę zrobić swoje – odpowiedział tamten.

Kurt odszedł kilka metrów dalej, żeby zamienić parę zdań z Remerem.

Tymczasem Stauffenberg podszedł bliżej aresztantów i przemówił:

– Nadszedł dzień sądu nad tyranem, który chciał unicestwić Niemcy. Nad tyranem i nad wami wszystkimi, którzy utopiliście we krwi nasz kraj i całą Europę w imię własnych celów, chorych ambicji i podłych idei. Macie na rękach krew milionów ludzi. Za zdradę ojczyzny zostajecie skazani na śmierć. – Zamilkł, a wraz z nim ucichł cały plac.

– Domagam się uczciwego procesu. Jestem inżynierem, nawet nie wojskowym, jak możecie sądzić mnie na równi z innymi?! – zawołał cichy dotąd Speer.

– Taa, ty tylko grałeś w orkiestrze i już umyłeś rączki – rzucił sarkastycznie Mansfeld, który właśnie stanął obok Stauffenberga.

W tej samej chwili do szpaleru żołnierzy podszedł pułkownik Remer.

– Gotuj broń! – wydał komendę. – Żołnierze Armii Rezerwowej podnieśli broń zgodnie z rozkazem. – Celuj!

Dwa pierwsze rzędy żołnierzy wycelowały broń w aresztantów.

Na ten widok Goebbels skulił się na ziemi z dziwnym grymasem na twarzy i wczułgał za nogi Göringa, jakby chcąc się ukryć.

Göring wykrzyczał: „Skurwysyny!”... i jeszcze stek wyzwisk, których nie dało się zrozumieć. Speer ukląkł i przywołując Stauffenberga, powtarzał, że jest niewinny. Pozostała grupa aresztowanych stała oniemiała, jakby nie wierząc, że to się dzieje naprawdę.

– Ognia! – zakomenderował znowu Remer.

W tej chwili żołnierze Armii Rezerwowej stali się plutonem egzekucyjnym i otworzyli ogień. Odgłos wystrzałów, szcękę broni i krzyki umierających wypełniły dziedziniec. Egzekucja trwała około minuty, setka ciał zaległa na dziedzińcu.

– Wstrzymać ogień – polecił Remer.

Popatrzył na podwładnych. Większość stała jak w szoku, ściskając broń w rękach. Niektórzy nie strzelali wcześniej nawet w walce, a teraz musieli wykonać taki rozkaz. Młodym chłopakom z zaimprovizowanego plutonu egzekucyjnego ręce trzęsły się tak, że ledwo mogli utrzymać broń. Pomyślał, że najlepiej będzie, jak sam dokończy sprawę. Wyjął z kabury przy pasie lugera i podszedł do leżących najbliżej Goebbelsa, Göringa i Speera. Wycelował w głowę Speera i strzelił dwa razy, potem tak samo postąpił z Göringiem. Następnie stanął nad Goebbelsem, który o dziwo jeszcze żył. Sztukę przetrwania opanował niczym karaluch i skulony za grubasem Göringiem otrzymał tylko kilka niegroźnych postrzałów. Leżał teraz przed Remerem i skomlał po cichu, z ust lała mu się krew.

Remer, który nigdy nie znosił tego wywyższającego się karła, stanął nad nim, podniósł broń i powiedział:

– Bez mikrofonu cię nie słyszać. – Po czym pociągnął dwa razy za spust.

Następnie ruszył do kolejnych ciał. Jego żołnierze patrzyli na ten spektakl w milczeniu.

Mansfeld szturchnął Stauffenberga w ramię.

– Panie pułkowniku, chyba powinniśmy mu pomóc. To nie jest robota dla jednego.

Stauffenberg po chwili milczenia wyjął broń i razem z Kurtem poszli w ślady Remera, kończąc krwawą jatkę. Kiedy dopełnili dzieła, po dziedzińcu rozchodziła się woń krwi, a jej posmak czuli

w ustach. Cały plac zabarwił się na czerwono.

Niebo zasnuły chmury i dobijaniu rannych towarzyszyły nieśmiało grzmoty nadciągającej burzy. W ciągu kilku chwil pociemniało i na trupy zalegające dziedziniec spadł rzęsy deszcz niczym lzy, a cała krew spływała teraz czerwoną rzeką do pobliskich ulic i studzienek. Oberwanie chmury, które nastąpiło kilka chwil później, ujawniło niedoskonałość berlińskiego systemu kanalizacji, gdyż przepelnione nagłym napływem wody studzienki zaczęły wybijać krew rozstrzelanych na odległość kilkunastu przecznic, zabarwiając ulice centrum miasta na krwawą barwę. Zwabiło to stada szczurów, które powoli zaczęły się dobierać do świeżych trupów. Później jeszcze przez kilka dni po uprzątnięciu ciał bezdomne psy chęptały z okolicznych kałuż krew rozstrzelanych.

– Panowie, nie wiem jak wy, ale ja muszę się napić – powiedział Mansfeld, chowając broń do kabury. – Pułkowniku Stauffenberg, proszę być dobrym gospodarzem i poczęstować nas w biurze szklanką Jägermeistra.

– Nie mam Jägermeistra, mam tylko koniak – odpowiedział Stauffenberg, ocierając pot z czoła.

– Jak dla mnie może być – stwierdził Remer, który miał już naprawdę dosyć dzisiejszego dnia.

– W takim razie chodźmy. Musimy przecież jeszcze spełnić toast za pański awans, pułkowniku – powiedział Mansfeld, po czym wszyscy ruszyli do biura Stauffenberga.

Na placu pozostał tylko porucznik von Haeften, któremu Stauffenberg polecił posprzątać cały ten bałagan.

Kiedy wrócili do siedziby spiskowców, udali się do biura szefa sztabu Armii Rezerwowej, które zajmował Stauffenberg. Po drodze zaczepili ich von Quirnheim z generałem Beckiem, pułkownik jednak zbył ich machnięciem ręki i rzucił im zdawkowe: „Zaraz przyjdziemy”.

Gdy weszli do jego gabinetu, podszedł do biurka, w którym trzymał alkohol. Wziął butelkę koniaku i trzy szklanceczki. Bez słowa rozlał trunki i cała trójka usiadła w milczeniu.

Remer po raz pierwszy pił z pułkownikami jak równy z równym. Pomyślał, że warto coś powiedzieć, a że męczyła go jedna sprawa, postanowił ją z siebie wyrzucić.

– Co będzie, jeżeli nie znajdziemy Himmlera? Może wydać SS rozkaz marszu na Berlin w każdej chwili.

– Jak to co będzie... wojna domowa – odpowiedział Stauffenberg. – Niech się pan jednak nie martwi na zapas. Zanim ściągnie którąś dywizję SS z frontu wschodniego albo z Węgier, minie dużo czasu. A poza tym wcale nie jest powiedziane, że jego podwładnym będzie się chciało za niego walczyć. – Wstał, nachylił się do szuflady biurka i wyciągnął cygara, podał gościom, po czym otworzył okno. Cały czas czuł na sobie smród krwi. – W tej chwili bardziej jestem ciekaw, jak pan dokonał niemożliwego. Proszę mnie oświecić, pułkowniku – Stauffenberg zwrócił się do Mansfelda, odpalając cygaro.

– Niedawno miałem sposobność rozmawiać z jednym z esesmanów ochraniających Berghof. Rozwiązał mu się język. Co i kiedy robi tam Hitler oraz jak wygląda jego ochrona. Wysłałem spadochroniarzy, żeby to sprawdzić, i, jak widać, udało się. – Mansfeld wzruszył ramionami.

– Nurtuje mnie tylko jedno. Gdzie znalazł pan komandosów, którzy bez mrugnięcia okiem zgodzili się dokonać zamachu na Führera? Ciężko by było przekonać oficerów, a co dopiero niższych stopniem żołnierzy, którzy, jak wiadomo, dalej są lojalni wobec Hitlera. Co z transportem, logistyką, przeszkoleniem? Ani jedna osoba nie doniosła? To zadziwiające – podejrzliwie drażył temat Stauffenberg.

– Jak pan widzi, Abwehra też ma lojalnych wobec Canarisa żołnierzy, którzy przejrżeli już na oczy – odparł Mansfeld.

– Chętnie poznałbym tych zuchów – powiedział Stauffenberg.

– Z przyjemnością ich panu przedstawię, jak tylko wrócą z Alp. Jeżeli wrócą.

Dalszą rozmowę przerwał harmider za drzwiami. W budynku rozeszła się wieść o rozstrzelaniu zatrzymanych.

– Panowie, czas iść do reszty i kontynuować działania – oznajmił Mansfeld.

Wstali i przeszli do biura Olbrichta. Po wejściu rzucili tylko kilka słów na temat egzekucji.

Wszyscy już przed rozpoczęciem operacji wiedzieli, że rewolucja wymaga ofiar i żeby się powiodła, trzeba zlikwidować były rząd od razu pierwszego dnia, żeby nikomu nie przyszło do głowy ich odbijać lub żeby po prostu nie uciekli z aresztu po przekupieniu wartowników. Nie dyskutowali na ten temat, ale wszyscy wyrazili milczącą aprobatę.

Skupili się na ostatnich meldunkach i na tym, co działo się w Berlinie. Dobrą wiadomością było to, że skontaktowali się z feldmarszałkiem Güntherem von Klugem, naczelnym dowódcą Frontu Zachodniego. Zgodnie z ustaleniami wstrzymał działania Grupy Armii B i nakazał niepodjęcie działań zaczepnych na całej linii swojego frontu. Co do drugiego frontu, to nadal nie udało się skontaktować z feldmarszałkiem Modlem. Jeśli chodziło o złe wiadomości, to na południowych rogatkach Berlina doszło do starcia Armii Rezerwowej z batalionem Dywizji Grossdeutschland. Początkowo po silnym ostrzale żołnierze Armii Rezerwowej byli zmuszeni się wycofywać, lecz sytuacja uległa zmianie, gdy na tyły grenadierów natarły jednostki Division Brandenburg, które z lotniska zmierzały do Berlina. Po godzinie walk otoczony batalion Grossdeutschland poddał się generałowi Hoepnerowi, który zastąpił generała Fromma jako dowódca Armii Rezerwowej.

– Wiadomo coś o stratach? – zapytał Stauffenberg.

– Niestety wielu zabitych i rannych. Dokładnych danych jeszcze nie mamy – odpowiedział Olbricht.

– Nie wiemy też na razie, kto wydał im rozkaz – dodał. – Mamy także meldunki o przypadkach odmowy wykonania rozkazów i podporządkowania się naszej władzy wśród dowódców poszczególnych jednostek.

– Nadajcie w radiu informację o rozstrzelaniu zamachowców – powiedział stanowczym tonem Mansfeld.

– Myślałem, że na razie lepiej zachować to w tajemnicy – wtrącił się do rozmowy generał Beck.

– Dlaczego? Ogłoście, że Göring, Goebbels i spółka dostali po kulce, to innym rura zmięknie – kontynuował Mansfeld. – To będzie jasny przekaz, co czeka tych, którzy się nam sprzeciwiają.

– Też tak uważam – Stauffenberg poparł Kurta.

– Muszą wiedzieć, że dyktatura narodowosocjalistyczna upadła wraz ze śmiercią Hitlera, a nowy rząd nie wybacza wrogom – zakończył Mansfeld.

Po chwili ciszy odezwał się von Quirnheim:

– Dobrze, rozumiem więc, że wszyscy są za. Pójdę wydać odpowiednie polecenia, żeby jak najszybciej poszło to w eter. – Podniósł się i wyszedł.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali na temat kolejnych meldunków z pokoju łączności i sytuacji wokół Berlina, gdy do biura Olbrichta wpadł brat Stauffenberga, Berthold, ciągnąc za rękę grubawego jegomościa w okularach.

– Musicie to usłyszeć. Stało się nieszczęście. Okradziono bank – wysapał zdyszany.

– Jaki bank? – zapytał zdziwiony Olbricht.

– Reichsbank – wyrzucił z siebie jednym tchem Berthold.

– Co?! – wyrwało się prawie wszystkim zgromadzonym w pokoju.

– Jak to możliwe? Przecież osobiście wysłałem tam rano dodatkową ochronę. Cały pluton Armii Rezerwowej! – powiedział Stauffenberg.

– Niech pan mówi. – Berthold wypchnął przed siebie grubaska w dobrze skrojonym garniturze.

Był to Franz Miller, jeden z dyrektorów Reichsbanku.

Grubasek klepięty przez Bertholda próbował coś powiedzieć, ale ze stresu tylko się jękał, tak że nic nie dało się zrozumieć.

– Uspokój się pan i gadaj, co się stało! – zwrócił się do niego Beck.

– Kilka godzin temu przyjechał oddział żołnierzy. Wyszedł ich dowódca i zakomunikował, że z powodu niestabilnej sytuacji w stolicy mają rozkaz przewiezienia części depozytu do innej placówki. Kiedy oznajmili, jak duży depozyt ma być pobrany, odpowiedziałem, że to niemożliwe, że nie możemy tego wydać bez zgody prezesa Reichsbanku Walthera Funka. – Zrobił chwilę przerwy na złapanie oddechu. – Wtedy officer powiedział, że to niepotrzebne, ponieważ mają bezpośredni rozkaz od Reichsführera Himmlera. Machnął mi przed oczami tym dokumentem. Chciałem to sprawdzić i zatelefonowałem do Ministerstwa Sprawiedliwości, ale nikt tam nie odbierał. Wtedy przekazałem oficerowi, że nie mogę wydać depozytu, dopóki nie zostanie potwierdzony rozkaz. On wyciągnął broń, przystawił mi do głowy i powiedział, że albo wykonam rozkaz Reichsführera Himmlera, albo mnie zastrzeli.

– I co pan zrobił? – zapytał Beck.

– A co miałem zrobić? Otworzyłem skarbiec – odpowiedział z rozbijającą szczerością Miller.

– Ile tego zabrali? – dopytywał Beck.

– Wzięli depozytu w dolarach i w złocie na kwotę około pięćdziesięciu milionów dolarów – odparł grubasek, pochylając głowę w zawstydzeniu, a jednocześnie obawiając się konsekwencji.

– Kurwa, jak to możliwe?! – wrzasnął Beck.

– Przed bankiem stali żołnierze! Dlaczego nie zareagowali? – zapytał Stauffenberg.

– Zareagowali... pomagali im nosić sztabki złota do ciężarówek. Oficer, który kierował akcją, powiedział im, że wykonują rozkaz Reichsführera Himmlera, aby wywieźć złoto w bezpieczne miejsce, i kazał pomagać w załadunku.

– Nie wierzę... – Złapał się za głowę Stauffenberg.

– Kurwa, nie dosyć, że uciekł, to jeszcze zabrał ze sobą złoto! – warknął przez zęby Mansfeld. – Nie ma co, pięknie zabezpieczyliście Reichsbank, panowie! – zakończył pretensją do zebranych.

– Co z resztą depozytów? – zapytał Olbricht.

– Została w skarbcu, zabrali tylko jedną piątą aktualnych zasobów – odpowiedział grubasek.

– Postawiłem tam teraz dodatkowe dwa plutony i swojego adiutanta, żeby osobiście wszystkiego dopilnował – dodał Berthold.

– Może pan odejść, jeszcze do tego wrócimy – syknął do Millera generał Beck.

Grubasek pośpiesznie umknął z pokoju.

– Zdaje się, że nie doceniliśmy Himmlera – powiedział Olbricht. – Na przyszłość musimy być ostrożniejsi, nie wiadomo, co ten diabeł jeszcze planuje.

Nie mieli jednak czasu dłużej roztrząsać tematu straty tak pokaźnej kwoty z Reichsbanku, ponieważ rozległo się pukanie.

– Wejść! – krzyknął Olbricht.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich adiutant Canarisa.

– Admirał prosi, by udali się panowie na naradę do jego biura w Kancelarii Rzeszy. Chciałby omówić z panami obecny przebieg operacji i ustalić dalsze etapy działania – zakomunikował.

– To admirał ma już biuro w Kancelarii Rzeszy? – sarkastycznie rzucił generał Beck, ponownie nie kryjąc swojego oburzenia zachowaniem Canarisa.

– Tu jest nasza siedziba. To admirał powinien przybyć do nas – poparł go von Haeften.

– Panowie, przestańcie! Przecież niedawno ustaliliśmy, że ogłoszenie przywódcą admirała Canarisa było potrzebne w obecnej sytuacji. Gdyby nie odezwa admirała w radiu, kto wie, na czym byśmy teraz stali – wtrącił się Mansfeld.

– To pan tak uważa – wycedził przez zęby Beck. – Zostaliśmy postawieni przed faktem dokonany.

– Myślę, że lepiej udać się na to spotkanie. Musimy się w tej chwili zjednoczyć, a nie walczyć między sobą – nieoczekiwanie Kurta wsparł Olbricht.

– Biorąc pod uwagę, że na razie działa równoległe z nami, też uważam, że trzeba połączyć siły i jak najszybciej opracować wspólny plan działania. – W ślady Olbrichta poszedł von Quirnheim.

– Chyba że chcecie ryzykować, że za kilka dni Himmler nas postawi na dziedzińcu Bendlerblocku – ostatecznie przekonał pozostałych Olbricht.

Po kilkunastu minutach przepychankach uzgodnili, że do Kancelarii Rzeszy uda się delegacja złożona z kilku obecnych, by wspólnie z admirałem ustalić najważniejsze szczegóły.

Po chwili wszyscy byli już w samochodach i po krótkiej podróży dotarli pod budynek Nowej Kancelarii Rzeszy, który teraz wyglądał jak warownia. Zasięki z drutu kolczastego i worki z piaskiem tworzyły pierścień wokół budynku. W środku tego umocnienia znajdowały się gniazda karabinów maszynowych, a całość obsadzona była mnóstwem żołnierzy Division Brandenburg. Całości dopełniały dwa czołgi typu Panther ustawione przed wejściem. Pozostała część żołnierzy i pojazdów znajdowała się na tyłach Kancelarii, mogąc w okamgnieniu uderzyć na każdy punkt w centrum Berlina.

Po okazaniu dokumentów prowadzeni przez adiutanta Canarisa weszli do budynku. Nowa Kancelaria była jednym z niewielu obiektów z planu Germania Alberta Speera, który powstał. Welthauptstadt Germania (Stolica Świata Germania) zakładał przebudowę Berlina po zwycięskiej wojnie. Podobnie jak zbudowany na olimpiadę w 1936 roku stadion, Kancelaria miała podnosić prestiż rządu III Rzeszy. Wzbudzał respekt wśród przyjmowanych tutaj polityków. W samym środku miał zasiadać budzący grozę pan świata – Adolf Hitler. Pod Kancelarią wybudowano również osobisty bunkier Führera. Prawie pięć tysięcy ludzi, głównie niewolników z Europy Wschodniej, postawiło ten gmach w zaledwie dziewięć miesięcy.

Mansfeld wraz z oficerami weszli do olbrzymiej, długiej na ponad dwieście metrów marmurowej galerii. Następnie, pokonawszy jeszcze kilka z niezliczonej liczby korytarzy, dotarli do biura, w którym kiedyś rezydował Hitler. Adiutant Canarisa otworzył drzwi i wprowadził ich do wielkiej sali, byłego

gabinetu Führera. Pośrodku ustawiono stół, do którego oficer nakazał im podejść. Poprosił o chwilę cierpliwości i oznajmił, że admirał Canaris zaraz do nich dołączy.

Wszyscy zajęli miejsca i w milczeniu oczekiwali Canarisa, który po pięciu minutach przybył do gabinetu w towarzystwie generała Oстера i, co wszystkich zdziwiło, również w asyście feldmarszałka von Witzlebena.

– Panowie, zaprosiłem was tutaj, żeby omówić aktualną sytuację i podjąć decyzję co do dalszych działań – zaczął Canaris. – Wiem, że plany były inne i moje oświadczenie w radiu mogło was zaskoczyć. Niektórzy mogli nawet wziąć to za nową grę polityczną z mojej strony, zaręczam jednak panom, że nie to było moim celem. Kiedy dzisiaj rano otrzymałem zaskakujące wiadomości o udanym zamachu na Hitlera oraz późniejsze meldunki z Berlina o niepowodzeniu operacji w niektórych sektorach, razem z generałem Osterem, feldmarszałkiem Rommlem i feldmarszałkiem Güntherem von Klugem postanowiliśmy, że trzeba działać bardziej stanowczo. Stąd moja odezwa, którą mieli odebrać wszyscy dowódcy Wehrmachtu i SS. Chcieliśmy pokazać, że władza przeszła w nowe, silne ręce – oznajmił.

– Panie admirale, z całym szacunkiem, ale mieliśmy już wybrany nowy rząd, który po zamachu miał przejąć władzę ustawodawczą i wojskową. Zaburzył pan cały porządek, który ustaliliśmy miesiąc wcześniej – powiedział obrażony generał Beck.

– Panie generale, wiem o tym bardzo dobrze, przypominam jednak, że do tej pory nie spełniliście głównych warunków powodzenia planu, czyli nie zatrzymaliście najbardziej zagrażającej nam osoby: Himmlera. W sytuacji kiedy Himmler i Bormann, naturalni następcy Hitlera, pozostają na wolności, nie możemy ryzykować powodzenia całej operacji dla własnych korzyści czy stołków. Dla dobra misji przejąłem dowództwo, co przyniosło zamierzony i zbawienny dla naszych działań skutek. Czy chce pan temu zaprzeczyć, panie generale? – Canaris stanowczym, srogim wzrokiem spojrział na Becka.

Ten, widząc, że nie otrzyma nikąd pomocy oraz że Canaris ma poparcie głównych feldmarszałków i dowódców armii, spuścił głowę i siedział w milczeniu.

– Musimy jak najszybciej opanować sytuację polityczno-militarną i jako nowa praworządna władza zwrócić się do aliantów w sprawie negocjacji warunków pokoju. Kiedy to nastąpi, złożę urząd. Dopóki tak się nie stanie, nie chcę więcej żadnych politycznych przepychanek – zakończył wątek przywództwa Canaris. – Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami dowódca Wehrmachtu mianuję feldmarszałka von Witzlebena. Teraz proszę panów o pomysły, jak zatrzymać Himmlera i przejąć kontrolę nad jednostkami frontowymi SS – kontynuował po chwili milczenia. – Prosiłem generała Oстера o przygotowanie aktualnych pozycji jednostek SS, które mogą nam zagrażać. Proszę przedstawić tę sytuację, generale.

Na znak Oстера adiutant rozłożył ogromną mapę, po czym generał zaczął objaśniać ich położenie.

Po trzydziestu minutach narady Mansfeld wstał i podszedł do admirała Canarisa. Nachylił się i powiedział cicho:

– Admirale, czy będę jeszcze potrzebny? Generał Oster mógłby później przekazać mi końcowe ustalenia. Od rana nie rozmawiałem z żoną, na pewno się martwi. Może wrócić teraz do domu, a jutro stawię się u pana?

– Dobrze, tak zróbmy. O dziesiątej widzę pana w moim biurze – zgodził się Canaris.

Mansfeld wyprostował się, zasalutował wszystkim obecnym i wyszedł z sali. Czym prędzej udał się do swojego mercedesa i ruszył do domu. Powoli przebił się przez wszystkie punkty kontrolne i wyjechał na drogę wylotową z Berlina. Za miastem rozpełtała się straszliwa burza. Wielkie krople deszczu niczym wodosпад przelewały się po przedniej szybie samochodu, tak że wycieraczki ledwo dawały radę. Jazdę dodatkowo utrudniało to, że w stronę Berlina zmierzały liczne ciężarówki i pojazdy wojskowe z lotniska, na które cały czas przylatywały transporty żołnierzy Division Brandenburg.

Jazda stawiała się coraz uciążliwsza z powodu ulewy oraz świateł jadących z naprzeciwka ciężarówek. Momentami Mansfeld nic nie widział. Zdejmował nogę z gazu do czasu, aż reflektory ciężarówki opuszczały przednią szybę i mógł znowu zobaczyć drogę przed sobą. Długa jazda wreszcie dobiegła końca i znalazł się w rodzinnej posiadłości. Zobaczył znajomy zjazd i odbił z głównej drogi na szosę prowadzącą do zabudowań. Przejechał jeszcze dwa kilometry, po czym niespodziewanie skręcił w jedną z bocznych dróg prowadzącą do starej kopalni soli. Kiedyś jego rodzina prowadziła w niej wydobywanie na dużą skalę, handlując solą, a nawet eksportując ją do Francji czy Włoch. Z czasem stało się to mało opłacalne, kopalnię zamknięto i otwierano tylko raz w roku, by wydobyc sól z jedynego jeszcze czynnego korytarza na własne potrzeby posiadłości. Była to bardziej tradycja niż konieczność. Kopalnia od długiego czasu była zatem opuszczona i właściwie nieużywana. Kurt przejechał około trzech kilome-

trów, kiedy zauważył poruszające się na drodze światła. Wcisnął hamulec, a mercedes lekko zatańczył na mokrej i błotnistej nawierzchni, zatrzymując się po kilkunastu metrach. Odkręcił szybę i nieco wystawił głowę, by się rozejrzeć. Przed samochodem stało dwóch żołnierzy z latarkami i wycelowanymi w niego karabinami. Jeden z nich podszedł i powiedział:

– Przepraszam, panie pułkowniku. W tym deszczu nie poznaliśmy pańskiego wozu.

– Dobrze, że jesteście czujni, Hans. Piękną letnią noc dziś mamy, nieprawdaż? – odpowiedział Mansfeld.

– Tak jest – rzucił żołnierz, salutując, po czym odsunął się, by przepuścić auto.

Kurt zakręcił szybę, wcisnął gaz i ruszył dalej. Dwaj żołnierze należeli do oddziału Wenera, ich obecność tutaj była jak najbardziej uzasadniona. Pilnowali, by nikt niepowołany nie dostał się dzisiejszej nocy w pobliże posiadłości. Po kolejnych kilku minutach jazdy dotarł do starej kopalni i zatrzymał się. Reflektory mercedesa oświetlały otoczenie. Dobrze widział stojące przed kopalnią ciężarówkę i żołnierzy, którzy w strugach deszczu przenosili do niej ciężkie skrzynie. Mansfeld wysiadł i zrobił kilka kroków, kiedy podbiegł do niego Werner, wołając z daleka i starając się przekrzyknąć szum ulewy oraz walące raz po raz pioruny:

– Dobrze, że pan jest, właśnie kończymy rozładunek. Za chwilę wszystko będzie na dole.

Mansfeld bez słowa ruszył z Wernerem w stronę kopalni. Starą windą zjechali jakieś dwadzieścia metrów do długiego na kilkadziesiąt metrów chodnika. Był to jeden z pierwszych wydrążonych w kopalni. Pokłady soli z tego poziomu zostały dawno wyczerpane, dlatego chodnik wraz ze znajdującą się na jego końcu pieczarą wyrobiska dawno nie był używany. Werner latarką oświetlał im drogę. Na ścianach wisiało też kilka lamp naftowych, które pomagały żołnierzom noszącym skrzynie. Po kilkadziesiąt metrów dotarli do wielkiego wyrobiska. Teraz zamieniło się w magazyn, w którym piętrzyły się skrzynie ze złotem i worki z pieniędzmi. Mansfeld podszedł do pierwszej z brzegu skrzyni i stojąc obok łopata podważył wieko. Jego oczy rozświetliły się blaskiem zawartości.

– Więc tak wygląda pół miliona dolarów w złocie – powiedział do Wenera.

– Proszę się nie martwić, Herr Mansfeld, dopilnowałem wszystkiego. Dyrektor banku trochę się opierał, ale udało mi się go przekonać. – Uśmiechnął się Werner.

– Tak... zdążyłem już usłyszeć z jego ust, jak go pan przekonywał. – Kurt odpowiedział uśmiechem.

– Dobrze się spisałiscie. Ale niech mi pan powie, gdzie jest klejnot tego skarbu?

– Trzymam go jeszcze w wozie. Pilnują go Ernst i Albrecht – odparł Werner.

Wrócili ociekającymi wodą ciemnymi korytarzami do wyjścia z kopalni. Na zewnątrz z lekka się przejaśniało, a deszcz osłabł. Kurt naciągnął płaszcz na głowę, pochylił się i szybkim krokiem ruszył do samochodu, w którym na tylnej kanapie siedział skulony jegomość, ściskając na kolanach teczkę. Spał albo tylko sprawiał takie wrażenie. Był to skarbnik partyjny Schwarz. Główny element finansowej układanki Rzeszy, a co ważniejsze, Himmlera. Przez ręce Schwarza przechodziły wszystkie miliony, które Reichsführer i inni oficjele ukrywali na swoich tajnych kontaktach.

Kurt zajął miejsce w samochodzie, wyprostował się i powiedział do Wenera:

– Pół kilometra dalej są magazyny i zabudowania, w których kiedyś mieszkali robotnicy z kopalni. Niech pan tam zabierze Schwarza. Proszę zostawić do pilnowania więźnia i kopalni dziesięciu ludzi, z resztą wrócić do jednostki, zameldować się u generała Oстера i czekać na dalsze rozkazy. W dawnych robotniczych kwaterach powinny być jakieś cywilne ciuchy. Niech żołnierze się przebiorą, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Tak jest, Herr Mansfeld. – Werner zasalutował.

– Za dwa dni spotkam się z panem i przekażę kolejne rozkazy. Dobra robota.

Kurt wsiadł do swojego samochodu i ruszył w stronę domu. Za chwilę uspokoi w ramionach Ewę, która przez cały dzień umierała z niepokoju, w niepewności czekając na jego powrót. Ale nie to zajmowało jego myśli. Wiedział, że jutro czeka go zadanie, które stopniem trudności przewyższa to, co osiągnął w dniu dzisiejszym. Przed nim partia szachów z przeciwnikiem, który wszystkie atuty miał po swojej stronie. Jutrzejszy dzień zdecyduje o dalszych losach Niemiec i Europy.

## Cień

Samochód wyjechał z zagajnika na otwartą przestrzeń i od razu ostry blask zachodzącego słońca uderzył pasażerów. Sturmbannführer Otto Skorzeny przyłożył dłoń do czoła, mrużąc oczy. Po chwili przyzwyczaił się do światła i zobaczył w całej okazałości rozciągający się za oknami samochodu teren. Dotąd skulony na siedzeniu w pozycji umożliwiającej drzemkę, teraz się wyprostował i z uwagą spojrział przez przednią szybę. Nie miał wątpliwości, że właśnie dotarli na miejsce przeznaczenia, do celu tej tajemniczej podróży.

Jakby na potwierdzenie tego odezwał się Standartenführer Paul Baumert, szef Sztabu Osobistego Reichsführera SS.

– Jesteśmy na miejscu – zakomunikował.

Kierowca zwolnił i auto leniwie dotarło się do szlabanu, po czym się zatrzymało. Obok znajdowała się drewniana budka niewielkich rozmiarów, najpewniej wartownia. Na lewo i prawo od szosy ciągnęły się jak okiem sięgnąć zasieki. Około pięćdziesięciu metrów dalej stała wieża obserwacyjna. W zaroślach nieopodal można było dostrzec zamaskowane umocnienia ziemne ze stanowiskiem CKM-u.

Natychmiast wyłoniło się dwóch żołnierzy w mundurach SS i szybko podeszło do samochodu od strony kierowcy. Baumert odkręcił szybę i wprawnym ruchem podał wartownikom dokumenty, mówiąc:

– Standartenführer Baumert i Sturmbannführer Skorzeny do Reichsführera Himmlera. Reichsführer nas oczekuje.

Jeden z wartowników z krótkim „Proszę poczekać” zabrał dokumenty do wartowni, gdzie przekazał je dowódcy. Ten po krótkich oględzinach papierów sięgnął po słuchawkę telefonu i zamienił z kimś kilka słów, po czym opuścił wartownię i żwawym krokiem podszedł do samochodu, by osobiście oddać kierowcy dokumenty.

– Dziękuję, Herr Standartenführer, proszę jechać. – Jednocześnie dał znak, by podnieść szlaban.

Zasalutował, a Baumert odpalił silnik i dodając ostro gazu, ruszył z miejsca.

Skorzeny szybko się domyślił, gdzie są. Była to polowa kwatery Heinricha Himmlera – Hochwald. Znajdowała się w lesie pod Pozezdrzem, przy drodze łączącej ją z kwaterą Hitlera w Gierłoży. Zwana Czarnym Szańcem, od koloru mundurów SS i przez analogię do Wilczego Szańca. Położenie względem kwatery Hitlera też nie było przypadkowe, ponieważ leżała na wschód od niej i była pierwszą zaporą na trasie do Wilczego Szańca. Jej budowę zlecono robotnikom paramilitarnej Organizacji Todt. Ochronę Hochwaldu stanowił pięciusetosobowy batalion SS z komendantem Josephem Tiefenbacherem. Ochrona Himmlera była tak liczna, że część żołnierzy z doborowych jednostek SS musiała stacjonować w Pozezdrzu i okolicznych miejscowościach.

Przebyli jeszcze kilka kilometrów, zanim dotarli do zabudowań. Po drodze obserwowali kolejne linie zasieków, pomiędzy którymi znajdowały się pola minowe. Jedyne przejścia między nimi były brnione przez stanowiska ogniowe. Zanim wjechali na zabudowany teren, musieli pokonać kolejną wartownię i minąć wysoki płot pod napięciem, zakończony u góry ostrymi metalowymi prętami, dookoła których był okręcony gęsto drut kolczasty. Jeszcze przed zasiekami znajdował się szereg głębokich ziemianek zamaskowanych gęstwiną lasu. W nich mieszkali żołnierze SS stanowiący pierwszą linię obrony. Za wysokim płotem ciągnęły się mury i drewniane budynki ochrony Himmlera oraz doborowych jednostek Waffen-SS. Co ciekawe, nie dało się zauważyć słupów energetycznych i telefonicznych, ponieważ zarówno energię, jak i łączność doprowadzono przewodami podziemnymi.

Po lewej stronie dostrzegli bocznice kolejową, na której stał osobisty pociąg pancerny Himmlera, Steiermark, wcześniej noszący nazwę Heinrich. Liczne rozgałęzienia torów prowadziły stąd do kwatery Hitlera oraz okolicznych miejscowości. Himmler jako amator przyrody często gościł w swojej rezydencji w niedalekiej Brozówce, ponieważ nie lubił przebywać w schronie. Wiele czasu spędzał też po prostu we własnym wagonie sypialnym. Cała bocznica, znajdujące się przy niej stanowisko CKM-u oraz odchodzące od niej tory były tak zamaskowane, że tylko wprawne oko Skorzenego mogło je dostrzec.

Gdyby nie to, że dało się zauważyć stojący pociąg, nikt by się nie domyślił, że są tu tory i węzły kolejowe.

Rozmachu przedsięwzięcia dopełniała bateria przeciwlotnicza umieszczona na pobliskim wzgórzu.

Auto powoli miało kolejne budynki, zbliżając się do głównych zabudowań. Po chwili zatrzymało się przed okazałymi bunkrami otoczonymi wysokimi drzewami. Było tam pięć schronów typu B o ścianach i stropie dwumetrowej grubości oraz pancernych drzwiach rozdzielonych słuzą, dodatkowo obudowanych płaszczem żelbetowym. Kilkadziesiąt metrów dalej usytuowano budynki więzienne mieszczące kilka cel oraz pokoje strażników. Bunkier Himmlera położony był centralnie, miał również podziemny garaż.

Nie wiedzieć, czy to z powodu budowli, czy wszechobecnych czarnych mundurów SS, ale roztaczający się widok był tak ponury i pośępny, że nawet Skorzeny mimowolnie się wzdygnął.

– Z reguły Reichsführer przebywa w swoim wagonie lub pobliskiej rezydencji. Z uwagi na wydarzenia ostatnich dni przenosił się jednak na stałe do bunkra – objaśnił Paul Baumert, zatrzymując samochód przed blokiem i pośpiesznie wysiadając.

Kiedy opuścili auto, z bunkra szybkim, stanowczym krokiem wyszedł nieznany im oficer. Był to Obersturmbannführer Rudolf Brandt ze Sztabu Osobistego Reichsführera SS.

– Heil Hitler! – powitał przybyłych, nie zastanawiając się nad tym, że powitanie jest już trochę nieaktualne. – Proszę za mną. Mam rozkaz zaprowadzić panów do biura Reichsführera.

Udali się za nim do schronu.

W środku krzątało się wiele osób, od esesmanów po różnych cywilów mających tu niewątpliwie określone obowiązki do wykonania. Weszli do pomieszczenia pełniącego funkcję czegoś w rodzaju recepcji. Baumert podszedł do jednego z adiutantów siedzących za biurkiem, zamienili kilka słów, po czym wrócił do Skorzenego i oznajmił:

– Musi pan chwilę zaczekać. Reichsführer ma akurat masaż.

– Słucham? – zapytał odruchowo Skorzeny, nie będąc pewny, czy dobrze zrozumiał.

– Jest 10.40, więc jeszcze przez dwadzieścia minut u Reichsführera będzie masażysta. Zabiegi zwykle trwają do 11.00 i wtedy zapewne Reichsführer pana przyjmie – odpowiedział wyczerpująco Baumert. – Proszę spocząć tutaj wraz z adiutantem – dodał, wskazując puste krzesła obok biurka żołnierzy SS.

Skorzeny nie skorzystał jednak z jego rady. Chcąc rozprostować nogi po długiej podróży, zaczął się przechadzać po pomieszczeniu. Był trochę zdziwiony, że w całym tym zamieszaniu Himmler znajduje czas na masaż. Nie wiedział, że Reichsführer skrupulatnie przestrzega swojego rozkładu dnia, a zabiegi Feliksa Kerstena były ważnym punktem owego harmonogramu. Himmler miewał straszne bóle pleców, w których tylko cudowny dotyk dłoni Kerstena przynosił ukojenie. Wszędzie zabierał ze sobą swojego masażystę i codziennie korzystał z jego zabiegów.

Minęło nieco więcej niż dwadzieścia minut i zgodnie z tym, co powiedział Baumert, drzwi gabinetu się otworzyły i wyszedł z nich grubawy człowieczek. Otarł rękawem pot z czoła, a przechodząc przez recepcję, niedbale się pożegnał nieco umęczonym głosem, dając do zrozumienia, że nie opierdalał się w pracy i doprowadzenie Himmlera do stanu używalności kosztowało go wiele wysiłku.

Minęło jeszcze parę minut, nim Otto został w końcu poproszony do gabinetu. Kiedy wchodził, opowiadało go lekkie podniecenie. Do tej pory widział się z Himmlerem tylko raz czy dwa razy na oficjalnych audiencjach u Hitlera. Zamienili raptem kilka grzecznościowych zdań. Otto wiedział, że po uwolnieniu Mussoliniego był pupiłkiem Führera, i wielokrotne spotkania z wodzem nie robiły już na nim wielkiego wrażenia, nie musiał się ich obawiać. Teraz jednak czuł niepewność co do przebiegu i skutków wizyty u Himmlera. Ta postać nawet wśród najwyższych rangą oficerów była owiana złą sławą i spowiada aurą tajemniczy.

W gabinecie szybko się rozejrzał. Pomieszczenie, choć należało do szefa SS, można było nazwać ascetycznym. Część podłogi zakrywał dywan, na którym centralnie stało duże biurko, a na nim wałało się mnóstwo papierów i map. W pokoju były również dwie proste szafy z półkami na książki oraz kilka dziwnych figurek, o których na pierwszy rzut oka nie można było wiele powiedzieć. W przeciwieństwie do Göringa, który swoje kwatery zdobił złotem, rzeźbami, arrasami i wszelkimi dostępnymi kosztownościami, Himmlerowi nie zależało na luksusach.

Po błyskawicznych oględzinach Skorzeny zauważył stojącą tyłem do niego postać. Był to mężczyzna przeciętnej budowy, średniego wzrostu. W bladej twarzy błyszczały binokle. Pod kształtnym nosem



miał krótko przystryżone włosy. Jego czarne włosy były dość krótkie i obcięte tak precyzyjnie, że zdawało się, iż zrobiono to według cyrkla.

Himmler stał za biurkiem naprzeciwko ściany, z uniesioną głową wpatrując się w przedmiot znajdujący się na niej, na honorowym miejscu.

Otto powitał go standardowym *Heil Hitler!*, podnosząc dłoń na znak powitania i zastygając na baczność. Zapadła chwila ciszy, a potem Himmler, nie odwracając się, serdecznym, uprzejmym tonem zwrócił się do swojego gościa:

– Wie pan, co to jest, Sturmbannführer?

Nieco zaskoczony Otto szybko zrozumiał, że Himmlerowi chodzi o przedmiot na ścianie.

– Nie, Reichsführer.

– To święta lanca cesarstwa, zwana także włócznią przeznaczenia. W 926 roku pierwszy król niemiecki, Heinrich Ider Vogler, czyli Ptasznik, otrzymał ją od króla Burgundii. Następnie przekazał ją swojemu synowi Ottonowi, który rozgromił barbarzyńskie hordy na Wschodzie, wyznaczając drogę swojemu następcom. Ta włócznia od tysiąca lat prowadzi władców do zwycięstw. Niektórzy historycy uważają, że należała też do legionisty Longinusa, który przebił nią bok ukrzyżowanego Jezusa. – Tu Himmler na chwilę przerwał swój monolog i odwrócił się do Skorzenego, który cały czas stał na baczność z uniesioną w pozdrowieniu ręką. Powoli zaczynała mu drętwieć, nie ośmielił się jednak przerywać Himmlerowi. – Niech pan spocznie, Sturmbannführer – powiedział gospodarz, wskazując mu krzesło przed biurkiem. – Musi pan przyznać, że włócznia emanuje czymś magicznym – dodał, wyraźnie zafascynowany.

Himmler uważał się za inkarnację Henryka Ptasznika. Czulił na magię i symbolikę, otaczał tę włócznię szczególnym kultem. Wierzył, że zapewnia swoim posiadaczom chwałę i niekończące się zwycięstwa. Był też przekonany, że jego przeznaczeniem jest kontynuować dzieło aryjskich przodków i że właśnie w jego posiadaniu powinna znajdować się włócznia. Przed hitlerowską zawieruchą przechowywano ją w skarbcu Habsburgów w Wiedniu, gdzie trafiła podczas wojen napoleońskich wywieziona z Norymbergi. Następnie po anszluse Austrii ponownie spoczęła w katedrze w Norymberdze, ponieważ Führer, podobnie jak Himmler, wierzył w jej mityczną moc. Kilka miesięcy wcześniej Himmler w tajemnicy kazał zamienić włócznię, umieszczając w norymberskiej katedrze kopię, a oryginał zatrzymując przy sobie. O tej drobnej kradzieży nie wiedział nawet Hitler, który pewnie wpadłby we wściekłość o niewyobrażalnych konsekwencjach.

Himmler wygodnie usadowił się w fotelu, sięgając po pudełko cygar na biurku. Powolnym, zgrabnym ruchem wyciągnął cygara w stronę Skorzenego, potem wyjął jedno dla siebie, obciął końcówkę gilotyneką i zapalił. Chwilę myślał, po czym energicznie wstał, skierował kroki w prawo do minibarku i przyniósł karafkę z alkoholem oraz dwa kieliszki, które postawił na stole.

– Napije się pan brandy, Skorzeny? – zapytał Ottona, który cały czas siedział sztywno w milczeniu.

– Bardzo chętnie, Reichsführer – odpowiedział krótko i zwięźle.

Otto był zaskoczony gościnnością i poufałością, jakich dostąpił w tej krótkiej chwili u Reichsführera. Himmler znany był z tego, że pije niezmiernie rzadko, wobec czego chwila ta stawała się jeszcze bardziej wyjątkowa. Wiedział, że te uprzejmości na pewno mają swoją cenę i zaraz dowie się, co za tym stoi. W dodatku dziwiło go, że Himmler jest niezwykle spokojny, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich się spotkali, oraz to, co zaszło w Berlinie dwa dni temu. Już na wstępie zauważył różnicę w zachowaniu i sposobie bycia w porównaniu do Hitlera. Himmler stanowił przeciwieństwo Führera, który z reguły wszystkim bardzo się ekscytował i ekspresyjnie wygłaszał swoje teorie. Reichsführer SS, niezwykle inteligentny i elokwentny, odznaczający się analitycznym umysłem, wypowiadał zdania powoli, starannie dobierając słowa i przydając im w ten sposób znaczenia. Nawet w trudnych sytuacjach zachowywał zimną krew, zupełnie inaczej niż choleryk Hitler.

Tymczasem Himmler, przygotowawszy grunt pod rozmowę historyczną anegdotą, cygarami i alkoholem, uznał, że należy już przejść do sedna.

– Sturmbannführer, czy domyśla się pan, dlaczego pana wezwałem? – zapytał, jednocześnie kierując swój ciężki, przenikliwy wzrok prosto na rozmówcę.

– Domyślam się, że ma pan dla mnie jakieś zadanie, Reichsführer – odpowiedział Otto, jednocześnie dopijając szklanczkę brandy.

– Czas już, by nikczemnicy stojący za tym haniebnym zamachem odpowiedzieli za swój czyn przed narodem niemieckim. Pora przywrócić porządek i należyłą hierarchię w Niemczech – oznajmił Himmler.

ler z niezwykłą stanowczością. – Pan wie, jak nasz nieodżałowany Führer pana cenil – kontynuował. – W tej trudnej chwili niełatwo znaleźć oficerów o takiej wartości, a jednocześnie takich, którym można w pełni zaufać. Dlatego chciałem z panem pomówić.

– Jestem zaszczycony, Reichsführer. Czym mogę panu służyć? Nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje, czy będę w stanie wypełnić pańskie rozkazy – odparł Otto, czując, że w końcu się dowie, jaki jest powód jego wycieczki do Hochwaldu.

– Trzeba ukreć łeb tej zdradzieckiej hydrze. Te hieny, Beck, Goerdeler, a przede wszystkim Canaris, muszą jak najszybciej otrzymać cios, który zniweczy ich pożałowania godny pucz. To pan, Skorzeny, ów cios wymierz. – Himmler zamilkł i w pokoju dało się wyczuć pełne napięcia oczekiwanie. Oczekiwanie na odpowiedź Skorzenego. Himmler wiedział, że tylko on jest w stanie odwrócić niekorzystny bieg zdarzeń i oddać władzę w jego ręce, nie miał jednak pewności, czy Skorzeny opowie się po jego stronie.

– Jestem na pańskie rozkazy, Reichsführer. Proszę powiedzieć, co mam robić. Nie wiem tylko, czy nie przeszceni pan mojej osoby. Jak pan zapewne wie, nie dowodzę już Friedenthaler Jagdverbände. Z polecenia Stauffenberga zostałem odsunięty. Większość mojej jednostki została rozlokowana w innym miejscu, nawet nie wiem gdzie. Obecny dowódca poinformował mnie, że zostałem przeniesiony do zadań szkoleniowych. Ostatnie dwa dni spędziłem w koszarach na lekturze i grze w pokera. Z początku obawiałem się, że może trafić pod mur, ale wczoraj dotarło do mnie, że po prostu nikt się mną już nie interesuje – streścił swoją sytuację Otto.

– Proszę nie być tak skromnym, Sturmbannführer. Ktoś, kto potrafił w kilkanaście minut porwać Mussoliniego, jest wart więcej niż kilka kompanii wojska – komplementował go Himmler.

Komplement najwyraźniej trafił na podatny grunt. Oczy Skorzenego rozjaśnił nagły błysk. Wyprostował się w fotelu.

– Zapewne ma pan jakiś plan, Reichsführer, proszę mnie wprowadzić w szczegóły – powiedział.

– Plan jest prosty. Należy jak najszybciej usunąć przywódców puczu. Wtedy przy wsparciu wiernych mi jednostek SS przejmę władzę w państwie – krótko i dość ogólnikowo przedstawił swój zamiar Himmler. – Moi adiutanci skontaktowali się z dowództwem dywizji SS. Mam zapewnienie od SS-Oberstgruppenführera „Sepp” Dietricha, SS-Brigadeführera Theodora Wischa, SS-Brigadeführera Heinza Lammerdinga i innych o bezwzględnej lojalności wobec mnie. Po zamachu podporządkowali się puczystom tylko dlatego, że otrzymali błędne informacje, iż byłem zamieszany w zamach, a później że nie żyję. Teraz, gdy wiedzą, jak wygląda sytuacja, czekają tylko na dogodne okoliczności w stolicy i mój rozkaz.

Himmler nie wiedział, że lojalność jego dowódców nie jest tak krystaliczna, jak deklarowali. Dowódcy Waffen-SS, tacy jak „Sepp” Dietrich czy Paul Hausser, prowadzili wcześniej rozmowy ze spiskowcami i zgodzili się stanąć w zamachu stanu po stronie Canarisa oraz Rommla. Stanowczo jednak nie zgadzali się na zamordowanie Hitlera. Wszystko, co osiągnęli w życiu: pozycję w wojsku i ogromne fortuny, zawdzięczali Hitlerowi. Dzięki niemu mogli dowodzić dywizjami. Grabić i mordować w całej Europie. Dlatego postawili warunek, że Hitler musi pozostać przy życiu. Teraz, gdy poczuli się oszukani, czuli się moralnie zwolnieni z cichej umowy. Ponadto wiadomość, że Himmler żyje, otworzyła przed nimi nową drogę. Oczywiście było, że gdy nadarzy się sposobność, poprą swojego zwierzchnika.

– Niestety, żeby mogli skutecznie działać, potrzebne są nowe okoliczności. Musimy wprowadzić chaos i zniszczyć odgórnie łańcuch dowodzenia oraz podejmowania decyzji, czyli usunąć dowódców puczu – zakończył Himmler.

– Proszę mi wybaczyć, Reichsführer, ale żeby w tej chwili usunąć kilka tak wysoko postawionych i strzeżonych osób, potrzeba ogromnych zasobów ludzkich, tygodni przygotowań, zapewnienia logistyki i danych wywiadowczych o celach. A my tego wszystkiego nie mamy – podsumował Skorzeny.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, dlatego wystarczy, że wyeliminuje pan Canarisa. Da mi to sygnał, resztą pokieruję sam – jak zwykle z dużą pewnością siebie zapewnił Himmler.

– W takim razie mam tylko jeszcze jedno pytanie. Zakładając, że się uda, to co dalej?

W myślach Skorzeny szybko, niczym wytrawny szachista, przeanalizował warianty sytuacji. Jaka przyszłość go czeka, gdy wykona zadanie Himmlera? Co ugra dla siebie? Jeżeli Himmler przegra, powieszę go puczyci. Jeżeli uda mu się dotrzeć do Canarisa i generałowie Waffen-SS przywrócą do władzy Himmlera, czeka ich miniwojna domowa, która tylko przyspieszy marsz Rosjan i aliantów. W tym wypadku niechybnie powieszę go Amerykanie. Czy Himmler jest w stanie powstrzymać nie-

uchronny upadek Niemiec? Wydawało się to nierealne. Dziwił go spokój Himmlera. Jadąc tu, spodziewał się, że będzie on w szoku po wydarzeniach ostatnich dni, że będzie próbował wydostać się z kraju i do tego może potrzebować jego pomocy. Tymczasem było zupełnie inaczej.

Ale Skorzeny w ogóle nie znał swojego rozmówcy.

Jak doszło do tego, że wychowany w katolickiej rodzinie chorowity chłopiec, niedoszły agronom, został cieniem Hitlera i najpotężniejszym po Führerze człowiekiem w Trzeciej Rzeszy? Była to postać tak skomplikowana, że nie dałoby się jej ująć w żaden profil psychologiczny. Z jednej strony młody człowiek głoszący w swoim pamiętniku miłość do Boga i ojczyzny, z drugiej – oskarżony o morderstwo prostytutki, z którą mieszkał. Gdyby rządzenie losu nie postawiło na jego drodze Hitlera, zapewne teraz macałby kury na jakiejś zapadłej wsi. Fortuna chciała jednak inaczej. Gdy zakończyła się pierwsza wojna światowa, Himmler miał osiemnaście lat. Pełen ideałów, świeżo po podchorążówce, którą zresztą załatwił mu ojciec, nie zdążył wyjechać na front. Nie spełnił swoich marzeń, by wesprzeć naród niemiecki w uświęconej walce. Został z niczym. Niedługo potem poznał ideologię narodowego socjalizmu, Towarzystwo Thule, a teorie rasy panów dla cierpiącego na kompleks niższości chłopaka stały się nową religią. Wstąpił w szeregi NSDAP, by na zawsze odmienić swoje życie. Zawsze z tyłu, zawsze krok za innymi, maszerował z flagą w ostatnim szeregu. Nie miał zdolności oratorskich, charyzmy Hitlera, nie miał uwielbienia dla wodza, jakie przejawiał Rudolf Hess. Nie miał odwagi Göringa, ale miał cechy, które wyniosły go na szczyt. Ponadprzeciętną inteligencję, pracowitość, cierpliwość, skrupulatność i konsekwencję w dążeniu do celu. Himmler szybko awansował, ponieważ był gotów do wykonania każdego rozkazu, nawet najbardziej haniebnego i odrażającego. Przy tym był skuteczny do bólu. Kiedy w sierpniu 1943 roku został ministrem spraw wewnętrznych, podporządkował sobie cały aparat bezpieczeństwa, z własną armią Waffen-SS, i stał się drugim najważniejszym człowiekiem w Rzeszy. Pozostał mu już tylko jeden cel do zrealizowania... być numerem jeden.

Zawsze w cieniu Führera, nigdy nie wygłaszał własnych poglądów w jego obecności i nigdy nie podważał jego rozkazów. Lojalny bezgranicznie, niepodejrzewany o ambicję i pęd do władzy, a przez to niezwykle niebezpieczny największy wróg Hitlera. Umiejętność słuchania i chłodnej oceny sytuacji opanował do perfekcji. Ten niepozorny człowieczek, nietowarzyski, prowadzący spartańskie życie i na pozór prosty, w skrytości umysłu opracował plan przejęcia władzy i prowadzenia własnej polityki. Polityki Czwartej Rzeszy. Rzeszy pod jego przywództwem.

Pomimo niepowodzeń na froncie, a może właśnie dzięki nim, Himmler był przekonany, że może zastąpić Hitlera i prowadzić negocjacje z aliantami, wykorzystując kartę przetargową, jaką byli Sowieci. Wiedział, że Churchilla musi przerażać wizja sowieckich czołgów prących na zachód Europy. Premier musiał się liczyć z tym, że po pokonaniu Niemiec nowym wrogiem będą Rosjanie. Nie znajdował posłuchu u Roosevelta, który bagatelizował całą sprawę, a Stalina nazywał Wujaszkiem Joem, i tu pojawiła się szansa dla Niemiec i dla Himmlera jako nowego wodza. Liczył na podpisanie pokoju z aliantami i przeniesienie całej armii na wschód w celu powstrzymania marszu Armii Czerwonej. Niemcy byłyby naturalnym buforem powstrzymującym Rosjan przed atakiem na Europę Zachodnią. Wiedział, że alianci nie podpiszą pokoju z Hitlerem, mogą jednak pertraktować z nowym rządem Niemiec.

Himmler miał wszystko, czego było trzeba do ugruntowania władzy. Własną armię – Waffen-SS, własny wywiad – SD oraz kontrwywiad – Abwehrę. Posiadał nieograniczone środki finansowe do przeprowadzenia wszelkich operacji, by zapewnić sobie poparcie najwyższych kręgów wojskowych, politycznych i finansjery. Doradca finansowy, Carl Goerdeler, utworzył dla niego dziesiątki kont i skrytek bankowych na różne osoby, których nie dało się z nim powiązać. Gromadził na nich majątek zrabowany w podbitych krajach, pieniądze, złoto, dzieła sztuki, kosztowności wymordowanych Żydów. Otrzymywał łapówki od takich koncernów, jak Bayer, BASF czy Siemens, za przetargi dla wojska. Na potrzeby fabryk Volkswagena czy Bossa pracowały tysiące przymusowych robotników, w tym więźniów obozów koncentracyjnych, ktorými kierował. Część pieniędzy, które koncerny płaciły za ich pracę, wędrowała na prywatne konta Himmlera. Mógł liczyć na poparcie wszystkich: od szeregowego esesmana przez oficerów, wysoko postawionych dygnitarzy, fabrykantów po polityków.

Dlaczego więc nie spróbować przejąć władzy? Wolał to jednak zrobić cudzymi rękami. Po pierwsze dlatego, że nie chciał, aby go z tym wiązano, a po drugie dlatego, że nie miał odwagi postawić wszystkiego na jedną kartę. Swoją grę z plecami Hitlera rozpoczął już wiele lat temu. Wiedział o kilku zamachach na życie Führera zakończonych niepowodzeniem i nie protestował przeciwko takim działaniom. Już w 1942 roku jego wywiad przedstawił mu dowody na to, że Canaris próbował zorganizować

zamach na Hitlera. Himmler zatuszował sprawę. Od tego czasu wziął jednak pod lupę admirała i jego otoczenie, które znane było z nieprzychylności wobec Hitlera. Od tej pory wywiad SS przechwytywał i przeglądał pocztę polityków związanych z Canarisem, generałów, oficerów. Szpiegował każdy ich krok.

Jednocześnie podjął próbę nawiązania kontaktu z aliantami. Oczywiście nie mógł tego uczynić wprost, tylko poprzez zaufanych ludzi i specjalnie zaaranżowane spotkania. Nie było to trudne, ponieważ przed wojną naziści mieli wielu zwolenników w Europie Zachodniej, w Anglii czy Szwecji. Właśnie w Szwecji, która pozostała neutralna, a zarazem prowadziła zaawansowaną współpracę gospodarczą z Niemcami, najłatwiej było nawiązać takie kontakty. Zajął się tym Walter Schellenberg, prawa ręka Himmlera.

Poinformował on brytyjskiego ambasadora w Szwecji, Victora Malleta, że jest upoważniony przez Reichsführera do prowadzenia negocjacji w sprawie zawarcia pokoju. Przekazał informacje na temat opozycji antyhitlerowskiej i oznajmił, że służba bezpieczeństwa może odwrócić wzrok od tych działań, a nawet delikatnie pomóc w ich zrealizowaniu. Zapewniał, że po usunięciu Hitlera Himmler byłby w stanie prowadzić własną politykę, zawrzeć pokój z aliantami, jednocześnie pomagając, jak to ujął, w zapewnieniu bezpieczeństwa na Wschodzie. Schellenberg nie otrzymał jednak jednoznacznej odpowiedzi, a wraz z postępem armii alianckich i sowieckich Brytyjczycy nie zdecydowali się na bardziej zaawansowane rozmowy. Sprawa się rozmyła, ale temat pozostał. Tymczasem do szefa spraw wewnętrznych napływały kolejne wiadomości na temat siatki spiskowców. Padały nazwiska Becka, Goerdelera oraz wysoko postawionych oficerów. Himmler nadal to tuszował, tłumacząc się zbieraniem materiałów o wszystkich zaangażowanych w spiszek osobach.

Dlaczego więc przy tak rozwiniętej inwigilacji spiskowców, założonych podsłuchach i kontrolowanej korespondencji zamach zaskoczył Himmlera?

Otóż zarówno służby wywiadowcze SS, jak i sam Reichsführer zostali zaskoczeni zamachem na Hitlera, ponieważ główni spiskowcy też o nim nie wiedzieli. Prowadzono szczegółową inwigilację najważniejszych podejrzanych: Ludwiga Becka, Carla Goerdelera, Ericha Hoepnera, Hansa von Dohnányiego, Wilhelma Canarisa, Hansa Ostera i Clausa von Stauffenberga. Ten ostatni został nawet wytypowany jako prawdopodobny zamachowiec z racji tego, że miał dostęp do Hitlera podczas narad sztabu. Siatka była rozpracowana do tego stopnia, że Himmler unikał ostatnich spotkań, w których uczestniczył Stauffenberg. Przy całej skrupulatności pracy wywiadu Himmlera jedna osoba pozostała niezauważona. Kurt von Mansfeld. Może dlatego, że Mansfeld dołączył do spisku stosunkowo niedawno. Nie odgrywał wielkiej roli w przygotowaniach do puczu. Trudno było też doszukiwać się jego bliższych niż służbowe powiązań z Canarisem. Jednak to von Mansfeld dokonał zamachu, który zaskoczył wszystkich i zmienił bieg wydarzeń. O podjęciu takiej próby wiedzieli tylko trzy osoby: Canaris, jego prawa ręka generał Oster i sam Mansfeld. Żaden inny niższy stopniem oficer, pośrednik czy choćby kurier nie miał pojęcia, że taka akcja ma się odbyć. Jak do tego doszło, jaka jednostka wykonała zadanie – tę tajemnicę znała tylko ta trójka. Można stwierdzić, że z całą pewnością właśnie dlatego wszystko pozostało w głębokiej konspiracji i zamach się powiódł.

Na pytanie Skorzenego: „Zakładając, że się uda, to co dalej?“, Himmler wygłosił prawdziwą tyradę o roli rasy panów i przestrzeni życiowej na Wschodzie, którą on chce pozyskać dla Niemiec. Przybliżył mu krótko negocjacje z aliantami, przedstawiając siebie jako wiarygodnego następcę Hitlera, który jako nowy partner do rozmów pokojowych uchroni Europę Zachodnią przed bolszewicką zarazą. Sam głęboko w to wierzył, więc przekonywanie Skorzenego przychodziło mu z wielką łatwością. Na koniec stwierdził, że potrzeba tylko iskry, żeby w jedną noc oddziały Waffen-SS przybyły mu z pomocą. I pokonały nawet dużo liczniejsze jednostki Wehrmachtu stojące po stronie Canarisa. Było w tym sporo prawdy, ponieważ dywizje Waffen-SS były lepiej wyposażone od Wehrmachtu, bardziej doświadczone, a przede wszystkim fanatycznie zaciekle w boju, dlatego mogły pokonać przeważające siły, działając z zaskoczenia.

Dla siebie pozostawił tylko jeden szczegół. W obliczu zagrożenia postanowił poświęcić swoje ideały i jako asa w rękawie użyć Żydów oraz innych więźniów obozów koncentracyjnych. Chciał zaferować uwolnienie tysięcy Żydów nadal przetrzymywanych w obozach, a ostateczne rozwiązanie przekłamać na swoją korzyść, tak by całą winę zrzucić na Hitlera i nieżyjącego już Reinharda Heydricha, twórcę tej koncepcji, i samemu postawić się w roli oswobodziciela, a nie kata milionów Żydów i innych narodów okupowanej Europy. Jednocześnie powziął już przygotowania, by zatrzeć ślady eksterminacji. Wiedział,

że w polityce chodzi o liczby, i gdy sprowadzi kilka milionów ofiar do kilkudziesięciu tysięcy, będzie to możliwe do zaakceptowania dla zachodnich mocarstw.

Himmler był wyraźnie rozemocjonowany własną przemową, gdy tak przekonywał Skorzenego do słuszności swej sprawy, a przede wszystkim do skuteczności i wielkich szans powodzenia tych planów. Trwało to długo, aż w pewnym momencie poblądł, potarł czoło i zamilkł. Przez dłuższy czas chodził od ściany do ściany w gabinecie, teraz usiadł, a właściwie osunął się na skórzane krzesło. Nastąpiła chwila ciszy, której Skorzeny nie śmiał przerwać. Był zadowolony, że mówca wreszcie skończył, ponieważ krzesło, na którym siedział, nie było zbyt wygodne. Proste siedzisko ze skórzanym obiciem zaczęło odciskać swój ślad na jego tyłku i udach. Już od pół godziny nie mógł się doczekać, kiedy w końcu wstanie i rozprostuje nogi. Natłok informacji otrzymanych od Himmlera również mu doskwierał. Musiał to wszystko przemyśleć i przetrwać na zimno. Dlatego ucieszyły go następane słowa Reichsführera.

– Myślę, że wystarczy na dzisiaj – zakomunikował Himmler. – Mój adiutant zaprowadzi pana do kwatery. Proszę opracować wstępny plan i przedstawić mi go jutro rano. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dać znać moim ordynansom – dodał, po czym wstał, dając do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. I że odmowa nie wchodzi w grę.

– Tak jest, Reichsführer – głośno powiedział Skorzeny, też wstając i przeżąc się przed gospodarzem.

Himmler zadzwonił na ordynansa i ten wyprowadził Ottona z bunkra.

– Herr Sturmabführer, zechce pan zaczekać chwilę. Przygotuję pańską kwatery i za kilkanaście minut pana do niej zaprowadzę – oświadczył na zewnątrz młody esesman o jasnych włosach i lekko piegowatej twarzy. Szybkim, energicznym krokiem się oddalił i zaraz zniknął za rogiem bunkra.

Ottonowi było to nawet na rękę. W końcu na chwilę został sam i mógł w spokoju zapalić papierosa. Było mu to potrzebne jak rzadko kiedy. Spotkanie z Himmlerem wykończyło go tak emocjonalnie, jak i fizycznie. Bywał już na audyencjach u Führera, lecz nigdy nie odbywały się one w cztery oczy i w jego przypadku zwykle ograniczały się do kurtuazyjnej wymiany kilku zdań i poklepania po ramieniu. Rozumiał powagę chwili. Po wszystkim czuł się, jakby miał gorączkę. Przyspieszone tętno, sztywność karku i ból głowy wywołujący mdłości. Choć był właściwie pozbawiony układu nerwowego, tutaj został zdezastrowany prawie dwugodzinnymi opowieściami i knuciem kolejnego zamachu stanu przez gospodarza.

Paląc leniwie, zaczął się rozglądać po okalającym go tajemniczym leśnym miasteczku. Budynki, schrony, baraki, ministacja kolejowa – wszystko to zza szyb samochodu wydawało się uśpione. Teraz, kiedy miał więcej czasu na obserwację, zauważył, że były to tylko pozory. Większość esesmanów krzątała się w pośpiechu, transportując coś z miejsca na miejsce. Grzebała w silnikach czołgów, wozów bojowych i ciężarówek. Dało się odczuć panujące tu nerwowość i napięcie. Bez wątpienia wszyscy przygotowywali się do walki.

Dopałał papierosa, rozmyślając o tym, co powiedział Himmler, oraz zastanawiając się, gdzie przepadł ordynans, gdy raptem pod jego nogami znalazł się piesek, głośno i zaciekle go obszczekując. Wyrwany z zamyślenia i zaskoczony, w pierwszej chwili odruchowo chciał odkopnąć kundla, by dał mu spokój. Ale jakiś głos wewnętrzny go powstrzymał. Nawet nie wiedział, że uniknął być może katastrofalnych skutków głupiego i bezmyślnego postępku. Wkrótce za psem przybiegła jego właścicielka, chwyciła go i zbesztiała za ucieknięcie i robieenie hałasu. Była to dziewczyna w wieku piętnastu–szesnastu lat, blondynka o niebieskich oczach i w niebieskiej sukience. Cofnąwszy się z pieskiem kilka kroków, z zaciekawieniem spojrzała na Ottona.

Ten, niezwykle zaskoczony widokiem nastolatki w środku wojskowego, pilnie strzeżonego obozu, również przypatrywał się jej z nieukrywana ciekawością. Dziewczyna zajęła się psem, mówiła coś do niego po cichu i głąkała, jednocześnie rzucając raz po raz spojrzenia na wysokiego oficera. Dało się zauważyć, że bardzo zainteresowała ją twarz Skorzenego, a dokładnie blizna na jego policzku. Jeszcze chwilę bawiła się z psem, po czym postawiła go na ziemi i nawijając na palec jeden z długich warkoczy, śmiało zaczęła się wpatrywać w szramę. Zdawała się pewna siebie i w ogóle nieskrępowana sytuacją. Wzajemne lustrowanie się dziewczyny i oficera trwało może kilka minut, po czym Otto rzucił niedopałek na ziemię, przydeptał butem i robiąc krok w stronę nastolatki, zapytał:

– Panienska nie wie, że to niegrzecznie tak się gapić?

– Nie gapię się, tylko obserwuję – odrzekła jak gdyby nigdy nic, wcale niespeszona pytaniem. – Co się panu stało? – zapytała z rozbijającą szczerością, po czym puściwszy warkocz, podniosła rękę

i pokazała palcem na twarz Ottona.

Mężczyzna, któremu spodobała się otwartość dziewczyny, szybko zareagował:

– Jak byłem mały i zbyt ciekawski, ktoś mnie ukarał.

– To nieprawda – zaśmiała się, po czym dodała: – Pan kłamie.

Śmiejąc się, wyglądała pięknie i zarazem surrealistycznie w tym czarnym i demonicznym krajobrazie. Otto przypatrywał się jej z przyjemnością. Lubił patrzeć na piękne dziewczyny i lubił ich towarzystwo. Była to miła odszkodnica od frontowej codzienności, zateńłego smrodu koszar, smutnych twarzy współtowarzyszy broni. Nie było w tym jednak nic nieprzyzwoitego. Wychowany w porządnej, zamożnej rodzinie syn fabrykanta był estetą i doceniał piękno w każdej postaci. W przeciwieństwie do innych oficerów nie gustował w dziewczynkach, wołał dojrzałe kobiety. Kiedy spłynęła na niego chwala wyzwoliciela Mussoliniego, podczas jednego z pobytów w Berlinie, po audyencji u Führera został zaproszony przez jego adiutanta do „specjalnego miejsca”. Początkowo myślał, że jadą do eleganckiego burdelu, i bardzo się ucieszył, ponieważ znudziły mu się oficjalne rządowe rauty i bankiety. Był zadowolony, że po wysłuchiowaniu godzinami wzniosłych tyrad Hitlera oficjele pomyśleli o czymś nie tylko dla duszy, ale i dla ciała. Samochód zawiózł go do okazałej willi na obrzeżach Berlina. Adiutant wprowadził go do rozległego holu, w którym kamerdyner odebrał od niego płaszcz. Wnętrze opływało w luksusy, więc całkowicie upewnił się w tym, że dotarł do rządowego burdelu. Po chwili prawda okazała się nieco inna. Był to dom Lebensbornu, czyli miejsce aryjskiej prokreacji w imię narodowosocjalistycznej polityki rasowej zorganizowanej na osobiste polecenie Himmlera. Tutaj elita SS miała zwiększać przyrost naturalny w Niemczech, „płodząc czystych rasowo potomków Rzeszy ze specjalnie przygotowanymi czystymi rasowo i zdrowymi kobietami”. Kobiety w Lebensbornie miały rodzić dzieci, które później oddawano do adopcji. W praktyce jednak pod przykrywką narodowosocjalistycznej ideologii elity SS oraz wysoko postawieni dygnitarze czy finansjści bez przeszkód mogli dawać upust swoim pedofilskim skłonnościom. Również Otto miał przyjemność – czy raczej nieprzyjemność – przyrzecć się z bliska tym praktykom. Po wejściu do eleganckiego i dziwnego przybytku najpierw zaprowadzono go do baru i poczęstowano dobrym alkoholem. Po chwili wielkimi drewnianymi schodami z masywną rzeźbioną poręczą zszedł ktoś w charakterze burdelmamy z naszywkami SS na uniformie. Po wstępie w stylu „jesteśmy zaszczytzeni, że możemy pana gościć” plus coś o spełnianiu aryjskiego posłannictwa został zaprowadzony do jednego z pokoi na piętrze.

Burdelmama wpuściła go do środka, po czym dyskretnie się wycofała, zamykając drzwi i zostawiając go w pomieszczeniu, w którym centralne miejsce pod ścianą naprzeciwko drzwi zajmowało łóżko. Na nim leżała dziewczynka przykryta po szyję kołdrą, którą kurczowo trzymała w zaciśniętych dłoniach.

Mogła mieć najwyżej trzynaście lub czternaście lat, co w pierwszym momencie go zaskoczyło, wręcz szokowało. Ujrzawszy okrągłą, rumianą, dziecięcą i przestraszoną twarz dziewczynki, chciał wyjść, zaraz jednak uzmysłowił sobie, jak mogłoby to zostać odebrane. Jego niemęskie zachowanie zapewne sprowadziłyby na niego podejrzenia o homoseksualizm, co mogłoby zwiastować jego koniec, nie tylko w karierze, ale też dosłownie. Musiał więc przełamać wewnętrzną niechęć. Z uczuciem odrazy i wstydu zgwałcił tę biedaczkę, która zniosła to dzielnie i w milczeniu. Po wszystkim się rozplakała, mówiła coś cicho sama do siebie drżącym głosem w języku, którego nie rozumiał. Musiała być Czeszką, Polką lub inną słowiańską dziewczynką o aryjskim wyglądzie, porwaną specjalnie w tym podłym celu. Jemu nie pozostało nic innego, jak w milczeniu się ubrać i zejść do holu, robiąc dobrą minę do złej gry.

Teraz ta rezolutna dziewczyna przypomniła mu o tym zdarzeniu. Mimowolnie się wzdrygnął.

– Gudrun Himmler, tu jesteś! – Głośny krzyk wyrwał Skorzenego z zadumy i prawie przestraszył.

Obejrzał się przez ramię. W ich stronę szła kobieta z jednym z oficerów. Zanim zdążył cokolwiek zrobić czy powiedzieć, szybkim krokiem go minęła i podeszła do dziewczyny, po czym lekko szarpnęła ją za ramię. Kobieta miała około czterdziestu lat, była średniego wzrostu, o nieco pociągłej twarzy i dość surowych rysach, z włosami upiętymi z tyłu. Za nią podążał jeden z adiutantów Reichsführera z twarzą trupio bladą z przerażenia.

– Mówiłam ci tyle razy, żebyś nie chodziła sama po obozie – besztiała dziewczynę, wzmacniając sławoły uścisk na jej ramieniu.

– Wiem, mam – odpowiedziała i spuściła pokornie głowę.

Kobieta odwróciła się i ruszyła z powrotem, ciągnąc córkę za sobą. Nagle, jakby wyrwana na chwilę z zacierzenia, zdała sobie sprawę, że obok nich ktoś stoi. Nie zrobiło to jednak na niej większego wrażenia. Rzuciła Ottonowi tylko przelotne pogardliwe spojrzenie, patrząc jak na robaka niewspółistniejącego w jej świecie na równych ludziom zasadach. Za nimi podążył adiutant, łapiąc w pośpiechu psa, po czym cała trójka zniknęła za rogiem bunkra.

Otto stał chwilę jak wmurowany w ziemię, starając się zrozumieć, co tu się przed chwilą wydarzyło. Szybko połączył fakty i stało się jasne, że właśnie dostąpił zaszczytu poznania rodziny Reichsführera. Kobieta o żelaznym spojrzeniu była Margarete Himmler. Uciekający przed berlińską zawieruchą Reichsführer zdążył jeszcze wysłać swojego wiernego adiutanta po rodzinę, gdyż bał się, że mogą zostać wykorzystani jako zakładnicy, by go szantażować. Oprócz żony i córki był z nimi jeszcze adoptowany syn, Gerhard. Jego ojcem był zmarły esesman, bliski przyjaciel Himmlera. Po jego śmierci Reichsführer postanowił zająć się chłopcem. Niestety prowadzący podwójne życie Himmler nie zdążył zabrać ze sobą swojej kochanki, Hedwigi Potthast, z nią również miał dwoje małych dzieci, które teraz zostały na łasce puczystów. Sytuacja ta była bardzo na rękę Margarete, z którą Himmler już od dawna nie utrzymywał bliższych stosunków, rzadko odwiedzając dom. Gudrun, za to była jego oczkiem w głowie, niczym wzorowy ojciec miał z nią bliskie relacje, rozpieszczając ją i zabierając ze sobą na „wycieczki”, czyli inspekcje frontu, a głównie obozów koncentracyjnych. Gudrun uważała ojca za bohatera. Wielkiego człowieka, który działa dla dobra narodu niemieckiego. Szacunek i splendor, jakimi go otaczano podczas tych tak zwanych wycieczek, imponował dziewczynie. Widok więźniów w obozowych pasiakach, harujących w ogródkach i domostwach esesmanów, był dla niej czymś normalnym, była dumna, że ojciec usunął ten element z jej ojczyzny.

Otto jeszcze wspominał ostatnie chwile i niezwykle spotkanie, dochodząc do wniosku, że odstąpienie od kopnięcia psa było dobrą decyzją, gdy podszedł do niego ordynans i poprosił, by udał się za nim do przygotowanej kwatery. Dotarli do małego drewnianego budynku. W środku były dwie izby. Obie puste. Ordynans skierował się do pomieszczenia na lewo od wejścia. Tam z wdziękiem go zostawił i oddalił się w pośpiechu, wcześniej informując, że za godzinę ktoś przyniesie kolację. Otto rozejrzał się po izbie. Nie różniła się od innych, w jakich przyszło mu już nocować w czasie wojskowej kariery. Był to mały, surowy pokój z drewnianą podłogą i ścianami pomalowanymi na biało. W rogu stał piec, którego rury wychodziły ponad blaszany dach. Obok pieca leżało kilka szczap. Były tam jeszcze łóżko polowe, stół, krzesła i szafa na ubrania. Przywykł do takich warunków i właściwie nic więcej nie było mu potrzebne. Zmęczony długą podróżą i audiencją u Reichsführera runął jak długi na łóżko, pozwalając sobie na chwilę odpoczynku i nie myśląc, co dalej. Musiał zasnąć, ponieważ obudziło go ciche pukanie do drzwi. Otworzył oczy i podniósł głowę. Po jego głośnym „Wejść!” w środku pojawił się żołnierz z kolacją. Sprawnie rozstawił posiłek na stole, rzucił *Guten Appetit* i wyszedł tak szybko, jak się pojawił.

Skorzeny właściwie chciał z powrotem oddać się w objęcia Morfeusza, ale rozbudził go zapach jedzenia, głównie aromat smażonych kiełbasek, które nęciły z talerza na stole. Woń była tak smakowita, że Otto zsunął z łóżka najpierw jedną nogę, potem drugą i leniwie się podniósłszy, z wolna podszedł do stołu i usiadł na wysokim drewnianym krześle. Kolacja nie była tak wykwintna jak te, którymi podejmował go Hitler, ale biorąc pod uwagę, że w obecnej sytuacji była to w zasadzie frontowa strawa, przedstawiała się nawet okazale i zachęcająco. Kilka smażonych kiełbasek z cebulą, góra ziemniaków i wielka porcja czegoś, co chyba było gotowaną marchwią, dopełnione dwiema butelkami piwa jawiło się niczym królewski posiłek. Otto szybkim ruchem otworzył butelkę i pociągnął kilka głębszych łyków. Ku jego zadowoleniu piwo było zimne, od razu go orzeźwiło i odgoniło senność. Odstawił butelkę i zabrał się do pałaszowania Wurstu wraz z dodatkami. Po jakimś kwadransie, najedzony i zadowolony, rozparł się wygodnie na krześle, przypominając sobie, co go tu sprowadziło. Wiedział, że musi opracować plan, który zadowoli Reichsführera i którego realizację sam nie przyplacił życiem. W tej chwili uważał to za niewykonalne, wręcz absurdalne. Jednak tak samo niewykonalne wydawało się uwolnienie Mussoliniego na podstawie zdjęć z samolotu przelatującego nisko nad miejscem zatrzymania dyktatora. Szybko było po wszystkich i mógł odbierać gratulacje od samego Hitlera. Dlaczego więc i tym razem nie miałyby wymyślić rozwiązania? Ponadto Reichsführer polectał mu ego, co dodało mu pewności siebie albo raczej przysłoniło niebezpieczeństwa i trudności tego przedsięwzięcia. Przez następną godzinę bił się z myślami. Wyobrażał sobie możliwe scenariusze, planując ich wykonanie. To siadał, to znowu przechadzał się po pomieszczeniu. W końcu nerwowym ruchem zgarnął ze stołu

paczkę papierosów i wyszedł przed budynek, chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza i na nowo zebrać myśli. Zapalił, wolnym krokiem kierując się w stronę lasu i ogrodzenia. Było już całkiem ciemno. Słychać było tylko wiatr szeleszczący w gałęziach drzew. Cisza, dźwięki lasu w oddali, mrok odprężyły. Zakłócały je tylko co jakiś czas wąskie, jasne smugi wojskowych szperaczy z pobliskich wieżyczek. Innych ciemność mogłaby przerażać, Skorzeny jednak zawsze upajał się tą porą dnia. Nieprzenikniony mrok dawał pole do popisu wyobraźni. Należał do tych ludzi, którzy wieczorem budzą się do życia. Noc to była jego pora. Zawsze lubił późno wstawać i późno kłaść się spać. Oddawał się nauce, pracy czy rozrywkom w nocy, gdy większość ludzi z reguły śpi. Tak było i teraz: poczuł, że ta ciemność pomoże mu znaleźć rozwiązanie. Przez chwilę czuł się zrelaksowany. Nastroj zmaczyły dywanowe naloty komarów, które w tych bagnistych lasach były prawdziwą zmorą. Istne chmury tych owadów niczym jeden wielki wampir zaczęły wpijać mu się w szyję, twarz i ręce. Palił jednego papierosa za drugim, aby dymem odgonić krwiopijców, lecz bez skutku. Po dłuższej chwili przegrał ten nierówny pojedynek. Machając rękami i siarczyście klnąc, został zmuszony do odrotu. Wrócił pośpiesznie do kwatery i spojrzął ostatni raz na księżyc, jakby szukając natchnienia. Zamknął drzwi, odcinając drogę pościgu goniącym go komarom. W środku dopił ostatnie piwo i położył się na łóżku. Jeszcze długo rozmyślał, aż w końcu znużony zasnął.

Rozległo się głośnie pukanie, które powoli wyciągało Ottona z objęć Morfeusza. W końcu rozbudził się na tyle, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest i co tu robi. Przetarł oczy i niespiesznie zwałował się z łóżka, po czym niechętnym krokiem skierował się do drzwi. Szurając nogami, powoli zapalił guziki munduru, w którym wczoraj zasnął. Otworzył drzwi i ujrzał w nich winnego tego hałasu. Był to ten sam żołnierz, który wieczorem przyniósł mu kolację. Teraz dzierżył tacę ze śniadaniem. Za nim stał jeszcze jeden. Trzymał wielką misę z wodą, przybory toaletowe w postaci pędzla i mydła do golenia, a na przedramieniu miał przewieszony ręcznik, który czasy świetności miał już dawno za sobą. Otto odsunął się, wpuszczając chłopaków do środka. Sprawnie i szybko wykonali swoje zadania, na odchodnym pytając, czy nie potrzebuje czegoś jeszcze. Kiedy usłyszeli, że nie, oddali honory i odeszli do swoich kolejnych zadań. Otto od razu napił się kawy, której zapach wypełnił całe pomieszczenie. Potem nachylił się nad stojącą na szafce miską, zanurzył dłonie w zimnej – niestety – wodzie i przemył twarz. Miało to tę dobrą stronę, że całkowicie go rozbudziło. Zabrał się do golenia, leniwie nabierając mydła na pędzel, a potem nanosząc je na twarz. Był mniej więcej w połowie zabiegu, kiedy do pomieszczenia wszedł ordynans Himmlera i poinformował go o naradzie u Reichsführera, na którą ma się stawić za pół godziny. Zageścił więc ruchy i pozbył się zarostu sprawnie i szybko, używając brzytwy. Po zakończeniu porannej toalety zabrał się do śniadania. Prędko pochłonął rozbeltane jajka będące czymś na kształt jajecznicy. Następnie zjadł cały talerz owsianki, zagryzając wszystko chrupiącymi i jeszcze ciepłymi bułkami. „Skąd, do cholery, w tym lesie mają takie bułki?“, pomyślał. Szybko dojadł, nie pozostawiając nawet okruszka. Zapalił papierosa i czekał na ordynansa. Ten zjawił się kilka minut później i razem udali się do Himmlera.

Zarówno w obozie, jak i w bunkrze Reichsführera panowały krzątanina i gwar towarzyszące przygotowaniu do działań militarnych. Szeleściły dalekopisy i słychać było głosy telefonistek. Bez zbędnych ceregieli został doprowadzony do gabinetu Reichsführera. Byli tam już oprócz gospodarza SS-Brigadeführer Walter Schellenberg, jeszcze niedawno sprawujący pieczę nad wywiadem, człowieczek, którego poznał wczoraj, czyli Felix Kersten, masażysta i jednocześnie cichy doradca Himmlera, a także człowiek, którego nie znał. Cała trójka stała pochylona nad biurkiem, na którym porozkładano mapy konstelacji, planet, wykresy i tabele astrologiczne. Kiedy Otto wszedł, nieznamomy energicznie i z patosem przedstawiał coś Himmlerowi. Ten z wielką powagą, namaszczeniem i respektem przyjmował wszystkie przekazywane informacje. Schellenberg stał nieco z tyłu, jak gdyby nie przykładając zbyt wielkiej wagi do wykresów. Baczenie jednak przyglądał się twarzy Himmlera, jakby próbując odgadnąć, jaki skutek odniosło przedstawienie.

Zaraz po wejściu Skorzeny wyprężył się na baczność i wyciągnął rękę w standardowym *Heil Hitler!*

– W samą porę pan jest, Skorzeny, proszę tu podejść – odezwał się Himmler, nie odrywając się od tablic i wykresów na biurku. – Przedstawię panów – kontynuował, teraz już się prostując i odsuwając na chwilę od obiektów zainteresowania. – Z Brigadeführerem Schellenbergiem panowie się znacie. Przedstawiam panu Feliksa Kerstena i mojego osobistego astrologa Wilhelma Wulffa. – Tu wskazał na masażyście i obcego mężczyźnie. Po grzecznościowej wymianie uprzejmości Himmler mówił dalej, jak gdyby chcąc się jak najszybciej podzielić ze Skorzenym tematem rozmowy: – Przyszedł pan w odpowiednim



momencie. Właśnie otrzymałem mój poranny horoskop, który jest nad wyraz pomyślny. – Z wyraźnym poruszeniem poinformował Ottona.

Himmler, zafascynowany okultyzmem, numerologią, siłami nadprzyrodzonymi, ostatnio nie rozpoczęła dnia, nie zapytawszy astrologa, co mówią gwiazdy. Większość ważnych decyzji podejmował na podstawie horoskopów Wilhelma Wulffa. Podobno to on wskazał miejsce przetrzymywania Benita Mussoliniego, co miało znacznie ułatwić jego odbicie. Tym samym przekonał Himmlera co do swojej niekwestionowanej wiedzy astrologicznej. Nie wiadomo, czy był to czysty zbieg okoliczności, czy, co bardziej prawdopodobne, informacje te pozyskał od znajomych oficerów wywiadu. W czasie seansów spirytystycznych pomagał Himmlerowi komunikować się z królem Henrykiem I Ptasznikiem.

Otto podszedł do zebranych, oglądając jednocześnie astrologiczne prace i przybory Wulffa, o których tak namiętnie rozprawił Himmler. Nie wierzył w takie bzdury i chyba mimowolnie odmalowało się to na jego twarzy, bo Himmler na chwilę zawiesił swoją dysputę z Wulffem na temat porannego horoskopu i zwrócił się do niego:

– Nie wszyscy wierzą w oddziaływanie gwiazd na nasze życie, ale jest to udowodnione. Zresztą Wilhelm niedawno przepowiedział ciężką śmiertelną chorobę Führera i jego przepowiednia po raz kolejny się sprawdziła – zakończył, mocno akcentując ostatnie wyrazy niczym nauczyciel chcący dotrzeć do opornego ucznia.

W pierwszym momencie Otto pomyślał, że przecież Führer nie był chory, tylko ktoś go zastrzelił, ale wolał nie dzielić się tym argumentem z Himmlerem. Zamiast tego odpowiedział tak, by bezpiecznie wybrnąć z sytuacji:

– Na pewno ma pan rację, Reichsführer. Ja jestem prostym frontowym żołnierzem i znam się tylko na żołnierskim rzemiośle. Rodzice również nie nauczyli mnie patrzeć w gwiazdy. Szkoda, bo jak widać, mógłbym się wiele nauczyć. – Otto miał nadzieję, że to zadowoli fanatycznego wielbiciela horoskopów.

Tak też się stało. Himmler przeszedł do omawiania dzisiejszego układu gwiazd i tego, co on oznacza. Wulff jeszcze przez kilka minut pokazywał palcem istotne punkty na wykresach, które z emocjami odbijającymi się na twarzy pochłaniał i analizował Himmler.

W tym czasie z tyłu pod ścianą stał Schellenberg, którego dzisiejszy horoskop interesował tyle co zeszłoroczny śnieg. Wiedział, że to brednie, bo już od miesiący był w znowiu z Wulffem. Obaj wpływali na Himmlera i doradzali mu, żeby po cichu pozbył się Hitlera i sam dogadał z aliantami w sprawie przekazania władzy. Horoskopy i wywody astrologa miały im w tym pomóc. Miały kształtować poczucia Himmlera. Teraz Schellenberg stał i udawał, że słucha wykładu na temat koniunkcji gwiazd, co jakiś czas potakując w milczeniu, gdy Himmler podnosił głowę znad stołu. Okazywał zainteresowanie, żeby na nowo zaskarbić sobie łaski Reichsführera. Od dnia zamachu na Hitlera bacznie zważał na każde swoje słowo i gest, które mogłyby zdenerwować szefa. Cieszył się, że żyje, po tym, jak Himmler przystawił mu pistolet do głowy, dowiedziawszy się o śmierci Führera. Himmler wpadł we wściekłość i nie mógł uwierzyć, że jego prawa ręka, szef Kontrwywiadu Służby Bezpieczeństwa, mógł nie wiedzieć o planowanym zamachu. Najpierw chciał go zastrzelić za zdradę, a gdy Schellenbergowi udało się przekonać szefa, że nie miał z tym nic wspólnego, wtedy Himmler chciał go zastrzelić za niekompetencję. Schellenberg myślał, że nadeszła już jego ostatnia godzina, ale w końcu Reichsführer opanował swój gniew i darował mu życie. Chyba tylko dlatego, że był mu potrzebny, a nie miał nikogo innego zaufanego pod ręką. To właśnie Schellenberg, aby ratować twarz, wymyślił, żeby posłać po Skorzenego.

Tymczasem zagłębiony w horoskopie i przepowiedniach Himmler razem z Wulffem i Kerstenem dyskutowali, jakie działania w związku z tym podjąć. Z boku Himmler mógł wydawać się ciemnym człowiekiem podatnym na magię i pseudonaukę, ale nie do końca tak było.

Okultyzm odgrywał w nazizmie ważną rolę. Podstawą tej dziwnej, w gruncie rzeczy pogańskiej ideologii czy religii była wiara, że Niemcy pochodzą od nordyckiej rasy nadludzi, która uratowała się z jednej z zatopionych wysp, najprawdopodobniej Atlantydy, i migrowała przez pół świata do Europy. Celem wyznawców Towarzystwa Thule było poszukiwanie Niemieckiego Mesjasza, który poprowadziłby Aryjczyków do dominacji na świecie i eksterminacji innych ras, z Żydami i Cyganami na czele. Oczywiście taki człowiek się pojawił, miał nim być Hitler. Dla młodego, zakompleksionego chłopaka, jakim był Himmler, ideologia ta była interesująca i stanowiła odskocznnię od rzeczywistości. Był zafascynowany okultyzmem i działalnością Towarzystwa Thule. To właśnie w spotkaniach Towarzystwa w latach 20. i 30. miał swoją genezę nazizm i Trzecia Rzesza. To właśnie w Thule Himmler poznał Rudolfa Hessa, Martina Bormanna, Dietricha Eckarta, Hermanna Göringa i oczywiście samego Hitlera.

Kiedy Himmler został szefem SS, postanowił wykorzystać parareligię do tworzenia nowych fanatycznych oddziałów. Większość żołnierzy tej formacji musiała się wyzbyć wierzeń chrześcijańskich na rzecz nowego wyznania. Najważniejszym świętem nie było już Boże Narodzenie, lecz przesilenie dnia i nocy oraz związane z tym rytuały płodności. Według Himmlera każdy żołnierz miał obowiązek rozmnażać się na potęgę i zaludniać odmienione Niemcy nowymi pokoleniami aryjskich wojowników. Do celów swojej parareligii przystosował zamek Wewelsburg. Po części stał się on kopią Camelotu z salą z okrągłym stołem pośrodku, a po części katedrą pogańskiego kultu, gdzie w podziemiach odbywały się satanistyczne rytuały, podczas których składano ofiary z ludzi i pito ich krew. Wszystko to potęgowało władzę Himmlera nad SS. Sprowadził do Wewelsburga historyków, naukowców i archeologów – wszystko po to, by udowodnić istnienie historycznej nordyckiej rasy nadludzi. Prowadził tę kampanię na szeroką skalę, posyłając nawet archeologów do Tybetu, gdzie znaleźli czaszki pierwszych Aryjczyków. Ten parareligijny kult był więc po części strategią zwiększania jego wpływów, a po części pozwalał mu dawać upust swej dziecięcej fantazji.

Kiedy wszelkie zawiłości nowego horoskopu zostały już rozwikłane, Himmler jak gdyby nigdy nic od razu przeszedł do głównego porządku obrad i zwrócił się do Skorzenego.

– Herr Sturmbannführer, proszę teraz przedstawić swój plan działania – rzucił krótko, nie biorąc w ogóle pod uwagę, że Otto może jeszcze nie mieć planu.

– Reichsführer, panowie, jak wiecie, taka operacja wymaga czasu, rozpoznania i pieniędzy – zaczął powoli Skorzeny, jakby chcąc uzmysłowić Himmlerowi trudność zadania.

Ten jednak momentalnie mu przerwał.

– Do rzeczy, Skorzeny. Wszyscy jesteśmy świadomi sytuacji, więc proszę oszczędzić nam wstępów i powiedzieć krótko, czy pan coś wymyślił, czy nie – powiedział dość dosadnie, dając do zrozumienia, że interesują go wyłącznie konkrety.

– Tak, Reichsführer, mam pewien plan – ciągnął Otto, nieco zbity z tropu. – Jak już powiedziałem, taka operacja wymaga czasu i rozpoznania, czym nie dysponujemy, więc potrzebujemy pieniędzy.

– O to proszę się nie martwić – wtrącił szybko Himmler, jednocześnie dając znak ręką, żeby Skorzeny kontynuował.

– Jak panowie wiedzą, zostałem pozbawiony dowództwa i odseparowany od większości moich żołnierzy. Jeżeli jednak chodzi o zlikwidowanie jednego celu, wystarczy grupa dwóch, czterech osób, pod warunkiem że będą miały swoją wtyczkę wewnątrz kregu, do którego trzeba dotrzeć. Osobę, która zapewni plany, rozkład dnia i lokalizację celu w ciągu całej doby. Ja taką osobę znam. – Otto mówił wolno i spokojnie, podczas gdy na twarzach słuchaczy malowało się coraz większe napięcie i zainteresowanie. – W Hiszpanii służyłem z oficerem Kurtem Wagnerem, który od dłuższego czasu jest w straży przybocznej Canarisa. Chwalił się tym, kiedy widziałem się z nim kilka miesięcy temu w Berlinie. Dobrze to pamiętam, bo opowiadał, że znalazł ciepłą posadkę, dzięki której uniknie frontu wschodniego. Pomyślałem, że mógłbym się z nim spotkać i nakłonić do współpracy. W Hiszpanii byliśmy dość zżyci, potem kilka razy gościłem w jego domu pod Brunswikiem. Poznałem jego żonę i rodzinę. Nie wiem, jak skontaktować się bezpośrednio z nim, ale mógłbym odwiedzić jego żonę i poprosić, aby do niego zadzwoniła i nas umówiła. Zakładając oczywiście, że on nadal pracuje dla Canarisa. – Otto zrobił pauzę, czekając na reakcję Himmlera i pozostałych.

– Skąd pan wie, że zechce współpracować i że pana nie wyda? – Po raz pierwszy do rozmowy wtrącił się Schellenberg.

– Pewności nie mam, ale myślę, że warto spróbować. Kurt nigdy nie był przesadnie ideowy, to raczej chłodny materialista, i to możemy wykorzystać. Sądzę, że zaferowanie dużych pieniędzy rozwiąże sprawę i Wagner poda nam potrzebne informacje. Nie obawiam się też, że mnie wyda. Wiele razem przeszliśmy w Hiszpanii, a takie przeżycia zbliżają ludzi na tyle, że można im zaufać. – Skorzeny skończył i znowu czekał na reakcję Himmlera. Miał nadzieję, że ten plan uzyska jego aprobatę, bo innego po prostu nie miał.

Himmler, który przez dłuższą chwilę stał oparty o stół, wyprostował się i zaczął w milczeniu przecierać okulary. Widać było, że głęboko zastanawia się nad tym, co usłyszał.

– O jakich kwotach mówimy i czego będzie pan potrzebował? – Rzeczowo podszedł do tematu. O dziwo, w niewralgicznych momentach, w przeciwieństwie do Hitlera, zachowywał się racjonalnie. Nie wygłaszał zbędnych przemów, tylko w zwięzły sposób szukał rozwiązania problemu.

– Myślę, że dwieście tysięcy Reichsmarek na zwerbowanie ludzi, łapówki, broń, materiały wybuchowe, transport w pierwszej fazie powinno wystarczyć – odparł Otto.

Himmler wymienił z Schellenbergiem porozumiewawcze spojrzenia, po czym skinął głową Ottomowi, potwierdzając, że taka kwota zostanie oddana do jego dyspozycji. Usiadł w fotelu i machnął ręką na Kerstena, by ten przyniósł butelkę brandy. Dał znak pozostałym, by również usiedli.

– Mam jeszcze kilka pytań – zwrócił się do Skorzenego.

Następnie znany ze skrupulatności Himmler zasypał Ottona lawiną szczegółowych pytań, pragnąc rozplanować każdy ruch. Co jakiś czas Schellenberg, Kersten czy Wulff rzucali swoje uwagi, tkając misterną sieć terrorystycznego planu wzniesienia chaosu w szeregach swoich przeciwników. Czas płynął im szybko i debata została zakończona dopiero przez tradycyjną przerwę Himmlera na lekarstwa i zabiegi rehabilitacyjne w wykonaniu Kerstena. Szybko dogadali szczegóły i jeszcze przed zmrokiem Skorzeny wyjechał w stronę Brunszwiku bogatszy o dwieście tysięcy Reichsmarek.

## Pałac Charlottenhof

Pośrodku jednej z najstarszych ulic w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg słońce właśnie zetknęło się z odrobiną wody w kałuży wypełniającej wyrwę w nienagannym kiedyś bruku. Haeselerstrasse wraz z pierwszymi słonecznymi promieniami budziła się do życia. Ciemna jeszcze przed chwilą ulica z posępnymi czarnymi fasadami domów, wyłożona kocimi łbami, ze snującym się zapachem wozów ze śmiećiami i końskich odchodów, wkrótce zacznie tętnić życiem. Pojawia się wozy z dostawami żywności do okolicznych Lebensmittel, dostarczające produkty od okolicznych gospodarzy, rozlegną się silniki wszechobecnych automobili. Robotnicy ruszą do pracy, sklepikarze otworzą swe sklepy, a fryzjer Bruno Koch jak co rano od dwudziestu lat naostrzy swoją brzytwę. Gwar dzieci biegnących do szkoły odeśle w niepamięć ciszę i zakazane odgłosy nocy. Nie było tutaj nocnych knajp, szykownych sklepów z elegancką odzieżą, w których panie w wielkich kapeluszach robią zakupy. Nie było tu znanych hoteli, przed którymi młody boy otwiera drzwi luksusowych aut, ani wykwintnych restauracji. Była tu jednak mała piekarnia słynąca ze swoich wypieków, tortów i wyjątkowej jakości chleba.

Pierwsze promienie słońca właśnie zaczęły oświetlać nieduży okrągły szyld z brązowym napisem „Bäckerei Kruger und Söhne”. Duże okno wystawowe piekarni, w którym znajdowały się najróżniejsze czekoladowe baby, torty, pierniki, serniki i ogromne tysie z kremem, zachęcało do zakupów, działając na kubki smakowe wygodniałych przechodniów. Pomimo wczesnej pory przed piekarnią uwijał się już chłopak krążący od drzwi budynku do zaparkowanego na chodniku dostawczaka z napisem „Bäckerei Kruger und Söhne”.

Młodzieniec o jasnych włosach i pulchnej, delikatnej, okrągłej twarzy związał się jak w ukropie, ładując do ciężarówki jeszcze ciepłe owoce całonocnej pracy piekarni. Czternastoletni syn piekarza miał na imię Lukas i ostatnio zaniebrywał szkołę, pomagając ojcu w piekarni. Jak większość jego rówieśników w tamtym czasie musiał szybciej dorosnąć. Co jakiś czas w drzwiach piekarni pojawiał się biały, szczupły mężczyzna, który z racji surowej twarzy bladej od niewyspania, przyprószonej mąką i przyozdobionej w siwe włosy i wąsy wyglądał jak przysłowiowy „ojciec czas”. Nie był jeszcze w tak podeszłym wieku, żeby przyoblec się w siwiznę. Był to skutek nieszczęść i trosk, których niedawno doświadczył. Ojciec sprawnie dyrygował czternastolatkiem, doradzając, co i gdzie ma zanieść, a raz po raz sam łapał coś w sklepie i zanosił do ciężarówki. Praca szła im szybko. Na pierwszy rzut oka widać było, że dobrze się dogadują i nie załadowują samochodu po raz pierwszy. Na szyldzie było napisane „Kruger i synowie”, więc postronny przechodzień mógłby się zastanawiać, dlaczego czternastolatek odważa całą pracę za swoich braci. Jednak ów przechodzień mógłby po chwili dostrzec za ogromną szybą piekarni dwie oprawione w piękną drewnianą ramę fotografie. Przedstawiały przystojnych młodzieńców w wieku dwudziestu paru lat i mogłyby być ozdobą każdego salonu fotograficznego czy fryzjerskiego, gdyby nie pewien szczegół. Czarna szarfa w prawym rogu każdego ze zdjęć. Tak piekarz Kruger oddawał hołd swoim poległym na wojnie synom. Eryk zginął pół roku temu na froncie wschodnim, a starszy o rok Georg rok temu w Afryce. Przez to piekarz Albert Kruger osiwił całkowicie w ciągu kilku miesięcy, a Lukas dojrzał i dorósł, zanim jeszcze naprawdę przestał być dzieckiem.

Ulica powoli zaczęła się zapelniać przechodniami i właścicielami sklepów oraz zakładów. Obok piekarni znajdował się sklepik z galanterią skórzaną, do którego otwierania zabrał się przed chwilą starszy, gruby jegomość z modnym krótkim wąsikiem. Kiedy już pootwierał wszystkie kraty swojego sklepu i ogarnął jego wnętrze, podszedł do piekarza, uchylając mocno wysłużonego melonika, i rzucił sennie:

– Dzień dobry. Jak pan się dziś miewa, Herr Kruger?

Był to Feliks Szreder, od stosunkowo niedawna dumny właściciel sklepu z galanterią skórzaną i mieszkania nad nim. Wcześniej sąsiadem piekarza był Benjamin Goldberg, który wraz z całą rodziną przed trzema laty o 4.00 rano został wywieziony do Buchenwaldu. Ten sam los spotkał także trzy inne żydowskie rodziny zamieszkujące ulicę. Natura nie lubi próżni, więc jeszcze tego samego dnia pojawili się nowi lokatorzy i zarówno mieszkanie na piętrze, jak i sklep zajął Szreder, zostając niespodziewanie nowym sąsiadem piekarza Krugera.

Ten w geście powitania machnął do Szredera, po czym odwrócił się i zniknął w sklepie. Po chwili pojawił się ponownie w drzwiach, niosąc dwie jeszcze gorące bagietki i ptysia. Szreder podał odliczone pieniądze, odebrał pieczywo i w ten sposób zakończył codzienny poranny rytuał. Było wcześniej i żadnych klientów nie było widać, więc właścicielowi sklepu z galanterią zebrało się na pogawędkę.

– Słuchał pan wczorajszych wieści z frontu? Na wschodnim nasza armia dała mocny odpór czerwonym bestiom i niedługo przejdzie do kontrofensywy. Tak jak zapewniali w kronice, tym razem odnieśliśmy zwycięstwo. Na front pojechały nowe czołgi. Teraz mróz Rosjanom nie pomoże tak jak pod Stalingradem. Obecnie nasze dowództwo nie da się zaskoczyć. – Pogryzając chrupiącą bagietkę, relacjonował wczorajszą kronikę Szreder.

Piekarz spojrzął na niego obojętnym wzrokiem i równie beznamiętnie odpowiedział:

– Ostatnio rzadko słucham wiadomości, ale skoro twierdzi pan, że tak jest, to wypada nam się tylko cieszyć – rzekł bez wiary we własne słowa i jakby z przekąsem.

Odpowiedź wyraźnie nie spodobała się sąsiadowi.

– No wie pan? Jako narodowy socjalista ma pan obowiązek śledzić postępy naszych wojsk na froncie. Jesteśmy im to winni – powiedział i nagle ugryzł się w język, gdy spojrzął na zdjęcia w witrynie. Przypomniał sobie, że jego rozmówca wypełnił już swój obowiązek z nawiązką. Zrobiło mu się głupio i postanowił szybko zmienić temat: – Lukas to prawdziwy skarb. Moja Gretchen cały dzień tylko przy mierza sukienki i nic a nic nie chce pomóc w sklepie. Chyba ma to po matce. Cały interes na mojej głowie. – Machnąwszy ręką, dodał: – Nic, idę do siebie. Trzeba trochę popracować. Uszanowanie dla małżonki. – Odwrócił się i równie powolnym, sennym krokiem, jakim przyszedł, oddalił się do swojego sklepu.

Kruger, zadowolony, że nie musi dalej prowadzić grzecznościowej konwersacji z niezbyt lubianym sąsiadem, wszedł do piekarni. Lukas zrobił jeszcze kilka kursów z wypiekami do samochodu i z powrotem, po czym załadunek się zakończył. Wszedł na drugi stopień schodów prowadzących do sklepu i krzyknął:

– Tato, zrobione, możemy jechać! – Otrząpął się i wyciągnął z kieszeni czapkę, którą zawiadacko włożył na głowę. Szybko przejrzał się w szybie piekarni, sprawdzając, czy czapka leży jak trzeba. Odbicie musiało go zadowolić, ponieważ się odwrócił i wgramolił na siedzenie pasażera w ciężarówce.

Wkrótce z budynku wyszedł siwy piekarz i zajął miejsce kierowcy. Kiedy odpalał motor, na schodkach piekarni pojawiła się tęga kobieta. Była to Frau Kruger. Pomachała na pożegnanie chusteczką, silnik zaterkotał i ciężarówka pełna świeżych wypieków potoczyła się w dół ulicy, wesoło podskakując na kocich łbach.

W szoferce rozległ się głęboki, spokojny i łagodny głos piekarza:

– Oprzyj się o drzwi i spróbuj pospać. Obudzę cię, jak dojedziemy.

Ale Lukas, rozbudzony porannym słońcem, zauważył właśnie dwóch chłopców idących chodnikiem. Podniósł się szybko i nachylił, pokazując ich ojcu.

– Tato, zobacz, to Udo i Rolf! – niemalże krzyknął. – Zatrąb, tato, zatrąb! – prawie błagalnym głosem zwrócił się do ojca.

– Kiedy ty dorosisz, Lukas? Przecież to takie głupie – odpowiedział piekarz, nie dzieląc entuzjazmu syna.

– No zatrąb, zatrąb! – Podskakiwał na siedzeniu Lukas, gdy ciężarówka zbliżała się do chłopaków.

Nie pochwalając tego pomysłu, piekarz jednak uległ namowom i gdy znaleźli się przy chłopakach, energicznie dwa razy nacisnął klakson. Udo i Rolf podskoczyli przestraszeni hałasem przejeżdżającej za ich plecami ciężarówki. Mniejszy, Udo, w panice potknął się i wyłożył jak długi na chodniku. Lukas wychylił się przez odkręconą szybę i zagrał na nosie kolegom, po czym schował się z powrotem w szoferce, zadowolony z żartu, który udało mu się spletać. Pulchna twarz chłopaka rozjaśniła się radością. „Niewiele potrzeba mu do szczęścia”, pomyślał ojciec, widząc, ile uciechy przysporzył synowi ten głupi dowcip. Marsowa mina zniknęła na chwilę i uśmiechnął się do Lukasa.

– Jesteś z siebie zadowolony? Chłopak mógł przez ciebie nogi połamać. Powinieneś się wstydzić, a ja podwójnie, za to, że dałem ci się namówić – powiedział jednak poważnym tonem. Ale jednocześnie hamował się, by nie wybuchnąć śmiechem. Co byłoby oczywiście niestosowne i niewychowawcze.

Raptem dotarło do niego, że to pierwsza chwila od długiego czasu, kiedy z czegoś się śmiał. Kiedyś gwarny i wesoły dom Krugerów wypełniały śmiech, radość i odgłosy zabawy synów. Od czasu, kiedy z frontu przyszły wiadomości o śmierci starszych braci, Lukas zamknął się w sobie. W domu zalegała

przeżarliwa cisza. Lukas, zamiast chodzić do szkoły, musiał pomagać ojcu w piekarni, ale tam też nie rozmawiali. Po prostu wykonywali codzienne czynności, zabijając czas i starając się nie myśleć.

– Dobrze im tak! Zasłużyli na to. – Lukas nie przestawał się cieszyć. – Ciągłe wszystkim dokuczają, bo są silniejsi. Kiedy ostatnio graliśmy w kulki z Willym i Hansem, pojawili się nie wiadomo skąd. Popchnęli Hansa, zabrali nam kulki i poszli – poskarżył się.

– Jak to zabrali? Nie próbowaliście nic zrobić? – zapytał ojciec.

– To nie pierwszy raz, zawsze nam dokuczali. Kiedyś Hans się postawił, to tak go pobili, że przez tydzień nie słyszał na jedno ucho. – Lukas zrobił pauzę, po czym mówił dalej: – Tylko mnie nie ruszali, bo jak kiedyś mnie gonili, złapał ich Eryk i tak nastraszył, że bali się do mnie zbliżyć, ale teraz... – Zawiesił głos. Chciał powiedzieć, że teraz nie ma Eryka i łobuzy czują się bezkarne, ale słowa uwięzły mu w gardle.

W kabynie zapanowała cisza. Wesoły nastrój poranka prysł jak bańka mydlana. Zarówno ojciec, jak i syn przypomnieli sobie o rzeczywistości i o tym, że już nic nie będzie takie jak kiedyś, że Eryk już nigdy nie pomoże bratu i nic nie zakłóci strasznej ciszy panującej w domu.

Uśmiech zniknął z twarzy piekarza tak samo szybko, jak się pojawił, a na czoło pomału powróciły głębokie bruzdy.

– Przykryj się kocem i pośpij trochę. Obudzę cię na miejscu – powtórzył, uznając, że to będzie najlepsze wyjście z sytuacji.

Chłopiec posłusznie zwinął się w koc, wcisnął czapkę między szyję a głowę, po czym spróbował zasnąć. Pracował całą noc, więc przyszło mu to bez trudu i już po chwili chrapał.

Pochylony nad kierownicą piekarz zadumał się nad swoim losem. Odwrócił głowę i spojrzał na jedyne pozostałe mu syna. Ten już smacznie spał i w ten sposób odgonił troski. Albert Kruger nie miał jednak tego luksusu. Prowadząc ciężarówkę krętymi ulicami podberlińskich dzielnic, został sam na sam ze swoimi myślami. Ruch o tej porze był niewielki, a większość pojazdów i wozów ciągnęła w stronę centrum Berlina. Na drodze wylotowej z miasta było pusto. Nie musiał wymijać żadnych pojazdów. Monotonia jazdy zmuszała go do rozmyślań nad rozmową sprzed chwili i traumą ostatnich miesięcy.

Jeszcze niedawno wiódł szczęśliwe życie. Piekarnia dobrze prosperowała, synowie pomagali i mieli przejąć rodzinny interes. Georg miał się żenić z córką fotografa, Lottą, z którą znali się od dziecka. „Jak w jednej chwili wszystko mogło się tak spierdolić?“, pomyślał. Czasem, gdy budził się rano, bardzo powoli docierało do niego, że to nie sen, że synowie naprawdę nie żyją. Dalej bił się z myślami, próbując zrozumieć, jak do tego doszło. Wszystko przez tego szaleńca Hitlera. Nie mógł sobie darować, że jak większość Niemców dał się omamić temu kłamcy. Tak, teraz Hitler był dla niego już tylko kłamcą, który składał Niemcom obietnice bez pokrycia. Wpędził kraj w wojnę z całym światem, która była z góry skazana na klęskę. Był winny śmierci jego synów. Tu w myślach zmienił zdanie... to nie Hitler był winny, tylko on, ojciec, przyczynił się do tego. To on chodził na wiece, w blasku pochodni, wśród flag i maszerujących oddziałów NSDAP wiwatował na cześć Hitlera. To on wybrał go w wyborach, bo obiecał zrobić porządek w kraju, obiecał potężne Niemcy i dobrobyt dla zwykłych ludzi. Hańba przegranej wojny w 1918 roku, bieda i bezrobocie, które zapanowały wskutek wypłat reparacji wojennych dla zwycięskich mocarstw, były dobrą pożywką dla faszystowskiej ideologii. Parodia demokracji, jaką była Republika Weimarska, otworzyła szeroko drzwi Hitlerowi i jego poplecznikom. Gdy miało się do wyboru widmo komunizmu, obraz panoszących się i okradających Niemcy Żydów albo człowieka z ludu i jego partię, decyzja była prosta. Albert Kruger, bądź co bądź człowiek inteligentny, z początku traktował Hitlera jako nieszkodliwego krzykacza. Jednak wkrótce idee, które ten głosił, przypadły mu do gustu. Jemu, ubogiemu piekarzowi, którego zakład chylił się ku bankructwu, ponieważ zniszczenia wojenne odbiły się również na działalności piekarni. Nawet on, który przed wojną pijał w południe herbatę ze swoim sąsiadem Beniaminem Goldbergiem, uwierzył, że to Żydzi są winni wszelkim niepowodzeniom i zagrażają społeczeństwu. Zrobiono mu wodę z mózgu do tego stopnia, że kiedy wywozili biednego Beniamina o 4.00 nad ranem do obozu, uważał to za słuszne. Był na tyle uczciwy, że teraz się tego nie wypierał. Kiedy klęska Niemiec na froncie wschodnim stała się faktem, a sowieckie wojska kierowały się na Berlin, dało się słyszeć głosy, że Hitler dostał to, na co zasłużył. Natura ludzka zmienna jest i wszyscy zapomnieli, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej równo wyrzucali ramię i czcili Hitlera niczym Boga. Kiedy po kolei przyłączała do Niemiec Austrię, Czechosłowację, podbił Polskę i Francję, peanem na cześć wodza nie było końca. Biedne, przymierające głodem Niemcy raptem, na skutek nowej wojny, pieniędzy z okupowanych krajów, grabienia ich mienia, usunięcia Żydów wraz

z konfiskatą ich majątków oraz pracy przymusowych robotników, pławiły się w dobrobycie. Piekarnia nie nadążała z robotą, by zrealizować zamówienia dla wojska i setek klientów, którzy po latach biedy teraz jedli na potęgę. Wszystkimi żyło się dobrze i dostatnio. Wtedy wszyscy głośno krzyczyli *Sieg heil!* Tak, kilka miesięcy temu Hitler dla wszystkich był geniuszem, teraz ludzie się od tego odcięli. Piekarz wiedział jednak, że dał się omamić Hitlerowi i wysłał synów na rzeź. To nie Hitler był temu winny, tylko on sam, Albert Kruger, i sześćdziesiąt milionów Niemców, którzy za nim poszli.

Auto, które kilka kilometrów wcześniej opuściło obrzeża Berlina, zanurzyło się wraz z szosą w głęboki las. W kalejdoskopie szpilkowych sosen, świerków, liściastych brzoź, dębów współgrających w porannym teatrze cieni i światła przebijającego przez gałęzie drzew to spadało w przestrzenie oświetlone słońcem, to znów w głęboką ciemność gęstego lasu, pochłaniającego całkowicie słoneczne promienie. To właśnie w tej ciemnej materii leśnej piekarz Kruger dostrzegł coś, co zmusiło go do natychmiastowego porzucenia myśli kłębiących mu się w głowie i gwałtownego wciśnięcia hamulca. Koła ciężarówki się zablokowały i auto z piskiem zatrzymało się na drodze. Siła hamowania była tak duża, że śpiący na siedzeniu Lukas obudził się na podłodze. Kiedy zdziwiony podniósł się i spojrzął przez przednią szybę szoferki, zobaczył stojącego na środku drogi żołnierza z czerwoną latarką w wyciągniętej ręce. Żołnierz znajdował się niecały metr od maski, a jakieś dziesięć metrów za nim stał w rozkroku drugi z przewieszonym przez ramię pistoletem maszynowym z lufą skierowaną w ich stronę.

Piekarz z rękami kurczowo zaciśniętymi na kierownicy również wpatrywał się w osobników, którzy w tak bezpardonowy sposób zagrodzili im drogę. W lesie było jeszcze prawie całkiem ciemno i jedyne, co mógł dostrzec, to wojskowe mundury oraz znaczącą różnicę wzrostu między żołnierzami. Pierwszy mężczyzna stojący w blasku reflektorów był niewysoki, z dość przeciętną twarzą przesłoniętą daszkiem wojskowej czapki. Drugi na jego tle był olbrzymem i górował nad nim o dobre kilkadziesiąt centymetrów. Piekarz się zawahał. Wprawdzie mundury były niemieckie, ale okoliczności zatrzymania wydawały się dość niepokojące. W pierwszym momencie chciał instynktownie wrzucić wsteczny i na pełnym gazie dać nogę, ale lufa wycelowanego w szoferkę karabinu sprawiła, że wołał nie ryzykować. Żołnierz z latarką zmienił barwę światła z czerwonej na białą i podszedł do ciężarówki, oświetlając budę wozu oraz wymalowane logo piekarni. Potem, świecąc kierowcy w twarz, podszedł do bocznych drzwi, dając ręką znak, by ten opuścił szybę.

– Kontrola drogowa. Proszę wysiąść i pokazać dokumenty – szorstko rozkazał żołnierz.

– Wiziemy zaopatrzenie z piekarni do pałacu Charlottenhof – próbował tłumaczyć piekarz, lecz nie zdążył dokończyć, kiedy usłyszał:

– Wysiadać, wysiadać, nie gadać!

Zebrał dokumenty leżące w szoferce i stanął obok wozu, podając je żołnierzowi. Ten świecił latarką i dokładnie przeglądał papiery. Podszedł do nich drugi żołnierz. Nie trzymał już broni wycelowanej w furgonetkę, tylko luźno przewiesił ją przez ramię. Piekarz poczuł niemalą ulgę.

– Jest wszystko? – zapytał ten wyższy kompana.

Gdy znalazł się obok nich, piekarz dostrzegł twarz wyższego stopniem oficera, którego lewy policzek przecinała wielka blizna.

– Jest wszystko? Przepustki są? – powtórzył szybko Otto Skorzeny, który był tym wysokim oficerem i prowodyrem tego zatrzymania.

– Jest wszystko, co trzeba. Pieczętki wydają się w porządku, aktualne – odpowiedział niższy żołnierz. Był nim SS-Obersturmführer Karl Radl, adiutant Skorzenego i jego prawa ręka. – Pasażer niech też wysiądzie i tu podejdzie! – krzyknął przez otwarte drzwi do wnętrza szoferki.

– Coś nie tak z dokumentami? – zapytał Kruger.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Lukas posłusznie wykonał polecenie, wyszedł z wozu i stanął obok ojca. Skorzeny cofnął się o kilka kroków, wyciągnął z kieszeni papierosy i zapalił.

Radl schował dokumenty do przedniej kieszeni munduru, po czym wydał komendę, która wprawiała obydwu Krugerów w osłupienie:

– Rozbierać się!

– Słucham? O co chodzi? – zaprotestował zdziwiony Albert.

– Rozbierać się do bielizny, przecież mówię wyraźnie, no już! – ponowił polecenie Radl.

– Niech pan oficer sprawdzi, dokąd jedziemy. To ważny transport – próbował wybrnąć z opresji piekarz.

W odpowiedzi Radl wyjął z kabury pistolet, wycelował w niego i zapytał:

– Teraz rozumiesz?

Kruger już nie oponował i zaczął ściągać biały uniform. Kiwnął na syna, by ten zrobił to samo, a kiedy zostali w samej bieliźnie, spojrzali pytająco na Radla, czy ma kontynuować ten dziwny striptiz.

– Wystarczy. A teraz wypierdalać! – rzucił Radl, wskazując łufą pistoletu gęstwinę lasu na lewo od drogi.

Przestraszony piekarz patrzył to na broń, to na trzęsącego się ze strachu i z zimna Lukasa. Chłopak był przerażony. Objął go ramieniem i bez słowa wolnym krokiem oddalili się w stronę lasu, a po chwili całkowicie zniknęli żołnierzom z oczu.

– Ja pierdołę, to jedna z najdziwniejszych rzeczy, które ostatnio zrobiłem. – Radl spojrzął na Skorzenego.

– Pokaż – powiedział Otto, rzucając niedopałek i dociskając go obcasem.

Radl podniósł z ziemi ciuchy Krugerów i podał Skorzenemu jeden z uniformów.

– To mamy problem – stwierdził, trzymając przed sobą strój Lukasa.

Jak nie trudno się domyślić, Skorzeny i Radl mieli zamiar przebrać się w zrabowane uniformy piekarni. Wystąpił jednak nieoczekiwany kłopot, ponieważ o ile Otto dał radę wcisnąć się w uniform starszego z Krugerów, mając jedynie przykrótkie rękawy i nogawki, o tyle Radl pomimo niższego wzrostu w żaden sposób nie włożyłby mniejszego kombinezonu.

– Trudno, będziemy improwizować – rzekł Otto, wyciągając zza pasa długi nóż i podając go kompanowi.

Ten odciął nogawki kombinezonu i włożył jedynie rozpiętą bluzę na podkoszulek. Otto równie szybko przeobraził się w piekarza. Karl, Austriak z pochodzenia, uciekł do Niemiec, by zostać członkiem SD. Niedoskonałości fizyczne nadrabiał niebywałym intelektem i znakomitymi zdolnościami planowania. Szybko awansował w strukturach SS i jako SS-Obersturmführer został przydzielony do Sonderverband „Friedenthal” kierowanego przez Skorzenego. To on wybierał ludzi do operacji Eiche, czyli uwolnienia Mussoliniego, i pomagał szefowi zaplanować przebieg misji. To on trzymał Skorzenego za nogi, kiedy ten z samolotu robił zdjęcia rozpoznawcze swoim zwykłym aparatem fotograficznym. Nie było więc przypadkiem, że dzięki swojej lojalności i umiejętnościom właśnie on znalazł się dzisiaj w lesie ze Skorzenym.

Operacja Eiche zacieśniła więzi między Skorzenym a Radlem. Było to w sierpniu 1943 roku, kiedy niemiecki wywiad ustalił, że obalony przez przeciwników politycznych Mussolini jest więziony w hotelu Campo Imperatore w górskim masywie Gran Sasso. Komandosi Skorzenego wylądowali na szybowcach nieopodal hotelu. Wywiązała się krótka walka, po której żołnierze obezwładnili zaskoczonych włoskich strażników i uwolnili duce. Później samolotem Fieseler Storch Skorzeny przetransportował Mussoliniego na lotnisko Pratica di Mare, a stamtąd przez Wiedeń do Hitlera w Wilczym Szańcu. Brawurowa akcja zaskarbiła mu uznanie Führera, który osobiście odznaczył go Krzyżem Rycerskim. W ten sposób zyskał sławę człowieka do zadań specjalnych, a właściwie niewykonalnych. Nie mniejszy udział w całej akcji miał Radl, co połączyło ich w odbiorze zaszczytów i późniejszej karierze.

Skorzeny usiadł za kierownicą, a Radl z powodu niedoskonałości stroju zajął miejsce Lukasa, starając się jak najbardziej ukryć elementy ubrania mogące zdradzić, że nie jest pracownikiem piekarni Kruger und Söhne. Otto popatrzył na zegarek i odpalił silnik. Ostro dodając gazu, rozpędził ciężarówkę do maksimum, by jak najszybciej dotrzeć na miejsce docelowe Krugerów. Bez przeszkód pokonali kilkanaście kilometrów, po czym zjechali z głównej szosy na wąską, piaszczystą drogę. Koła ciężarówki jeszcze przez około kilometr podskakiwały na nierównościach bocznej szutrówki, po czym przed ich oczami zaczęły rysować się zabudowania pałacu Charlottenhof, dawnej letniej rezydencji księcia Fryderyka Wilhelma. Nazwa pałacu pochodziła od imienia byłej właścicielki tych terenów, Marii Charlotty von Gentzkow, żony szambelana. Posiadłość otaczały łąki, drzewa, stawy, mosty, posiadała nawet własny system wodociągowy. Skorzeny z Radlem nie mieli jednak czasu na podziwianie krajobrazów. Przejechali jeszcze kilkaset metrów, kiedy ukazał się wojskowy posterunek strzegący dojazdu do pałacu. Widać było, że prowizoryczna wartownia i szlaban zostały postawione niedawno. Otto zatrzymał ciężarówkę przed szlabanem i czekał. Po chwili z wartowni wyszło dwóch żołnierzy, którzy spojrzeli na wóz z nazwą piekarni. Z ich zachowania można było wnioskować, że charakterystyczne logo widzą nie po raz pierwszy. Rutynowo, jak w ciągu kilkunastu ostatnich dni, podeszli do soferki, by sprawdzić dokumenty kierowcy. Otto odkręcił szybę i podał przepustki wartownikowi. Ten przejrzał je uważnie, po czym popatrzył na kierowcę i pasażera.



– Gdzie jest starszy pan? Czemu dzisiaj nie przyjechał? – zapytał strażnik, chudy mężczyzna o płowych włosach i dość dziwnym spojrzeniu.

Kiedy spoglądał na Ottona, mrużył lewe oko. Był to skutek choroby, której nabawił się na froncie, kiedy brudna ziemia po wybuchu dostała mu się do oka. Wdało się zakażenie i biedny Gerhard, bo tak miał na imię wartownik, od tego czasu mrużył i ciągle tań chore oko.

– Żle się poczuł wczoraj wieczorem. Jakieś kłopoty z sercem. Syn pojechał z nim do szpitala i dzisiaj my rozwozimy zaopatrzenie – odpowiedział Otto.

Wartownik ponownie zmrużył oko i jeszcze raz przejrzał przepustki. Wszystko wydawało się w porządku, odpowiedź również go zadowoliła. Nie widział powodu, by nie wpuścić znajomej furgonetki. Oddał dokumenty, dał znak koledze, by podniósł szlaban, i Skorzeny z Radlem mogli jechać dalej.

Ciężarówka ruszyła i zaczęła zbliżać się do zabudowań pałacu. Przejechali przez most nad wijącą się po terenie posiadłości rzeką. Po bokach drogi ciągnęły się folwarczne zabudowania dla niezliczonej służby doglądającej pałacowych włości, ogromne stajnie i psiarnie, w których trzymano psy do polowań. Obok wznosił się niewielki murowany dom, który zamieszkiwał pałacowy łowczy. Wszystko tu miało swój porządek i hierarchię rozplanowaną od dziesiątek lat. Zbliżali się do pałacu od strony wschodniej, dlatego mogli podziwiać duży ogród różany. Z drogi się tego nie widziało, lecz zaprojektowano go w formie labiryntu, już w XVII wieku. Gdyby Skorzeny i Radl mogli zatrzymać się na chwilę i rozkoszować widokami, ich oczom ukazałaby się przepiękna altana z posągami małego satyra, pomniki Goethego, Schillera, popiersia Dantego, Petrarki oraz innych włoskich poetów. Znajdowały się tam też rzeźby dwóch chłopców z pochodnią i tarczą, uosabiających sen i śmierć. W tak pięknych okolicznościach przyrody oraz sztuki przyszło podróżować Skorzenemu i Radlowi. Nie przyjechali tu jednak zwiedzać i napawać się urokami krajobrazu, tylko wykonać zadanie. Trudności tego zadania dowodziły patrole, które mijali co chwilę. Zarówno przy drodze, jak i przy zabudowaniach naliczyli co najmniej kilkunastu żołnierzy patrolujących teren.

W końcu dotarli pod sam pałac. Okrążyli znajdującą się przed nim fontannę, pośrodku której stała kolumna z popiersiem Elżbiety, małżonki Fryderyka Wilhelma IV, i zajechali przed front budynku, który witał gości czterema wielkimi kolumnami podtrzymującymi pięknie rzeźbiony portyk.

Otto powoli kręcił kierownicą, rozglądając się uważnie. Jakies dwadzieścia metrów od wejścia do pałacu zauważył zaparkowane pojazdy wojskowe. Stały tam dwa volkswageny typ 82 Kübelwagen, kilka motocykli BMW R-12, dwa transportery opancerzone Sd.Kfz.252, Krupp-Protze – lekki wojskowy samochód ciężarowy, a całości tego okazałego parku maszynowego dopełniały dwa ośmiokołowe ciężkie samochody pancerne Sonder Kraftfahrzeug zwane Puma, wyposażone w działka kalibru 20 mm i karabiny maszynowe MG 42. Z kolei na prawo od wejścia stał wielki czarny mercedes 770K GOT. Kiedy Otto go zobaczył, pomyślał, że już kiedyś widział ten wóz. Po sekundzie przypomniał mu się, że kiedyś należał on do Adolfa Hitlera. Zatrzymał ciężarówkę przed eleganckim portykiem i schodami prowadzącymi do drzwi pałacu. Pod nimi z bronią na ramieniu stało dwóch wartowników. Wypreżeni, bez oznak zmęczenia czy senności. Zarówno wyraz ich twarzy, jak i postawa świadczyły, że nie są tu przypadkiem i wiedzą, jak używać pistoletów maszynowych. Pojazdy przed pałacem wskazywały, że znajduje się tu kwatery i sztab wysokiej rangi oficera.

Jeden z patroli przechodził właśnie od strony pałacu do prowizorycznego parkingu i stojących tam wojskowych samochodów. Otto z Radlem odczekali w sfoferce dwie, trzy minuty, udając, że przegłądają papiery i schówek, czekając, aż patrol zniknie za rogami zachodniego skrzydła pałacu. Kiedy tak się stało, wysiedli z wozu i przeszli na jego tył. Radl wskoczył na pakę, a po chwili podał Skorzenemu wielki kosz z pieczywem. Był on tak duży i szeroki, że z reguły niosły go dwie osoby. Jednak Skorzeny z potężnymi ramionami poradził sobie z nim bez trudu. Złapał kosz przed sobą i skierował się w stronę pałacowych drzwi.

Znalazł się na schodkach, kiedy usłyszał głos jednego ze strażników.

– *Halt!* Gdzie z tym koszem? – krzyknął ostro. – Podjedź od zalepca tak jak zawsze!

Skorzeny udał, że nie słyszy, i dalej zdecydowanym krokiem zmierzał ku drzwiom oraz dwóm stojącym tam strażnikom. Specjalnie trzymał kosz w ten sposób, że ani on nie widział żołnierzy, ani oni nie widzieli jego twarzy.

– *Halt!* Głuchy jesteś?! – Z odległości metra ponownie usłyszał strażnika.

Wiedział, co musi zrobić, właściwie wiedział to, już kiedy parkował ciężarówkę. Powoli postawił kosz między strażnikami, przy samych drzwiach, pochylając się prawie do ziemi. Następnie błyskawicznie się wyprostował, uderzając z całej siły otwartą dłońią prosto w jabłko Adama mężczyzny stojącego po lewej stronie. Wielki barczysty żołnierz zachwiał się. Cios był tak szybki i celny, że strażnik tylko cicho zacharczał i próbując złapać oddech, przyklęknął na oba kolana, całkowicie zamroczony. Otto, nie czekając, aż mężczyzna dojdzie do siebie, pochylił się lekko i wykorzystując motorykę ciała, przywalił mu w głowę prawą pięścią, tuż nad skronią. Dynamika uderzenia była tak wielka, że mózg strażnika niczym u boksera po nokaucie lekko się cofnął, po czym wrócił na swoje miejsce. Znokautowaną osunął się na ziemię.

Drugi strażnik, widząc, co się dzieje, próbował szybko ściągnąć z ramienia pistolet maszynowy i wycelować w napastnika. Bojowy instynkt Skorzenego działał już jednak na najwyższych obrotach. Nadal pochyłony nad leżącym strażnikiem, z ręką na wysokości, gdzie przed chwilą była jego głowa, opierając cały ciężar ciała na lewej nodze, Otto błyskawicznie kopnął drugiego strażnika w głowę, tak mocno, że ten nieprzytomny przeleciał nad poręczą schodów i spadł niczym worek ziemniaków w krzewy róż. Skorzeny opuścił nogę z efektownego wykopu i dał susa do poręczy, by przekonać się, czy strażnik już się nie podniesie. Tak jak myślał, nie było o tym mowy. Leżał nieprzytomny, nakryty nogami, pośród róż. Cała akcja trwała może pięć czy sześć sekund i obaj strażnicy zostali unieszkodliwieni. Otto pochylił się nad leżącym i podniósł jego broń. Obejrzał się, chcąc się upewnić, że nic mu nie zagraża i nie było świadków zajścia. Wszystko było w porządku. Tak jak zaplanował, przy ciężarówce stał tylko Radl i nikt inny nie znajdował się przed wejściem.

Otto skinął na Karla, żeby podszedł i odciągnął leżącego pod drzwiami strażnika. Sam zaś energicznie je szarpnął i wszedł do środka.

Tutaj zaczęły się schody – i to dosłownie. Powitał go ogromny, efektowny westybul z paradnymi, bogato rzeźbionymi schodami prowadzącymi na wyższe piętra. Otto, który wychował się w zamożnej rodzinie, takiej klatki schodowej jednak jeszcze nie widział. Marmurowa posadzka i wiszący na długich złotych łańcuchach wspaniałe żyrandole dopełniały obrazu przepychu. Rozejrzał się szybko za innymi strażnikami lub służbą, która przecież musiała licznie obsługiwać gospodarza pałacu. Na szczęście jej pomieszczenia znajdowały się na tyłach budynku i o tej porze z reguły nikt się tu nie krzątał. Schody piętrzyły się przed Skorzenym, a on w tym okazałym przybytku musiał znaleźć pomieszczenie, w którym przebywał jego aktualny główny lokator. Nie było to niestety łatwe. Trzypoziomowy pałac tylko na górnym piętrze mieścił dziesięć salonów, sypialnię, bawialnię i kilka pokoi gościnnych. Na parterze kolejne salony, pokoje dla gości, kuchnia oraz kilka pomieszczeń dla służby. Znalezienie konkretnego pokoju mogło zająć nawet kilka godzin.

Otto jednak na szczęście posiadał informacje, gdzie powinien znajdować się jego cel. Skorzeny pomyślał sobie, że bez wskazówek Kurta Wagnera cała akcja byłaby niemożliwa, po czym ruszył powoli schodami na drugie piętro. Właśnie tam w sypialni powinien znaleźć człowieka, którego szukał. Powoli, ostrożnie, stopień po stopniu kierował się na górę. Minął pierwsze piętro i dalej się wspinał.

Na najwyższej kondygnacji ruszył na lewo od schodów. Tutaj musiał pokonać salę balową i dwa salony, by dotrzeć do sypialni znajdującej się na końcu skrzydła pałacowego. Sunął niczym cień po biało-błękitnych pomieszczeniach. Mieszczkański styl wewnątrz cechowała prostota. W sali balowej powitał go wielki czarny fortepian. Na chwilę przystanął obok niego, ponieważ zdawało mu się, że coś usłyszał. Bezszelestnie przesunął się za instrument i przykucnął, tak że stał się całkowicie niewidoczny, i nasłuchiwał, nie chcąc zostać przedwcześnie wykryty. Klęczał tak przez kilka minut, czekając, aż dziwny hałas ustanie. Przewiesił pistolet maszynowy przez ramię i dobył noża. Przyczajony niczym pantera, czekał na swoją ofiarę gotowy do skoku, by bezszelestnie wbić nóż w gardło nieszczęśnika, który znajdzie się w pomieszczeniu. Po dłuższej chwili odetchnął, zdawszy sobie sprawę, że hałas robi jedna z okiennic, która poruszana wiatrem tłucze o ścianę, powodując głośny, tępy dźwięk. Wyszedł powoli z zza fortepianu i znalazł się w korytarzu prowadzącym na koniec skrzydła. Wiedział, że jeszcze chwila i uda mu się dotrzeć do opisanej przez Kurta sypialni. Na szczęście, tak jak mu mówiono, o tej porze służba pracowała w kuchni i na tyłach pałacu, oficerowie jeszcze spali, a straż, by nie naruszać prywatności szefów, pełniła obowiązki na zewnątrz i na całym okalającym budynek terenie. Nikomu nie przyszło do głowy, że ktoś tak bezczelnie może tu wtargnąć. Jeszcze dwa kroki i Otto wszedł z korytarza do małego kwadratowego pomieszczenia znajdującego się przy sypialni – celu jego wyprawy.

Zrobiwszy ostatni krok, stanął jak wryty. Dwa metry przed nim, obok drzwi sypialni, stało duże hebanowe biurko, za którym siedział oficer. Zielona lampka rzucała wąski, lecz mocny snop jasnego światła na blat i dokumenty, które adiutant właśnie wypełniał. Zapracowany i zmęczony całonocną papierkową robotą, podniósł wzrok na Skorzenego, który właśnie przed nim stanął. Gdy usłyszał kroki, był przekonany, że to ktoś ze służby lub drugi adiutant. Jednak w miarę przypatrywania się ubranej na biało postaci z pistoletem maszynowym zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Jego spojrzenie zaczęło się zmieniać od obojętnego przez zdziwione aż do momentu, w którym oczy nabrały dziwnego blasku i powiększyły się, co upewniło Skorzenego, że adiutant właśnie dojrzewał do wszczęcia alarmu. Nie czekając, aż tamten sięgnie po broń, zrobił dwa kroki i przywalił mu w łeb kolbą karabinu. Ten zważył się z krzesła jak długi, ciągnąc za sobą kabel telefonu. Duży czarny aparat spadł razem z nim, robiąc hałas. W cichym pustym przedsiönku było to słychać niczym grzmot pioruna. Dla Ottona stało się jasne, że cicha faza operacji właśnie dobiegła końca.

Bez zastanowienia otworzył kopniakiem drzwi sypialni i wtargnął do środka. Zrobił szybki przegląd pomieszczenia: po lewej stało rzeźbione dębowe biurko z modelem okrętu podwodnego i żelaznym koniem do przyciskania papierów. Nad biurkiem wisiał obraz przedstawiający osiemnastowieczną bitwę morską, a po prawej ręce miał elegancki stolik do herbaty i dwa skórzane fotele. Jednak to, co najistotniejsze, znajdowało się przed nim. Na końcu długiej sali stało pod oknem wspaniałe łóże z baldachimem, którego cztery filary z kości słoniowej przedstawiały mieszkańców afrykańskiego buszu. Przed wielkim łóżem rozpościerała się skóra lwa z paszczą uzbrojoną w groźne zębiska i imponującą grzywą. Na skórze zaś stał mężczyzna – trofeum dzisiejszego polowania Ottona. Szczupły, niewysoki, o szlachetnych rysach, jasnych siwiejących włosach i pomimo całej otoczki dość sympatycznym spojrzeniu. Miał na sobie ciemnozieloną piżamę, gdyż przed chwilą wyszedł z łóżka, obudzony hałasem pod drzwiami sypialni. Wbrew cywilnemu i dość pospolitemu odzieniu w jego posturze było coś dumnego, a postawa niewątpliwie zdradzała wojskowe wychowanie. Wyrwany ze snu, widząc przed sobą osobnika z wycelowaną w niego bronią, powinien wpaść w panikę, wykonywać nerwowe ruchy czy nawet krzyżeć. Nic takiego nie nastąpiło. Stał nieruchomo jak marmurowy posąg, w milczeniu, bez cienia strachu wpatrując się w oczy Skorzenego.

Otto, którego tętno przez całą akcję pozostawało na takim poziomie jak u człowieka czytającego nudną książkę, powoli zamknął za sobą drzwi i powiedział do mężczyzny:

– Dzień dobry, panie admirale. Przynoszę pozdrowienia od Reichsführera Himmlera.

## Bitwa

Czarne czterodrzwiowe bmw 326 mknęło ocienioną drogą przez las. Cud niemieckiej techniki, jeden z najnowocześniejszych samochodów, rozpędzał się do setki w trzydzieści sekund. Pięćdziesiąt koni mechanicznych, dwa zawory na cylinder i wał korbowy na czterech łożyskach przenosiły na tylną oś taką moc, że wciskając pedał gazu, wręcz czuło się kopnięcie w szosę, jakie oddają szerokie opony. Przewadzenie tego wozu było niekłamana przyjemnością. Jednak zarówno kierowca, jak i pasażer na tylnej wygodnej kanapie, zmęczeni długą jazdą, już dawno przestali rozkoszować się doznaniem, jakie zapewniało nowoczesne auto. Ich podróż wreszcie dobiegała końca. Do celu pozostało już niewiele, zaledwie kilka kilometrów. Co może wydawać się dziwne, wraz z każdym kolejnym metrem ich twarze, zamiast się wypogadzać na myśl o długo oczekiwanym postoju, stawały się coraz bardziej posępne i napięte. Skorzeny opuszczał Hochwald i okolice Pozezdrza kilka dni temu z misją od samego Heinricha Himmlera, teraz zaś wracał razem z Radlem, by przedstawić efekty swojego działania Reichsführerowi. Wiedział, że następna godzina całkowicie odmieni jego życie. Znana droga szybko doprowadziła ich do pierwszego posterunku. Radl, który robił za kierowcę, zatrzymał się przed nim, wysiadł z wozu i przekazał wartownikom dokumenty.

– Sturmabführer Skorzeny do Reichsführera Himmlera – zameldował. – Pośpieszcie się, to sprawa życia i śmierci.

Tego nie musiał dodawać, gdyż wartownik, usłyszawszy „Reichsführer”, spiął się i poleciał dzwonić do bunkra dowodzenia.

Otto w tym czasie również wysiadł, by rozprostować nogi. Stanął za samochodem, oparł się o bagażnik i zapalił papierosa. Coś w tym leśnym krajobrazie wydawało mu się dziwne. Była to cisza, złowroga i tajemnicza. Nie było słychać odgłosów zwierząt czy śpiewu ptaków. Las zdawał się wymarły. Ktoś musiał zakłócić ten ekosystem i sprawić, że jego mieszkańcy nagle uciekli lub pochowali się w norach. Ciszę przerwał dzwonek telefonu w wartowni. Jeden ze strażników odebrał i patrząc w stronę samochodu, pokiwał głową, jak gdyby ktoś po drugiej stronie kabła mógł to zobaczyć. Odłożył słuchawkę i w pośpiechu przyniósł dokumenty, mówiąc:

– Musimy sprawdzić wóz. Proszę otworzyć bagażnik.

Radl wymownie spojrzał na Skorzenego, jak gdyby pytając, co ma robić. Otto skinął głową. Dwóch żołnierzy sprawnie przeszukało wnętrze auta, podczas gdy dowódca podszedł do otwartego bagażnika. Było tam pełno starych szmat, lewarek, jakieś narzędzia i stare wiadro do połowy wypełnione mętną wodą. Co zrozumiałe, właśnie ono zainteresowało wartownika. Nachylił się i zajrzał do środka, ale niewiele zobaczył, ponieważ w głębokim bagażniku było dość ciemno. Zapytał więc:

– A to po co?

– Woda do chłodnicy. Przecieka – wyjaśnił Radl.

Wartownik uznał, że zawartość bagażnika nie stanowi zagrożenia. Machnął do Radla, by go zamknął, i nakazał podnieść szlaban. Otto wypalił papierosa mniej więcej do połowy, rzucił niedopałek na drogę i szybko usadowił się w aucie. Po kilkunastu sekundach Radl wcisnął gaz i czarne bmw pomknęło w stronę bunkra Himmlera.

Zatrzymali się na jeszcze jednym posterunku i dalej zacierali prosto pod bunkier Reichsführera. Po drodze mijali grupy esesmanów zgromadzonych przy pompach, gdzie golili się, nawoływali i rozmawiali. Inni czyścili broń, grzebali przy pojazdach. Wszyscy byli dziwnie poważni. Nie słychać było śmiechów, które z reguły towarzyszą wszystkim zajęciom w koszarach. Dało się zauważyć kursujących gońców i wszędzie przemierzali się szybkim krokiem oficerowie. Głośno wydawano polecenia. Była to oznaka, że oddziały szykują się do wymarszu. Otto spostrzegł również, że w porównaniu z poprzednią wizytą ubyło większości czołgów i pojazdów, które wcześniej widział w bazie. Zmniejszyła się też liczba esesmanów. Jak się domyślił, część wyjechała już z bazy w celu przegrupowania się lub wykonania uderzenia.

Przed wejściem do bunkra czekał na nich Standartenführer Baumert wraz z jeszcze jednym adiutantem Himmlera. Napięcie na jego twarzy i to, że zanim auto na dobre się zatrzymało, Baumert już pośpiesznie rzucił się otwierać drzwi Skorzenemu, dowodziły, że Otto był ważnym i długo oczekiwanym gościem.

– Dobrze, że pan jest. Wyczekiwaliśmy wiadomości o pańskiej misji – wyrzucił z siebie Baumert. – Minęło tyle dni! Reichsführer już zaczął się niecierpliwić.

Skorzeny grzecznościowo wyrzucił ramię, chociaż nie był pewien, czy ten gest jeszcze obowiązuje, tym bardziej w tym miejscu. Baumert wychodził z siebie, żeby poznać choć kilka szczegółów, ale Otto nie zamierzał z nim dyskutować. Podszedł powoli do bagażnika, otworzył i ku zdumieniu Baumerta wyciągnął wiadro, z którym ruszył w kierunku wejścia do bunkra.

– Proszę wybaczyć, Sturmbannführer, ale co to jest? – zapytał adiutant, nie kryjąc zdziwienia.

– Zaraz wszystkiego się pan dowie. Proszę jednak pozwolić, że wpierw złożę raport Reichsführerowi – odpowiedział Otto. – A to niezbędny rekwizyt tej relacji. – Wskazał na wiadro.

Baumert nie zamierzał dalej wypytywać i zatrzymywał Skorzenego, ponieważ Himmler został już powiadomiony o jego przybyciu i oczekiwał go z niecierpliwością.

– Odstawię auto i trochę się ogarnę – rzucił Radl.

Otto skinął głową, by odjechał spod bunkra, po czym sam wszedł do środka. Szybkim krokiem pokonał odległość dzielącą ich od pomieszczenia Himmlera. Baumert zniknął w gabinecie, szybko chcąc oznajmić przybycie Skorzenego. Otto zaś zdał broń i poddał się kontroli osobistej. Wszystko szło jak zwykle, tak samo jak przy poprzedniej wizycie, do momentu, kiedy jeden z żołnierzy zajrzał do trzymanego przez Ottona wiadra. Przez chwilę przyglądał się zawartości w mętnej wodzie. Na jego twarzy zagościło niedowierzanie zmieszane z ogromnym szokiem. Spojrzał na Skorzenego, jeszcze raz do wiadra, po czym podciągnął rękaw i sięgnął do środka. Kiedy wyjął zawartość, w pomieszczeniu zapadła cisza. Oprócz Skorzenego znajdowało się tam dwóch strażników, adiutant i oficer pełniący rolę sekretarza. Wszyscy oniemieli na widok tego, co miał w ręku strażnik. Trzymał bowiem zakrwawioną ludzką głowę. Drugi odruchowo odbezpieczył broń i wycelował w Skorzenego. Nie wiedział, jak zareagować, i w tym momencie właśnie takie zachowanie wydało mu się odpowiednie.

– Co to jest, do cholery?! – prawie krzyknął.

Skorzeny nie wykonując gwałtownych ruchów, żeby nie zarobić kulki od przestraszonego strażnika, odpowiedział:

– Prezent dla Reichsführera Himmlera. Proszę w to nie wnikać, reszta szczegółów jest tajna.

– Pan chyba oszalał?! Mam pana z tym wpuścić do Reichsführera?! – Trząsł się adiutant. – A ty puść to, odstaw – rzucił do żołnierza trzymającego głowę w wyciągniętej ręce.

Ten posłusznie wrzucił ją z powrotem i odstawił wiadro pod ścianę. Adiutant, w emocjach zapominając o pukaniu, wpadł do gabinetu. Otto został w przedpokoju w otoczeniu zdziwionych żołnierzy, nadal pod łufą jednego z nich. Minęła minuta, kiedy z gabinetu wyszli Baumert i adiutant.

– Reichsführer nazywa pana do siebie – zakomunikował ten pierwszy.

Skorzeny spojrzał wymownie na młodego strażnika, czekając, aż ten opuści broń.

– Panowie pozwolą – powiedział, schylając się po wiadro, po czym zabrał je ze sobą do gabinetu.

Nikt z obecnych już nie oponował. Następnie cała trójka znalazła się przed obliczem Himmlera.

Ten oczekiwał gościa, stojąc wyprężony. Na widok Skorzenego rzucił się w jego stronę z ręką wyciągniętą do powitania. Otto, nieco zmieszany tą serdecznością, postanowił przywitać się jak na podwładnego przystało, więc stanął na baczność i wyrzucił przed siebie ramię.

– *Heil Hitler*, Reichsführer. Melduję swój powrót. – Wyglądało to dość komicznie, biorąc pod uwagę, że w drugiej ręce trzymał wiadro.

– Niech pan da spokój tym uprzejmościom – powiedział Himmler, który tak wyczekiwał Skorzenego, że zapomniał o wojskowej etykietce i własnej dumie. Postąpił w jego stronę, by uścisnąć mu dłoń, choć nigdy wcześniej tego nie robił. Pamiętając o swoim niewielkim wzroście, starał się nie zbliżać do osób postury wysokiego esesmana. Kiedy znalazł się obok tego olbrzyma, zorientował się, że popełnił błąd. Szybko podał mu rękę i odskoczył jak oparzony dwa metry do tyłu, by stamtąd kontynuować: – Proszę mówić. Tyle dni oczekiwaliśmy na wieści od pana i nic! – W jego głosie można było wyczuć zdenerwowanie.

– Reichsführer, jeżeli pan pozwoli, chciałbym zdać panu relację w cztery oczy – odpowiedział Otto.

– To niemożliwe... – błyskawicznie zareagował oburzony Baumert, lecz natychmiast umilkł, ponieważ Himmler podniósł rękę, by go uciszyć.

– Panowie, zostawcie nas na chwilę – nakazał Baumertowi i drugiemu adiutantowi. – Zawołajcie do mnie Schellenberga... a, i jeszcze Wulffa – dodał.

Himmler nie przywykł do audyencji sam na sam z oficerami, których nie znał bardzo dobrze. W tym wypadku jednak rozważa i poczucie wyższości ustąpiły ciekawości. Już od kilku dni siedział jak na szpilkach, oczekując powrotu Skorzenego. Wiedział, że ta misja jest kluczowa dla jego planów. Nic więc dziwnego, że teraz, nie chcąc wdawać się w zbędne polemiki, rozkazał wszystkim niezwłocznie wyjść, żeby już usłyszeć wiadomości, na które czekał. Ponadto pomyślał, że Skorzeny może mieć jakieś tajne wieści, i lepiej, żeby reszta jego podwładnych ich nie poznała. Adiutanci wyszli z pomieszczenia, posłusznie zamykając za sobą drzwi.

– No więc proszę mówić – zaczął Himmler bez ceregieli. Patrzył przy tym wnikliwie zza zaparowanych szkieł okrągłych okularów.

– Reichsführer, jak zaplanowaliśmy przed wyjazdem, najpierw udałem się do Wagnera. Musiałem poczekać, ponieważ nie było go w domu. Dopiero jego żona, która dobrze mnie zna, zadzwoniła do sztabu, przy którym stacjonował, aby przyjechał. Zanim przybył i przekazał mi potrzebne informacje, straciłem jeden dzień. Na szczęście było warto. Te informacje były kluczowe.

– Do rzeczy, Skorzeny! Wykonał pan zadanie czy nie? – Nie wytrzymał Himmler.

– Tak, Reichsführer, wykonałem. Osobiście zlikwidowałem admirała Canarisa – wypalił jednym tchem Skorzeny.

– To świetnie. Wiedziałem, że mogę na panu polegać. – Himmler wydał cichy jęk ulgi. – Ale jak to możliwe, że tutaj nic o tym nie wiemy? Że tego nie ogłoszono w Berlinie? – zapytał, skrupulatny i podejrzliwy jak zawsze.

– Nie wiem, Reichsführer, nie jestem politykiem. Najwidoczniej trzyma się to w tajemnicy. Z jakichś względów zwlekają z podaniem wiadomości – odparł Otto.

Odpowiedź wydawała się logiczna.

– Ma pan jakieś dowody na to, że Canaris został wyeliminowany? – Himmler próbował jakoś potwierdzić słowa Skorzenego.

– Tak, mam dowody ze sobą.

– Świetnie. W takim razie proszę je okazać. – Himmler był już tak nabuzowany, że krążył po pomieszczeniu przed Skorzenym.

Otto spojrzał wymownie na stojące nieopodal wiadro.

– Nie rozumiem. Proszę jaśniej. – Himmler zmarszczył brwi.

– Reichsführer, żądał pan głowy Wilhelma Canarisa, więc przywiozłem ją ze sobą jako dowód wykonanego zadania – wyjaśnił ze spokojem Otto.

Zaskoczony Himmler otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, chyba jednak nie znalazł odpowiednich słów. Podeszedł w milczeniu i nachylił się nad dowodem śmierci zniechęconego wroga. Początkowo chciał wyciągnąć łeb z wiadra, ale przez wrodzone obrzydzenie do krwi i tym podobnych drastycznych widoków cofnął rękę.

– Proszę to wyjąć. – Postanowił wyręczyć się Skorzenym.

Ten posłusznie się nachylił, próbując namacać coś, za co mógłby wyciągnąć z czerwonej brei znajdującą się tam głowę. Wbrew pozorom nie było to proste, ponieważ głowa tkwiła tam już od kilku dni wraz z zaschniętą krwią. Podgnięta, była dość śliska i nie dawała się łatwo wyciągnąć. Krótkie włosy nie ułatwiały zadania. Otto pogrzebał chwilę w wiadrze i wreszcie znalazł punkt zaczepienia, którym było ucho. Złapał za nie i szybkim ruchem wyszarpanął głowę na wysokość oczu Himmlera. Ten z wyrazem obrzydzenia na twarzy cofnął się o krok, przez chwilę wyglądał, jakby miał zwymiotować, opanował się jednak i dokładnie przyjrzał makabresce. Chyba zrobiło mu się słabo, ponieważ szybkim krokiem obszedł biurko i usiadł w fotelu.

Skorzeny, który czuł, że głowa za chwilę wyślizgnie mu się z ręki, położył ją na blacie.

Dowód zbrodni był w częściowym rozkładzie, do tego oblepiony zakrzepłą krwią, wobec czego niełatwo było rozpoznać rysy twarzy. W gabinecie przez chwilę panowała ciężka cisza. Himmler się zastanawiał, jak podejść do tego tematu. Raptem wstał, podeszedł do szafki z alkoholem i nalał sobie solidną porcję koniaku.

– Muszę przyznać, Skorzeny, że mnie pan zaskoczył. Trudno jest mi jednak stwierdzić, że to głowa admirała Canarisa. W zasadzie niewiele można z tego rozpoznać. – Okrążył biurko i podszedł bliżej rogu, gdzie leżała głowa. Pochylił się i próbował przyjrzeć jej się z bliska.

W tym momencie nastąpiło coś, czego Reichsführer Himmler się nie spodziewał. Skorzeny, który znalazł się za nim, błyskawicznym ruchem do niego dopadł i złapał go jedną ręką w płuco, a drugą za gardło i zaczął dusić. Żelazny uścisk miażdżył szyję i krtań Himmlera. Ten próbował chwycić ręce napastnika. Wijąc się i rzucając, usiłował zerwać śmiertelny uścisk. Wszelkie próby były jednak bezskuteczne. Mniejszy i słabszy Himmler był bezradny wobec olbrzyma Skorzenego. Ten podniósł go, zaciskając prawą rękę wokół jego gardła, i niczym pęta na szyi skazańca ciągnął go do góry. Ofiara z początku próbowała krzyczeć, jednak dobytek z siebie tylko cichy charkot i rżenie. Desperackie próby złapania oddechu nie przynosiły rezultatów. Himmler zaczął sinieć, na jego skroniach uwypukliły się wielkie, nabrzmiałe żyły. Oczy napuchły i nabiegły krwią. Z otwartych ust ciekła gęsta, spieniona, flegmowata ślina. Spodnie nabrały ciemniejszej barwy, a z nogawki prosto na buty kata zaczął kapać ciepły mocz. Ofiara powoli traciła siły i przestawała szamotać się w uścisku, ale pomimo starań i krzepy Skorzenego Himmler bez tchu nadal kurczowo trzymał się życia. Jakimś cudem ciągle żył. Otto mocno zmęczył się szarpaniną, która trwała zbyt długo. Cały czas istniało niebezpieczeństwo, że ktoś wejdzie do gabinetu. Skorzeny przykucnął, tak żeby oprzeć ofiarę nogami o podłogę, a jednocześnie poprawił uchwyt, podniósł ciało wysoko i przyciągnął ręce do siebie. Dał się słyszeć charakterystyczny chrzęst łamanych kręgow szczynych. Wiedział, że już po wszystkim. Zwolnił uścisk i martwy Himmler bezwładnie upadł na podłogę.

Zmęczony Otto przysiadł na blacie biurka, ocierając pot z czoła. Nie przypuszczał, że ten człowieczek tak go wycmęczy.

– Kurwa... – zaklął cicho pod nosem, patrząc na swoje obryzane moczem buty i nogawkę. Szukał czegoś, czym mógłby się wytarć. Nie znalazł jednak niczego takiego w zasięgu wzroku. Wyciągnął więc nogę i wytarł but o zwłoki.

Nie miał czasu, żeby się zastanawiać nad wydarzeniami ostatnich kilku minut. Musiał działać. Liczyła się każda sekunda. Wszystko miał obmyślane już wcześniej, teraz musiał zrealizować plan krok po kroku, do końca. Wstał i wydobył broń z kabury Himmlera. Wyciągnął z kieszeni munduru kartkę, którą miał przygotowaną, rozłożył i przykleił agraftką do ciała. Chwycił zwłoki i pociągnął w stronę drzwi. Kiedy był przy nich, złapał ciało w płuco i podniósł, przytrzymując jedną ręką na wysokości pasa. Drugą otworzył drzwi i cisnął Himmlera do poczekalni przed gabinetem. Znajdujący się tam sekretarz, dwaj strażnicy oraz Baumert zamarli w bezruchu, a szok malujący się na ich twarzach był wręcz nie do opisania. Zastygli niczym posągi na swoich miejscach.

Skorzeny, wyrzuciwszy ciało, zniknął z powrotem w gabinecie, szybko zamykając za sobą drzwi; wcześniej walnął z całej siły ręką o klamkę po zewnętrznej stronie, tak że pękła i złamała się z trzaskiem, utrudniając ich otwarcie. Kiedy to robił, zdążył jeszcze zauważyć kątem oka, że w stronę gabinetu zmierzają właśnie Schellenberg i Wulff z jeszcze kilkoma oficerami. Pomyślał, że to dobrze, bo będą musieli szybko przeczytać wiadomość przyklejoną do ciała Himmlera i podjąć decyzję.

W tej chwili usłyszał głośny stukot i metaliczny, nieprzyjemny zgrzyt od strony drzwi. To żołnierze stojący na korytarzu oddali serię z pistoletów maszynowych do zabójcy Himmlera. Solidne drzwi schronu, podbite od strony gabinetu grubą blachą, skutecznie zastopowały jednak pociski, czemu towarzyszył ten dziwny metaliczny zgrzyt. Otto nie tracił czasu. Wszystko miał przygotowane w głowie, od kiedy wszedł do gabinetu. Szybko wskoczył za biurko, zapał się i zaczął pchać z całej siły w stronę drzwi. Początkowo nie chciało się ruszyć, ale w końcu drgnęło i powoli, z piskiem, centymetr po centymetrze dało przesuwać. Otto wiedział, że ułamana klamka nie na długo powstrzyma przeciwników po drugiej stronie. Cały czas słyszał odgłosy szamotaniny i krzyki na korytarzu. Ustały tylko strzały, kiedy żołnierze zdali sobie sprawę, że to na nic. W końcu udało mu się dopchnąć biurko pod drzwi i w ten sposób prowizorycznie zabarykadował wejście. Wszystko to go zmęczyło, ciężko dyszał. Był to duży wysiłek nawet dla takiego osiłka. Szarpanina z Himmlerem, wytaszczenie ciała i przesuwanie solidnego mebla dały mu się we znaki. Pot spływał mu po twarzy, Otto z trudem łapał oddech, a jednocześnie dalej krok po kroku realizował plan. Podszedł do stojącego pod ścianą wiadra, które odegrało już dzisiaj niepoślednią rolę. Ponownie zanurzył rękę w czerwonej brei i sięgnął do dna, czegoś szukając. Szybko wyciągnął szczelnie zamkniętą torebkę z jakimś przedmiotem w środku. Rozerwał ją i wyjął

z niej pistolet sygnałowy. Sprawdził ładunek raketnicy i podszedł do zewnętrznej ściany gabinetu, gdzie znajdowało się małe, wąskie, okratowane okienko. Było bardzo wysoko, więc żeby dosięgnąć, musiał użyć krzesła.

Stał na nim i wyciągnął rękę tak, że lufa raketnicy znalazła się za kratami. Skierował ją ku górze i pociągnął za spust. Dał się słyszeć charakterystyczny syk i czerwona rakietka poszybowała w górę, po czym zawisła na malutkim spadochronie i zaczęła poddawać się grawitacji. Otto zszedł z krzesła i usiadł na nim. To było wszystko. Wykonał swój plan punkt po punkcie, teraz pozostało mu tylko czekać. Czekając, jak potoczą się wydarzenia, czy za niecałą godzinę drzwi się otworzą i wyjdzie z nich na własnych nogach, czy wyniosą stąd jego zwłoki. Po chwili wstał, podszedł do minibarku i nalał sobie koniaku, którym niedawno raczył się Himmler. Rozsiadł się w jego fotelu. Co rusz spoglądał w stronę okienka, jak gdyby czegoś nasłuchując. Po drugiej stronie drzwi rozległo się chrobotanie narzędzi, co wskazywało, że esesmani szybko uporają się z ich otwarciem.

Od czasu odpalenia rakiety minęły trzy, może cztery minuty, kiedy na zewnątrz rozległa się kanonada następujących po sobie zgrzytów. Odgłos dochodził z daleka, zza lasu. Przypominało to tarcie o siebie w szybkim tempie zardzewiałymi przedmiotami. Mogło się też kojarzyć z rykiem krowy. Można było naliczyć około kilkunastu zgrzytów, po czym nastąpiła kilkusekundowa cisza. Po chwili przed bunkrem i w całym obozie rozległ się ogłuszający huk. Wybuchy następowały szybko... jeden, drugi, trzeci, czwarty i kolejne. Jeden po drugim w równym tempie. Otto wiedział, co to za dźwięk. Tak grał tylko „miotacz mgły”, Nebelwerfer. Młodszy brat sowieckiej katiuszy, czyli wieloprowadnicowa wyrzutnia raketowa. Tak brzmiał charakterystyczny odgłos odpalania salwy. To właśnie rakiety ze „Stuka zu Fuss”, jak mawiali żołnierze, spadały za oknem bunkra. Pociski zapalające kosily i podpały drzewa. Przebijały dachy i ściany baraków mieszkalnych oraz magazynów. Pokrywały całe polece płomieniami buchającymi na wysokość kilku metrów. Skorzeny wiedział, że w bunkrze nic mu nie grozi, na zewnątrz rozpętało się jednak piekło. Nikt, kto znalazł się w polu rażenia pocisków, nie miał szans. Żołnierze zmieniali się w żywe pochodnie. Pociski burzące rozrzucały gruz na kilka metrów oraz zabijały żołnierzy znajdujących się w pobliżu samą siłą poddmuchu. Cała salwa trwała może kilkanaście sekund, po czym wszystko ucichło. Ogrom zniszczeń był potworny. Przez okienko słychać było trzask trawiącego budyńki ognia, krzyki ludzi i rżenie koni.

Hałas z zewnątrz przytłumiły te z korytarza. Otto wiedział, że niespodziewany atak tylko na chwilę przerwał pracę esesmanów nad otwarciem drzwi. Pociągnął duży łyk koniaku, jak gdyby chcąc być może po raz ostatni delektować się wspaniałym aromatem tego alkoholu. Rozejrzał się po gabinecie. Nie lubił siedzieć beczynnie, nie znosił czekania. Irytowały go sytuacje, kiedy wydarzenia rozgrywały się niezależnie od niego. Dopił koniak, odstawił szklankę i wyciągnął z kabury broń. Podszedł do szafy pod ścianą i wyrzucił z półek kilka znajdujących się tam przedmiotów, po czym mocnym szarpnięciem z łoskotem przewrócił mebel na bok. Odsunął go pół metra od ściany i przykleknął między nią a leżącą szafą z bronią wycelowaną w drzwi. Zastygł w bezruchu i gotowości na ich otwarcie. Wiedział, że zdoła zabić jednego, dwóch, może trzech esesmanów, zanim sam zostanie zastrzelony lub ranny. Cały zamienił się w słuch, nasłuchując odgłosów dochodzących zza okratowanego okienka. Wiedział, że z każdą chwilą może przyjść wybawienie. Zapewne dzieliło go już od tego kilka lub kilkanaście minut. Nie wiedział tylko, co nastąpi wcześniej: upragniony odgłos na zewnątrz czy otwarcie drzwi.

Całe ciało napięło się i wyciągnęło niczym jeden wielki radar lub sonar, wysyłając fale to za okno, to w stronę drzwi. Mijały długie minuty, a drzwi się nie otwierały. Otto klęczał tak za szafą już pięć, może nawet dziesięć minut, cały czas z bronią wycelowaną przed siebie. Dłoń na rękojeści zaczęła się pocić, tak samo palec na spuście, ponieważ w pomieszczeniu było dość gorąco. Na dodatek żar ognia na zewnątrz wypychał przez okienko kłęby dymu i rozgrzanego powietrza. Już chciał przełożyć broń do drugiej ręki, kiedy nagle z oknem znowu rozpętało się piekło. Od zachodniej bramy obozu dotarł warkot silników. Zabłyściły ogniste smugi, rozdzierając powietrze. Łoskot wystrzałów wstrząsnął ziemią, fala wybuchów przelała się między drzewami i budynkami. W jednej chwili część muru przy bramie wjazdowej przestała istnieć. Wartownie stopiły się w ogniu i dymie z drzewami. Pasma eksplozji przeorały obóz. Trzask karabinów maszynowych omiatał zabudowania strugami pocisków świetlnych. Wkrótce potem z dymu wyłoniły się pantery, które szybko zniszczyły gniazda karabinów maszynowych i uczyniły wyłom w obronie obozu. Z impetem sforsowały druty kolczaste i pokonały okopy. Za czołgami zbliżała się niezliczona piechota Wehrmachtu.



Pomimo zniszczeń poczynionych przez Nebelwerfery i błyskawicznego ataku czołgów żołnierze SS szybko się przegrupowali i zaczęli stawiać dość mocny opór. Potwierdzało to bojowe doświadczenie dywizji SS stacjonujących przy Himmlerze. Żołnierze sprawnie zajęli pozycje wewnątrz obozu. Korzystając z osłony zniszczonych budynków, ustawili stanowiska CKM-ów i oddali salwę z dział przeciwpancernych. Panzerabwehrkanone 40 w dobrych rękach były diabliście skuteczne. Dwie salwy z armat przeciwpancernych 7,5 cm PaK zbiły gąsienice pierwszej pantery w szyku, a drugą podpaliły. We wschodniej części obozu dał się słyszeć odgłos silników czołgów odpalanych przez esesmanów. Początkowy impet szturm oddziałów Wehrmachtu się zatrzymał. Napastnicy zajęli pozycje wzdłuż zachodniej bramy, nie starając się wejść w głąb obozu. Z nieznanych powodów tylko ostrzelali obrońców, jak gdyby nie chcieli ponosić strat własnych. Po kilku minutach walki obydwie strony znalazły się w dziwnym klinczu. Czołgi i piechota Wehrmachtu, jak gdyby unikając eskalacji walki, ograniczały się tylko do ognia zaporowego. Natomiast esesmani, którzy się przegrupowali, rozgrzali już silniki czołgów i te zaczęły zmierzać do miejsca starcia. Liczniejsze oddziały Wehrmachtu zajęły pozycje defensywne, esesmani zaś zaczęli się przygotowywać do kontrszturm z użyciem własnych czołgów. Sytuacja stała się coraz poważniejsza. Zza wschodniej linii bunkrów wyłoniły się trzy czołgi PzKpfw VI Tiger z Dywizji LSSAH (Leibstandarte SS Adolf Hitler) sprowadzone tu przed kilkoma dniami z rejonu Żytomierza. Kiedy wydawało się, że rozstrzygnięcie starcia tych stalowych potworów z panterami Wehrmachtu jest kwestią sekund, stała się dziwna rzecz. Tygrysy się zatrzymały, większość esesmanów przestała strzelać. Wszystko nastąpiło w jednej chwili, jak gdyby na rozkaz. Wkrótce z bunkra Himmlera wystawiono białą szmatę na kij i zaczęto miarowo machać. Walka trwała jeszcze może kilkadziesiąt sekund, po czym wystrzały umilkły.

Kiedy wszystko ucichło, drzwi się otworzyły. Stał w nich Schellenberg z białą flagą. Po śmierci Himmlera w chaosie, jaki zapanował w pionie dowodzenia, postanowił być tą osobą, która odważy się wyjść i powstrzymać rozlew krwi. Jednocześnie liczył, że w ten sposób pozyska łaskę zwycięzców. Upewniwszy się, że walki ustały, odważnie postąpił dwa kroki do przodu i stanął przed wejściem do bunkra. Z przeciwnej strony dało się słyszeć krótkie, głośnie komendy dowódców Wehrmachtu. W końcu wąż jednej z panter się otworzył i wyłonił się z niego oficer, który pomimo starszego wieku dość sprawnie wyskoczył z pojazdu i zaczął zmierzać w stronę Schellenberga. Ten nadal stał samotnie, ponieważ nikt inny nie chciał wychylić się z bunkra. W jednej ręce trzymał białą flagę, a w drugiej kartkę, którą niedawno Skorzeny przypiął do trupa Himmlera. Teraz opuścił ręce i rzucił na ziemię zarówno flagę, jak i kartkę. Ta, już pomięta, powoli się kołyszac, dotknęła piasku tak, że można było odczytać tekst. Zdanie, które było zwieńczeniem planu Skorzenego i miało skłonić dowódców SS do wstrzymania walki i kapitulacji. Zdanie, które Skorzeny napisał kilka godzin wcześniej na kolanie w samochodzie, zmierzając w stronę Hochwaldu, brzmiało: „Jeżeli chcecie żyć, poddajcie się”.

Ten krótki, lecz jakże przejrzysty przekaz wraz z ostrzałem i błyskawicznym atakiem Wehrmachtu zadziałał na okiem dotąd skupionych przy Himmlerze. Ciało Reichsführera rzucone na korytarz i kanonada za oknem skłoniły esesmanów do poważnego potraktowania przesłania i przedłożenia nad ideały bezpieczeństwa własnego tyłka. *Meine Ehre heißt Treue*, „Moim honorem jest wierność” – słowa, które Himmler uczynił mottem swojej organizacji, umarły wraz z nim. Sytuacja stała się w związku z tym tak cyniczna, jak cyniczne było w ciągu ostatnich dni zachowanie oficerów SS porzucających pseudoideały, w które podobno wierzyli, dla zachowania pozycji wojskowej czy, jak w tym wypadku, życia.

Dowódca Wehrmachtu podszedł do Schellenberga i zsalutował.

– Generał Walther Nehring – przedstawił się. – Rozumiem, że to pan teraz tu dowodzi, Herr Schellenberg, i z panem mam omówić jak najszybsze zakończenie tego buntu. Mam ze sobą połowę 4. Dywizji, nie macie szans na ucieczkę. Może pan wysłać kogoś za las, żeby sprawdzić, czy nie blefuję.

– Tak bym tego nie nazwał – ząchnął się Schellenberg – ale tak, ma pan rację. Pomogę panu to zakończyć dla dobra nas wszystkich. Co do statusu dowodzenia, to jednostkami SS-Viking, z którymi pan walczył, dowodzi SS-Obergruppenführer Herbert Otto Gille, ale w tej chwili jest już jakieś sto kilometrów stąd, a zarząd nad Kwaterą Hochwald sprawuje obecnie osobisty przedstawiciel Heinricha Himmlera SS-Gruppenführer Hermann Fegelein, z którym może pan porozmawiać w bunkrze. – Tu wskazał ręką na znajdujące się za nim drzwi. – Razem podjęliśmy decyzję o kapitulacji i wstrzymaniu walki.

– Zawsze miałem pana za dość inteligentnego i nie mogłem zrozumieć, co robi pan przy boku Himmlera – odrzekł spokojnie Nehring. – Może teraz się przekonam. Zanim komuś drgnie palec na spuście,

proszę rozkazać swoim żołnierzom odłożyć broń i wycofać czołgi na miejsce postojowe. Trzeba jak najszybciej udzielić pomocy rannym – tu zawiesił głos – i zająć się zabitymi. Ja wydam podobne rozkazy. Za trzydzieści minut proszę zwołać naradę wszystkich wyższych oficerów, żebym mógł przedstawić rozkazy.

Schellenberg zasalutował na znak, że zgadza się na wszystkie warunki. Wiedział, że nie ma sensu dyskutować, tym bardziej że znał swojego przeciwnika. Spotkali się już dwa razy w Berlinie i znali dość dobrze, a właściwie dużo o sobie szli.

Generał der Panzertruppe Walter Nehring był bohaterem wojennym z Afryki i zaufanym przyjacielem samego Rommla. Czterdziestopięciolatek o lekko okrągłym nosie i rozwijających się zakolach zakrywanych czapką był mistrzem strategii. Sławę i zaufanie Rommla zdobył w Afryce Północnej, gdzie w lutym 1942 roku przejął Afrika Korps. Wcześniej w kampanii w Polsce nauczył się koordynować uderzenia grup pancernych za pomocą radia, co poskutkowało podczas inwazji na Francję, gdzie plan Nehringa pozwolił Guderianowi osiągnąć szybkie zwycięstwo. Wybitnie niczym szachista, zza linii frontu koordynował działania grup pancernych. Szybko został awansowany na generała i już w 1941 roku w inwazji na Rosję kierował 18. Dywizją Pancerną. Pomimo niedostatecznego jej zaopatrzenia do działań na rosyjskim froncie odniósł wielkie sukcesy, prowadząc czołgi w głąb sowieckich linii. Postanowiono wykorzystać jego doświadczenie z rosyjskich stepów w Afryce. Tam wsparł siły Rommla w operacji, która doprowadziła do zdobycia Tobruku. Jadąc w pierwszej linii czołgów w bitwie pod Alam Halfa, Nehring został ranny w tułów i głowę. Po rekonwalescencji wrócił do Afryki, żeby stworzyć przyczółek, do którego Rommel mógł się wycofać po przegranej pod Al-Alamajn. Później ponownie został skierowany do Rosji, gdzie objął dowództwo XXIV Korpusu Pancernego. Tam znowu został ranny podczas radzieckiej kontrofensywy. Po wyleczeniu ran wrócił na rosyjski front. Sytuacja była już jednak diametralnie inna. Nie prowadził działań ofensywnych, lecz jedynie umacniał przełamane linie niemieckiego frontu. Po objęciu 4. Armii Pancernej brał udział w walkach odwrotowych, by finalnie utrzymać front w okolicach Lublina i nad Wisłą. Dlatego też dla admirała Canarisa był idealnym kandydatem do rozprawienia się z wojskami Himmlera. Część czołgów jego armii pancernej mogła szybko się przemieścić w okolice Pozezdrza, a co najważniejsze, jego wierność i przyjaźń w stosunku do feldmarszałka Rommla nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Niebagatelne były też jego doświadczenie i wartości bojowe potrzebne do rozprawienia się z grupami pancernymi dywizji Totenkopf i Viking, których ciche wsparcie dla Himmlera było wielce prawdopodobne.

Tak oto Nehring znalazł się w lesie Hochwald naprzeciwko Schellenberga. Ten drugi wiedział, że doświadczenie Nehringa oraz to, że bezwzględnie wykonuje na rozkazy Canarisa i Rommla, nie pozostawia mu innej opcji, jak tylko poddanie się i wykonywanie jego poleceń.

Oddali sobie honory, pożegnali się i udali do swoich sztabów. Obydwaj zadowoleni, że osiągnęli kompromis, nie doprowadzając do krwawej jatki pomiędzy zwolennikami frakcji politycznych. Podwójnie usatysfakcjonowany był Nehring, który wykonał rozkazy zmuszenia przeciwnika do poddania się przy możliwie najmniejszych stratach po obu stronach. Dlatego atak Wehrmachtu był tak oszczędny w środkach. Nehring celowo zatrzymał wojska na granicy obozu, chcąc uniknąć wprowadzenia czołgów i piechoty w głąb kwatery Himmlera, gdzie w bezpośrednich walkach na krótkim dystansie straty byłyby ogromne. Generał wiedział, że kluczowe dla szybkiego rozwiązania sprawy jest działanie Skorzenego. Tylko dzięki usunięciu Himmlera można było zmusić podległe mu jednostki do kapitulacji. Dlatego czekał cierpliwie na znak Ottona i dopiero zobaczywszy czerwoną flagę, dał rozkaz do natarcia. Gdyby nie akcja dywersyjna Skorzenego, walki zapewne trwałyby bardzo długo i przyniosły wiele ofiar.

Tymczasem cichy bohater dzisiejszego dnia nadal znajdował się w gabinecie Himmlera. Podczas gdy dowódcy wymieniali uprzejmości, on ciągle klęczał za szafą z bronią wycelowaną w drzwi. Kiedy ustały walki na zewnątrz, esesmani je otworzyli, dając przez szparę znak, że będą wchodzić. Słyszac na zewnątrz ciszę, która oznaczała, że strony się dogadały, Otto uznał, że nie ma sensu strzelać. Liczył na to, że esesmani nie będą chcieli dokonać natychmiastowego linczu za zamordowanie Reichsführera. Na pewno pałali żądzą zemsty, a czy fakt, że on należy do zwycięzców, którzy okrążyli obóz, będzie miał znaczenie i pozwoli mu przeżyć? Wiedział, że mimo iż to on doprowadził do upadku Himmlera, dla Canarisa czy stojącego w lesie Nehringa nic nie znaczy. Był dla nich tylko złem koniecznym i środkiem do celu. Żaden z nich nie przejąłby się zbytnio, gdyby teraz esesmani ze święty Himmlera wpakowali mu kulę w łeb. Nehring na pewno przeszedłby nad tym do porządku dziennego, nie wyciągając żadnych

konsekwencji, aby na nowo nie zaognić sprawy. Miał tylko nadzieję, że esesmani po drugiej stronie drzwi nie wiedzą, iż jego życie niewiele znaczy dla Nehringa. W gruncie rzeczy nie miał już wyjścia, jak tylko odłożyć broń i czekać na otwarcie drzwi. Liczył się z tym zresztą, realizując swój plan. Wiedział, że jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, to doprowadzi go do tego momentu.

Usłyszał krótkie: *Nicht schiessen!* Wstał i odłożył broń, pozwalając kilku esesmanom powoli wejść do środka z bronią wycelowaną w jego pierś.

Za żołnierzami do gabinetu weszli SS-Standartenführer Rudolf Brandt, osobisty doradca Heinricha Himmlera i szef departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy, Paul Baumert i SS-Gruppenführer Hermann Fegelein, teraz de facto dowodzący tutejszym SS. Wszyscy z wściekłością patrzyli na zamachowca, który w kilka chwil pozbawił ich wodza i szans na kontynuowanie walki. Władza w rękach Himmlera, pomimo zamachu stanu Canarisa, była ogromna. Himmler i otaczający go esesmani nadal mieli szansę na powrót na szczyt. Jak wielką, wszyscy niebawem mieli się dowiedzieć.

Założył ręce za głowę i wyszedł na środek gabinetu. Fegelein skinął głową do jednego z żołnierzy i Otto poczuł kopnięcie z tyłu kolana. Żeby się nie przewrócić, przykleknął. Wartownicy bezceremonialnie wykręcili mu ręce i skrępowali za plecami. Następnie stanęli po obu stronach, podnieśli go pod ramiona i wyprowadzili na korytarz.

Pomyślał, że to lepsze od natychmiastowej kulki w łeb. Tymczasem w korytarzu przy ciele Himmlera zgromadził się tłumek. Stało tam kilku ostatnich oficerów SS, adiutant oraz Kersten, który krótko przed bombardowaniem przybył na umówioną rehabilitację. Teraz kłębał przy zwłokach, roniąc szczerze łzy. Był naprawdę rozbity. Kiedy zobaczył Skorzenego wyprowadzanego pod strażą, podszedł do niego i splunął mu w twarz.

– Zdrajca! – syknął przez zaciśnięte zęby.

Otto został zaprowadzony do małego pomieszczenia na końcu bunkra i tam zamknięty. Po drodze zdążył jeszcze minąć Schellenberga, który właśnie wrócił z rozmowy z Nehringiem. Spotkali się wzrokiem, ale żaden z nich nic nie powiedział. Teraz w całkowitej ciemności czekał na to, co będzie dalej.

Tymczasem dowództwo SS zebrało się w sali narad. Na ścianie wisiała wielka mapa taktyczna Europy Wschodniej z zaznaczonymi liniami frontu, pozycjami jednostek niemieckich i radzieckich. Mapę ostatni raz aktualizowano przed około miesiącem i nie pokrywała się już z rzeczywistym stanem. Żukow rzucał swoje dywizje do ataku, nie zważając na straty własne, z taką zaciekłością, że faktyczna linia frontu znajdowała się już ponad sto kilometrów dalej na zachód od tej zaznaczonej na mapie.

W pokoju wrzało. Część esesmanów miała za złe poddanie się i nadal mimo poniesionych strat i śmierci Himmlera namawiała do siłowego rozwiązania. Schellenberg wraz z SS-Gruppenführerem Hermannem Fegeleinem próbowali tłumaczyć, że wobec oddalenia z Pozezdrza dwóch trzecich sił walka z 4. Dywizją Pancerną jest skazana na porażkę i należy pertraktować czy raczej dogadać się z Nehringiem, zwalając całą winę na rozkazy Himmlera. Dyskusja nie zmierzała do konsensusu, odwrotnie – gdy zaczynało brakować sensownych argumentów, padały już tylko zarzuty zdrady czy wręcz knajpiane wymiany wzajemnych animozji.

Cały ten zgiełk zakończyło przybycie Nehringa w otoczeniu oficerów Wehrmachtu, adiutantów i obstawy w liczbie dwudziestu żołnierzy. Generał wszedł, a właściwie wtargnął do sali, nie pytając nikogo o zgodę, i od razu zabrał głos.

– Panowie, mam wszelkie pełnomocnictwa od admirała Canarisa, by udzielić wam amnestii za niewykonanie rozkazów głównodowodzącego i dopuszczenie się zdrady – rozpoczął przemowę, lecz przerwał mu Hauptsturmführer Klaus Huber.

– Zdrady? I to mówi ktoś, kto wspiera zamach stanu? – rzucił, a kilku młodszych rangą esesmanów mu zawtórowało.

Nie było mu jednak dane rozwinąć swojej wypowiedzi, gdyż w tym momencie Nehring uderzył pięścią w stół z taką siłą, że w pomieszczeniu huknęło.

– Dość! – wybuchnął generał, człowiek z reguły nad wyraz opanowany i spokojny. – Nie będzie żadnych dyskusji czy targów. Otrzymaliście jednorazową ofertę natychmiastowej kapitulacji i podporządkowania się rozkazom Berlina, dzięki której unikniecie sądu polowego, zachowacie swoje stopnie, a co ważniejsze – głowy. Tylko dlatego, że każdy żołnierz, czołg i karabin stracony w bratobójczej walce osłabia Niemcy i przybliża je do klęski. Gdyby nie to, już dawno urządziłbym tu piekło i zostawił popioły!

Wszyscy ucichli. Trudno było rozeznaczyć, czy sprawiła to zdecydowana i stanowcza postawa Nehringa, czy też obietnica amnestii i zachowania stopni wojskowych. Esesmani obawiali się, że kiedy dopadnie ich Wehrmacht, wszystkich czeka szubienica albo obóz. Pomyśleli, że w słowach Nehringa nie ma żadnego haczyka, że przecież są potrzebni nowej władzy. Przy takim obrocie sprawy nie było sensu dalej stawiać oporu, trwając na przegranej pozycji.

– Rozumiem, że sytuację mamy wyjaśnioną. Zatem proszę o pozostanie SS-Brigadeführera Schellenberga, SS-Gruppenführera Fegeleina, SS-Obergruppenführera Hansa Jüttnera i Standartenführera Waltera Rauffa, żebym mógł przedłożyć panom rozkazy. Resztę proszę o opuszczenie sali. – Skinął na adiutanta, by ten podszedł z trzymanymi w ręce teczkami. Odebrał je od niego, rzucił na stół przed sobą i oparł się rękami o blat, dając tym gestem do zrozumienia, że reszta narady będzie tajna i oczekuje natychmiastowego wykonania jego poleceń.

Esesmani zaczęli powoli opuszczać salę. Część zrobiła to od razu, niektórzy po wydaniu polecenia przez Fegeleina. Kiedy wyszli, adiutant Nehringa zamknął drzwi i dopiero teraz rozpoczęły się rozmowy na najwyższym szczeblu.

– Skoro zostaliśmy sami, możemy skończyć to pierdolenie i przejść do rzeczy – powiedział Nehring, który wiedział, że w czasie każdej operacji liczy się czas. Zmarnowano go ostatnio już zbyt wiele. – SS-Gruppenführer Fegelein, proszę natychmiast przesłać rozkazy do SS-Obergruppenführera Ottona Gille i SS-Brigadeführera Hellmutha Beckera z bezwzględnym natychmiastowym nakazem powrotu na pozycje dywizji Totenkopf i Viking – stanowczym głosem wydał pierwszy rozkaz.

Na twarzy esesmanów odmalowało się zdziwienie. Skąd Nehring wiedział o tajnym planie Himmlera? Zarówno Gille, jak i Becker na rozkaz Reichsführera szybko przeprowadzili relokację dywizji pancernych Viking i Totenkopf z frontu wschodniego w stronę Berlina. Gille jeszcze przedwczoraj osobiście przyjmował rozkazy Himmlera w Pozezdrzu. Poprowadził grupy pancerne, formacje pojazdów opancerzonych i piechoty, które na pobliskiej bocznicy zostały załadowane na pociąg i wysłane w stronę Berlina. Tam miały się połączyć z drugą częścią Dywizji Viking oraz Dywizją Totenkopf dowodzoną przez Beckera. Łącznie obie dywizje oddelegowały do tej akcji ponad dziesięć procent swojego stanu. W tajemnicy sfalszowano rozkazy oraz listy załadunkowe, tak by transporty dotarły nierozpoznane pod Berlin. Wszystko było przygotowywane w tak wielkiej konspiracji, że nawet dowodzący grupą Armii Północ SS-Obergruppenführer Felix Steiner miał o niczym nie wiedzieć, ponieważ Himmler przestał mu ufać po tym, jak ten bez wahania stanął po stronie Canarisa. Skoro cała operacja była przeprowadzona w takiej konspiracji, że nawet Steiner o niej nie wiedział lub przynajmniej udawał, że nie wie, to jakim cudem wiedziano o tym w Berlinie? To pytanie w tej chwili nurtowało wszystkich esesmanów w tej sali.

Zauważył to Nehring i powiedział:

– Proszę się nie dziwić, że o wszystkim wiemy. W końcu macie do czynienia z kontrwywiadem. – Zrobił pauzę, po czym mówił dalej: – Zrozumcie, że jest już po wszystkim. Chyba żaden z nas nie chce w tym momencie pancernej bitwy na rogatkach Berlina. Bitwy, której nie wygracie.

Wszyscy wiedzieli, że Nehring ma rację. Fegelein spojrział na Schellenberga. Ten milczał, jego spojrzenie odczytał jednak jako polecenie „zrób to”. W milczeniu wyszedł do pokoju radiotelegrafistów, by nadać wiadomość. Nehring zwrócił się do swojego adiutanta:

– Herr Moldke, proszę towarzyszyć Gruppenführerowi. – Co znaczyło, że ma mieć Fegeleina na oku i osobiście sprawdzić, jakie rozkazy prześle. – Dobrze, jedno mamy z głowy – kontynuował. – Teraz pozostałe rozkazy. Obergruppenführer Hans Jüttner, przygotowuje pan raport na temat jednostek znajdujących się w Pozezdrzu oraz innych, które oddaliły się od swoich zgrupowań do wykonania waszego planu. Raport o zaopatrzeniu i dzisiejszych stratach. Proszę przygotować plan jak najszybszego wysłania wojsk z powrotem na front wschodni pod dowództwo Steinera, na pozycję grupy Armii Północ. Zarówno raport, jak i logistykę chcę mieć na swoim biurku jeszcze dziś w nocy – oznajmił. Następnie wziął jedną z przygotowanych wcześniej przez adiutanta teczek i podał Jüttnerowi, mówiąc: – Kiedy już pan się tym zajmie, to będzie pańskie nowe miejsce oddelegowania. – SS-Obergruppenführer chciał coś powiedzieć, jednak Nehring nie dał mu nawet rozpocząć. – Odmaszerować! Ma pan zadanie do wykonania i mało czasu. – Potem odwrócił się do Rauffa, dając do zrozumienia Jüttnerowi, że z nim już skończył. Ten odebrał teczkę i, podobnie jak Fegelein, bez słowa poszedł wykonać rozkazy. – Standartenführer Rauff, osobiście odbyłem rozmowę telefoniczną z generałem Osterem na temat nowych rozkazów, które otrzymali wszyscy komendanci obozów koncentracyjnych. Zabraniają one dal-

szej likwidacji Żydów. Dostałem rozkaz rozdysonowania oficerów i plutonu Wehrmachtu do wszystkich obozów w Generalnym Gubernatorstwie w celu inspekcji i sporządzenia raportu co do przestrzegania nowych zaleceń. Jutro rano wraz z pierwszym oddziałem Leutnanta Krausego pojedzie pan do Konzentrationslager Auschwitz. Tutaj są pańskie rozkazy. – Podał zalakowaną aktówkę Rauffowi. – Proszę nie pytać mnie o szczegóły, są ściśle tajne i nawet ja nic o nich nie wiem – dodał. – Raportować będzie pan bezpośrednio do Berlina.

Rauff wziął teczkę, zasalutował i wyszedł na korytarz. Znalazł ustronne miejsce, przystanął i nerwowo zaczął otwierać aktówkę. W końcu udało mu się dostać do dokumentów. Było ich dziwnie mało, a właściwie cała dokumentacja ograniczała się do jednej kartki. Podniósł ją do oczu, żeby przeczytać. Nie było to łatwe w półmroku, w świetle słabej, mrugającej żarówki. U góry dokumentu widniała pieczęć Reichssicherheitshauptamt, czyli Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Rozkazy były skierowane bezpośrednio do niego, ponieważ obok niej zapisano „Standartenführer Walter Rauff”.

Treść rozkazu brzmiała: „Zniszczyć wszystkie dowody ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej w Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau, Stutthof, Lublin, SS-Sonderkommando Treblinka, Gross-Rosen”.

Rauff dobrze wiedział, co to oznacza. Wiedział też, dlaczego pod rozkazem nie było podpisu. Gdyby sprawa wyszła kiedyś na światło dzienne, nikt nie chciał być z tym łączony.

Walter Rauff, mężczyzna o pociągłej twarzy, włosach zaczesanych do tyłu, elegancki, o dość zimnym, ale inteligentnym spojrzeniu, z wyglądu mógłby uchodzić za dyrektora banku lub profesora na uniwersytecie. Zamiast dobrego garnituru miał jednak na sobie skórzany płaszcz, a na głowie czapkę z trzypiętą czaszką. Człowiek od spraw technicznych w SS. Bystry, skrupulatny, pilny w powierzonym zadaniu. Swoją karierę w SS rozpoczął podczas inwazji na Polskę, gdy odpowiadał za techniczne wyposażenie posuwających się w głąb kraju dywizji. Dał się poznać z dobrej strony i szybko awansował. W operacji Barbarossa nadzorował liczne mordy i okrucieństwa na cywilach. Po rozkazie Himmlera dotyczącym masowej eksterminacji Żydów, Cyganów i innych podludzi dostał zadanie udoskonalenia metod zabijania. Wprowadził do użytku ruchome komory gazowe. Furgonetki, jak powszechnie je nazywano, nie były jego wynalazkiem, zapożyczył go od NKWD. Rauff dopracował szczegóły, czyniąc pojazdy powszechnie używanym narzędziem mordu. W miarę rozpowszechniania tej metody polecił też przerobić samochody dostawcze z gazem na „zamaskowane przyczepy domowe”, aby ofiary nie stały się „niespokojne”, co utrudniało i spowalniało cały proces. W miarę rozbudowy obozów koncentracyjnych ruchome komory gazowe były już rzadziej używane, jednak metody Rauffa tak bardzo spodobały się przełożonym, że postanowiono wykorzystać je w północnej Afryce. W listopadzie 1942 roku Rauff został przeniesiony do Tunezji i stosował politykę SS wobec tamtejszych Żydów. Jego bezkompromisowość i skrupulatne wypełnianie zadań spodobały się Himmlerowi, który oddelegował go na krótko do Włoch, a potem ściągnął do siebie, by nadzorował ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej we wschodniej i południowej Europie. Gdy zginął Hitler i wybuchła rewolta, Himmler wraz z najbliższymi współpracownikami zabrał go ze sobą do Hochwaldu.

Przeczytał jeszcze raz słowa z kartki, jak gdyby chcąc dobrze zrozumieć, co ma robić. Złożył rozkaz i schował do aktówki. Westchnął głęboko i oparł się o ścianę. To, czego od niego wymagano, przekraczało nawet jego umiejętności. Jak w kilka miesięcy zatrzeć ślady eksterminacji kilku milionów Żydów? Można zniszczyć dokumentację, wysadzić komory gazowe i krematoria, ale miejsc, gdzie grzebano zwłoki, nie da się całkowicie ukryć. W dużych obozach, jak Auschwitz, najpierw grzebano ciała w masowych mogiłach, po 1942 roku zwłoki palono. Nowe transporty trafiały od razu do krematorium. Czego nie dało się spalić, jak na przykład kości, specjalne komanda rozdrabniały za pomocą tłuczków, młotów czy innych narzędzi i wraz z popiołami topiły w rzece lub okolicznych stawach i bagnach. Używano ich też jako nawozu na polach lub wypełniano zagłębienia terenu. Nie wszystkie szczątki uległy utylizacji albo zostały upłynnione w rzekach. Proceder prowadzono na tak wielką skalę, że nie sposób było zrobić tego dokładnie. Dodatkowo w mniejszych obozach ciała składowano w ogromnych dołach w pobliskich lasach czy na polach. Przecież nie było teraz możliwości zebrania tego wszystkiego spychaczami i przewiezienia w inne miejsce. Jednak jako człowiek inteligentny i praktyczny Rauff zrozumiał, na czym polega jego zadanie. Nie da się wszystkiego zniszczyć i ukryć. Musiał jedynie zminimalizować to, co pozostanie do odkrycia, kiedy obozy wpadną w ręce Rosjan lub aliantów. Nie da się ukryć działalności obozów, zawsze zostaną jakieś ślady czy choćby świadkowie. Ale można było ograniczyć niewygodne dowody. Wystarczy zatrzeć ślady i lekko przekłamać fakty, żeby wszystko wyglądało ina-

czej. Inaczej brzmi informacja, że w obozie pracy z wyczerpania i chorób zmarło pięćdziesiąt czy sto pięćdziesiąt tysięcy więźniów, niż prawda, że zagazowano pięć milionów. Jeżeli pozbędzie się komór gazowych, dokumentów, ksiąg, kluczowych świadków, ta mistyfikacja może się udać. Polityka to liczby, wystarczy odjąć jedno zero, żeby prawda, nawet najgorsza, dała się zaakceptować. Właśnie o to chodziło nowej władzy próbującej dogadać się z aliantami. Był tego świadomy. Stał prosto, schował dokument w kieszeni płaszcza i udał się do wyjścia z bunkra. Chciał złapać kilka godzin snu, zanim pojedzie z Leutnantem Krausem do Auschwitz.

Tymczasem w pokoju narad z Nehringiem został już tylko Schellenberg. Obaj panowie się znali, więc atmosfera stała się mniej oficjalna.

– Tu mam rozkazy dla pana – powiedział Nehring, podając rozmówcy ostatnią teczkę. – Adiutant ma pana odeskortować jutro rano do Berlina.

– Do Berlina? – zapytał szyderczo Schellenberg. – Czy aby na pewno dalej niż do pobliskiego lasu? Trochę się znamy, proszę być ze mną szczerym – powiedział, obawiając się, że jako prawa ręka Himmlera poniesie natychmiastową karę i że jego egzekucja jest już postanowiona.

– Drogi Walterze, siedzi pan w tym wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że informacje, które ma pan w głowie, są warte więcej niż sama głowa. – Rozwiązał te wątpliwości Nehring, uspokajając Schellenberga. – Obaj wiemy, że teraz najważniejsze będą rozmowy z aliantami. Pańskie doświadczenie w tej kwestii będzie na pewno pomocne. Dlatego proszę się nie obawiać, dotrze pan do Berlina w jednym kawałku. – Następnie wyjął i podał Schellenbergowi jeszcze jeden dokument. – Tutaj jest lista oficerów, których mam dostarczyć do stolicy razem z panem. Chciałbym, żeby pan się tym zajął i zorganizował ich zbiórkę. Myślę, że to będzie lepsze rozwiązanie, niż żeby Wehrmacht wyciągał ich rano z łóżek. Sytuacja jest już wystarczająca napięta, niepotrzebna nam eskalacja problemów między Wehrmachtem a SS. Mam nadzieję, że się pan ze mną zgadza.

Schellenberg przez chwilę się zastanawiał, po czym odparł:

– Tak, ma pan rację, tak będzie lepiej. Zajmę się wszystkim.

– Dobrze, skoro doszliśmy do porozumienia i wszystkie sprawy zostały wyjaśnione, wróć do mojego sztabu – oznajmił Nehring.

Pożegnali się i zaszalutowali w starym stylu, jak gdyby *Heil Hitler!* nigdy nie istniało, i generał opuścił obóz.

Schellenberg pośpiesznie przejrzał listę oficerów SS, którzy mieli pojechać do Berlina. Widać było, że ktoś się nad nią napracował i nie była sporządzona pośpiesznie. Znajdowali się na niej wszyscy oficerowie z najbliższego kręgu Himmlera, w tym ci, którzy mieli informacje na temat operacji finansowych SS i prywatnych kont Reichsführera. Również technicy i inżynierowie, tacy jak Hans Friedrich Karl Franz Kammler nadzorujący tajne konstrukcje Wunderwaffe czy budowę specjalnych podziemnych kompleksów na Śląsku. Nagle wzrok Schellenberga zatrzymał się na ostatnim nazwisku na liście. Było dopisane odręcznie, ale podkreślone dwa razy, by zaznaczyć, że nie wolno go pominąć.

Tą osobą był Otto Skorzeny. Teraz Schellenberg przypomniał sobie o jeńcu trzymanym w piwnicy i o tym, że to on zapoczątkował wydarzenia dzisiejszego dnia. Przypominał sobie, jak Otto tutaj, w bunkrze, kilka dni temu kłamał wszystkim w żywe oczy. Himmler zaufał legendzie Skorzenego, wierząc, że jego szczęśliwa gwiazda zaświeci teraz dla niego. On nie mógł więc oponować. Żałował, że bardziej stanowczo nie ingerował wtedy w decyzję Himmlera. Pomyślał, że to już nieważne, mleko się rozlało, może nawet tak będzie lepiej. Może aliansi prędzej dogadają się z Canarism, niż zrobiliby to z Himmlerem. Schellenberg już w 1942 roku zdał sobie sprawę, że Niemcy przegram wojnę. Nie mogła im pomóc wątpliwa koalicja z państwami Osi ani słynna Wunderwaffe. Przystąpienie USA do wojny i klęska pod Stalingradem przesądziły o losach konfliktu. Dlatego namawiał Himmlera do podjęcia rozmów z aliantami za plecami Hitlera. Z jego inicjatywy proponowano rozmowy za pośrednictwem przedstawiciela Czerwonego Krzyża w Berlinie, Szweda hrabiego Bernadotte. Jeżeli nie skończy na szubienicy, może będzie prowadził podobne negocjacje dla Canarisa. Z tym pozytywnym przeświadczeniem skierował się w stronę celi, w której przetrzymywali więźnia.

Przed ciężkimi żelaznymi drzwiami stał wartownik. Dał mu znak, by otworzył celę. W środku panował półmrok, a zaduch i zapach stęchlizny uderzyły go w nozdrza. Kiedy po kilku sekundach oczy przyzwyczyły mu się do mroku, zobaczył siedzącą w rogu sylwetkę Skorzenego.

Ten rozpoznał Schellenberga i wstał, by podejść bliżej.

– Z rozkazu generała Nehringa mam pana uwolnić i przetransportować do Berlina – powiedział przybyły. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Skorzeny zdradził go i oszukał. Normalnie kazalby go rozstrzelać, ale dzisiaj musiał przełknąć tę gorzką pigułkę. – Może pan opuścić celę i odejść, ze względów bezpieczeństwa proponuję jednak, żeby do czasu porannego transportu pan tutaj pozostał. – Schellenberg odsunął się trochę, robiąc przejście, po czym mówił dalej: – Po obozie rozeszło się już, że to pan zamordował Reichsführera i wystrzelili flarę. Jest wielu rannych i zabitych. Ich towarzysze palają żądzą zemsty i mogliby chcieć pana zlinczować. Wehrmacht opuścił już kwaterę, mają przyjechać dopiero rano.

Skorzeny bez słowa skinął głową i z powrotem usiadł w kącie celi.

– Przyślę panu posiłek i coś do picia – rzucił Schellenberg i zamknął drzwi.

Przez chwilę słychać było jeszcze jego kroki w korytarzu, po czym nastąpiła cisza.

Otto był wściekły. Czuł się upokorzony. Odwalił całą brudną robotę dla Canarisa, a ten zostawił go na łasce SS. Wiedział, że Nehring nie zrobił tego przypadkowo. Celowo pokazali mu, gdzie jego miejsce i że nigdy nie będzie jednym z nich. Admirał nie zapomni, że trzymał go w piżamie na muszce karabinu. Obraz tamtego poranka wypełnił jego umysł. Dobrze pamiętał każde wypowiedziane wtedy słowo. Jak oznajmił Canarisowi, że znalazł się w jego sypialni, by go zabić z rozkazu Himmlera. Tamten zniósł to dzielnie. Stanął prosto, wyprężył się i bez lęku patrzył prosto w oczy Skorzenego, czekając na śmiertelny strzał. Otto nie miał zamiaru strzelać. Nie po to przybył. Kiedy opuszczał Hochwald po rozmowie z Himmlerem, przez całą drogę rozważał, co będzie dla niego lepsze, która z frakcji ma większe szanse na zwycięstwo. Uznał, że lepszą opcją będzie gra dla obozu Canarisa. Nie mógł jednak poprosić o audiencję u admirała i powiedzieć, że ma rozkaz go zabić.

Nie było żadną tajemnicą, że ktoś będzie chciał zlikwidować Canarisa, że Himmler wyśle zabójców. Zapewne zostałyby od razu aresztowane i nigdy nie stanął przed Canarisem. Przez kilka tygodni byłby pewnie przesłuchiwany przez Abwehrę i na tym by się skończyło. Dlatego obmyślił własny plan. Musiał być wiarygodny i zrobić wrażenie na admirałach, a kiedy jego wzrok napotkał spojrzenie Canarisa, wiedział, że mu się udało.

Zamiast strzelić, odłożył broń i powiedział, że chciałby zaproponować inne rozwiązanie. On, Otto Skorzeny, może w jeden dzień zlikwidować Himmlera i stojące za nim SS. Opowiedział o pobycie w Hochwaldzie, o rozmowie z Reichsführerem i jego strategii. O tym, że Himmler planuje w najbliższych dniach kontruiderzenie i że nie są to tylko czcze przechwałki. Po krótkich rozmowach uzgodnili, że Skorzeny uda, iż wykonał rozkaz i zabił Canarisa, po czym wróci do Hochwaldu. Tam zlikwiduje Himmlera, a Wehrmacht pod wodzą Nehringa zmusi pozostałych do poddania się. Cały ten plan Otto wykonał punkt po punkcie. Nie przewidział, że po wszystkim skończy dzień w zimnej, wilgotnej celi bunkra. Pomyślał jednak, że ta mała niedogodność jest niczym w drodze do odebrania nagrody, której sobie zażyczył od admirała.

Na końcu ich rozmowy postawił warunek. Powiedział, że poda mu całe SS na tacy w zamian za przysługę. Wierzył, że Canaris jako człowiek honorowy, wojskowy starej daty, jutro dopełni obietnicy. Z tą myślą przyszło mu spędzić całą noc.

Około 4.00 rano Skorzenego obudziły kroki na korytarzu i dźwięk odsuwanej zasuwki w drzwiach celi. Stanął w nich młody podoficer o podłużnej twarzy z mocno wystającymi kośćmi nosa oraz podbródka, z jasnymi rudawymi brwiami i rudą szczecinę wystającą spod czapki. Otto widział go kilka dni wcześniej w otoczeniu Schellenberga i zapamiętał.

– Sturmbannführer Skorzeny, jest pan proszony na plac. Transport niebawem odjeżdża – oznajmił podoficer SS.

Skorzeny leniwie i z dużym trudem podniósł się z podłogi. Nie dlatego, że chciał ceremonialnie przedłużyć swój pobyt tutaj, tylko dlatego, że po nocy spędzonej na zimnym i wilgotnym betonie bolały go wszystkie kości. Wstał i sięgnął do stojącej na ziemi tacy z resztkami kolacji, którą wczoraj wieczorem mu dostarczono. Podniósł blaszany kubek, w którym miał nadzieję znaleźć odrobinę wczorajszej kawy. Szczęście dopisało mu tylko w połowie. Wprawdzie na dnie kubka była jeszcze kawa, tak że mógł pociągnąć dwa spore łyki, jednak już lodowato zimna.

Po wypiciu wzdrygnął się lekko i powoli ruszył za rudym przewodnikiem. Na placu przed bunkrem mimo wczesnej pory panowała ożywiona krzątanina. W większości byli to żołnierze Wehrmachtu. Pośrodku stał sztabowy mercedes KDF oraz dwa Kübelwagony. Osobowy mercedes na bazie trzytonowej ciężarówki, przeznaczony dla dwunastu pasażerów, był już prawie wypełniony esesmanami z listy

Schellenberga. Młody podoficer wskazał ręką Skorzenemu stojący bliżej pojazd i ten usadowił się na tylnej kanapie. Po chwili przyprowadzono jeszcze Radla, o którego los Otto obawiał się od wczoraj. Jego nazwisko również znajdowało się na liście, zaraz pod Skorzenym. Dalszą podróż mieli odbyć razem. Przywitali się wymownymi spojrzeciami. Nie chcieli za bardzo okazywać radości z ponownego spotkania po udanej misji. Siedzieli w milczeniu, nie chcąc zwracać na siebie zbyt dużej uwagi. Wraz z nimi miejsce w pojeździe zajął Hans Kammler, oficer SS i generał Waffen-SS. Miał ze sobą dwie grube teczki dokumentów, które położył na podłodze między nogami. Musiały być bardzo cenne, ponieważ co chwilę zerkał, poprawiał je i przestawiał, jak gdyby upewniając się, że nadal tam są. Wkrótce do samochodu wsiadł kierowca, a na miejscu pasażera usadowił się Unteroffizier Jorg Müller. Przedstawił się elegancko i wyjaśnił, że będzie towarzyszył esesmanom w podróży, co znaczyło, że stanowi ich eskortę i jest odpowiedzialny za dostarczenie przesyłki na miejsce. Kierowca rozgrzał silnik i ruszyli w stronę drogi dojazdowej do kwatery, którą poprzedniego dnia dotarli tu Skorzeny. Otto rozejrzał się jeszcze po pasażerach dwóch pozostałych samochodów. Szarżyna poranka nieco zamazywała obraz, ale udało mu się dostrzec znajome twarze. W pojazdach siedzieli między innymi SS-Gruppenführer Richard Glücks, szef Amtsgruppe D – Konzentrationslager, czyli tzw. Grupy Urzędów D – Obozy Koncentracyjne w strukturach WVHA (Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego SS), SS-Brigadeführer Heinrich Friedrich („Heinz”) Reinefarth ze Sztabu Wyższego Dowódcy SS i Policji w okupowanej przez Niemców Polsce, SS-Obersturmbannführer Karl Rasche, SS-Obergruppenführer Gottlob Berger, osobisty przedstawiciel Himmlera przy Ministerstwie Rzeszy do spraw Okupowanych Terytoriów Wschodnich, SS-Obersturmbannführer Friedrich Rauch i SS-Standartenführer Josef Spacil, szef Amt II, Sekcji Administracji Budżetowej Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA); dwaj ostatni współdziałali z SS-Hauptsturmführerem Brunonem Melmerem, który z polecenia Himmlera zajmował się przesyłaniem do banków złota z obozów koncentracyjnych. Tak więc w rękach Canarisa znalazły się wszystkie elementy finansów i tajemnic SS.

Kübelwagen ze Skorzenym i Radlem szybko wyjechał z byłej kwatery Reichsführera. Tuż za punktem kontrolnym ukazał im się sznur pojazdów Wehrmachtu zajmujący całą lewą stronę szosy. Zaparkowane po części w lesie, po części na drodze czołgi, transportery opancerzone, ciężarówki i inne pojazdy ciągnęły się kilometrami. Znacznie utrudniało to jazdę, ponieważ kierowca musiał uważać na wałęsających się żołnierzy. Podróż mijiała w milczeniu. Otto z Radlem, przedzieleni Kammlerem, niezbyt mogli swobodnie porozmawiać. Ten zajął się przeglądaniem dokumentów i nie miał zamiaru wdawać się w pogaduszki z niższymi stopniem oficerami. Tym bardziej że znał z widzenia Skorzenego i wiedział, że to jemu zawdzięcza tę niechcianą podróż. Unteroffizier Jorg Müller parę razy zamienił kilka zdań z kierowcą, lecz z reguły na temat żołnierzy Wehrmachtu, którzy kilka razy nagle znaleźli się przed maską auta. Tylko refleks kierowcy i ostre hamowanie uchroniło ich od wypadku. Müller wypowiedział się o ich głupocie i trzeźwości, wskazując na fakt, że byli pijani. Miał rację, ponieważ wielu żołnierzy jechało tu przerażonych, że będą musieli stoczyć bitwę z Waffen-SS, o której zaciętości w walce wiele się nasłuchali. Część brała też udział we wspólnych operacjach Wehrmachtu z Waffen-SS i na własne oczy widziała, z jak mocnym przeciwnikiem przyjdzie im się zmierzyć. Dlatego większość z nich, szczęśliwa, że już po wszystkim, oddała się skrycie świętowaniu i picciu wszelkiego alkoholu, jaki ze sobą mieli.

Przejechali może kilka kilometrów, kiedy wstęga pojazdów na poboczu się skończyła. Mknęli pustą szosą przez las. W pewnej chwili kierowca skręcił w boczną drogę. Zjazd w głąb lasu nieco zaniepokoił Skorzenego. Zauważył też, że Radl nerwowo bębni palcami o drzwi samochodu. Spojrzeli na siebie. To nie wróży nic dobrego. Byli zdrajcami, a długie macki SS mogły ich dosięgnąć w każdej chwili. Ta niepewność nie trwała jednak zbyt długo. Po kilku minutach dotarli do dużej polany, która pełniła funkcję lotniska polowego. Przy dość dużym pasie startowym stał samolot transportowo-bombowy dalekiego zasięgu Junkers Ju 290. Był przygotowany do startu, a załoga właśnie rozgrzewała cztery wielkie silniki. Drugi pilot, który stał przed maszyną jakby w oczekiwaniu na nadjeżdżający samochód, wykonał ręką swego rodzaju powitalny gest i pośpiesznie udał się do kabiny. Skorzeny odetchnął. Wiedział, że nic im nie grozi i admirał Canaris wywiązał się z umowy. Wszystko chodziło jak w szwajcarskim zegarku. Kübelwagen szybko podjechał do samolotu, skacząc przy tym na dziurach polowego pasa startowego. Müller jako pierwszy wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi, dając tym samym znak do opuszczenia pojazdu.



– Panowie, tu moja rola się kończy. Życzę bezpiecznej podróży – oznajmił, zasalutował i kiedy cała trójka wysiadła, poprosił na bok Skorzenego i wyjął ze swojej aktówki dwa paszporty, mały granatowy woreczek i rozkazy w zalakowanej kopercie. – Polecono mi to panu przekazać, gdy dotrzemy na miejsce – powiedział cicho, wręczając mu przedmioty.

Otto otworzył po kolei obydwie paszporty, w których widniały zdjęcia jego i Radla. Nowe nazwisko i tożsamość miały mu posłużyć do nowego życia i zadań, a także ukryć tymczasowo przed tymi, którzy mieli mu za złe zdradę Himmlera i SS. Na dłuższą metę było to jednak niemożliwe. Po uwolnieniu Mussoliniego jego twarz znało każde niemieckie dziecko. Zabrał kopertę z rozkazami. Potem zajrzał do woreczka, w którym znajdowało się dwadzieścia brylantów. Jego nagroda za wykonanie zadania.

– Dziękuję, wszystko się zgadza – powiedział.

Müller pożegnał się szybko i wskoczył z powrotem do auta. Klepnął kierowcę w ramię, żeby ten ruszał. Kübelwagen, podskakując na nierównościach i strzelając z rury czarnym dymem, zniknął za drzewami.

– Jesteś wielki – usłyszał Otto za plecami.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył nachylającego się w jego stronę Radla.

– Fart – odpowiedział skromnie, pokazując brylanty i paszporty.

– Już dawno widok samolotu tak mnie nie cieszył – trąkotał Radl. – W końcu wyrwiemy się z tego całego gówna. – Był wyraźnie podniecony.

– Tak, ale... – Skorzeny chciał coś powiedzieć, lecz urwał w pół zdania.

– Co „ale?” – zapytał Radl, jakby zirytowany, że towarzysz studzi jego entuzjazm.

– Po co było to wszystko? Holandia, pieprzona Rosja, Mussolini, Rösselprung, żeby teraz poszło z dymem. – Otto złapał chwilowego doła na myśl, że opuszcza cały ten bitewny zgiełk, a wszystko, o co walczył, zostało zaprzepaszczone.

– Daj spokój. Ciesz się, że żyjemy. Za kilka dni będziemy w rajku popijać drinki i klepać dziewczyny po tyłkach. Krótki urlop nam się przyda. Przyczaimy się, przeczekamy, aż ten rozpierdol się skończy, i uwierz mi, będziesz mógł tu wrócić szybciej, niż myślisz. Popyt na kogoś z twoją reputacją będzie zawsze. Zresztą tam też mamy co robić. – Radl wygłosił chyba najdłuższą przemowę w swoim życiu. Zawsze wolał myśleć, niż gadać.

Dlatego też jego słowa trafiły do Skorzenego. Otto uważał go za piekielnie inteligentnego, więc jego wystąpienie podniosło go na duchu. Zniknęły brudzy na jego czole i całkiem się rozchmurzył. Oczywiście ponownie płonęły mu szelmowskim blaskiem.

– Dobrze, no to odbierzmy swoją nagrodę – powiedział do towarzysza i wszedł do samolotu.

Radl za nim.

Tą nagrodą, a właściwie przysługą, o jaką poprosił Canarisa, była nowa ziemia obiecana dla esesmanów i innych wysokich rangą dostojników państwowych. Nie była to jednak ziemia obiecana przez Hitlera, nie było to już żyzne pola i stępy wschodniej Europy, lecz nowa druga ojczyzna... Argentyna. Tam, korzystając z przychylności rządu i rozległej siatki agentów, Niemcy budowały swoją nową, alternatywną przyszłość. Alternatywę na wypadek klęski.

Cztery olbrzymie czternastocylindrowe gwiazdowe silniki BMW na skrzydłach samolotu zawarzały, co odbiło się echem w pobliskim lesie. Samolot rozpedził się i koła oderwały się od ziemi. Wzniósł się powoli na sześć tysięcy metrów i skierował w stronę Wilhelmshaven. Po kilku godzinach lotu wylądował na lotnisku w pobliżu bazy 2. Flotyli U-bootów „Saltzwedel”. Tam Skorzeny, Radl i Kammler zostali powitani przez kapitana Wolfganga Lütha. Skorzeny i Radl wraz z kilkoma innymi osobami weszli na pokład U-boota. Kammler osobiście dał kapitanowi okrętu teczkę, gdyż znajdujące się w niej dokumenty były tak ważne, że mogły zostać przekazane tylko w zaufane ręce. Kammler udał się później do Turynii, gdzie w podziemnych fabrykach pod górą Kohnstein nadzorował prace nad raketami V2.

Dla kapitana Wolfganga Lütha był to już trzeci rejs do Argentyny. Za każdym razem przewoził agentów, oficerów SS i gestapo. Speców od uzbrojenia, techników i naukowców. Skrzynie ze złotem oraz dokumentami. Tysiące dokumentów: tajnych projektów, raket, samolotów, czołgów, napędów łodzi podwodnych czy torped. Wszystko, co należało ukryć i zachować na wypadek przegranej wojny. Również mniej ważne schematy, na przykład karabinów maszynowych, moździerzy, pojazdów opancerzonych i różnych maszyn jako waluty przetargowej dla argentyńskiego rządu w ramach nawiązania współpracy i zapłaty za gościnność.

Na drugi dzień o świcie U-43 wypłynął z doku w stronę Argentyny, gdzie po długim, lecz spokojnym rejsie na wodach przybrzeżnych przekazał swój ładunek Uwe Schubertowi, kapitanowi statku handlowego argentyńskiej firmy armatorskiej założonej przez niemiecki wywiad. Statek dostarczył ładunek do Buenos Aires, gdzie Skorzeny i Radl zaczęli nowe życie i nową misję.

## Susan

Rzadkie krople deszczu padały na szybę forda model A zaparkowanego w bocznej uliczce przy jednym z małych teatrów na nowojorskim Broadwayu. Niedaleko stąd, przy ulicy pełnej świateł, samochodów i zgiełku miasta, które nigdy nie śpi, grano popularny musical *Oklahoma!*, dzieło Rodgersa i Hammersteina. Historia burzliwego romansu w scenografii Dzikiego Zachodu podbiła serca nowojorczyków i pozwalała na krótko zapomnieć, że gdzieś na drugim końcu świata toczy się wojna. Jednak mężczyzna siedzący za kierownicą był zainteresowany innym przedstawieniem. Już od kilku dni przyjeżdżał tu codziennie o tej samej porze tuż przed końcem musicalu i obserwował wychodzące osoby. Zatrzymywał samochód tak, by widzieć obydwa wejścia, frontowe i boczne. Obniżał się na siedzeniu, tak by wystawała jedynie głowa, jednocześnie stawiając kołnierz płaszcza i zsuwając rondo kapelusza w ten sposób, że jego twarz była prawie niewidoczna dla przechodniów czy kierowców przejeżdżających samochodów. Wyglądał, jakby zasnął, czekając na kogoś. Było to jednak wrażenie mylące, ponieważ w zakrytej twarzy połyskiwały w świetle neonu bacznie obserwujące ulicę kaprawe oczy. Mężczyzną tym był Tobias Lange, agent gestapo w Nowym Jorku. Trzydziestoletni blondyn o podłużnej twarzy oznaczonej śladami po ospie tak głębokimi, że miejscami przypominały minikratery wulkanu i nadawały mu dość odpychający wygląd. Syn niemieckich emigrantów, który oprócz blizn na plecach po klamrze pasa ojca – pijaka-sadysty – wyniósł z domu biegłą znajomość dwóch języków, niemieckiego i angielskiego, oraz nawyk do niewygód, jak kilkugodzinne siedzenie bez ruchu na fotelu auta. Te zdolności były niewątpliwymi atutami, które sprawiły, że trafił do gestapo. W 1937 roku, na fali zafascynowania nazizmem i Hitlerem, postanowił pojechać do Niemiec. W Hamburgu zatrudnił się jako kelner w eleganckim klubie dla oficerów. Tam złapał pierwszy kontakt z gestapo i oficerami Abwehry, którzy postanowili wykozystać jego przekonania polityczne oraz zdolności lingwistyczne do budowy siatki szpiegowskiej w USA. Przeszedł krótki, dwutygodniowy kurs wywiadu i oficjalnie został agentem. Swoją karierę zaczynał od wyjazdu do Irlandii, gdzie nawiązał kontakty z IRA, rekrutując przyszłych sabotażystów dla gestapo i Abwehry, oraz uczył się działać w podziemiu. Nabyte doświadczenie i liczne kontakty z IRA zaowocowały i wkrótce Lange wyjechał za ocean, na placówkę do Stanów Zjednoczonych, a konkretnie do Nowego Jorku. Przybył do miasta w 1940 roku i pozyskiwał informacje, pracując w tutejszych klubach i restauracjach. Zbierał informacje o politykach, wojskowych, arystokracach i biznesmenach. Przychodziło mu to bez trudu, ponieważ w tych latach Stany Zjednoczone nie miały służb i agencji do przeciwdziałania agentom obcych państw na swym terenie. Miał do tego talent i czuł się jak ryba w wodzie, obracając się w nowojorskim środowisku, gdzie polityka i półświatek nierozzerwalnie spletały się ze sobą już od czasów prohibicji, a nawet wcześniejszych. Archiwa nowojorskiego gestapo zapętniały się teczkami setek prominentnych osób, a Lange awansował na zastępcę Karla Friedricha Herrmanna, szefa nowojorskiej placówki. Z czasem, gdy FBI J. Edgara Hoovera zlikwidowało w 1942 roku grupę około pięćdziesięciu agentów, powierzono mu większy teren działań, w tym również Waszyngton. Tam, wykorzystując swoją rozbudowaną siatkę informatorów, miał możliwość zbierania informacji o najważniejszych politykach w Stanach Zjednoczonych. Nic więc dziwnego, że teraz najtrudniejsze zadanie w historii szpiegostwa na rzecz Niemiec w Ameryce zlecono właśnie jemu.

Ostatnie kilka dni spędził przed teatrem Imperial, obserwując Susan Davis, podrzędną aktorkę występującą w sztuce pod tytułem *Miłość w południe*. Z tego, co przeczytał w gazetach, cała sztuka była równie banalna jak jej tytuł. Nie treść przedstawienia interesowała jednak niemieckiego agenta, tylko rozkład dnia pięknej Susan. Od kilku dni przyjeżdżał pod teatr, gdzie miała próby, a wieczorem występowała przed publicznością. Za każdym razem czekał do końca spektaklu, obserwując, o której i z kim opuszcza teatr. Dokąd udaje się po przedstawieniu. Codziennie rano kupował też gazetę i przeglądał rubrykę ogłoszeń, za których pomocą członkowie gestapo kontaktowali się ze sobą i swoimi mocodawcami w Niemczech. Dziś znalazł ogłoszenie zamieszczone na polecenie Herrmanna, które było sygnałem do wykonania zadania dzisiejszego wieczoru. Lange, który od kilku dni niemal nie odstępował Susan Davis na krok, miał już wszystko przemyślane i przygotowane. Wiedział, kiedy i co musi zrobić.

Teraz zastępyła za kierownicą auta i czekała na zakończenie spektaklu. W końcu drzwi teatru się otworzyły i ludzie zaczęli opuszczać budynek, wylewając się na chodnik. Część szła dalej piechotą, inni wsiadali do taksówek czy własnych aut, kryjąc się w pośpiechu przed coraz ulewniejszym deszczem. Lange nie denerwował się, że w tym tłumie nie zauważy drobnej Susan. Wiedział, że wyjdzie dopiero za kilka minut bocznym wyjściem dla pracowników teatru. Tak też się stało. Minęło pięć minut, kiedy boczne drzwi się otworzyły i najpierw wyszło trzech starszych aktorów, a za nimi ukazała się filigranowa postać Susan w towarzystwie młodego, wysokiego aktora grającego główną rolę. Szli z podwórza w stronę głównej ulicy. Susan była wyraźnie rozbawiona, ponieważ cały czas się śmiała i mówiła coś z wielkim entuzjazmem. „Kiedy tak się śmieje, jest naprawdę piękna”, pomyślał Lange. Wcześniej widział ją z bliska w teatrze. Czarne, długie, kręcone włosy, duże głębokie niebieskie oczy i okrągłe rumiane policzki. Miała wyjątkowe, figlarne spojrzenie, którym obrzuciła go, przechodząc. Pamiętał to do teraz. Nic dziwnego, że wszyscy mężczyźni, którzy spojrzeli w te oczy, tonęli w ich głębi.

Susan wraz z towarzyszem ruszyli chodnikiem przy głównej ulicy. Lange włączył silnik, auto lekko się zatrzęsło. Jechał powoli za nimi, jakieś dziesięć metrów z tyłu. Para przeszła około stu metrów, dotarła do najbliższego skrzyżowania i zatrzymała się. Chwilę rozmawiali, po czym się pożegnali i mężczyzna poszedł dalej, a Susan skierowała się do swojego mieszkania na Manhattanie. Skręciła w prawo, żeby przejść przez ulicę. Rozejrzała się, z lewej nic nie nadjeżdżało, z prawej daleko znajdowało się tylko auto Langego oraz dwa samochody jeszcze jakieś trzysta metrów dalej. Spokojnie weszła więc na jezdnię, kierując się na chodnik po przeciwną stronę. Na ten moment czekał Lange. Kiedy Susan postawiła pierwszy krok na ulicy, wcisnął pedał gazu w podłogę.

Dziewczyna była już w połowie jezdni, kiedy usłyszała odgłos zbliżającego się samochodu. Zdażyła spojrzeć w prawo i zobaczyć pędzące wprost na nią auto. Nie miała czasu na reakcję. Ważący tonę ford model A uderzył w nią z ogromną siłą. Uderzenie było tak potężne, że dziewczyna została wyrzucona w górę, przetoczyła się przez podłużną maskę samochodu i spadła po drugiej stronie na jezdnię.

Lange nie obejrzał się ani nie zwolnił, wręcz przeciwnie – pedał gazu nadal wciskał w podłogę, po czym skręcił gwałtownie kierownicą w prawo na skrzyżowaniu. Samochód przechylił się na lewo, z piskiem opon niczym na gangsterskich filmach wziął zakręt na pełnej prędkości i przejechał jeszcze dwie przecznice, wtedy Lange wcisnął hamulec i skręcił w boczną uliczkę. Na końcu ciemnego zaułka pośród brudnych śmietników i zwisających schodów przeciwpożarowych stał czarny chrysler. Lange szybko się przesiadł. Chrysler ruszył powoli, mijając kolejne przecznice, w stronę Brooklynu. Tam się zatrzymał, a kierowca wszedł do domu. Musiał pokonać jeszcze schody na drugie piętro, po czym znalazł się pod drzwiami tak brudnymi i obscurnymi, że chyba nawet najbardziej wytrwały komiwojazer nie chciałby ich otworzyć i wejść do środka. Zapukał trzy razy w charakterystyczny sposób.

Po chwili otworzył wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku, o pociągłej twarzy z małym nosem i lekko zadartym podbródkiem. Miał krótkie, ciemne włosy i niebieskie oczy z wąskimi brwiami. Był nienaganie ubrany w jasny, modny garnitur. Nie czekając, aż Lange wejdzie do środka, wrócił korytarzem, w którym parkiet skrzypiał i ugiął się pod jego krokami, do pokoju gościnnego. Podeszedł do dużego stołu i zaczął porządkować dokumenty, które się na nim znajdowały. Pokój, ponury jak cała okolica, był ciemny, brudny i brakowało w nim jakichkolwiek sprzętów czy mebli, które mogłyby uprzyjemnić zamieszkiwanie. Stały tam tylko stary drewniany stół, duża szafa, cztery krzesła i stolik, na którym umieszczono radio. Na podłodze leżał obszerny, wyblakły i wydeptany dywan. Ciemne nieprane zasłony wisiały w oknach. Słabe światło w pokoju dawała biała, zwisająca z sufitu lampa, w której paliła się tylko jedna żarówka. W mieszkaniu znajdowały się jeszcze mała kuchnia, w której próżno byłoby szukać jedzenia, i łazienka, z której nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby skorzystać. Była to miejscówka polskiego wywiadu wynajęta do przeprowadzenia operacji pod kryptonimem „Fall”. Wysokim mężczyzną był Antoni Jaworski, podporucznik Wojska Polskiego i od 1941 roku agent wywiadu. Pomimo krótkiej służby w wywiadzie dał się poznać z dobrej strony. Był inteligentny, błyskotliwy, z wyobraźnią, skuteczny, potrafił wybrnąć z każdej trudnej sytuacji. Poprzednio stacjonował w Afryce Północnej, gdzie w 1942 roku pozyskane przez niego informacje wywiadowcze posłużyły do zaplanowania amerykańsko-brytyjskiej operacji desantowej „Torch”. Ponadto świetnie znał angielski, ponieważ przed wojną przez trzy lata był na placówce przy polskim konsulacie w Nowym Jorku, gdzie dyplomatą był jego ojciec. Kiedy pułkownik Gano, szef polskiego wywiadu, otrzymał rozkaz wykonania operacji „Fall” i przedstawiono mu listę agentów do tego zadania, jego wybór od razu padł na Jaworskiego. Sukcesy wywiadowcze w Afryce oraz znajomość języka i terenu

o tym zdecydowały. Dobrano mu jeszcze dwóch agentów do pomocy i całą trójkę w trybie ekspresowym wysłano do Ameryki. Ponieważ operacja miała najwyższy stopień tajności, celowo nie chciano korzystać z Polaków pracujących w amerykańskich placówkach dyplomatycznych. Spotykając się z Jaworskim lub paplając po pijaku, mogliby zwrócić uwagę na agentów i zniweczyć najważniejszą operację w historii polskiego wywiadu.

Lange wszedł do pokoju, zatrzymał się, popatrzył na stojącego mężczyznę i podniósł rękę.

– *Sieg heil!* – rzucił na powitanie. Wiedział, że w ten sposób wkurwi Polaka. Nie mógł się powstrzymać, żeby trochę zabawić się jego kosztem.

Ten przestał przerzucać papiery i spojrzał gniewnie na Niemca. Lange widział błyskawice w jego oczach i był pewien, że gdyby nie rozkazy, od razu przyłożyłby mu w gębę. Polak stał jednak opanowany i zimnym wzrokiem wymownie mierzył Langego.

– Zrobione – oznajmił więc w odpowiedzi na pytające spojrzenie Jaworskiego.

– A dokładniej? – zapytał Jaworski.

Mówili po angielsku. W głosie Polaka dawało się wyczuć napięcie.

– Wszystko tak, jak było ustalone. Na pewno nie wyjdzie ze szpitala przez kilka miesięcy. Nie wiem nawet, czy żyje – odpowiedział Lange.

– Jak to nie żyje? Miałeś ją tylko potrącić – oburzył się Jaworski.

Niemiec podszedł do stołu i usiadł na krześle.

– Chciałem mieć pewność, że nie będę musiał wracać i poprawiać. Tak jakoś wyszło, chyba za mocno przyzazowałem – powiedział bez cienia skruchy.

– Ja pierdołę... – zaklął po polsku pod nosem Jaworski, zdenerwowany przebiegiem wypadków.

– West, ty się ogarnij, o co ci chodzi? Wy, Polacy, zawsze byście chcieli wszystkich zadowolić. Tak się nie da. – Lange poszedł do kuchni zaparzyć sobie herbatę. – Czasem trzeba ubrudzić sobie ręce. Taka główniana robota – kontynuował stamtąd swoje moralizatorskie wywody. – Uwierz mi, robiłem już gorsze rzeczy – zakończył, jakby chcąc w ten sposób uspokoić rozmówcę.

West, czyli Jaworski, który pod takim pseudonimem brał udział w tym zadaniu i tylko tyle wiedział o nim Niemiec, chciał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Pomyślał, że mleko już się rozlało i nie ma sensu dyskutować. W końcu wiedział, że trzeba się z tym liczyć. Nie było innego rozwiązania. Skończył segregować papiery na stole. Były to mapa, elegancko wydrukowane zaproszenia na bankiet i kilka listów. Włożył wszystko do aktówki i po skrzypiącym parkiecie udał się do kuchni.

– Zaparzyłem też dla ciebie. – Lange postawił na kuchennym blacie dwa kubki. Wziął trzy łyki i nagle się poderwał, jakby coś sobie przypominając. – Macie tu jakąś wódkę? – Rzucił się do szafek i zaczął je przeszukiwać. – Zaszło mi w gardle od tego siedzenia w samochodzie – gadał dalej, przetrząsając szafki.

– Nie, nie mamy – odparł West. Przez chwilę pomyślał, że Niemiec może mieć jednak wyrzuty sumienia. Spojrzał jednak na jego twarz i odgonił tę myśl.

– Szkoda. Wy, Polacy, zawsze macie wódkę – powiedział. – Tylko ty żyjesz tu od tygodnia w jakiejś dziwnej abstynencji. Powinieneś korzystać z tego, że jesteś w najbardziej rozrywkowym mieście świata. Nie samą pracą człowiek żyje. Jak ja przyjechałem z Europy, to wydałem całą kasę od gestapo na dupy i wóde w trzy dni. Potem musiałem wymyślać, jakie to były koszty operacyjne. – Z braku innego trunku wypił herbatę. – Byłeś już na dupach? – zapytał.

Wyraźnie zebrało mu się na rozmowę. Może był to skutek kilkudniowego samotnego siedzenia w samochodzie, a może po prostu zeszała z niego adrenalina po wypadku.

– Nie, nie byłem – rzucił sucho Jaworski, popijając herbatę i chcąc już zakończyć tę głupią rozmowę.

Ale Niemca nie zbiło to z tropu, bo zapytał:

– A może wolisz chłopców? Tu wszystko znajdziesz. Byłem w najróżniejszych miejscach, takich też. Mogę cię zaprowadzić.

– Nie, dzięki... Dogadałeś wszystko z hrabią? – Jaworski pytaniem uciął temat.

– Tak, wszystko uzgodnione. Możesz przekazać Atenie. – Wstał i włożył kubek do zlewu. Potem machnął ręką na pożegnanie i wyszedł z mieszkania.

Po chwili Jaworski przez uchylone okno usłyszał warkot odjeżdżającego chryslera.

## Atena

Do holu hotelu Waldorf Astoria weszła atrakcyjna, wysoka, smukła brunetka w średnim wieku, z falującymi włosami do ramion, o pięknej twarzy z alabastrowym czołem, szmaragdowymi, wyrazistymi oczami o smutnym i zamglonym spojrzeniu oraz pełnymi, seksownymi ustami. Miała wąską talię i długie nogi. W eleganckiej czerwonej sukni z dużym dekoltem wyglądała tak zjawiskowo i ponętnie, że każdy mężczyzna w holu nie mógł oderwać od niej wzroku, ku zazdrości żon i przyjaciółek. Jej towarzysz, ubrany w elegancki płaszcz narzucony na ramiona i wspaniały frak, był polskim konsulem generalnym w Nowym Jorku. Sylwin Strakacz, mąż stanu, dyplomata oraz kompozytor, przyjaźnił się z Ignacym Paderewskim. Po wybuchu wojny był konsulem w Genewie, a w 1940 roku razem z Paderewskim przybył do Nowego Jorku. Urząd konsula generalnego objął przed trzema laty i w tych trudnych dla Polski czasach trudno było o lepszą osobę do reprezentowania polskich interesów. Kiedy dwa dni temu Marian Chodacki, szef Ekspozytury Wywiadowczej „Estezet” Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza działającej w konsulacie, przyniósł mu dwa zaproszenia na przyjęcie organizowane przez Alfreda Calova w Waldorf Astoria, nie zadawał pytań. Uznał, że to coś ważnego, i skoro Chodacki chciał, by udał się na to przyjęcie, to musi spełnić jego prośbę. Na drugim zaproszeniu złożonym literami wypisane było imię i nazwisko „Helena Ornatowska”. Była to towarzysząca mu dzisiaj kobieta w czerwonej sukni. Należała do personelu konsulatu. Strakacz znalazł ją przelotnie z widzenia. Czasem przynosiła dokumenty do podpisania lub dyktował jej pisma, ponieważ świetnie pisała na maszynie. Ich rozmowy nigdy nie wykraczały poza sprawy urzędowe czy grzecznościowe formułki. Nie uczestniczyła też w protokołarnych spotkaniach z amerykańskimi dyplomatami czy oficjalnych rautach. Dlatego też jasne było, że konsul dzisiaj ma być tylko przykrywką dla Ornatowskiej, którą Chodacki w ten sposób chciał wprowadzić na przyjęcie.

Gdy znaleźli się w hotelowym lobby, powitał ich w otoczeniu armii boyów Oscar Tschirky, znany także jako „Oscar of the Waldorf”, maître d’hôtel.

– Bardzo nam miło gościć państwa w naszym hotelu. Nazywam się Oscar Tschirky i mam przyjemność towarzyszyć panu konsulowi do sali balowej – oświadczył, elegancko podając rękę gościom.

Ruszyli marmurową, bogato zdobioną posadzką w głąb wielkiego holu, nad którym wisiał ogromny kryształowy żyrandol. Wystrój wnętrza stanowiły palmy w dużych donicach oraz metrowe wazy i amfory z motywami ze starożytnego Egiptu i Grecji. Freski na ścianach. Schody z pozłacanymi poręczami. Hotel wręcz ociekał luksusem.

W okazałej sali balowej na podeście orkiestra w zdobionych złotych frakach grała stare melodie jazzowe. Powitał ich Alfred Calov, gospodarz przyjęcia. Czterdziestopięcioletni wysoki, elokwentny blondyn o ułożonych na brylantynę włosach i ze złotym sygnetem wielkości Empire State Building na palcu. Typ podstarzałego playboya zawsze tryskającego dobrym humorem. Potomek niemieckich emigrantów, którzy przybyli do Ameryki przed ponad wiekiem. Jego rodzina dorobiła się na handlu zbożem, transportując je koleją z wydartych Indianom bezkresnych pól Zachodu na Wschodnie Wybrzeże. Później wykupili akcje spółki kolejowej i powiększali swój majątek, inwestując w nieruchomości oraz przemysł ciężki. Kiedy Alfred przejął rodzinny interes, imperium obejmowało nieruchomości na obu wybrzeżach, spółki kolejowe, huty i kopalnie miedzi. W genach odziedziczył także zmysł do interesów. Sprawnie prowadził swój biznes, wykazując się również inteligencją i błyskotliwością na nowojorskiej giełdzie, gdzie pomnażał majątek. Pomagały mu w tym znajomości z politykami i najbogatszymi ludźmi w kraju. Szarmancki i niebywale rozrzutny, zjednywał sobie towarzystwo humorem, a przede wszystkim pieniędzmi. Miał łatkę hulaki, lecz jego hulaszczy tryb życia również był częścią interesów. Na jego przyjęciach, które często przeradzały się w nieskrępowane orgie z mnóstwem ekskluzywnych prostytutek, alkoholu i narkotyków, bawiła się połowa Kongresu.

Dlatego kiedy Niemcy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym, nikomu nie przyszło do głowy wspominać Calowowi pochodzenia i wtykać nos w jego interesy.

Teraz na bankiecie wydanym dla Partii Republikańskiej w drodze do nadchodzących wyborów prezydenckich witał konsula i jego partnerkę. Z otwartymi ramionami, jak gdyby zobaczył najbliższych krewnych. Tak otwarcie i wylewnie, że nie uszło to uwagi większości zgromadzonych. Ci, którzy nie znali polskiego konsula, zainteresowali się nowo przybyłą parą, a w szczególności piękną damą w czerwieni.

– Panie konsulu, dziękuję za przybycie, to dla mnie zaszczyt – rzekł, podając elegancko rękę Strakaczowi i całując dłoń Heleny Ornatowskiej. – Proszę przyjąć wyrazy ubolewania z powodu położenia, w jakim znalazła się państwa ojczyzna – dodał.

– Dziękuję. Polska miała wiele trudnych okresów w historii. Mam nadzieję, że i tym razem się podniesie. Dziękuję za zaproszenie. Wiele o panu słyszałem i cieszę się, że mogliśmy się poznać osobiście – kurtuazyjnie odparł konsul.

– Dobrego czy złego? – zażartował Calov i nie czekając na odpowiedź, dorzucił: – Proszę czuć się jak u siebie i dobrze bawić. – A do Ornatowskiej powiedział: – Madame, na bankietach politycznych minusem jest to, że kobiety są w mniejszości. Dlatego tym bardziej się cieszę, że możemy panią gościć i że rozświetli pani swoim blaskiem tę salę.

– To bardzo miłe słowa, ale chyba trochę pan przesadza – Ornatowska udała zakłopotanie.

Schodzili się kolejni goście, więc gospodarz chwilowo pożegnał konsula i jego piękną partnerkę.

Przyjęcie zorganizowano z powodu nadchodzących listopadowych wyborów prezydenckich. Byli na nim prawie wszyscy najważniejsi politycy Partii Republikańskiej, arystokracja, biznesmeni i cała smetanka towarzysza Nowego Jorku sympatyzująca z partią. W sali nie było tylko gubernatora stanu Nowy Jork i jednocześnie kandydata republikanów na prezydenta, Thomasa Deweya, który aktualnie prowadził kampanię w trzech zachodnich stanach. Zasłynął z tego, że kiedy był prokuratorem w Nowym Jorku, rozprawił się ze słynnymi gangsterami, Dutchem Schulzem i Luckym Lucianem. Pomimo całej charyzmy i dużego poparcia powszechnie się mówiło, że nie ma szans na wygraną z Rooseveltem.

Na przyjęciu był natomiast kandydat na wiceprezydenta, John W. Bricker, polityk z Ohio. Bricker urodził się i dorastał na farmie, był absolwentem uniwersytetu i porucznikiem armii w pierwszej wojnie światowej, a poza tym prokuratorem i gubernatorem swego stanu. Pięćdziesięcioletni mężczyzna o mocno siwiejących włosach od czasu rozpoczęcia kampanii był idealnym kandydatem na wiceprezydenta.

Konsul i Ornatowska krążyli po sali, witając się i rozmawiając z gośćmi, by po krótkim czasie podejść właśnie do Brickera. Ten znał się już z konsulem. Wdali się w rozmowę początkowo na tematy rodzinne, a później polityczne. Bricker, dobrze zorientowany w sytuacji w Europie, unikał jednak wypowiedziania się na temat alianckiego sojuszu ze Stalinem. Jak wszystkich Amerykanów, bardziej interesowała go wojna na Pacyfiku niż Europa. W tym przypadku amerykańscy politycy, zarówno demokraci, jak i republikanie, byli tego samego zdania: wojnę na kontynencie europejskim trzeba zakończyć jak najszybciej, bez względu na występstwa i środki. Polska i Europa Wschodnia interesowały wszystkich dużo mniej niż choćby jedna wysepka na Pacyfiku.

Po chwili kelnerzy zaprosili wszystkich do stolików. W-A słynął ze swojej wykwintnej kuchni. Nic więc dziwnego, że stoły były ściągnięte po królewsku zastawione. Konsul i Ornatowska zostali zaprowadzeni do stolika samego Calova. Był to niewątpliwie zaszczyt, ponieważ oprócz Alfreda siedzieli przy nim najważniejsi goście. Sylwin Strakacz i Helena Ornatowska zajęli miejsca obok gospodarza, naprzeciwko zasiadli Bricker z żoną i dwoma republikańskimi senatorami, a miejsce obok zajął sekretarz Brickera, Trevor Price – szara eminencja Partii Republikańskiej. Niski, korpulentny mężczyzna w średnim wieku, z dużym nosem, rozbieranymi ciemnymi oczami i lekką łysiną na przodzie głowy. Pochodził z ubogiej mieszczańskiej rodziny. Udało mu się ukończyć studia na jednej z podrzędnych uczelni i bogato ożenić z siostrą jednego z kolegów ze studiów. Rodzina żony posiadała kawał lasu, tartak, fabrykę mebli oraz rozległe koneksje. W ten sposób Price podniósł swój status społeczny i przez rodzinę żony nawiązał kontakty z politykami Partii Republikańskiej. Sam szybko wstąpił w jej szeregi i wykazując się niezwykłą determinacją oraz pomysłowością, sprawnie piął się w hierarchii, dając się poznać jako człowiek do zadań specjalnych. Dbał o PR partii po tym, jak kilka razy udało mu się zatuszować afery łapówkarskie i towarzyskie skandale z udziałem jej członków. Parę razy przekupił lub nastraszył dziennikarzy piszących o powiązaniach polityków z gangsterami, romansach czy wizytach w burdelu kilku senatorów, dzięki czemu wyciszył sprawę. Zajmował się również partyjnymi finansami i pozyskiwaniem funduszy na kampanię prezydencką, nierzadko załatwiając przysługi w Kongresie w zamian za

finansowe wsparcie. W ten sposób stał się jedną z najważniejszych osób w partii i sekretarzem kandydata na wiceprezydenta. Prywatnie dziwnak i seksuoholik. Zdradzał żonę na lewo i prawo, hojnie oplacając swoje kochanki zarówno z pieniędzy żony, jak i kasy partyjnej.

Trevor Price żywo zainteresował się piękną Polką siedzącą obok. Podczas gdy reszta stolika prowadziła ożywione dysputy polityczne, on wlepił wzrok w jej dekolt. Co jakiś czas próbował zagaic rozmowę, lecz bezskutecznie, gdyż Ornatowska odpowiadała na jego pytania lakonicznie i z wyraźną irytacją. W przeciwieństwie do innych osób siedzących przy stole, zajętych rozmową i delektujących się posiłkiem, milcząca Helena nerwowo miała brzeg obrusa, a drugą ręką, w której trzymała widelec, przewracała krewetkę w sałatce na talerzu.

Zauważył to konsul, który niejedno już w życiu widział. Nachylił się do niej, udając, że opowiada jakąś anegdotę, i powiedział tak, by nikt inny nie słyszał:

– Nie wiem, co pani tutaj dzisiaj robi, ale dam pani dobrą radę. Proszę udać się do łazienki, przemyć twarz zimną wodą, uspokoić się i zastanowić, czy na pewno musi pani tu być. Jeżeli nie, to proszę wziąć taksówkę i wrócić do domu. – Mówiąc to, położył rękę na jej ramieniu, wspierając ją i dając do zrozumienia, że widzi, jaki ciężar dźwiga na swoich barkach.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, że ktoś rozumie jej ból. Skorzystała z jego rady. Przeprosiła wszystkich, wstała i udała się do toalety.

Helena Ornatowska myślała, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie, kiedy wyszła za mąż z miłości za przystojnego podporucznika kawalerii, a potem urodziły się im dwie córki, Zosia i Hania. Jej mąż Władysław Ornatowski, podporucznik kawalerii Wojska Polskiego, po zakończeniu nauki w Korpusie Kadetów w Rawiczu i zdaniu matury wstąpił do Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu. Ukończył ją z wyróżniającymi notami. Został przydzielony jako dowódca plutonu do 10. pułku ułanów. Młode małżeństwo zamieszkało początkowo w dworku rodzinnym Ornatowskich pod Warszawą. Kiedy dziewczynki trochę podrosły, Helena nie chciała siedzieć beczynnie w domu. Też chciała służyć ojczyźnie. Poprosiła męża, by pomógł jej znaleźć pracę w Warszawie. Nie należała do kobiet, które wyszywiają w saloniku, czekając na małżonka. Ten zgodził się i załatwił Helenie posadę sekretarki w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nie było to trudne, gdyż Helena była wykształcona i znała dwa języki obce. W ministerstwie pracowała kilka lat, jednocześnie wychowując dziewczynki. Później przeniosła się z nimi do Lwowa, żeby być bliżej stacjonującego tam Władysława. Tam we wrześniu 1939 roku zastała ich wojna.

Władysław jako oficer informacyjny 10. pułku ułanów walczył w kampanii wrześniowej. 12 września został ranny. Z transportem rannych dostał się do sowieckiej niewoli. Helena odnalazła męża, zanim Rosjanie wywieźli go wraz z innymi oficerami w głąb Rosji. Ten, widząc, jak na ich oczach dokonuje się kolejny rozbiór Polski, i w głębi duszy przezuwając grożące mu niebezpieczeństwo, nakazał Helenie zabrać dziewczynki do Warszawy, do znajomego w ministerstwie, i poprosić, by umożliwiono jej ewakuację wraz z rządem do Anglii. Helena początkowo nie chciała zostawić Władysława, w końcu uległa jednak namowom męża i wróciła z dziewczynkami do stolicy, skąd udało jej się przedostać do Anglii. Potem jako sekretarka ministra spraw zagranicznych pracowała w Londynie. Kiedy rozpoczęła się bitwa o Anglię i Niemcy przygotowywali inwazję, skorzystała z okazji i przeniosła się do konsulatu w Nowym Jorku, zabierając dziewczynki jak najdalej od wojny. Bała się, że Niemcy mogą podbić również Wielką Brytanię. Męża ostatni raz widziała 18 września 1939 roku. Ostatni list od niego dostała w listopadzie tego roku z Kozielska, potem słuch o nim zaginął. W 1943 roku dotarła do niej wiadomość, że polscy oficerowie zostali zamordowani przez Rosjan w lesie pod Katyniem. Nie chciała uwierzyć, że Władysław nie żyje. Nie dopuszczała do siebie tej myśli. Miała nadzieję, że jest teraz gdzieś w syberyjskich łągach lub w oddziałach Wojska Polskiego czy korpusie Andersa. Mówiła sobie, że musi być silna dla dziewczynek i wierzyć w jego szczęśliwy powrót.

Dwa tygodnie temu do drzwi jej mieszkania w Newark, a właściwie mieszkania jej dalekiej krewnej Jadwigi Ślusarskiej, u której zatrzymała się z córkami, donośnie, stanowczo zapukano. Akurat siedziały z Jadwigą w salonie i popijały herbatę. Serce jej zamarło, знаła ten sposób pukania. Tak pukał do drzwi Władysław – stanowczo, po wojskowemu. Pomyślała, że może to on. Chciała zerwać się i pobiec do wyjścia, ale nie mogła się ruszyć. Jakaś dziwna siła przygwoździła ją do fotela, a nogi stały się ciężkie i odmówiły posłuszeństwa. Wyręczyły ją dziewczynki, które akurat bawiły się w przedpokoju. Zawsze chętnie na wyścigi biegly otworzyć drzwi, ciekawe, kto jest po drugiej stronie. Z reguły był to mąż Jadwigi, Stanisław, jedna z sąsiadek, listonosz lub przypadkowy komiwojażer. Tym razem jednak



dziewczynki wprowadziły do salonu dwóch wysokich mężczyzn. Elegancko ubranych, w dobrych garniturach i szykownych kapeluszach. Po sposobie ich poruszania się i wyrazie twarzy domyśliła się, że są wojskowymi. Znała ten sposób bycia, kiedyś gościła w domu wielu wojskowych, kolegów męża. Posmutniała, że to nie Władysław zapukał do drzwi. Potem pomyślała, że może mają jakieś wieści o jej mężu.

Mężczyźni się przedstawili. Starszy, w wieku około czterdziestu kilku lat, o pociągłej twarzy i smutnym spojrzeniu, powiedział, że nazywa się Marian Chodacki, major Wojska Polskiego. Znała go z widzenia, widywała w konsulacie. Drugi, około trzydziestki, przystojny brunet o wyraźnie zarysowanym podbródku, przedstawił się jako podporucznik Andrzej Jaworski. Zapytała, czy przychodzą w sprawie męża, ale zaprzeczyli i powiedzieli, że przyszli porozmawiać z nią o innej ważnej sprawie. Jadwiga zabrała dziewczynki do ogrodu. Helena została z oficerami, którzy od razu przeszli do rzeczy. Najpierw poprosili ją o całkowitą dyskrecję i przekazali, że są wysłannikami polskiego rządu i generała Andersa. Z tajną misją, która może zmienić układ sił w tej wojnie.

Od razu zapytała, co ona, zwykła sekretarka, ma z tym wspólnego. Po chwili pożałowała i tego pytania, i tego, że w ogóle wpuściły ich do mieszkania. Opowiedzieli jej o swoim zadaniu i o tym, jak polski wywiad zamierza rozpocząć grę w celu zaprowadzenia zmiany politycznej w Stanach Zjednoczonych. Byli szczerzy. Tak postanowili wcześniej. Wiedzieli, że aby przekonać Helenę do udziału w tej misji, muszą powiedzieć jej o wszystkim. Nie mogli zdradzić szczegółów, skąd i od kogo mają informacje, opowiedzieli jej jednak o sytuacji politycznej w Europie i o tym, że Roosevelt zamierza oddać Polskę Rosjanom. Powiedzieli, że wojna dla Polski zakończy się nową, tym razem komunistyczną okupacją, że nigdy nie będzie wolna. Przedstawili jej fakty, których nie знаła, dotyczące wymordowania przez Rosjan tysięcy polskich oficerów. Powiedzieli, że najprawdopodobniej wśród zamordowanych jest jej mąż. I że taki sam los czeka wszystkich polskich oficerów i żołnierzy Armii Krajowej oraz tych walczących na Zachodzie. Wszyscy, zamiast wrócić do wolnej Polski, trafią w ręce sowieckich oprawców.

Helena słuchała ich i płakała, nie mogła w to uwierzyć. Na koniec przedstawili, jaką rolę ona ma odegrać w tej sprawie. Początkowo się oburzyła, powiedziała, że są bezczelni i chyba postradali zmysły. Kazała im iść do diabła. Powiedziała, że zachowa wszystko w tajemnicy, ale tego nie może zrobić. Pożegnali się i przez następne dwa dni Helena próbowała wrócić do codziennych zajęć. Lecz to, co usłyszała, nie dawało jej spokoju. Nie mogła o tym zapomnieć. Wszystko, w co wierzyła, wszystko, o co walczył jej mąż, miało odejść bezpowrotnie. Czy naprawdę taka przyszłość musi spotkać jej ojczyznę? Dręczyło ją to. W końcu zrozumiała, że musi przedłożyć dobro kraju ponad swoje. Wierzyła, że mąż nadal żyje, dlatego tym bardziej musiała to zrobić – dla niego, dla córek. Po dwóch dniach zapukała do gabinetu Chodackiego w konsulacie i oświadczyła, że się zgadza.

Tak zapłakana znalazła się w ubikacji hotelu W-A.

Usłyszała kroki. Przestała płakać. Do toalety weszły dwie starsze kobiety, elegancko ubrane, najprawdopodobniej gościły w hotelu. Rozmawiały ze sobą na jakieś banalne babskie tematy. Jakże im zazdrościła! Zwykłego, prostego życia bez trosk. Wytarła oczy i wyszła z kabiny. Wiedziała, że musi wziąć się w garść. Poświęcić się i zrobić co trzeba. Podeszła do porcelanowej umywalki, nachyliła się i opłukała twarz lodowatą wodą. To jej pomogło. Otworzyła torebkę, poprawiła makijaż i umalowała usta czerwoną szminką. Spojrzała zimno w lustro na swoje odbicie. Kobieta, którą widziała, przestała być Heleną, a stała się Ateną.

Pospiesznie pewnym krokiem wyszła z toalety i skierowała się do sali bankietowej. Kiedy tam weszła, z podestu właśnie przemawiał kandydat na wiceprezydenta. Bricker mówił o programach republikańców. Bezrobociu, pomocy dla najbiedniejszych, szkolnictwie i plótł inne polityczne frazesy, które padają przed wyborami z ust polityków. Niepostrzeżenie zajęła swoje miejsce. Popatrzyła na konsula pewnym i spokojnym wzrokiem. Zrozumieli się bez słów. Później dopiła wino z kieliszka i odwróciła się do Trevora Price'a.

– Przepraszam, czy mógłby pan dolać mi wina? – poprosiła, patrząc mu kokieteryjnie w oczy.

Price, zaskoczony zachowaniem atrakcyjnej Polki, która dotąd była niechętna rozmowie i zdawała się go ignorować, skinął na kelnera i podał do napełnienia kieliszek Heleny. A potem przekazał towarzyszcze. Wzięła go z ręki Price'a tak, że ich palce się musnęły.

– Dziękuję – powiedziała, upiła łyk i odstawiła kieliszek.

Następnie, udając, że nie chce zakłócać przemowy Brickera, nachyliła się w stronę Trevora, ukazując swój seksowny dekolt i część mlecznobiałych piersi, tak by poczuł zapach jej perfum, i cicho zapytała:

– Czy mógłby pan polecić mi coś do jedzenia? Nie przepadam za krewetkami, a nie wiem, na co się zdecydować.

– Proszę spróbować jagnięciny z trufkami, jest wyśmienita – odpowiedział.

– Widzę, że jest pan znawcą tutejszej kuchni. To dobrze, bo chyba potrzebuję przewodnika w tym temacie. Ostatnio rzadko wychodziłam z konsulatu, zapomniałam, jak wygląda porządne przyjęcie. Tylko praca i praca.

– Niedobrze, wszyscy potrzebujemy rozrywki, odskoczni. Tym bardziej taka młoda i piękna kobieta nie powinna spędzać całych dni przy biurku. – Mówiąc to, spojrzął w oczy Heleny, sprawdzając, jak zareaguje na komplement.

Ornatowska bez słowa rzuciła mu spojrzenie, które roztopiłoby skalę, a na jej wargach pojawił się uśmiešek.

Trevor Price, zauważywszy, że uchwycił już przyczółek do flirtu, kontynuował:

– Ja mam ten przywilej, że łączę przyjemne z pożytecznym. Moja praca to w większości przyjęcia i spotkania z dobrym jedzeniem i alkoholem. To chyba najlepsza strona polityki – zażartował.

– Czym właściwie się pan zajmuje? – Helena udała zainteresowanie tak przekonująco, że nikt by się nie zorientował, iż wie o swoim rozmówcy wszystko, wliczając najbardziej intymne tajemnice jego życia.

– Przepraszam, faktycznie jeszcze się nie przedstawiłem. Gdzie moje maniery? Nazywam się Trevor Price i jestem sekretarzem pana Brickera.

– Helena Ornatowska, miło mi. Niestety moja praca nie jest tak ekscytująca. – Głęboko westchnęła.

Tymczasem Bricker zakończył przemowę, wrócił do stołu i tym samym przerwał pogawędkę Heleny z Trevorem.

– Gratuluję wystąpienia. Jest pan naprawdę wspaniałym mówcą – skomentował Alfred Calov.

– Przesadza pan, drogi Alfredzie. Chciałbym wierzyć, że bardzo istotne jest też to, co się mówi, a nie tylko jak – odpowiedział Bricker.

– Gdyby ważne było tylko to, jak się mówi, Hitler już dawno zawładnąłby światem, a jednak noga mu się powinęła – wtrącił z przekąsem mężczyzna w brązowym garniturze, z wyraźnym brzuszkiem, niebieskimi oczami głęboko osadzonymi w bladej, pulchnej twarzy, z potężnym wąsem i krzaczastymi brwiami. Był to senator McCarthy, znany ze swoich niewybrednych żartów i zamiłowania do alkoholu. Uwidaczniało się to również tu i teraz. Co chwilę opróżniał kieliszek i podnosząc palec, dawał kelnerowi znak, że czas na dolewkę.

– Prawie mu się udało – skontrował senator Bob Adams z Luizjany. Wysoki, żywo gestykujący mężczyzna sztywno wyprostowany na krześle. Mówił mało, a kiedy już odważył się coś powiedzieć, zawsze towarzyszyła temu nerwowa gestykulacja. Chciał chyba dodać coś jeszcze, lecz zamilkł w pół zdania, jakby przestraszywszy się, że powie coś niepolitycznego.

– Panowie, na Boga! Błagam, nie mówmy przy stole o tym strasznym człowieku – wtrąciła się nagle do rozmowy żona Brickera, Harrier. Niewysoka, niższa o głowę od męża, z zaczesanymi po bokach włosami. Nie wyglądała na żonę znanego męża stanu. Z urody i ubioru raczej pospolita, bardziej przypominała gospodynię domową niż kandydatkę na drugą damę. Rzadko się odzywała czy w ogóle wypowiadała. Pozostawała w cieniu męża.

– Przepraszam, madame, ma pani rację. Tak mi się tylko jakoś skojarzyło z przemówieniami tego krzykacza. Jedno trzeba mu oddać: potrafił godzinami zagadywać tłumy. Na szczęście zamilkł na wieki – dorzucił McCarthy, kończąc temat.

– Proszę państwa, zorganizowałem to przyjęcie po to, żebyśmy wszyscy trochę się rozerwali – przejął stery Calov.

– Tak, tak. Stanowczo za dużo polityki na dzisiaj – zawtórowała Alice, dotąd milcząca partnerka Alfreda, dwudziestoletnia blondynka o kręconych włosach, pięknej, symetrycznej twarzy, z małym nosem i niebieskimi jak ocean oczami. Niewielkie, pełne usta i długa łabędzia szyja dopełniały perfekcyjnego obrazu. Ubrana była w długą złotą suknię z wielkim dekoltem na plecach, zasłaniającą zgrabne nogi w czarnych szpilkach z obcasem tak wysokim, że aż dziwne, iż utrzymywała w nich równowagę. Jak dotąd popijała drinki i nie czuła się na siłach, żeby zabrać głos w dyskusji. Teraz, rozochocona alkoholem i słowami Calova o rozrywce, postanowiła wtrącić się do rozmowy. Alice nie zaprzętała sobie pięknej główki ciężkimi tematami, jak polityka czy wojna. Pracowała jako modelka dla nowojorskich magazynów mody i sklepów dla pań. Dorabiała też jako hostessa na przyjęciach dla bogaczy. Tak

poznała Alfreda, który z przyjęcia zabrał ją do siebie. Związek trwał już trzy miesiące, co przy sposobie życia milionera było swoistym rekordem. Nie знаła się na polityce, ale jako nowoczesna dwudziestolatka wiedziała wszystko o rozrywce.

– Droga pani, wszak to przyjęcie z okazji nadchodzących wyborów, trudno byłoby obejść się dziś bez polityki – mruknął dość obcesowo McCarthy, ale napotkawszy karcący wzrok Calova, zamilkł i przypomniał sobie, czyją partnerką jest blondynka.

Ta, początkowo onieśmielona przez McCarthy'ego, ucichła, ale zaraz postanowiła wykorzystać swoje pięć minut.

– Niedawno byliśmy z Alfredem w kinie. Bardzo lubię kino, Alfred trochę mniej, ale dał się wyciągnąć. Jaki tytuł miał ten film? – zwróciła się do Calova.

– *Podwójne ubezpieczenie* – poratował ją Alfred.

– Tak, tak – zaszczębiotała. – Grała w nim Barbara Stanwyck, jest piękna i naprawdę przekonująca w swej roli. W filmie wraz z kochankiem zamordowała męża. – Alice się zaśmiała. Widać było, że alkohol robi swoje.

Zapadła cisza. Biedna dziewczyna zdała sobie sprawę, że snobistyczne towarzystwo przy stole jest zbyt dystygowane lub, jak w przypadku McCarthy'ego, zbyt prostackie, żeby podjąć wątek najnowszych osiągnięć amerykańskiej kinematografii, i posmutniała.

Na szczęście dość niespodziewanie z pomocą przyszła jej Helena.

– Muszę się państwu przyznać, że kiedyś zagrałam w filmie. To był mały epizod, ale mimo to ciekawe przeżycie, które żywo pamiętam do teraz.

– Ach tak? Niesamowite, proszę opowiadać! – wykrzyknęła Alice uszczęśliwiona, że znalazła partnerkę do rozmowy.

Jej zaciekawienie było szczere, dlatego Helena kontynuowała, mając też w tym swój ukryty cel.

– Było to w 1937 roku, kiedy mój mąż krótko stacjonował pod Ostrołęką. Przyjechała tam niemiecka ekipa kręcić film. Miał tytuł *Ku wolności* i opowiadał o miłości przystojnego polskiego rotmistrza i rosyjskiej księżniczki na tle powstania listopadowego. – Zrobiła pauzę, po czym ciągnęła dalej: – Zachorowała jedna z aktorek i reżyser zaproponował, żebym ją zastąpiła. Jak to ujął, byłam idealnym materiałem i tak właśnie zagrałam Urszulę Staniewską, siostrę głównego bohatera.

Helena sięgnęła po kieliszek, żeby sprawdzić, jakie wrażenie na słuchaczach robi jej filmowa opowieść. Zauważyła, że wszyscy słuchają z zaciekawieniem. Co więcej, Alice aż dostała wypieków na aksaminnych policzkach, a Trevor Price nachylił się w stronę Heleny, jakby chcąc wyłapać wszystkie detale. Jego oczy nabrały dziwnie drańskiego wyrazu. Był wyraźnie podekscytowany.

– Proszę mówić dalej! – rzuciła Alice.

– Nie wiedziałem, że mamy przy stole gwiazdę kina – zażartował Calov.

Helena pokręciła głową.

– Do gwiazdy mi daleko, ale w filmie zagrały prawdziwe sławy europejskiego kina. W rotmistrza Staniewskiego wcielił się jeden z największych niemieckich amantów, Willy Birgel. Jest niesamowicie przystojny, a jego miłością była piękna Ursula Grabley. Film odniósł wielki sukces zarówno w Niemczech, jak i w Polsce. Sam Goebbels powiedział w wywiadzie, że to „niezwykle udane dzieło”. – Zaśmiała się dość histerycznie, jednocześnie sięgając ponownie po kieliszek.

Ani Helena, ani towarzystwo przy stole nie wiedziało, że Goebbels był zadowolony podwójnie, ponieważ film był przykrywką dla działań Abwehry w Polsce. Maskował przygotowania i rozpoznanie terenu do planowanej w 1939 roku inwazji. Zdjęcia kręcono pod Ostrołęką, która w filmie udawała Grodno. Lokalizacja miała tajny podtekst, ponieważ to właśnie stamtąd miały uderzyć na Warszawę główne siły Wehrmachtu. Pod pretekstem zdjęć plenerowych i próbnych ujęć Abwehry zbierała informacje o mostach, węzłach kolejowych, ukształtowaniu terenu oraz istotnych strategicznie celach. Poznano też liczebność, uzbrojenie, strategię działania pułku kawalerii, który również pomagał w kręceniu filmu. Jednak o tym siedzący przy stole nie mogli wiedzieć.

– Muszę przyznać, że to była niezła przygoda – zakończyła Helena.

– Jak udało się pani oprzeć urokowi niemieckiego amanta? – zachichotała Alice. – Słyszałam, że aktorzy na żywo są jeszcze bardziej zniewalający niż na ekranie. To prawda?

– A skąd pani wie, że pani Ornatowska chciała się opierać? – mruknął pod nosem McCarthy, sięgając znowu po kieliszek.

– No wie pan... – Alice oburzył grubiański docinek senatora.

Helena zignorowała McCarthy'ego i odpowiedziała dziewczynie:

– Był niesamowicie przystojny, ale byliśmy z mężem krótko po ślubie, tak że byłam odporna na amory Willy'ego. Poza tym byłam jego filmową siostrą, więc byłoby to podwójnie niestosowne.

– Oho! Naprawdę zalecał się do pani? – drążyła Alice.

– Nie tylko do mnie. Willy adorował każdą kobietę w swoim otoczeniu. Można powiedzieć, że to zawodowy flirciarz. Niestety po dziewięciu miesiącach okazało się, że nasza pokojówka była mniej odporna na jego wdzięki – kontynuowała Helena.

– Musi pani spróbować sił w Hollywood. Jest pani piękna niczym Ava Gardner i ma pani doświadczenie – skomentował ją Trevor Price.

– Tak, koniecznie. Byliśmy ostatnio u reżysera Michaela Curtiza. Zadzwoń do niego, żeby zaangażował panią do następnego filmu. Komu jak komu, ale Alfredowi nie odmówi – zaśmiała się Alice.

– Dziękuję, jesteście bardzo mili, ale teraz mi to nie w głowie – Helena studziła zapędy dziewczyny.

– Szkoda. Gdyby zmieniła pani zdanie, proszę dać mi znać. Curtiz na pewno doceniłby pani urodę i talent. Zresztą nie mógłby odmówić, skoro Alfred zapłacił za jego hipopotamy – nie odpuszczała Alice.

– Hipopotamy? – zapytał zdziwiony McCarthy. Wydawało się, że niezbyt zainteresowała go filmowa anegdota, a do tego był już zamoczony alkoholem, ale słowo „hipopotamy” wybudziło go z letargu.

– Tak, hipopotamy. Proszę sobie wyobrazić, że w swojej posiadłości ma małe zoo. Żyrafy, lwy, antylopy, zebry, małpy, hipopotamy i inne zwierzęta. To niesamowite, Afryka w Kalifornii. Dostałam od niego prezent, amazońską papugę. Uczę ją mówić – wyjaśniła Alice.

– Wspomniała pani o mężu. Czym się teraz zajmuje? – niespodziewanie do rozmowy włączyła się Harrier Bricker.

– Mąż w 1939 roku dostał się do rosyjskiej niewoli i słuch po nim zaginął – odpowiedziała Helena.

W tym momencie Bricker obrzucił żonę spojrzeniem mówiącym „trzeba było zostawić cię w domu”, niezadowolony, że neutralną rozmowę o hipopotamach sprowadziła do niewygodnego politycznie tematu. Co pewnie skrupi się na nim.

– Bardzo mi przykro, nie wiedziałam – przeprosiła szczerze Harrier. – Tylu młodych ludzi pochłonęła ta wojna...

Zapadła kłopotliwa cisza, którą ku rozpaczy Brickera znowu przerwała jego żona:

– Rosjanie to przecież teraz nasi sojusznicy. Naprawdę nie można się dowiedzieć, co się stało z pani mężem?

– Rosjanie nigdy nie byli i nigdy nie będą naszymi sojusznikami – Helena sucho wyprowadziła Harrier z błędu.

Na tym skończyła swoją wypowiedź w sprawie stosunków polsko-rosyjskich. Celowo nie chciała ciągnąć tego tematu, a tym bardziej wyznaczyć prawdy o tym, co spotkało polskich oficerów, w tym zapewne jej męża, w Koziełsku. Nie przyszła tu po to, żeby objaśniać sytuację polityczną Polski. Nie mogła wyjść z roli wesołej wdówki, którą miała odegrać na tym przyjęciu.

– Im więcej czytam i słucham o tej wojnie, tym mocniej się przekonuję, że zupełnie nie znam się na polityce. – Harrier głęboko westchnęła.

– Dlatego to pani mąż kandyduje na wiceprezydenta, a nie pani – problematycznym żartem wtrącił się Price, który również nie chciał, żeby rozmowa poszła w tę mroczną stronę. – Za to wypijmy. I za republikanina w Białym Domu – dodał, wstając i wznosząc toast.

Reszta biesiadników poszła za jego przykładem, oddając się kieliskom i rozmowom o sukcesie w nadchodzących wyborach.

Dalsza część wieczoru upłynęła na picciu, jedzeniu i nudnych pogaduszkach na błahe tematy.

Było już dobrze po drugiej w nocy, kiedy goście zaczęli się rozchodzić i przyjęcie dobiegało końca. Helena podeszła do kelnera z tacą pełną kieliszków z winem, wzięła jeden i udała się do hotelowego lobby. Konsul żegnał się, jak nakazywał protokół, z najważniejszymi gośćmi i dlatego został jeszcze w sali. Zauważyła, że razem z nią opuścił ją Trevor Price. Przez cały wieczór pożerał ją wzrokiem i jej nadskakiwał. Przechodząc przez ciemny korytarz, Helena zachwiała się i oparła o ścianę, ratując się przed upadkiem.

– Wszystko w porządku? – Price niczym rycerz w srebrnej zbroi rzucił się jej na ratunek i podtrzymał ją.

– Tak... a właściwie nie. Zakręciło mi się w głowie. Chyba za dużo alkoholu jak dla mnie – odparła.

– Pozwoli pani, że pomogę. – Podał jej ramię.

Przeszli do głównego holu i usiedli na jednej z kanap. Pomimo późnej pory kręciło się tu wiele osób, boyując, windziarzy, a przede wszystkim gości, którzy wchodzili i wychodzili.

– Lepiej? – zapytał Price z troską.

– Niewiele. Czuję się naprawdę zmęczona. Dawno już nie brałam udziału w takich przyjęciach.

– Może odwiozę panią do domu? – zaproponował.

– Nie, dziękuję, wrócę z konsulem. Samochód już na nas czeka.

– To może potrać. Zanim konsul pożegna się ze wszystkimi, będzie świtać, a ja mam samochód przed hotelem. Chętnie panią odwiozę.

– Może ma pan rację, ale po pierwsze, nie chcę robić panu kłopotu, a po drugie, jak by to wyglądało, gdybym teraz zniknęła?

– Dla mnie to żaden problem, nie mam żadnych planów na dzisiejszą noc i chętnie zakończę wieczór w miłym towarzystwie. Co do konsula, proszę się nie martwić, przekażemy wiadomość. – Price, nie czekając na odpowiedź Heleny, przywołał boya. – Chłopcze, idź do sali bankietowej i przekaz polskiemu konsulowi, że pani Ornatowska źle się poczuła i odwiozłem ją do domu. – Wyjął z kieszeni dziesięciodolarowy banknot i wręczył chłopakowi, który szybko pobiegł przekazać informację.

– Nie do końca mnie pan przekonał, ale widzę, że już postanowił pan za mnie. – Helena się uśmiechnęła.

Wstała, ujęła Price'a pod ramię i udali się do stojącej nieopodal limuzyny sekretarza.

#### 7 dni później

Ciemny gąszcz lasu powoli przepuszczał pierwsze przebliski porannego słońca, które padały na piękny kolonialny dom z ceglany frontem, schowany w ślepej uliczce na skraju Brooklynu. Foyer witało pięknymi rzeźbionymi w drewnie liśćmi, dostępem do części dziennych na głównym poziomie i intrygujących schodów prowadzących na piętro. Znajdowały się tam trzy sypialnie z oszalamiącymi drewnianymi podłogami, listwami i cudownym naturalnym oświetleniem. Drzwi dwóch były zamknięte na klucz, podczas gdy trzeciej zostały uchylone. Przez szparę przenikały promienie słońca wpadające przez otwarte okno przesłonięte poźółtką zasłoną falującą w podmuchach lekkiego wschodniego wiatru, który nim odbił się od ściany lasu, wpadał do sypialni, rześko muskając parę kochanków rozpoczynających dzień miłosnym aktem. W scenerii brązowych tapet, atakowanych grzybem z sufitu, na wielkim skrzyżującym łożu małżeńskim pamiętającym Washingtona Irvinga, który niedaleko stąd uwieczniał na papierze swoje romanse, dobiegał końca poranny seks, wcale jednak nieprzypominający romantycznych powieściowych uniesień. Łysiejący spocony mężczyzna z obwisłym brzuchem właśnie dochodził, sapiąc i pojękując, na pięknej brunetce, której ręce były skrepowane sznurem do bielizny. Prawą rękę zaciskał na jej gardle tak mocno, że jej twarz nabiegła purpurą. Drugą ręką opierał się na łożku, wykonując posuwiste ruchy z gracją nosorożca, próbując dokończyć stosunek. Kobieta zdawała się nieobecna, jej wzrok błędził po wzorach wyblakłej tapety, co wskazywało, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Co jakiś czas wydawała westchnienia, które wprawny kochanek rozpoznałby jako udawany orgazm. Ale mężczyzna zajęty zaspokojeniem własnych potrzeb niezbyt się przejmował udziałem partnerki w tym miłosnym akcie, nie zwracając uwagi na to, że od dłuższego czasu jest ona w nim tylko statystką. Wreszcie złany potem stęknął po raz ostatni i padł na wznak obok kobiety. Ta, mogąc w końcu złapać oddech, zaczęła nabierać zdrowych, naturalnych barw. Usiadła na łożku, wyciągnęła ręce ku rzeźbionemu zagłówkowi i sprawnym ruchem zahaczywszy sznur o drewnianą gałkę, wyswobodziła się z więzów i sięgnęła po leżącego w szufladzie nocnej szafki grubego skręta przyniesionego przez mężczyznę. Razem z innymi został on przygotowany przez meksykańskich ogrodników zajmujących się ogrodem jego żony, dla których handel marihuaną stał się ostatnio dodatkowym źródłem utrzymania. Zapaliła, wzięła dwa głębsze machy i podała mężczyźnie.

– Zostajesz na śniadanie? – zapytała Helena leniwym głosem, rozcierając sine ślady na szyi.

– Nie, muszę zaraz wyjść. Mam spotkanie o dwunastej z Brickerem i jednym hodowcą bydła z Arizony – odpowiedział Trevor Price. – Wyobraź sobie, że musiałem obiecać temu ranczerowi, że po wygranych wyborach będziemy co roku brać dwa tysiące sztuk bydła na konserwy dla armii, i dopiero wtedy sypnął groszem na kampanię. Jestem już zmęczony. Użeraniem się i włożeniem w dupę tym wszystkim hienom. Temu trzeba przepchnąć ustawę o kupie zboża, drugiemu kontrakt na transport

i tak w kółko, a Bricker tylko przychodzi na gotowe, podaje rękę, uśmiecha się jak wioskowy głupek i wygłasza te swoje izolacjonistyczne poglądy. – Westchnął ciężko i usiadł na łóżku. – To anachronizm. Siedzenie we własnej skorupie zaowocowało tym, że wojna zapukała nam w okna i gdyby Roosevelt nie udzielił pomocy Anglikom i Stalinowi, Niemcy już dawno byłiby w Londynie i przygotowywali inwazję na Amerykę.

– Dlatego to ty powinieneś być wiceprezydentem, a potem kto wie... – powiedziała Helena.

– To niemożliwe. Bricker ma poparcie partii i duży elektorat. Zresztą to wszystko i tak bez znaczenia, bo Dewey nie wygra z Rooseveltem. On się promuje na tej wojnie niczym zbawca Ameryki i nic nie odbierze mu wygranej.

– A gdyby to było możliwe, co byłbyś gotów zrobić? – zapytała poważnie.

– Uwierz mi, że wszystko, ale nie mam czarodziejskiej różdżki.

– Zaparzę kawę. – Helena wstała i włożyła szlafrok.

– Nie zdążę wypić, muszę już wychodzić – rzucił, przeciągnawszy się leniwie.

Helena, nie zważając na słowa Trevora, wyszła z sypialni. Jednak zamiast zejść do kuchni, skrzyła w lewo i stąpając cicho po miękkim dywanie, dotarła do zamkniętej sypialni na końcu korytarza.

Zapukała cicho do drzwi, które po kilku sekundach się uchyliły. Pojawiła się w nich głowa Jaworskiego.

– Słyszeliście? – zapytała szeptem.

Skinął potwierdzająco.

– To koniec. Macie wszystko, co trzeba. Nie zostaną tu ani minuty dłużej!

Powiedziała to tak, że Jaworski wiedział, iż trzeba dać jej spokój.

– Poczekaj chwilę, Janek zaraz odwiezie cię do domu – odrzekł.

Odrzuciła się i zeszła do kuchni.

Jaworski cofnął głowę, zamknął drzwi i odwrócił się do Janka.

– Już czas. Lepszego momentu nie będzie – powiedział.

Starszy chorąży Jan Majewski siedział pod ścianą sprzętu. Specjalista od elektroniki i podsłuchów. Pomieszczenie było wygłuszone i zastawione sprzętem nasłuchowym od podłogi po sufit. Mikrofony w każdym pomieszczeniu willi przekazywały wszystkie rozmowy do tego pokoju. Wszystkiemu przez tydzień od przyjęcia w W-A przysłuchiwali się oficerowie polskiego wywiadu. Wszystko nagrywając i zbierając materiały do szantażu Partii Republikańskiej. Ostatniego ogniwa w planie misternie utkanym miesiąc wcześniej przez dwa wrogie sobie wywiady. W grze o najwyższą stawkę.

Kiedy Jaworski przybył do Ameryki, układał wszystko jak kostki domina. Operacja, gdy przewracał jedną kostkę za drugą, zmierzała do tego momentu. Najpierw miał nawiązać kontakt z gestapo, którego siatka wywiadowcza była dobrze rozbudowana i wgrzyziona w polityczne kręgi jak robak w przegniłe jabłko. Jego kontakt, Tobiasz Lange, przekazał mu wszystkie pomocne dane. To on wskazał Trevora Price'a jako potencjalny cel operacji. Osobę, którą można wykorzystać. Która niczym przerwana tama wyleje wszelkie potrzebne do wywarcia nacisku informacje. Następnie skontaktował go z Alfredem Calovem, zakonspirowanym faszystą, który zafascynowany Mussolinim i Hitlerem, chciał realizować swoje skryte ambicje w USA.

W trakcie Wielkiego Kryzysu warunki życia stale się pogarszały. Nic dziwnego, że rozpoczęło się poszukiwanie winnych. Dla dużej części społeczeństwa stali się nimi oczywiście Żydzi. W USA pojawiły się organizacje, które widziały w Żydach zagrożenie, a dojście Hitlera do władzy i jego idee jeszcze nasiliły te nastroje. Do tego obawa przed komunistyczną rewolucją robiła swoje, dlatego w kręgach arystokracji i magnatów przemysłowych znalazło się wielu faszystów finansujących propagowanie tego ruchu w fabrykach i innych podatnych środowiskach jako remedium na proletariackie idee. Do takich osób należał Alfred Calov, który swój majątek i koneksje wykorzystywał do działalności na rzecz faszyzmu. Oczywiście współpracował z gestapo i Abwehrą. Dlatego pomógł w zorganizowaniu spotkania Trevora Price'a z Heleną na specjalnie w tym celu wydanym przyjęciu Partii Republikańskiej. Gestapo dostarczyło bogatych informacji o sekretarzu. O jego roli w partii i zacieraniu wszystkich brudów. O wręczaniu i przyjmowaniu łapówek, a przede wszystkim o jego życiu erotycznym, kochankach, dewiacjach i upodobaniach. Już dwa lata temu gestapo szukało republikanów, których mogłoby zwerbować. Wtedy zwrócili uwagę na aktywnego i ambitnego Price'a i jego postępującą w zawrotnym tempie karierę. Gestapo podstawiło mu wtedy dwie prostytutki, które podczas spotkań miały gromadzić potrzebne informacje. Ale po pierwszej nocy z Trevorem odmówiły współpracy z powodu jego sady-

stycznych zapędów. Jedna została pobita, a druga prawie uduszona. Informacje te przekazano Chodackiemu i Jaworskiemu, by pouczyli agentkę Atene, w jaki sposób może uwieść Price'a. Na nieszczęście dla Heleny musiała wykorzystać te wskazówki i dzięki temu już po pierwszej nocy Trevor stracił dla niej głowę. Przez następny tydzień prawie nie wychodzili z łóżka, gdzie mężczyzna po seksie, pozbawiony wszelkich hamulców, spowiadał się Helenie ze wszystkiego. Majewski i Jaworski nagrywali opowieści Price'a: o przekrętach, łapówkach, kochankach, wykorzystywanych chłopcach i najczarniejszych tajemnicach republikańskich kongresmenów. Do tego dochodziły jego opinie o kandydatach na prezydenta i wiceprezydenta, ich słabościach i niekompetencji. To, co zebrali przez tydzień, wystarczyłoby, żeby z kretesem pogrążyć Partię Republikańską przed nadchodzącymi wyborami.

– Idę z nim pogadać. Dograj to i odwieź Helenę – powiedział Jaworski, zabierając ze sobą stenoqramy nagrań z poprzednich dni.

– Przyjechać potem po sprzęt? – zapytał Majewski.

– Tak, wróc po sprzęt i spotkamy się w kryjówce. Lepiej, żeby nikt i nic tu nie zostało, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy zawiadomić FBI. – Jaworski zamknął drzwi i ruszył korytarzem.

Wszedł do sypialni, gdy Trevor Price naciągał nogawki szarych spodni na krótkie, pałkowate nogi. Siedział w samej bieliźnie i podwiązkach przytrzymujących skarpety. Oblesny brzuch wylewał się na kolana. Na głowie dwa pasma włosów okalających łysinę oklapły smętnie. Wyglądał odpychająco i groteskowo.

Kiedy usłyszał kroki, nawet nie podniósł głowy. Myślał, że to Helena, dlatego tylko zapytał:

– Masz tę kawę?

– Przykro mi, ale kawy nie będzie – odparł spokojnie Jaworski.

Trevor Price poderwał głowę i z jedną nogawką naciągniętą, a drugą w dłoni, przestraszony wyłożył się jak długi na łóżko.

Szybko naciągnął drugą nogawkę, podciągnął spodnie na tyłek, zacesał zmierzwiony włos, wstał i zaczął wygrażać Jaworskiemu:

– Kim pan jest? Jak pan śmie? Dla kogo pracujesz? Zniszczę cię, myślisz, że możesz mnie obsmarować w swoim brukowcu jak byle kogo? Chyba nie wiesz, z kim zadarłeś! – Oczy nabiegły mu krwią, z ust toczył pianę.

Jaworski, który ze stoickim spokojem wysłuchiwał gróźb, zdał sobie sprawę, że Price wziął go za żądnego sensacji dziennikarza, który wniknął do willi, by zdemaskować romans polityka.

– Uspokój się, nie jestem dziennikarzem. Musimy pogadać – próbował dotrzeć do furiata.

– Nie?!... To kim jesteś? Hoover cię nasłał? – Price trochę się opanował i zaczął nerwowo szukać po pokoju koszuli.

– Tam jest. Nie jestem z FBI. – Jaworski, odgadzając obiekt poszukiwań, wskazał białą koszulę spokojnie wiszącą na krześle, którą jego rozmówca w przyplýwie emocji przeoczył.

Price złapał koszulę i zaczął nerwowo wkładać, szarpiąc rękawy.

– To kim jesteś? Jednym z tych, pozał się Boże, detektywów do wynajęcia? Wynajęła cię moja żona albo ten niedojda, jej brat? – Spojrzał przenikliwie na Jaworskiego. Ta myśl jakby go uspokoiła, bo mówił już nieco spokojniej: – Powiedz, ile ci płacą. Dam ci trzy razy tyle i o wszystkim zapomnisz. – Zaczął grzebać w kieszeni spodni. Wyjął gruby skórzany portfel, otworzył i wyciągnął książeczkę czekową. Złapał leżący na szafce długopis i spojrzał wymownie na Jaworskiego. – No, ile mam wpisać?

Jaworski oderwał się od drzwi, o które się opierał, wszedł do środka i usiadł na fotelu.

– Niestety sprawa jest bardziej złożona.

– Nie musisz podbijać stawki, po prostu podaj kwotę i zapomnijmy o tym. Muszę jechać, jestem umówiony.

– Nie chodzi o pieniądze. Usiądź, musimy pogadać.

– Jak to nie o pieniądze? Zawsze chodzi o pieniądze. Widzę, że jednak chcesz mnie wkurwić. – Price ponownie nabrał koloru dojrzałego pomidora, schował książeczkę do kieszeni i nerwowo złapał marynarkę.

– Helena! – krzyknął, dorzucając pod nosem: – Zaraz się dowiem, co ta dziwka kombinuje. – Ruszył do drzwi, chcąc zejść do kuchni.

Kiedy mijał Jaworskiego w fotelu, ten błyskawicznie wstał, złapał go za fraki i cisnął na łóżko. Szybko zatrzasnął drzwi, momentalnie doskoczył do grubasa i przycisnął mu klatkę piersiową kolanem

tak, że ten poczuł schodzące się razem niczym w imadle żebra. Prawą ręką wyciągnął zza paska broń, przyłożył mu do głowy i rzucił:

– Zamknij się, pierdolony dewiancie, i posłuchaj! Helena od teraz przestaje dla ciebie istnieć. Jeśli choć wypowiesz jej imię lub tylko pomyślisz o tym, żeby się do niej zbliżyć, zajebię cię bez względu na konsekwencje. Mam dość takich dwulicowych gnid w garniturkach jak ty, przez które muszę się babrać w tym gnoju, więc wystarczy mi iskra, żeby wybuchnąć. Zrozumiałeś? Daj mi znać, czy będziesz słuchał, czy odpierdałaś. – Puścił Price'a i wstał, nadal trzymając w ręku pistolet.

Trevor usiadł na łóżku, krztusząc się i trzymając za bolące żebra. Oczywiście łzały.

– Słucham... – wydusił.

Jaworski schował broń i sięgnął za fotel, gdzie zostawił teczkę, którą teraz rzucił Price'owi.

– Najpierw to przeczytaj.

Price odgarnął kosmyki, który ponownie opadł mu z łysiny na oczy przy szamotaninie z Jaworskim. Wziął teczkę w trzęsące się ręce, otworzył i zaczął czytać stenogramy nagrań ze spotkań z Heleną. Jaworski tymczasem usiadł w fotelu i cierpliwie czekał. Im dłużej Price przekładał kartki, tym więcej kropel potu pojawiało się na jego czole. Dobrnął do mniej więcej jednej trzeciej dokumentów, kiedy zamknął teczkę i powiedział:

– Rozumiem. Czego chcesz?

Teraz Jaworski sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął kopertę z innym dokumentem.

– Przeczytaj. Dasz to Deweyowi. – Podał ją Price'owi.

Ten wyjął z koperty pisane na maszynie urzędowe pismo z długą listą punktów umowy. Kiedy czytał, z niedowierzaniem raz po raz patrzył na Jaworskiego szeroko otwartymi oczami. Widać było, że treść niezwykle go zadziwiła i zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Największego szoku doznał jednak, oglądając podpisy i pieczęcie u dołu. W małych odstępach przeczytał od lewej: „Premier Rządu Rzeczypospolitej Polskiej Stanisław Mikołajczyk, Prezydent Republiki Niemiec Wilhelm Canaris”.

– Chyba oszaleliście! W dodatku pomyliliście partie. To demokraci rządzą, powinieneś to dać Rooseveltowi. – Price był tak zszokowany, że ledwo mówił.

– On na to nie pójdzie. Ustalili już ze Stalinem, że będą prowadzić wojnę, aż wykończą Niemcy. Nie zgodzą się na żadne warunki kapitulacji. Podzielili tort i chcą go zjeść.

– Dalej nie rozumiem, co republikanie mają z tym wspólnego.

– To pomyśl, ile milionów waszych żołnierzy walczy w Europie. Czego chcą każda żona i matka? Żeby jej mąż czy syn wrócił zdrowy i cały do domu. Jak najszybciej więc...

– ...po wygranych wyborach w listopadzie zakończymy wojnę z Niemcami i żołnierze wrócą do domu – dokończył za niego Price. – To jest albo szalone, albo genialne. – Wlepił wzrok z powrotem w dokument, jeszcze raz czytając słowo po słowie, i powiedział: – Nie wiem, czy się zgodzą. W końcu to jednak warunkowa kapitulacja.

– To jest marchewka. Jak nie zechcą, to dostaną kijem. – Tutaj Jaworski wskazała na teczkę stenogramów. – Wystarczy, że podrzucę to do gazety i będziecie skończeni. Nie tylko w tych wyborach, ale w ogóle. Myślisz, że po czymś takim ktoś jeszcze kiedyś oddałby głos na republikanów? Co czeka ciebie, chyba nie muszę mówić. To, że żona zażąda rozwodu, to twój najmniejszy problem, wcześniej pośle po ciebie Hoover i długo nie zobaczysz słońca i swoich aktoreczek.

Price spojrział na Jaworskiemu prosto w oczy.

– Aktoreczek? Susan to też wasza robotka? – zapytał, zdając sobie sprawę, że wypadek jego kochanki dzień przed przyjęciem w W-A nie był przypadkiem.

– Chcieliśmy mieć pewność, że będziesz miał wolny karnecik tego wieczoru – powiedział Jaworski.

– Co do metod, to była robotka gestapo i nie jestem z tego dumny. Z drugiej strony przynajmniej wiesz, na co nas stać. To gra o dużą stawkę.

Price się zamyślił.

– Nie rozumiem tylko, co wy z tego macie. Po co to robisz? Za rok, dwa wojna w Europie się skończy.

– Skończy się dla wszystkich, tylko nie dla nas. Nie dla Polski. Roosevelt i Churchill sprzedali Polskę Stalinowi. Naszemu największemu wrogowi, Sowietom. Czeka nas sowiecka okupacja i terror.

– Skoro tak mówisz... W sumie mało mnie to obchodzi. Zrobię, co chcesz, przedłożę to szefostwu. – Trevor wstał. – Gdzie cię znajdzie?



- To ja znajdę ciebie. Zadzwońę pojutrze i powiem, gdzie się spotkamy – odpowiedział Jaworski.
- Pojutrze to za szybko, nie zdążą tego przedyskutować.
- Jak to za szybko? W dwa dni nie możesz przedłożyć tego Deweyowi?
- Naprawdę jesteś taki naiwny, że myślisz, iż to on decyduje? – Price popatrzył na niego z politowaniem. – To tylko wierzchołek góry lodowej. Znana twarz na billboardy. Za wszystkim stoją ludzie z kasą. Rządzą tu od czasu, kiedy przegonili Indian z prairii. Ich dzieci, wnuki. Poczekali, aż kawaleria i ospa zrobią swoje, to i przeczekają europejską zawieruchę. Oni się nie śpieszą, planują na zimno, dlatego uwierz mi: dwa dni to za mało.
- Okej, w takim razie masz czas do piątku. Pięć dni, potem muszę znać odpowiedź.
- Zakładając, że się zgodzą: co dalej? – zapytał Price.
- Ktoś ważny od nich z podpisanym traktatem ma się zgłosić do konsulatu. Kiedy i do kogo, przekażę ci na spotkaniu. Otrzyma numer konta bankowego, na którym są pieniądze, pięćdziesiąt milionów na, nazwijmy to, waszą kampanię wyborczą.
- Jaworski sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął kluczyk, który pokazał Price’owi.
- To jest klucz do skrzynki bankowej, w której jest dwieście tysięcy dolarów w brylantach. Jeżeli nasza umowa wypali, dostaniesz go. Potem co miesiąc w tej skrzynce znajdziesz tę samą kwotę. Od tej pory będziesz dla nas pracował i informował nas o wszystkim. – Jaworski zobaczył, jak na słowo „brylanty” oczy Trevora Price’a się zaświeciły. Pomyślał, że gestapo nie mogłoby wybrać lepszej osoby.
- Price nic więcej nie powiedział.
- Schował dokumenty od Jaworskiego do czarnej teczki, którą miał obok łóżka.
- Wyszli na korytarz w kierunku schodów. Price zatrzymał się na chwilę.
- Helena jest na dole? Nie chcę się z nią widzieć – stwierdził.
- Nie, wróciła już do siebie. Jak mówiłem, nigdy więcej jej nie zobaczysz – odparł Jaworski.
- Nigdy jej tego nie wybaczę... – powiedział cicho Price, po czym obaj wyszli z willi.

## Początek

Był świt 20 czerwca 1944 roku, kiedy Kurt von Mansfeld w swoim ukochanym sześciocyndrowym mercedesie zbliżał się do Pescary, włoskiego miasteczka portowego leżącego dwieście kilometrów na wschód od Rzymu. Podróż przez Apeniny Środkowe, najdziksze i najbardziej odludne okolice we Włoszech, w innych okolicznościach byłaby wymarzoną przygodą. Krajobraz był pełen wzgórz i dolin, z lasami, w których żyją wilki i niedźwiedzie, oraz miasteczkami wciśniętymi w dostępne dla człowieka miejsca i charakterystyczną dla tego regionu architekturą. Chętnie zabrababy tu żonę i spacerowałyby wąskimi uliczkami, kosztując tutejszych win w ciągnących się wokół winnicach. Teraz mógł tylko oglądać krajobraz zza szyby mercedesa i pruć, ile fabryka dała, w stronę Pescary, którą dwa dni wcześniej zajęli alianci, a konkretnie 2. Korpus Polski. Ten sam, który w maju zdobył niedostępną twierdzę Monte Cassino. Masyw Cassino, na którym stał klasztor, był kluczowym stanowiskiem w Linii Gustawa, w systemie połączonych niemieckich linii obronnych biegnących przez całą najwęższą część Włoch. Był to najpotężniejszy system obronny, z jakim podczas tej wojny zetknęli się alianci. Dopiero Polacy skruszyli tę zapórę, przełamując tym samym całą linię frontu. 4 czerwca alianci weszli do Rzymu, a 2. Korpus Polski po wylizaniu ran spod Monte Cassino przystąpił do natarcia na Ankonę, strategiczny port. W Pescarze znajdował się obecnie sztab 2. Korpusu, do którego zmierzał Mansfeld. Przynajmniej takie były informacje wywiadu, z których korzystał.

Już dawno minął posterunki pozycji niemieckich, droga wiała się wstęgą przez leśne ostępy. W pewnym momencie zatrzymał samochód i wysiadł. Zszedł z drogi między drzewa, przez chwilę szamotał się w krzewach, po czym wrócił do wozu z ułamaną grubą gałęzią. Długi na prawie dwa metry konar oparł o auto i otworzył bagażnik. W głębokim kufrze mercedesa miał walizkę z osobistymi rzeczami. Poprzewracał je i wyciągnął białą koszulę, którą następnie przymocował do gałęzi. Odkręcił boczną szybę, oparł konar o podłogę i dokręcił z powrotem mocno szybę, tak by go blokowała. Kij wystawał ponad dach o jakiś metr, tak że przymocowana na nim koszula była dobrze widoczna. Wsiadł za kierownicę i z tak powiewającą białą flagą nad samochodem ruszył dalej. Wyjechał z lasu na otwartą przestrzeń. Był jakieś kilkanaście kilometrów od Pescary. Nie wiedział, czy to jeszcze ziemia niczyja, czy już teren wroga. Pomyślał, że doda gazu, by utrudnić zadanie snajperowi lub ukrytemu gdzieś karabinowi maszynowemu na wypadek, gdyby alianci nie zwrócili uwagi na białą flagę na samochodzie. Jechał wąską, krętą wiejską drogą, która biegła przez obszary wcześniej ostrzeliwane przez artylerię jednej bądź drugiej strony. Wszędzie było pełno kraterów po bombach. Zbliżając się do miasteczka, mijał spalone domy bez okien, stodoły, roztrzaskane wiatraki, szkoły bez szyb. Całe pola przeorane artyleryjskim ogniem. Kikuty drzew. Wszędzie ruiny i zgłiszcza domów. Na niektórych bawiły się dzieci, szwendały bezdomne psy, a drogą z wiklinowymi koszami szły kobiety.

Nagle zahamował z piskiem opon. Przed nim stało czterech żołnierzy w brytyjskich mundurach *battle dress*, tropikalnych koszulach i stalowych płaskich hełmach, z wycelowaną w auto bronią. Trzech przystało na poboczu, a jeden wyszedł prawie na środek, żeby zatrzymać samochód.

Mansfeld powoli otworzył drzwi i wysiadł, zakładając ręce za głowę. Teraz mógł przyjrzeć się żołnierzom. Zauważył na prawym rękawie naszywki POLAND. Wiedział, że dobrze trafił.

Dowódcą był krzepki, mający ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu żołnierz z ogorzalą twarzą, surowymi niebieskimi oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi, który z widocznym na twarzy napięciem celował prosto w jego głowę. Pozostali, również opaleni, wyglądali na zmęczonych, stali w oczekiwaniu. Dowódca dał znak będącemu najbliżej towarzyszowi, by podszedł do Mansfelda.

Zbliżył się do niego chłopak w trądzikiem i rzucił po polsku:

– No chodź tu, frycu, zobaczymy, co tam masz.

Pchnął go na maskę mercedesa i zaczął przeszukiwać. Odpiął pas z bronią, wyciągnął lugera i pokazał kolegom, mówiąc:

– Chłopaki, wieczorem mamy o co zagrać w pokera.

Pozostali dwóch zaczęło przetrząsać samochód.

Dowódca natomiast podszedł do rozbrojonego Mansfelda. Wyglądał dość inteligentnie, więc szybko zauważył stopień wojskowy na mundurze. Było oczywiste, że nie zatrzymał byle łącznika sztabowego, który zabłądził z rozkazami.

– Co tu robisz? Znasz angielski? – zapytał łamaną angielszczyzną.

Mansfeld, który jak większość niemieckich arystokratów, dobrze posługiwał się tym językiem, odpowiedział:

– Mam informacje dla waszego dowództwa. Musi mnie pan zaprowadzić do wyższego oficera, więcej nie mogę powiedzieć.

– Dezerter? – zapytał Polak, patrząc dociekliwie.

Mansfeld milczał.

– Okej, jak chcesz – stwierdził dowódca.

Otworzył drzwi mercedesa, wskazując jeńcowi, by wpakował się na przednie siedzenie pasażera. Odwrócił się do reszty, wydał dyrektywy, po czym dwóch żołnierzy zostało na drodze, a sam dowódca wraz z drugim, młodym Polakiem wsiadli do mercedesa.

Barczysty Polak odpalił silnik i pomknęli w stronę Pescary.

Podróż mijała w milczeniu. Polacy patrzyli na Kurta spode łba, nie przejawiając ochoty do pogawędki. Właściwie szansa na to wynosiła tylko pięćdziesiąt procent, ponieważ młodszy z Polaków chyba nie znał dobrze angielskiego. Chłopak z płowymi włosami wystającymi spod hełmu miał niebieskie, rozbiegane oczy, zadarty nos i odstające uszy, które przydawały mu dość sympatycznego wyglądu. Siedział z tyłu z bronią na kolanach, wlepiając wzrok w Kurta. Raz czy dwa razy Niemiec obejrzał się i ich spojrzenia się spotkały. Nie zauważył w oczach chłopaka nienawiści, raczej ciekawość. Inaczej rzecz się miała z dowódcą. Ten siedział z zaciśniętymi zębami i rękami na kierownicy. Z jego oczu były gromy. Widać było, że najchętniej wsadziłby mu nóż pod żebra i wrzucił do rowu. Chyba tylko ranga Sturmbannführera uratowała Kurta przed linczem. Polak przeczuwał, że może być cennym łupem dla wywiadu. Współtowarzysze Mansfelda przez całą drogę wymienili tylko parę zdań po polsku, których nie zrozumiał. Szybko dojechali do przedmieść Pescary. Pejzaże winnic zmieniły się w kolorowe kamienice, skromne domki i wąskie zacienione uliczki wypełnione stadami gołębi. Przejechali w dalszą część miasta leżącą nad brzegami rzeki o tej samej nazwie. W jej toni odbijało się rozleniwiające słońce, a przy brzegach cumowały rozliczne łodzie i barki.

Teraz co chwilę mijały ich z przeciwka wojskowe pojazdy, czołgi, ciężarówki, jeepy. Jechali w stronę Ankony. W końcu dotarli do okazałego wiejskiego domu otoczonego szeregiem mniejszych zabudowań. Na budynku, przed którym się zatrzymali, wisiała polska flaga, a wokół krzotało się wielu żołnierzy. Krzepki Polak wycofał auto tak, by ustawić się obok innych pojazdów. Rzucił do Kurta krótkie *Wait*, wysiadł i udał się do budynku. Młody siedział z tyłu i z nudów zajął się skręcaniem papierosa. Samochód stał przodem do rzeki, która płynęła około dwustu metrów dalej. Przez przednią szybę mógł podziwiać silski widok rozpościerający się przed jego oczami, promyki słońca tańczyły w falach wartkiego nurtu.

Na brzegu gromadka Włosek robiła pranie, śmiejąc się i wesoło rozmawiając. Były szczęśliwe, wojna tutaj już się skończyła. Mogły na nowo cieszyć się życiem. Nieopodal na kilku kłodach przekształconych w prowizoryczną stołówkę biesiadowali polscy żołnierze. Jedli, popijając piwo, łapiąc włoskie słońce. Z uśmiechem spoglądali na dziewczyny, machając do nich i nawołując. One reagowały wesołością na zaczepki młodych Polaków. Pewnie z chęcią by do nich dołączyły, na przeschodzie stały jednak dwie matrony, zapewne pilnujące ich cnoty. Popatrywały surowym wzrokiem na polskich żołnierzy i karcili dziewczyny za każdym razem, kiedy te wybuchaly śmiechem.

Raptem wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Pod wodą niedaleko brodzących w rzece kobiet pojawił się ciemny kształt. W ułamku sekundy dał się słyszeć wrzask i pisk dziewcząt, które rzuciły się do ucieczki na widok wielkiego brunatnego niedźwiedzia wyskakującego spod wody w ich kierunku. Większość dziewczyn salwowała się ucieczką, również matrony gnały przed siebie niczym rące antylopy. Na brzegu zostały jednak dwie dziewczyny, które sparaliżowane strachem nie mogły się ruszyć. Kiedy wydawało się, że niedźwiedź za chwilę je rozszarpie i pożre, do bestii doskoczyły dwóch polskich żołnierzy, którzy widząc, co się dzieje, pospieszyli na ratunek damom w opalach. Szybko podbiegli do niedźwiedzia, rzucając się na zwierza z gołymi pięściami. Wywiązała się mroźna krew w żyłach akcja, podczas której Polacy szamotali się z niedźwiedziem, próbując odgonić go od Włosek. Niedźwiedź ryczał przeraźliwie, machając potężnymi łapami zakończonymi ostrymi pazurami. Kurt przez

okno samochodu z otwartymi ustami przypatrywał się tej scenie rodem z horroru. Skutek tej walki mógł być tylko jeden. Zapewne olbrzym poprzetrąca bohaterskim Polakom kręgosłupy. Jednak ku jego zdziwieniu po długiej szarpaninie zwierz odwrócił się, zanurkował w rowie i uciekł. Polacy go przepędzili, doznając zaledwie kilku małych zadrapań. Gdy niedźwiedź na dobre zniknął w odmętach, żołnierze podeszli do przerażonych dziewczyn siedzących na brzegu, tulili je i uspokajali. Wkrótce dołączyły do nich te, które zdążyły uciec. Polscy bohaterowie wojenni odebrali teraz zasłużoną nagrodę za waleczne czyny. Podziękowaniom, uściskom, a nawet nieśmiałym całusom nie było końca. Rycerskość zaprawdę godna była podziwu i dostąpiła nagrody w postaci pozwolenia na odprowadzenie dziewczyn do domu.

Cała grupka szybko się oddaliła, gdyż dziewczęta bały się powrotu bestii. Polacy im towarzyszyli, jak na gentlemanów przystało, po wcześniejszej aprobacie matron, które przyjęły to z nieskrywaną ulgą, również czując strach przed grasującym gdzieś niedźwiedziem.

Gdy zniknęli z widoku, wśród pozostałych żołnierzy siedzących na balach prowizorycznej stołówki powstał nowy harmider. Ku swojemu zdziwieniu Kurt zobaczył tego samego niedźwiedzia wylazącego z zarośli nad wodą i biegnącego w stronę Polaków. To, co działo się przed jego oczami, było najdziwniejszą sceną, jaką kiedykolwiek było mu dane ujrzeć. Zwierz został powitany przez żołnierzy wiwatami i okrzykami. Od razu wgramolił się na stół z kanapkami i zabrał do pałaszowania. Wypił też ze smakiem stojące na stole piwo. Polacy klepali go i głaskali po gęstej sierści, co wyraźnie sprawiało mu przyjemność. Jak już podjadł, popił i nabrał dobrego humoru, zaczął zaczepiać żołnierzy. Robił to tak długo i nachalnie, aż w końcu jeden zgodził się na zabawę i wdał z nim w coś w rodzaju zapasów. Kurt z zadziwieniem patrzył, jak bestia bawi się z Polakiem, turla go i przewraca, nie robiąc mu krzywdy. Zdumiony całym zajściem, obejrzał się na swojego młodego strażnika.

Ten siedział spokojnie rozparty na kanapie, pałac skręta. Cały incydent nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Można było się domyślić, że nie jest to dla niego nowością.

Widząc zaskoczenie i pytanie w oczach Kurta, powiedział łamaną angielszczyzną:

– To Wojtek, nasz niedźwiedź.

Powiedział to tak obojętnym tonem, jakby pochwalił się swoim psem.

W ten sposób Kurt poznał Wojtkę. Niedźwiedzia 2. Korpusu, który na równi z żołnierzami przeszedł całe afrykańskie szkolenie i szlak we Włoszech. Adoptowane dziecko 22. kompanii zaopatrywania artylerii. Syryjski niedźwiadek został odkupiony przez Polaków po tym, jak myśliwy zabił jego mamę. Żołnierze odkarmili go skondensowanym mlekiem za pomocą zaimprovizowanego smoczka. Miś jadł razem z nimi i spał w namiocie. Uwielbiał miód, marmoladę oraz piwo. Został oficjalnie wciągnięty na stan ewidencyjny 22. kompanii zaopatrywania artylerii. Otrzymał nawet stopień kaprała. Przeszedł szlak bojowy, brał udział w bitwie pod Monte Cassino. Miś był bardzo łagodny i kochał towarzystwo ludzi. Uwielbiał również jazdę wojskowymi ciężarówkami. Ulubioną zabawą Wojtkę były zapasy z żołnierzami oraz straszenie dziewcząt nad rzeką, tak jak teraz. Polacy szybko zaczęli wykorzystywać zabawę misia do nawiązywania znajomości i podrywania miejscowych dziewczyn. Odgrywali rolę rycerzy spieszących na ratunek i przeganiali niebezpiecznego niedźwiedzia. Była to niezwykle skuteczna metoda podrywu.

Kurt przyglądał się temu jak zaczerpowany, żałując, że nie mogą tego zobaczyć żona i dzieci, które uwielbiały wycieczki do berlińskiego zoo. Niedźwiadki z Berlina nie były jednak nawet w połowie tak sympatyczne i inteligentne jak Wojtek. Jakby tego wszystkiego było mało, żołnierze, którzy zjedli śniadanie, zabrali się do załadunku pocisków artyleryjskich i amunicji na ciężarówkę. Przecierał oczy z niedowierzania, patrząc, jak kapral Wojtek pomaga nosić ciężkie pociski i skrzynki z amunicją. Robił to na równi z wszystkimi żołnierzami z wielką wprawą. Różnica polegała tylko na tym, że pocisk artyleryjski musiało dźwigać dwóch żołnierzy, podczas gdy Wojtek łąpał go i prznosił bez problemu sam.

Obserwując przedziwnego zwierza, nawet nie zauważył, kiedy wrócił dowódca, który go aresztował. Podeszedł od jego strony do auta i otworzył drzwi, mówiąc:

– Chodź, mam przekazać cię dowództwu.

– Idziemy do generała? – zapytał Kurt. Miał na myśli generała Andersa, dowódcę 2. Korpusu Polskiego, chciał wiedzieć, do jakiego szczebla dowodzenia się dostanie.

– Tak, generał Patton już na ciebie czeka – odpowiedział Polak.

Kurt jednak wyczuł sarkazm.

Z samochodu wysiadł również drugi strażnik i razem udali się do budynku. Weszli po małych schodach okazałej willi zajętej przez polskie wojsko na tymczasowy sztab. Za drzwiami stały po lewej stronie biurko i stara komoda. Za biurkiem siedział dyżurny, który widocznie musiał dowiedzieć się od dowódcy patrolu, o co chodzi, gdyż tylko popatrzył na wchodzących, nic nie mówiąc. Krzepki Polak wskazał ręką, którędy mają iść, i za chwilę schodzili po schodach na niższy poziom. Po bokach mieli ściany z cegieł, zasnuwane pajęczynami. Widać było, że rzadko ktoś tutaj bywał. Korytarz zaprowadził ich do pomieszczenia z dużymi metalowymi drzwiami, za którymi znajdowało się drugie o spartańskim wystrój. Kiedyś musiało pełnić rolę spiżarni, teraz zaś zostało prowizorycznie przystosowane na potrzeby wojska, stały w nim jedynie dębowy stół i trzy krzesła. Pod ścianą wałowały się różne graty i worki z zapasami. Ściany, z których opadał tynk, i wszechobecna wilgoć nadawały pomieszczeniu odpychający charakter. Całość okraszała ledwo świecąca żarówka zwisająca na kablu z sufitu. Dowódca wskazał ręką krzesło i powiedział:

– Zaczekaj tutaj, ktoś zaraz przyjdzie.

Potem bez zbędnych emocji Polacy odwrócili się na pięcie i zniknęli w korytarzu, zamykając za sobą drzwi.

Pomimo dyskomfortu i przytłaczającej scenerii Kurt był zadowolony z obrotu spraw. Udało mu się przejechać linię frontu i trafić tam, gdzie chciał, bez wielkich problemów. Co ważniejsze, nikt po drodze nie odstrzelił mu głowy. Jadąc tutaj, musiał liczyć się z tym, że oddział, który napotka, nie będzie chciał brać jeńców, albo trafi go przypadkowa kula strzelca, którego zaświerbi palec na spuście. Dobrym znakiem było też to, że nie trafił do aresztu z innymi więźniami. Wyglądało na to, że doceniono jego stopień wojskowy i nadano mu jako więźniowi wyższy priorytet. Zależało mu na tym, żeby jak najmniej ludzi wiedziało o jego pobycie tutaj. Rozsiadł się na krześle na tyle wygodnie, na ile było to możliwe, i spokojnie oczekiwał dalszego biegu wypadków.

Czekając go rozmowa będzie trudna. Polacy nienawidzili Niemców i w przeciwieństwie do reszty aliantów wręcz rwali się do walki. Miał nadzieję, że odstawią na bok nienawiść, chęć zemsty i na chłodno podejną do sprawy, że wysłuchają jego propozycji.

Polska jako taka nie istniała, podzielona między siebie przez Niemcy i Rosję. Wprawdzie istniał rząd na uchodźstwie, miał jednak mało do powiedzenia w stosunkach ze swoimi sojusznikami i właściwie żadnego wpływu na światową politykę dotyczącą Europy i własnego kraju. Dlatego jedynym realnym partnerem do rozmów dla Kurta i do uczestnictwa w jego planie była polska armia i jej dowództwo. Tylko polskie siły zbrojne, choć znikome w porównaniu z liczebnością innych armii, miały wartość mogącą wnieść istotne argumenty w rozgrywece, którą długo planował. Tym bardziej że po katastrofie samolotowej z 1943 roku, w której na Gibraltarze zginął Władysław Sikorski, Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych i premier Rządu RP na Uchodźstwie, niemiecki wywiad donosił, że w sprawę mogą być zamieszani wysocy rangą polscy wojskowi będący w opozycji do Sikorskiego i jego układowej polityki względem ZSRR. Właśnie generał Anders, jak i obecny Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych generał Kazimierz Sosnkowski, choć antagoniści, występowali w raportach wywiadu jako potencjalni sprawcy zamachu; mieli w ten sposób przeciwstawić się władzy Sikorskiego, po tym jak 2 lipca 1943 roku w Kairze ten mówił o konieczności pogodzenia się ze zmianą wschodniej granicy Polski i dokonania konstruktywnego zwrotu w stosunkach polsko-radzieckich. To Anders z jego bezkompromisowym, radykalnym podejściem do relacji z Rosjanami i podległą mu armią, która tak samo wrogo była nastawiona i do Niemców, i do Rosjan, były stroną do rozmów dla Kurta.

Samotność Mansfelda nie trwała długo. Po kilkunastu minutach drzwi się otworzyły i stanął w nich zylasty, średniego wzrostu Polak około trzydziestki, z kubkiem kawy w jednej ręce i grubym notesem w drugiej.

Spojrzał na Kurta, flegmatycznie zamknął drzwi i usadowił się na krześle po przeciwnej stronie stołu.

Zapach kawy rozniósł się po całym pomieszczeniu. Mocno uderzył w nozdrza Niemca, który właściwie nie zjadł dziś śniadania i odczuwał już głód. W dodatku przemarzł do kości w wilgotnej piwnicy. Zapach był tak ożywczy i smakowity, że w tej chwili Kurt pragnął tylko jednego: kawy. Zawiódł się jednak srodze, bo oficer nie miał zamiaru poczęstować nią jeńca. Otworzył kajet i podniósł do ust kubek z kawą, która w tej chwili była dla Kurta niczym niedosięgła ambrozja. Polak wziął dwa głębokie łyki, głośno przy tym siorbiąc i wydając głębokie westchnienie zadowolenia.

Kurt patrzył na to w milczeniu. Przez chwilę przeszło mu przez głowę, że tamten chyba robi to specjalnie. Kiedy Polak odstawił kubek i spojrzął mu w oczy, był tego pewien.

– Podporucznik Henryk Zybert. Mam pana przesłuchać. Podobno ma pan coś ważnego do przekazania. Na początek proszę o pańskie nazwisko, stopień i formację. – Mówiący płynnie po niemiecku Polak wziął ołówek i czekał na odpowiedź.

– Nazywam się Kurt von Mansfeld. Jestem oficerem Abwehry w stopniu Sturmbannführera. Chciałem rozmawiać z generałem Andersem.

– To niemożliwe. Ja odpowiadam za kontakty z jeńcami w randze oficera i tylko ze mną może pan rozmawiać. Rozumiem, że poddał się pan świadomie i trafił tutaj w jakimś określonym celu. Jeżeli chce pan nawiązać współpracę czy sprzedać jakieś informacje, to słucham.

– To, co mam do powiedzenia, jest tajne i mogę rozmawiać tylko z generałem Andersem – twardo odpowiedział Kurt.

Zybert zdumiał się stanowczością i dziwnym żądaniem Niemca, ale nie miał zamiaru negocjować.

– Z rozkazu generała Andersa mam zweryfikować pańskie materiały i to, co chce pan zaoferować. Przedstawi pan to teraz mnie albo za chwilę opuścą ten pokój i wydam rozkaz rozstrzelania pana jako szpiega. Egzekucja zostanie wykonana jeszcze dzisiaj.

Po chwili milczenia Mansfeld skapitulował.

– Chyba mnie pan przekonał. W takim razie możemy zacząć. – Wziął głęboki wdech jak przed nurkowaniem. – Czy wiadomo coś panu na temat tajnej konferencji Roosevelt–Churchill–Stalin w Teheranie w grudniu zeszłego roku?

– Tak, słyszałem o niej – odpowiedział Zybert.

Kurt kontynuował:

– W obliczu naszej porażki pod Stalingradem, odwrotu na froncie wschodnim i lądowaniu waszych wojsk w Normandii klęska Niemiec jest nieuchronna. W Teheranie przywódcy aliantów i Stalin ustalili, jak pokroić tort, czyli jak będzie wyglądać nowa Europa po kapitulacji Niemiec.

– To wiem. Mój czas jest cenny, proszę mi powiedzieć, z czym konkretnie pan do nas przychodzi. – Zybert lekko się zirytował, nie widząc sensu tej opowieści.

– Właśnie do tego zmierzam: sojusznicy was oszukali i zdradzili, oddając Polskę Stalinowi. Zapewne pan, pańscy dowódcy i armia polskich żołnierzy macie nadzieję, że po wyzwoleniu Włoch, Francji, zdobyciu Berlina przejdziecie Odrę i ruszycie wyzwolić ojczyznę. Otóż muszę pana zmartwić, nic takiego nie nastąpi. Armie aliantów i Sowietów mają się spotkać pod Berlinem i wszystkie tereny zajęte przez ruskie czołgi zostaną w strefie wpływów i działań Armii Czerwonej. Polska przejdzie spod okupacji niemieckiej pod sowiecką i Bóg mi świadkiem, obawiam się, że wpadniecie z deszczu pod ryne. Roosevelt i Churchill sprzedali was Stalinowi.

– Myślę, że pan kłamie, żeby coś ugrać, tylko nie wiem, czemu i co chce pan uzyskać.

– Na pana miejscu też byłbym nieufny, więc kontynuujmy. Słyszał pan o tajnym zapisie dotyczącym podziału Niemiec na strefy okupacyjne i o tym, że radziecka strefa okupacyjna Niemiec będzie przylegać do Polski, przez którą będą przebiegały linie komunikacyjne do tej strefy, i że przesądza to o losach pańskiego kraju? Zapewne pan nie słyszał, ponieważ jesienią 1944 roku w Stanach Zjednoczonych odbędą się wybory prezydenckie i na prośbę prezydenta Roosevelta liczącego na głosy amerykańskiej Polonii utajniono postanowienia w kwestii polskiej. Również dlatego, żeby nie gasić ducha bojowego polskich żołnierzy, którzy są użyteczni. Sam pan przyzna, że wieść o przehandlowaniu Polski przez waszych sojuszników nie wpłynęłaby pozytywnie na morale.

– Dlaczego miałbym uwierzyć w istnienie tego dokumentu? – zapytał Zybert.

Mansfeld wstał z krzesła i energicznym ruchem rozdarł podszewkę płaszcza, po czym wyciągnął spod niej dość pokaźny plik dokumentów. Następnie położył je przed Zybertem, mówiąc:

– Dlatego że to jego kopia.

Zybert się uszytnił, wstał i zaczął dokładnie przeglądać dokumenty. Im dłużej czytał, tym bardziej jego twarz nabierała ciemnej, ponurej barwy. Gdy dotarł do strony z podpisami przywódców, zacisnął zęby.

Zebrał dokumenty do teczki i kierując się do drzwi, wycedził:

– Proszę zaczekać. – I wyszedł.

Kurt również wstał. Podniósł kubek z kawą, którą w emocjach Polak zostawił niedopitą.

Kubek był pełny jeszcze mniej więcej w połowie. Mansfeld przechylił go i jednym haustem wypił zawartość. Płyn był już zimny, ale odczuł satysfakcję. Po miesiącach planowania przekazał tajne dokumenty w ręce Polaków. Teraz piłeczka była po ich stronie. Był to jednak dopiero pierwszy akt przedstawienia, które miało się rozegrać w tej zatęchłej piwnicy. Teherański dokument miał jedynie zwrócić uwagę polskiego dowództwa. Ten najważniejszy, który miał przedłożyć, znajdował się nadal zaszyty w jego płaszczu. Mógł go pokazać tylko Andersowi lub jego najbliższemu współpracownikom w obawie przed angielskimi szpiegami wśród polskich oficerów, którzy mogli donosić do Londynu, co dzieje się w polskiej armii.

Mijały długie minuty, które przeszły w godziny oczekiwania. Słyszał tylko szuranie nad sufitem, a co jakiś czas głośniejsze trzaski, zapewne zamykanych i otwieranych drzwi. Upływający jak rzeka czas nie był dla Kurta powodem do niepokojów. Przeciwnie: działał na jego korzyść, potwierdzając, że podporucznik Zybert przekazuje dokumenty do samego dowództwa i nie trafią na biurko przypadkowego leniwego pułkownika biurokraty, gdzie przeleżą kilka tygodni, nim ktoś się nimi zajmie, lub – co gorsza – zostaną wysłane do Londynu. Gdyby tak było, już dawno wyprowadzono by go z piwnicy i dołączyłby do innych niemieckich jeńców.

Na oczekiwaniu przerywanym stukotem wojskowych butów, zgrzytem zasuw w drzwiach i przynoszonymi posiłkami minął mu cały kolejny dzień, podczas którego generał Anders otrzymał teherańską teczkę i po przeczytaniu dokumentów natychmiast nadał wiadomość do pułkownika Stanisława Gano, szefa polskiego wywiadu, żeby ten niezwłocznie przyleciał z Londynu do Pescary. Gano zrozumiał, że skoro Anders prosi o osobiste natychmiastowe spotkanie, to musi mieć ważny powód.

Na drugi dzień wieczorem Gano i Anders zjawili się w piwnicy i przeszli od razu do rozmowy z nietuzinkowym jeńcem.

– Założmy przez chwilę, że to nie prowokacja i te dokumenty są kopią oryginalnych, jak pan wszedł w ich posiadanie? – zapytał Gano.

– Słuszne pytanie. W maju 1943 roku nasze służby wywiadowcze dowiedziały się o planowanym spotkaniu Roosevelta, Churchilla i Stalina. Ustalono, że możliwym miejscem spotkania jest Teheran. Później nasz agent w Ankarze potwierdził jego czas i miejsce oraz przekazał plany szczegółowych przygotowań. Wtedy powstał plan przeprowadzenia operacji „Długi skok”, czyli zabicia trzech przywódców i wpłynięcia w ten sposób na przebieg wojny. Plan uzyskał aprobatę Führera i poczyniono przygotowania do jego realizacji. Abteilung VI SD (Wywiad Zagraniczny Służby Bezpieczeństwa) i Abwehra posiadały w Iranie ze względu na jego strategiczne znaczenie szeroką sieć agentów, dodatkowo wspartą nowymi ludźmi, więc zadanie wydawało się wykonalne. Niestety finalnie zamach został udaremniony przez NKWD, które chyba jakimś cudem dowiedziało się o akcji i większość agentów została wyłapana, a spadochroniarzy z dwóch grup znaleziono martwych. Nadal mieliśmy jednak swoich agentów przy ambasadzie radzieckiej, w której odbywało się spotkanie, miejscowy personel, kelnerów, służących, ogrodnika. W ten sposób zdobyliśmy te dokumenty.

– Dobrze, a jak dokładnie? – dociekał Gano.

– Tradycyjnie. Za pomocą wódki i seksu analnego – odparł Kurt.

– Słucham?! – Pułkownik nie był zadowolony z usłyszonej odpowiedzi.

– Nie wiem, czy powinienem zdradzać szczegóły pracy Abwehry, ale w nadziei, że po tej rozmowie zostaniemy sojusznikami... – Na chwilę zawiesił głos, badał reakcje rozmówców na słowo „sojusznicy”. Nic wielkiego się jednak nie stało. Czy uznali to za przypadkowe określenie, czy nie zwrócili uwagi, Kurt nie wiedział. Kontynuował więc: – Przy delegacji radzieckiej był marszałek Kliment Woroszyłow, który podczas nieformalnych spotkań lubi wypić. Jak to Rosjanin. Kiedy wypije, zbiera mu się na amory i dobiera się do kelnerek. W Teheranie jedna z tych kelnerek była Pasztunką i naszą agentką. Spędziła z nim dwie noce. Trzeciej nocy dołączył do nich miejscowy chłopak, chyba kierowca z ambasad, którego Woroszyłow przyprowadził ze sobą. Kiedy marszałek się spił i ujeżdżał chłopaka, Pasztunka otworzyła jego teczkę i skopiowała dokumenty.

Na dźwięk nazwiska marszałka Woroszyłowa Gano spojrzał wymownie na Andersa, jakby potwierdzając, że taka osoba była w radzieckiej delegacji, co uwiarygodniało wersję Mansfelda.

– Przypuśćmy, że panu wierzymy. Po co pan nam to przekazuje? Dlaczego prosił pan o spotkanie z generałem Andersem? – zapytał Gano.

– W dużym skrócie. – Mansfeld umilkł, nachylił się nad stołem w stronę Andersa i patrząc na prosto w oczy, dokończył: – Chcemy usunąć Hitlera, przejąć władzę, zawrzeć pokój z aliantami i pogonić

Ruskich z powrotem do dziur, z których wypełzli, ale do tego potrzebujemy waszej pomocy.

– Pan chyba oszalał. Polska ma wam pomóc? – Gano wybuchnął i wstał od stołu.

W tym momencie Anders, który dotąd nie odezwał się słowem, chwycił go lekko za ramię, nakłaniając do powrotu na krzesło, i powiedział:

– Czekaj, niech mówi.

– Admirał Canaris już od dawna stoi na czele opozycji antyhitlerowskiej. Przewodzi organizacji zwanej Czarną Orkiestrą, która chce obalić Hitlera, zanim zgubi on Niemcy. Niestety podejmowane dotąd próby były nieskuteczne. To zresztą pan wie dzięki kontaktom przez waszego agenta „Knopfa”. – Spojrzał na Gano i zauważył, że nazwisko ważnego agenta zrobiło swoje, po czym ciągnął: – Hitler pomimo swojego szaleństwa nadal ma duże poparcie narodu i armii. Gestapo inwigiluje członków Czarnej Orkiestry, co naraża wszystkie działania na wykrycie i udaremnienie. Dlatego przygotowałem plan wykorzystujący obce jednostki do zlikwidowania Führera. O całej akcji będą wiedzieć tylko trzy osoby: admirał Canaris, generał Hans Oster i ja. By wykluczyć przeciek i wpadkę.

– Jak chcecie dokonać zamachu? – Anders zdecydowanie się zainteresował.

– Grupa spadochroniarzy wyląduje we wskazanym przeze mnie miejscu, dotrze do Hitlera i go zabije – odpowiedział Kurt.

– Dlaczego nie wyśle pan własnych ludzi, niemieckich spadochroniarzy? Po co ten cyrk? – spytał Anders.

– Do przeprowadzenia akcji niezbędna jest grupa kilkudziesięciu osób. Komandosi, załoga samolotu, kwaterymistrzowie, oficer prowadzący, przeszkolenie do tego konkretnego zadania. Prawdopodobieństwo ukrycia tego przed gestapo jest znikome, a największą niewiadomą byłiby sami komandosi, którzy przed zadaniem lub w jego trakcie dowiedzieliby się, kto jest celem, i mogliby go nie wykonać. Nawet gdyby wszystko się udało, pozostałby ważny problem. Kiedy wojna się zakończy, Canaris chce zrezygnować ze stanowiska, przeprowadzić demokratyczne wybory i stworzyć rząd. Prędzej czy później któryś z żołnierzy wygada się w barze przy piwie czy przy kochance lub sprzeda do gazet opowieść o tym, jak zabił Führera. Wyda się, kto za tym stał, i wszyscy ci ludzie będą politycznie skończeni. Żaden z kochających Hitlera Niemców nie odda na taką partię głosu. Wprawdzie po wszystkim można by pozbyć się wykonawców, lecz Canaris nie chce zaczynać historii nowych Niemiec od mordowania własnych żołnierzy. Potrzebujemy również polskiego rządu do rozmów z Amerykanami.

– Powiedzmy, że się udało. Hitler nie żyje. Na czele Niemiec stoi Canaris. Co dalej? – pytał Anders.

– Zawrzemy pokój ze Stanami Zjednoczonymi, co pozwoli przerzucić armie z frontu zachodniego na Wschód i... – Nie dokończył, bo przerwał mu Gano:

– To nonsens. Przecież Roosevelt nie podpisze z Niemcami pokoju.

– Roosevelt nie, ale Dewey tak.

– Kim, do cholery, jest Dewey?!

– To przeciwnik Roosevelta w listopadowych wyborach prezydenckich.

– Skąd przekonanie, że wygra?

– Ponieważ my mu w tym pomożemy, ale to już dłuższa historia. Pozwolą panowie, że opowiem ją później.

– Pozostaje najważniejsze pytanie: co Polska na tym zyska?

– Niepodległość. Podczas gdy Wehrmacht będzie nadal walczył z Armią Czerwoną, wy z poparciem Ameryki możecie powalczyć o swoje. Nie znajdziecie się pod okupacją sowiecką, na którą skazali was sojusznicy w Teheranie. Chyba nie łudzi się pan, że Stalin zgodzi się na legalny rząd w Polsce? Staniecie się radziecką republiką, a pan i pańscy żołnierze traficie do dołów podobnych do tych w Katyniu. Dobrze wiem, co się dzieje na terenach Polski, gdzie są już Rosjanie, na przykład na Wileńszczyźnie, gdzie oddziały AK są atakowane przez Armię Czerwoną, gdy nie chcą się rozbroić.

– A pięć lat wojny, okupacji, mordów i terroru w Polsce? Mamy o tym zapomnieć? Niemcy mają uniknąć odpowiedzialności za swoje zbrodnie?

– Nie, oczywiście, że nie. Nowy rząd Niemiec zechce naprawić stosunki między naszymi krajami i zadośćuczynić za wyrządzone krzywdy. Tutaj jest wszystko. – Mówiąc to, podał Andersowi przygotowaną wcześniej w kancelarii Canarisa propozycję traktatu pokojowego Niemiec i Polski. Kilkunastopunktowy dokument, którego najważniejsze zapisy mówiły o natychmiastowym zawieszeniu walk, uznaniu przez Niemcy granic Polski z 1939 roku, natychmiastowym wycofaniu wojsk za ich linię, zwolnieniu jeńców wojennych, więźniów obozów koncentracyjnych oraz powrocie wszystkich osób wywie-



zionych na przymusowe roboty, zwrocie zrabowanego w wyniku wojny mienia i wypłaceniu odszkodowań wojennych, ukaraniu winnych zbrodni wojennych na terytorium RP, zawarciu sojuszu wojskowego przeciwko Związkowi Radzieckiemu w przypadku wojny Polski ze Związkiem Radzieckim. Taki sojusz miał zapewnić wspólne działanie wojsk polskich i niemieckich, jak również przekazanie uzbrojenia dla nowo utworzonych polskich armii.

U dołu dokumentu był zapis mówiący o dążeniu do pokojowych działań nowego niemieckiego państwa, które prześle podobny dokument do rządu czechosłowackiego na uchodźstwie. Na jego mocy Niemcy zwróciłyby Czechosłowacji Kraj Sudetów zajęty w 1938 roku.

Jak zapewniono w dokumencie, nowe Niemcy są za utrzymaniem pokoju i powstrzymaniem komunistycznego wroga poprzez utworzenie koalicji państw: Niemiec, Polski, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii i krajów bałtyckich.

Dokument był przygotowany z wielką starannością. Pomysłodawca posiadał dużą wiedzę na temat sytuacji geopolitycznej całego regionu, o czym świadczyło nawiązanie do Czechosłowacji i pozyskania tego kraju jako ewentualnego sojusznika przeciwko Sowietom.

Faktem było, że polski rząd w Londynie od dłuższego czasu prowadził rozmowy z prezydentem Czechosłowacji na uchodźstwie Edvardem Benešem. W 1942 roku oba rządy przygotowały nawet projekt przyszłej Konfederacji Polsko-Czechosłowackiej, która w swoich założeniach miała po zakończeniu wojny uchronić ich kraje przed przymusową komunizacją dzięki wspólnemu oporowi. Nie było to jednak akceptowane przez ZSRR i pod wpływem radzieckiej noty dyplomatycznej i kontrofensywy Armii Czerwonej Beneš wycofał się z ratyfikacji umowy konfederacyjnej, oddając swój kraj całkowicie pod wpływ Kremla. Ale teraz, dzięki nowym faktom, Beneš mógłby zmienić zdanie i wrócić do rozmów.

Anders po przeczytaniu dokumentu podał go Gano i milczał. Widać było, że bije się z myślami.

– Musimy to przemyśleć. Niestety musi pan poczekać dzień lub dwa na odpowiedź.

– Rozumiem.

– Mój adiutant będzie pana doglądał. Żegnam – dodał generał.

Pożegnali się po wojskowemu, krótko, bez zbędnych słów, i Mansfeld znów został w celi sam, wsłuchując się w szurania i trzaski nad sufitem. Wieczorem przyszedł adiutant Andersa, który z rozkazu generała jako jedyny miał mieć dostęp do jeńca, i przyniósł mu kolację oraz dwa koce jako posłanie. Noc minęła szybko, Kurt spał jak zabity. Rano obudził go adiutant, przyniósł śniadanie i cywilne ciuchy, w których Kurt mógł pod jego nadzorem wyjść na powietrze. Anders nie chciał, by wysokiej rangi niemiecki oficer został zauważony przez Anglików lub, co gorsza, przez szpicla NKWD, którego Rosjanie mogli umieścić w korpusie podczas formowania w Kirkuku. Następne dwa dni spędził w piwnicy, a pobyt był przerywany tylko krótkimi „spacerami”. Był przyzwoicie traktowany, jadł dobrze, dostał nawet butelkę wina na rozgrzewkę. Dobięły go tylko nuda i bezczynność.

W tym czasie Gano udał się do Londynu, by przedstawić propozycję Canarisa Naczelnemu Wodzowi Polskich Sił Zbrojnych generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu i premierowi RP na uchodźstwie, Stanisławowi Mikołajczykowi. Anders zaś zajął się operacją natarcia na Ankone.

Przed wyjazdem po długich deliberacjach podjęli decyzję o podjęciu rozmów z Niemcami. Uznali, że tylko tak można uchronić Polskę przed Stalinem. Roosevelta nie interesował los Polaków. Kiedy wojna się skończy, Polska zostanie na łasce Stalina i biorąc pod uwagę sytuację polityczną w nowej Europie, będzie osamotniona, w izolacji, pod jarzmem komunizmu i proletariackiej rewolucji przez dziesięciolecie, a być może już zawsze. Gano miał przekonać Sosnkowskiego i Mikołajczyka. Ten drugi nienawdził sanacji i pilsudczyków, opowiadał się za układami i porozumieniem z Sowietami, podczas gdy Sosnkowski i Anders uważali, że Sowietów powinno się traktować jak wroga na równi z Niemcami. Dlatego obawiali się, czy premier udzieli poparcia tajnemu sojuszowi z Canaristem. Mógł się sprzeciwić i donieść o wszystkim Anglikom, a wtedy mogliby trafić nawet pod sąd polowy za zdradę. Było to właściwie pewne, biorąc pod uwagę podejście Churchilla do polskich granic i relacji ze Stalinem. W razie wykrycia spisku czapa była pewna. Postanowili więc, że Gano najpierw omówi sprawę z Sosnkowskim, a później razem umówią się z Mikołajczykiem w jakimś zacisznym miejscu. Jeżeli ten nie podzieli ich zdania i odmówi paktowania z Niemcami, Gano strzeli mu w łeb i ukryją gdzieś ciało. Później zwał winę za zaginięcie premiera na Rosjan lub kogokolwiek innego. Uznali, że sojusz z Niemcami, przy jednoczesnej zmianie polityki USA, będzie najlepszą opcją dla Polski. Nie mogli pozwolić, by opór premiera przekreślił te plany. Byli gotowi na wszystko. Mieli nadzieję, że po przeczytaniu teherańskiego dokumentu premier odłoży na bok ich wewnętrzne animozje dla dobra Polski. Potrzebowali też Miko-

lajczyka jako premiera i jednocześnie przedstawiciela Stronnictwa Ludowego w Polsce. Miał duże poparcie chłopstwa oraz ludzi o poglądach lewicowych. Anders zdawał sobie sprawę, że do listopadowych wyborów w Ameryce Armia Czerwona zajmie już ponad połowę obszaru Polski. Nie można było dopuścić do przechodzenia lewicowych grup na stronę komunistycznych agitatorów i – co najniebezpieczniejsze – w struktury Armii Ludowej, będącej już w większości de facto sowiecką partyzantką. Meldowano wielokrotnie do Londynu o wspólnych akcjach Armii Czerwonej i AL przeciwko AK. Mikołajczyk był osobą, która mogła powstrzymać ewentualne starcia bratobójcze w Polsce lub mocno je ograniczyć. Gano wiedział, że AL przygotowuje grunt „do przyszłego zaprowadzenia ustroju komunistycznego i okupacji terenu przez wojska sowieckie”. Niewskazane więc było w tej sytuacji usunięcie prolewicowego premiera.

Zamknięty w piwnicy Kurt najpierw z nudów zaczął przeglądać składowane tam materiały i rupiecie. Znalazł stare włoskie gazety i czasopisma, niestety nie znał włoskiego, więc na niewiele się zdały. Poprosił pilnującego go adiutanta o jakąś książkę. Ten spełnił prośbę i z kolejnym posiłkiem przyniósł *Makbeta* Szekspira. Mansfeld liczył na coś nowocześniejszego i lżejszego, ale dla zabicia czasu pogrzył się w lekturze.

Wreszcie oczekiwanie dobiegło końca. Gano osobiście przywiózł decyzje Londynu. Sosnkowski i Mikołajczyk byli tak oburzeni dwulicowością i zdradą Wielkiej Trójki, że bez wahania poparli plan Andersa i Gano dotyczący współpracy z Canarisem. Generał był tak wściekły, że początkowo chciał wycofać z walk na Zachodzie wszystkie polskie oddziały, lecz Mikołajczyk i Gano odradzili mu jawny bunt względem aliantów. Wszystko musiało pozostać w tajemnicy do jesieni. Bez wsparcia nowego prezydenta USA nie było szans na zawarcie pokoju na Zachodzie, a tym samym Niemcy nie byłyby w stanie razem z Polakami powstrzymać Armii Czerwonej na Wschodzie. Propozycję paktu Canarisa uzupełniono tylko istotnymi dla rządu RP punktami, takimi jak: sądenie niemieckich zbrodniarzy wojennych winnych zbrodni na terytorium Polski przed polskimi sądami, rozpisanie plebiscytu na Warmii i Mazurach, czyli Prusach Wschodnich, oraz na Śląsku, by obywatele mogli się wypowiedzieć w sprawie przynależności państwowej, Wolne Miasto Gdańsk miało otrzymać polskiego prezydenta, by uniknąć sytuacji sprzed wojny, dokładnie ustalono proces reparacji wojennych oraz przekazywania uzbrojenia dla nowo zmobilizowanej polskiej armii i istniejących już oddziałów AK. Tak uzupełniony i podpisany przez premiera RP dokument Kurt von Mansfeld zabrał do Berlina. Tam podpisany przez admirała Canarisa miał wejść w życie po objęciu przez niego władzy. Mansfeld wrócił z podpisanym traktatem do Pescary, by rozpocząć przygotowania do operacji polskich komandosów w Alpach. Zamieszkał na ostatnim piętrze kamienicy w centrum miasteczka, jednym z domów, które przetrwały w całości przejście frontu. Niższe piętra stanowiły własność Adriana Carramusy, pięćdziesięciodwuletniego sutenera, dla którego czas wojny był prawdziwym złotym wiekiem. Jego burdel pękał w szwach. Przybytek od początku wojny zapełniał się żołnierzami włoskimi, niemieckimi, a teraz polskimi. Chłopcy szukali tu seksu, miłości i zapomnienia. Niektórzy przychodzili nawet tylko po to, żeby posiedzieć w towarzystwie dziewczyn, napić się, zjeść, pośmiać, poczuć się spokojniej niż na własnej pryczy, gdzie w każdym kącie namiotu czaiła się nadchodząca śmierć i tragedia. Wszyscy bez opamiętania zostawiali tu swój żołd. Na brak personelu nie narzekał. Wyniszczone wojną Włochy pełne były młodych kobiet, dla których prostytucja stała się jedynym sposobem na przeżycie. Nawet porządne dziewczęta musiały tak utrzymywać swoje rodziny, dzieci, młodsze rodzeństwo. Nic więc dziwnego, że w końcu lądowały pod skrzydłami Carramusy. Ten, kiedy było trzeba, był orędownikiem faszyzmu i Mussoliniego, a kiedy indziej wiernym poddanym Badoglia czy kogo tam akurat należało. Jak większość Włochów, potrafił się dostosować. Jego burdel był najbardziej neutralnym miejscem w całej Europie. Kosmopolityczny charakter przybytku był ponadczasowy i wynikał choćby z tego, że Polacy pili tu alkohol sprowadzony jeszcze przez niemieckiego kwatermistrza. Dlatego Carramusa się nie zdziwił, kiedy polski oficer wynajął całe górne piętro, a dzień później pojawił się w nim cywil mówiący po angielsku z wyraźnym niemieckim akcentem. Nawet gdyby to sam diabeł zapłacił za pokój złotem, napaliłby mu w kominku i zaniósł kolację.

Przez kolejne dwa tygodnie mieszkanie na ostatnim piętrze odwiedzali polscy oficerowie, poznając szczegóły planu Mansfelda. W miejscu, gdzie wchodzący i wychodzący o każdej porze dnia i nocy żołnierze nie wzbudzali żadnych podejrzeń, z dala od Anglików czy szpiegów NKWD, prowadzili pierwszą naprawdę samodzielnie operację polskich sił zbrojnych w tej wojnie po kampanii wrześniowej 1939 roku. Tutaj nie walczyli o wolne niebo Wielkiej Brytanii, nie walczyli na morzu o spokój alianckich

konwojów ani nie krwawili na piasku pustyni przez ropę dla alianckich czołgów. Zdradzeni przez wszystkich, osamotnieni, w końcu przejrzeni na oczy i zamierzali wykorzystać szansę, jaka się przed nimi pojawiła. To tutaj, na ostatnim piętrze włoskiego domu publicznego, ważyły się losy ich ojczyzny. W poniedziałek 26 czerwca 1944 roku po ciemnych, skrzypiących schodach kamienicy wszedł wysoki, barczysty porucznik o zimnym, beznamiętnym spojrzeniu. Paweł Reder tutaj od zastępcy pułkownika Gano otrzymał rozkazy, które zawiodły go do Berghofu. Tutaj poznał Kurta von Mansfelda i jego błyskotliwy plan. Na stole w jadalni przy słabym świetle mrugającej lampy, w powietrzu gęstym od dymu papierosowego, pośród porozkładanych map, poznał topografię austriackich Alp, trasę przez górskie jezioro, rozkład niemieckich posterunków i wzgórze, z którego doświadczony snajper jednym ruchem palca miał odmienić losy wojny. Kiedy po blisko dwóch tygodniach wyszedł z kamienicy po raz ostatni, nie był już tym samym człowiekiem. Niespełna dwa tygodnie spędzone ze zniechęconym wrogiem, oficerem Abwehry, nauczyły go, że wojen nie wygrywa się już bohaterską szarżą w szczerym polu, ale w zatęchłych pokojach zasnutych papierosowym dymem, gdzie brat sprzedaje brata i ustala się nowy światowy porządek. Kiedy rano 7 lipca Paweł Reder opuszczał przybytek Adriana Carramusy, słońce głaśniało go po twarzy ciepłymi promieniami. Pomyślał, że to dobry omen. Przyspieszył kroku, wszedł do zaparkowanego jeepa i pojechał na spotkanie z szóstką wybranych do zadania polskich komandosów.

Tak przesądził się los Hitlera i jego zbrodniczego reżimu.

## Nowe rozdzienie

Waszyngton wyglądał tego listopadowego dnia jak jedna wielka czerwona kokarda. Kolor czerwony, czyli barwa republikanów, przyozdabiał całe miasto. Fasady domów, witryny sklepów, taksówki – wszystko świętowało zaprzysiężenie republikańskiego prezydenta. Za ledwie dziesięć dni wcześniej, 7 listopada 1944 roku, Thomas Dewey pokonał Franklina Delano Roosevelta w wyborach powszechnych, a już dzisiaj odbywały się uroczystości inauguracyjne. Z powodu wojny odstąpiono od tradycji i przyspieszono zaprzysiężenie, by prezydent elekt mógł jak najszybciej przejąć władzę. Było to konieczne, ponieważ obietnice przedwyborcze prezydenta elekta zapowiadały całkowitą zmianę kursu polityki Stanów Zjednoczonych w wojnie w Europie. By nie trzymać w niepewności całej maszyny wojennej, poczynając od generałów, a na szeregowych kończąc, Senat uchwalił szybszy termin zmiany w Gabinetcie Ovalnym Białego Domu. Przed budynkiem Kongresu zebrało się całe miasto, a przynajmniej ci mieszkańcy, którym udało się dotrzeć w pobliże centrum obchodów tego wiekopomnego wydarzenia. Splendor i przepych uroczystości były tym razem nieco mniej spektakularne, gdyż, jak stwierdził sam Dewey, nie wypadało świętować, gdy młodzi Amerykanie przelewają krew za ojczyznę. Nie przeszkodziło to jednak temu, by prezydent zjechał przed Kapitol w wystawnym orszaku, co uwieczniły kamery kroniki filmowej. Gdy zatrzymał się przed budynkiem, tłum oszalał. Takich owacji nie dostał jeszcze żaden z prezydentów. Powitanie mogło się równać tylko z euforią, jaka ogarnęła Amerykanów po powrocie Lindbergha, kiedy pokonał Atlantyk w *Spirit of St. Louis*. Tym razem uwielbienie tłumów miało jednak inne, poważniejsze podłoże. Witany entuzjastycznie Dewey obiecał natychmiast zakończyć wojnę w Europie i zwrócić amerykańskich chłopców ich rodzinom na święta Bożego Narodzenia. Ta obietnica przedwyborcza rozeszła się po Ameryce niczym fala powodziowa od Alaski po Florydę, miazdząc kontrkandydata, czyli sprawującego urząd Roosevelta, ponad siedemdziesięcioprocentowym zwycięstwem. Nawet widmo ponownego wyjazdu żołnierzy, tym razem na front japoński, nie mogło zmącić dzisiejszej radości.

Trzydziesty trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych wszedł na schody Kongresu, gdzie prezes Sądu Najwyższego Felix Frankfurter przyjął jego przysięgę. Później prezydent Thomas Dewey zwrócił się do rodaków słowami: „Boże, błogosław Amerykę”, a długą przemowę zakończył odniesieniem do swojej misji: „Świat znalazł się na niebezpiecznym zakręcie dziejowym. Cywilizacji europejskiej grozi zagładę w straszliwym kataklizmie, do jakiego doprowadziły rządy autorytarne, fanatyzm, mistycyzm światopoglądowy. Rozpaczam rządy z ufnością, że z pomocą ludzi i ustrojów opierających się na moralności uda się zatamować tę falę przemocy, nienawiści i okrucieństwa. Tylko powrót do demokracji może ocalić Europę”.

Następnie uroczystości inauguracyjne przeniosły się do sal przyozdobionych w balony i girlandy w kolorach czerwonym, białym i niebieskim, gdzie roilo się od dam w sukniach o różnych odcieniach czerwieni, dostojników państwowych z całego świata, arystokratów, tuzów polityki i finansów.

Nie zabrakło również polskiej delegacji na czele z ambasadorem Janem Ciechanowskim i premierem Mikołajczykiem, który specjalnie przyleciał z Londynu. Nie przybył natomiast inny premier – sir Winston Churchill, obrażony na nowego prezydenta za zamiar przyjęcia kapitulacji Niemiec i wycofania amerykańskich żołnierzy z europejskiego teatru działań, okazał w ten sposób swoją dezaprobatę dla decyzji Deweya. Oficjalnie Churchill nie przyjechał z powodu choroby i Wielką Brytanię reprezentował minister spraw zagranicznych hrabia George Hamilton-Gordon IV. Nieobecny był również drugi przywódca koalicji trzech wielkich mocarstw, Józef Stalin, który wpadł w szal po wygranej Deweya i pobił oficera przynoszącego mu informację o wyniku amerykańskich wyborów. Byłby go nawet zabił, ale nieszczerliwie uratowała córka dyktatora, Swietłana, która powstrzymała furię ojca. Stalin w gniewie chciał zerwać stosunki z Waszyngtonem, ale Beria go uspokoił:

– Może to i lepiej, że imperialiści nie będą się wtrącać do Niemiec. Teraz będziemy mogli nieść ideę komunizmu dalej niż do Berlina, aż do zachodnich granic Niemiec, a kto wie, jak daleko jeszcze. Nasi żołnierze poradzą sobie bez Ameryki. My ich nie potrzebujemy, za to oni potrzebują nas w Chinach.

Stalin, nawet gdyby zmienił zdanie, nie przybyłby do Waszyngtonu, gdyż panicznie bał się latać. Do USA został wysłany Mołotow, który miał prowadzić z nową amerykańską administracją rozmowy odnośnie do dalszej wspólnej polityki Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego.

Kilka minut po północy uroczystości się zakończyły. Prezydent udał się na swój pierwszy spoczynek w Białym Domu, który dzielił jeszcze z poprzednim prezydentem. Z powodu przyspieszenia procedur Roosevelt nie mógł od razu przeprowadzić się do własnej posiadłości. Tak oto pod dachem Białego Domu zamieszkiwało dwóch prezydentów.

Ulice Waszyngtonu oświetliło krwawe słońce, wstał ranek następnego dnia. Dostawcy towarów już przed świtem ruszyli w teren, by o brzasku dotrzeć do swojej klienteli. Waszyngton był miastem ponadprzeciętnie zmotoryzowanym, więc ulice wypełnił odgłos pracujących silników aut wszelkich marek, z niekwestionowanym królem szos, samochodem niejakiego pana Forda. Stolarz Thomas O'Brien załadował zrobione przez siebie cztery solidne dębowe krzesła na pakę czerwonego fordka 50 z silnikiem v8, zamknął zakład i usadowił się w sferze. Za dwie godziny miał dostarczyć krzesła do sklepu meblowego Jamesa Evansa Juniora po drugiej stronie miasta, którego właścicielem był od lat jego najlepszym klientem. Sklep założył Evans Senior liczący już dziewięćdziesiąt sześć lat, z umysłem nad wyraz jasnym i lotnym, pomimo fizycznej niedołężności. Evans Senior z braku innych zajęć przesiadywał całymi dniami w sklepie, zrzedząc i strofując syna oraz wnuka, którzy przejęli rodzinny interes. Na myśl o spotkaniu z panem zrzedł stolarz uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że nie skończy się na dostarczeniu krzesel, stary Evans jak zawsze naciągnie go na pogawędkę o dawnych czasach. Wyjmie nalewkę z domowej bimbrowni Evansów i zacznie snuć opowieść o tym, jak to z ojcem Thomasa, Royem O'Brienem, budowali ten kraj. Evans poznał się z Royem, kiedy jako chłopcy trafili w szeregi unionistów i pomaszzerowali na Południe walczyć z konfederatami.

Roy O'Brien, jak tysiące rodaków, uciekł z Irlandii do Ameryki przed stonką ziemniaczaną i straszliwą plagą głodu, jaka przez te drobne owady nawiedziła ten mały wyspiarski kraj pełen sympatycznych ludzi i złośliwych skrzatów. Choć co do istnienia tych ostatnich toczono spory. Kiedy Roy O'Brien wypłynął do Ameryki, miał szesnaście lat i mało wiedział o skrzatach, a jeszcze mniej o życiu. Pewnie dlatego prosto z pokładu statku trafił do oddziału Unii, zamiast na obiecane bezbrzeżne równiny uprawnych pól. Tam poznał swojego rówieśnika Jamesa Evansa, którego tak jak i jego do armii przygnał głód. Nic więc dziwnego, że połączyła ich przyjaźń na lata. Młodzieńcy przeżyli piekło wojny secesyjnej, a że nie mieli później lepszych perspektyw, w kawalerii ganiłi Indian na preriach, wydzierając im kawałek po kawałek ten dziki, piękny kraj. W końcu w sukurs przyszły im natura i nauka, kiedy za pomocą koców z zarazkami ospy armia amerykańska dokończyła porządki z dumnymi czerwonoskórnymi tubylcami. Kiedy już nie było z kim walczyć, postanowili otworzyć własne interesy. Roy, pomny doświadczeń z Irlandii, postanowił trzymać się jak najdalej od rolnictwa. Obaj w życiu nie parali się niczym prócz wojaczki, strzelania i grzebania trupów. Po opuszczeniu wojska zatrudnili się w tartaku, obok którego produkowano meble. Tam Roy nauczył się fachu, który zaowocował warształem stolarskim w stolicy. Mężczyźni byli nierozłączni, więc James podążył za nim i zajął się sprzedażą mebli robionych przez przyjaciela. Tu poznali swoje przyszłe żony i założyli rodziny. Roy umarł już piętnaście lat temu, ale James Evans Senior wciąż twardo się trzymał. Dlatego zabierając krzesła do sklepu, Thomas wiedział, że musi sobie zarezerwować dodatkową godzinę na pogawędkę ze starym przyjacielem ojca. Inaczej staruszek go nie wypuści.

Zazwyczaj ruchliwe i tłoczne ulice Waszyngtonu o tej porze były jeszcze puste, więc czerwony ford zmierzał bez przeszkód do sklepu Evansów. Kiedy przejeżdżał obok okazałego trzypiętrowego budynku z powiewającą dumnie na wietrze biało-czerwoną flagą, silnik się zakrzuszył, zmniejszył obroty, po czym dało się słyszeć huk z rury wydechowej, czemu towarzyszyły kłęby czarnego dymu, które Thomas O'Brien zostawił za sobą, znikając za rogiem.

Kilka litrów chrzczonego wodą paliwa, które zakupił dzień wcześniej, wystarczyło, by zakłócić pracę silnika i jednocześnie wystrzałem z rury wydechowej zburzyć sen młodego kapitana Wojska Polskiego, Pawła Redera, który zerwał się na równe nogi z wygodnego łóżka na trzecim piętrze polskiej ambasady. Chwilę trwało, nim wyrwany z głębokiego snu uświadomił sobie, że nie zbudziła go niemiecka artyleria, tylko odgłosy miasta. Wyrównał oddech, sięgnął po papierosy i po raz pierwszy od otrzymania rozkazu wyjazdu do Stanów ucieszył się, że jest tutaj, a nie na froncie. Kiedy usłyszał, że przyszedł amerykański prezydent chce go odznaczyć za akcję w Berghofie, pomyślał, że robią sobie z niego żarty. Później przyszedł rozkaz, że ma dołączyć do polskiej misji dyplomatycznej lecącej do Waszyngtonu. Próbo-

wał się wykręcić, mówił, że to Pieniżek załatwił Hitlera i to on powinien lecieć, ale w końcu nie miał wyjścia i wraz z premierem Mikołajczykiem i kilkoma oficjelami przyleciał do Ameryki. Zaciągnął się dwa razy papierosem, zgasił go i już miał z powrotem walać się spać, gdy rozległo się pukanie do drzwi. „Kto, do cholery?“, pomyślał i spojrzął na zegarek zaspanym wzrokiem. Była już 7.00. Niechętnie ruszył do drzwi, gdyż przez niemiłosiernego kaca każdy ruch sprawiał mu ból. Do piątej rano świętował w pobliskim pubie z miejscowymi, w tym dwiema uroczyimi blondynkami, zaprzysiężenie nowego prezydenta i teraz ledwo zwiłkł się z łóżka. Pukanie do drzwi było niczym walenie młotem Thora w jego obolałą głowę. Otworzył. Na progu stał czarny lokaj w kolorowej, strojnej liberii czy innym stroju, którego nazwy Reder nie znał, i grzecznie, z wdziękiem zakomunikował:

- Pan ambasador prosi na śniadanie.
- Proszę przekazać, że zaraz zjeżdżę – odparł Paweł.

Zamknął drzwi i z tęsknotą popatrzył na łóżko i pościel, której już tak dawno nie doświadczył. Nie miał jednak wyjścia, musiał się ubrać i zejść na śniadanie. Sięgnął po mundur wiszący na krześle. Kiedy popatrzył na niego i na czwartą wiazdkę, którą otrzymał wraz z awansem na kapitana niecałe trzy miesiące wcześniej za operację w Alpach, od razu wrócił pamięcią do tamtych wydarzeń. Gdy przy wręczaniu kapitańskiej nominacji zażartował, że za Hitlera powinien otrzymać co najmniej pułkownika, generał Anders odparł: „Pułkownika dostaniesz za Stalina”. Paweł do dziś nie był pewien, czy generał żartował, czy mówił poważnie. No, ale taki był już Anders – inteligentny i nieprzenikniony. Zawsze karty trzymał przy orderach i był o krok przed innymi.

Szybko się ogolił, obmył twarz zimną wodą w łazience na końcu korytarza i zszedł na śniadanie. Zostało podane w wykwintnej jadalni ze stojącym rzeźbionym zegarem, połączanymi kandelabrami oraz długim stołem pośrodku, za którym już zajęto miejsca.

– Myślałem już, że pan do nas nie dołączy, kapitanie – przywitał Redera Stanisław Mikołajczyk. Był niski, korpulentny, zawsze energiczny i ruchliwy ponad swój wiek i stanowisko.

Reder miał przyjemność rozmawiać z nim dłużej w samolocie. Premier sprawiał wrażenie otwartego i przystępnego. Nie wywyższał się i chętnie wdawał w pogawędki z podwładnymi. Mówił szybko i Pawłowi wydawało się, że szczerze. Wiedział, że jego wojskowi przełożeni mają z premierem dość chłodne stosunki, ale na nim zrobił dobre wrażenie.

Paweł wyczuł lekki sarkazm w słowach premiera, który najwidoczniej znał powód jego opieszałości.

– Panie premierze, nie przywykłem jeszcze do służby w dyplomacji – odpowiedział, dostosowując ton do wypowiedzi Mikołajczyka.

– Jak się panu podoba Waszyngton? – zapytał ambasador Ciechanowski, mężczyzna około pięćdziesiątki, z wyraźną łysiną, która wyjątkowo przydawała jego szczupłej twarzy inteligencji.

– Ludzie są bardzo życzliwi. Szczególnie gdy widzą mundur. Miasto dużo spokojniejsze niż Londyn. Ciekawa odeskocznia od frontowej codzienności.

– Cieszę się, że byt panu podoba. To dla mnie zaszczyt gościć polskich żołnierzy.

– Bardzo dziękuję, panie ambasadorze, ale czuję się nieco niezręcznie, zostawiwszy kolegów z oddziału.

– Niepotrzebnie, przyda się panu trochę odpoczynku. Zresztą za kilka godzin wojna się skończy i pan weźmie w tym udział. Będzie pan miał co wnukom opowiadać – powiedział Mikołajczyk.

– Naprawdę myśli pan, że to koniec wojny?

– Nie, ale przyjmujemy kapitulację Niemiec, więc chociaż dzisiaj, do cholery, jest to powód do satysfakcji. Przynajmniej tak powinien pan myśleć. Tym, co przyniesie jutro, będziemy się martwić jutro – skwitował premier.

Srebrna zastawa z jedzeniem wyglądała zachęcająco, ale Paweł odczuwał jeszcze trudy nocy i zadowolili się jedynie kawą oraz grzanką ze smażonym boczkem. Śniadanie zjedli dość szybko, po czym wszyscy wchodzący w skład polskiej delegacji wsiedli do dwóch czarnych limuzyn i udali się do Kongresu na podpisanie kapitulacji Niemiec. Zgodnie z obietnicą przedwyborczą prezydenta Deweya kapitulacja miała zostać przyjęta niezwłocznie, by, jak powiedział prezydent: „W Europie nie zginął ani jeden żołnierz więcej niż to konieczne”. Jej warunki ustalono już wcześniej, za pośrednictwem polskiego rządu i służb wszystkich zainteresowanych.

Po objęciu władzy przez Canarisa w lipcu polityka Niemiec uległa zmianie. Mając na względzie operacje tajnych służb prowadzące do zmian w Białym Domu, uzyskania pokoju ze Stanami Zjednoczonymi i tym samym wszystkimi aliantami, Canaris dążył do ograniczenia walk na froncie zachodnim

i wzmocnienia frontu wschodniego. W tym celu wycofał wojska z Półwyspu Apenińskiego i przeniósł 10. oraz 14. Armię Grupy Armii C na teren Rumunii. Tam miały wspomóc Grupę Armii Południowa Ukraina i wojska rumuńskie broniące strategicznych pól naftowych w Ploeszti przed Armią Czerwoną. Marszałka Kesselringa zastąpił dotychczasowy zastępca, generał Heinrich von Vietinghoff. Ta śmiała i przeprowadzona na początku sierpnia z wielkim rozmachem operacja transferu armii 10. i 14. w skład Grupy Armii Południowa Ukraina i zwiększenia jej stanu o trzydzieści procent, do prawie miliona żołnierzy, z jednoczesnym cofnięciem frontu do Karpat Wschodnich i przewężenia Bramy Foksańskiej, zgodnie z sugestiami generała Guderiana, chwilowo zatrzymała ofensywę radzieckiego 2. i 3. Frontu Ukraińskiego. Niemieckie wojska, uzależnione od ropy z Ploeszti, utrzywały zdolność bojową. Nie bez znaczenia była też nieobecność Hitlera, który nie wtrącał się już w decyzje generałów swoimi tragicznymi w skutkach rozkazami utrzymania pozycji za wszelką cenę. Uzyskując ponownie możliwość manewrów, dowódcy Wehrmachtu mogli wycofywać się na pozycje o lepszym potencjale obronnym i często kontratakować, koncentrując na konkretnym odcinku frontu kilka dywizji.

Na zachodzie Niemcy wycofali się z Francji za Linie Zygfryda, wysadzając po drodze wszystkie mosty, pasy startowe na lotniskach, a nawet burząc budynki w centrach miast i utrudniając w ten sposób przemarsz alianckich czołgów. Linia Zygfryda, nazywana też Wałem Zachodnim, stanowiła zaporę nie do przejścia dla alianckich armii. Był to zbudowany po I wojnie światowej prawie siedmiusetkilotrowy pas umocnień w postaci tysięcy bunkrów, zapór przeciwczołgowych, pól minowych i zasieków z drutu kolczastego biegnący z północy na południe wzdłuż granic Belgii, Luksemburga i Francji. Stanowił odpowiedź na francuską Linie Maginota, zaporę równie niedostępną dla atakujących. Na całej długości Linie Zygfryda oblegały wojska sprzymierzonych, lecz nie były w stanie przebić się nawet kilka kilometrów za linię frontu. Tak jak wojska Hitlera w 1940 roku wyruszyły na podbój Francji, omijając Linie Maginota, tak alianci natarcie na Niemcy musieli przeprowadzić na północ od Linii Zygfryda przez kraje Beneluksu. Po szybkim wyzwoleniu całej Francji, opuszczonej przez Niemców prawie bez walki, aliancka ofensywa utknęła w Belgii, gdzie marszałek Rommel stworzył twierdzę wokół portu w Antwerpii, przeprowadzając jednocześnie kontruderzenie z kierunku południowego zza granicy belgijsko-niemieckiej. Obie armie utknęły w śmiertelnym klinczu na obszarze trzystu kilometrów kwadratowych, ponosząc ciężkie straty. Niemożność zdobycia Antwerpii wydłużyła alianckie dostawy zapasów i uzbrojenia, dając przewagę Niemcom znajdującym się blisko połączeń z fabrykami w Zagłębiu Ruhry i portami w Hamburgu oraz Bremie. Do zaopatrzenia broniącej się Antwerpii wykorzystywano specjalnie zmodyfikowane U-booty, które transportowały żywność, broń, amunicję, części zamienne i nowe roczniki Wehrmachtu, z powrotem zabierając rannych. Jednocześnie Kriegsmarine nie pozwalała zaatakować portu od strony morza brytyjskiej Royal Navy.

Niepowodzeniem zakończył się też desant alianckich wojsk powietrznodesantowych na terytorium Holandii. Na skutek źle zaplanowanej przez marszałka Montgomery'ego operacji mającej na celu obejście od północy niemieckich umocnień prawie dwadzieścia tysięcy żołnierzy wojsk sprzymierzonych zginęło lub dostało się do niewoli. Tylko dzięki złej pogodzie utrzymującej się przez trzy dni i uniemożliwiającej start samolotom Polska Samodzielna Brygada Spadochronowa uniknęła uczestnictwa w operacji holenderskiej i ogromnych strat.

Na froncie wschodnim chwilowo panowała stagnacja. W Polsce Rosjanie zatrzymali się na linii Wisły, zadowalając się zdobyciem Warszawy, opuszczonej bez walki przez Niemców. Armia Czerwona zbierała siły i przygotowywała się do ostatecznego uderzenia na Prusy Wschodnie i w kierunku Odry, przewidzianego na koniec roku. Tylko na południu Grupa Armijna Heinrici wraz z 1. Armią Węgierską stawiała opór na Przełęczy Dukielskiej natarciu w kierunku Słowacji i Frontu Ukraińskiego pod dowództwem marszałka Koniewa. Żołnierze rzucający do walki przez Koniewa ponosili ogromne straty, tracąc w ciągu kilku tygodni walk ponad sto tysięcy żołnierzy, osiągnęli jednak powoli swój cel i wydało się, że rozbicie sił niemiecko-węgierskich na tym odcinku frontu jest kwestią miesiąca lub dwóch. Jednocześnie w Jugosławii i Grecji z partyzantami walczyła Grupa Armii F przy wsparciu jednostek chorwackich i bośniackich. Niemcy utraciły sojusznika w Finlandii, która po zaciętej obronie w lecie 1944 roku odparła natarcie Armii Czerwonej, ale pod wpływem sytuacji politycznej i zachodnich polityków była zmuszona poddać się we wrześniu i przejść na stronę aliantów. Podobny los spotkał republiki bałtyckie zajęte przez Armię Czerwoną.

Sytuacja Niemców na frontach chwilowo wydawała się opanowana, lecz była to iluzja. Walka na dwóch frontach nieuchronnie doprowadziłaby do klęski. Nie zmieniłaby tego nowa, lepsza strategia nie-

mieckiego dowództwa i przestawienie produkcji na mniejszą liczbę typów produkowanych czołgów czy samolotów, by zwiększyć dostawy na front. Tej wojny Niemcy po prostu już nie mogli wygrać. Lada chwila na skutek przewagi aliantów niemiecka obrona runęłaby niczym domek z kart. Canaris był tego świadomy i wiedział, że jedynym ratunkiem jest plan jego podwładnego, Kurta von Mansfelda, odciążenia Stanów Zjednoczonych od wojny w Europie. Zostawił mu wolną rękę do działania, gdy ten obiecał, że doprowadzi do przegranej w wyborach Roosevelta i sprawi, by nowy prezydent podpisał pokój z Niemcami. Dlatego czynił wszystko, by do listopada 1944 roku Niemcy utrzymały wszystkie najważniejsze strategiczne punkty. Armia niemiecka musiała wyglądać na silną i taką, której pokonanie zajmie miesiące lub lata oraz zostanie okupione krwią setek tysięcy żołnierzy. O ile straty własne dla Stalina były czymś nieistotnym, o tyle Amerykanie musieli się z tym liczyć, tym bardziej że prowadzili jednocześnie wojnę w drugim rejonie – na Pacyfiku.

Tajne porozumienie rządu RP z Niemcami wpłynęło też na politykę polskich władarzy. Trudny moralnie do przyjęcia sojusz z Niemcami wydawał się jedyną alternatywą prowadzącą do polskiej niepodległości. Od lipca generał Sosnkowski po naradzie z generałem Andersem i kilkoma innymi najważniejszymi generałami ustalił nową strategię działań dla Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i Armii Krajowej. Wstrzymano akcję „Burza”, która w założeniach miała prowadzić w miarę postępu Armii Czerwonej na terytorium Polski do wspólnej walki AK i Rosjan przeciwko Niemcom. Tak by oddziały AK były jednocześnie na wyzwolonych terenach przedstawicielem rządu RP i by na tych obszarach Sowieci nie mogli organizować prokomunistycznej administracji. Niestety po zdobyciu Wilna 13 lipca, w którym znaczny wkład miało pięć tysięcy żołnierzy wileńskiego i nowogródzkiego AK, Sowieci podstępnie zwabili polskich dowódców, uwięzili i wywieźli w głąb ZSRR. Żołnierzy rozbrojono, aresztowano i wysłano do obozów na Syberii. Podobnie NKWD i Smiersz postąpiły z AK Okręgu Lwowskiego. Zabroniono więc dowódcom AK ujawniania swoich oddziałów i polecono pozostać w ukryciu, a jednocześnie prowadzono werbunek i gromadzono uzbrojenie w tajemnicy przed Sowiecami. W miarę możliwości oddziały AK miały być przenoszone na zachód Polski, z dala od NKWD, oraz do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Na mocy porozumienia rządu RP i Niemiec Canarisa, podpisanego 25 czerwca 1944 roku, wydano rozkaz zabraniający AK walki z Niemcami, chyba że wymagałyby tego ochrona cywilów. Taki sam rozkaz otrzymały oddziały Wehrmachtu i SS stacjonujące w Polsce. Jednocześnie Niemcy wypuścili więźniów przetrzymywanych w obozach koncentracyjnych, więzieniach gestapo, skończyły się łapanki i aresztowania.

W związku z zatrzymaniem akcji „Burza” do stolicy został zrzucony generał brygady Leopold Okulicki, który miał powstrzymać szefa Sztabu Komendy Głównej Armii Krajowej, Tadeusza Bora-Komorowskiego, przed rozpoczęciem zaplanowanego na 1 sierpnia powstania w Warszawie. Bór miał wstrzymać akcję, jak kazał mu Sosnkowski, pod groźbą sądu polowego. Zrobił to w ostatniej chwili. Finalnie Niemcy wycofali się z Warszawy bez walki z Polakami. Nie obyło się bez incydentów, gdy młodzi Polacy wbrew rozkazom otworzyli ogień do wycofujących się Niemców i wywiązała się walka, nie dopuszczono jednak do eskalacji konfliktu. Do opuszczonej przez Niemców Warszawy weszły wojska Armii Czerwonej i 1. Dywizji Wojska Polskiego im. Tadeusza Kościuszki, owacyjnie witane przez warszawiaków. Po pięciu latach niewoli stolica wypełniła się polskimi flagami, a ludność cieszyła się wolnością. Wolnością iluzoryczną, na którą ponury cień rzuciły sowieckie czołgi i oddziały NKWD podążające za wojskiem. Komenda Główna AK miała nadal do odwołania działać w konspiracji.

W odpowiedzi na utworzenie przez Stalina w lipcu 1944 roku w Lublinie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego rząd RP wydał oświadczenie, że jest jedynym legalnym organem władzy polskiej, a PKWN może jedynie doraźnie i chwilowo funkcjonować na świeżo wyzwolonych obszarach Polski. PKWN był zdominowany przez polskich komunistów i funkcjonował pod polityczną kontrolą Kremla. W tym momencie nie było jednak mowy o powrocie Mikołajczyka i rządu londyńskiego do Polski bez poparcia aliantów, a głównie Stanów Zjednoczonych. Zachodziła obawa, że Sowieci od razu pod byle pretekstem aresztowaliby polski rząd i wywieźli w głąb ZSRR. Postanowiono czekać do listopada na amerykańskie wybory i spodziewaną zmianę prezydenta. Wierzono, że zmieni to sytuację polityczną Polski, która uzyska poparcie w dążeniu do samoistnienia.

Polska delegacja dotarła do Kapitolu jako ostatnia. Zostali zaprowadzeni w szpalerze ludzi gromadzących się przed budynkiem, chcących jako pierwsi usłyszeć o zakończeniu wojny. W budynku poproszono Redera, by zaczął w odrębnym pomieszczeniu, natomiast premier Mikołajczyk z ministrem



Tadeuszem Romerem i generałem Klemensem Rudnickim udali się do sali głównej, w której znajdowali się już przedstawiciele zwycięskich mocarstw: Wielkiej Brytanii i Francji oraz pokonanych, czyli Niemiec. Po drodze minęli w korytarzu Mołotowa. Czerwoną z oburzenia twarz i niebieskie oczy Mikołajczyk dobrze pamiętał z wrześnieowego spotkania w Moskwie, podczas którego wraz ze Stalinem okazali mu bezczelnie swoją wyższość. Wysłany tam przez Churchilla, by „dogadał się z Rosjanami”, przeżył największe upokorzenie w swoim życiu. Tam oficjalnie dowiedział się od Stalina, że sojusznicy ich zdradzili, kreśląc przy koniaku Linie Curzona, nowe granice Polski, oddali całe wschodnie tereny Rosjanom i zaaprobowali marionetkowy komunistyczny PKWN. Teraz niebieskie oczy Mołotowa miały inny odcień. Był tak wściekły, że nie odpowiedział nawet na ukłon Mikołajczyka, który z gracją i nieukrywaną satysfakcją uchylił kapelusza. Mołotow prawie potrącił go ramieniem, gdy się mijali. Premier nigdy nie widział, by ten szakal polityki poruszał się tak szybko. W Moskwie Mikołajczyk musiał udawać, że o niczym nie wie, kłaść uszy po sobie i gryźć się w język, by nie zepsuć amerykańskiej wywiadowej partii szachów. Oplaciło się. Dzisiaj to on był górą, a Mołotow wracał do Moskwy przegrany.

Rozmowa Mołotowa z nowym prezydentem zakończyła się fiaskiem. Dewey zaprosił radziecką delegację, by nakłonić Rosjan do podpisania wspólnego aktu kapitulacji Niemiec. Deweyowi zależało na porozumieniu ze Stalinem, ale nie za cenę ustępstw, na które poszedł Roosevelt. Wcześniej, nie będąc jeszcze prezydentem, obiecał w tajnym protokole uznanie przedwojennych granic Polski i dążenia tego kraju do zwrotu ziem zajętych przez ZSRR we wrześniu 1939 roku. Na korzyść Polski działał nie tylko tajny układ z republikańskim prezydentem, ale też to, że Dewey był innym człowiekiem niż Roosevelt. Prawym, brzydzącym się fałszem i obłudą. Nieustraszony prokurator, który wypowiedział wojnę mafii i dopadł Dutcha Schulza oraz Lucky'ego Luciana. Kiedy spotkał się z polskim premierem, wiedział, jak z polskimi sojusznikami postąpił Roosevelt, i było mu po prostu wstyd. Powiedział wtedy do Mikołajczyka: „Nawet w polityce trzeba mieć jakąś moralność. Przepraszam pana w imieniu kochającego wolność i demokrację narodu amerykańskiego”.

Negocjacje z Rosjanami toczyły się przez bite pięć godzin i nie przyniosły konsensusu. Stalin żądał respektowania umów zawartych w Teheranie przez Roosevelta, nieprzyjmowania kapitulacji Niemiec i prowadzenia wojny aż do zajęcia Berlina z późniejszym przestrzeganiem stref okupacyjnych Niemiec i granic na wschodzie, w tym Linii Curzona. Dewey w przeciwieństwie do Roosevelta nie miał jednak zamiaru oddać Stalinowi połowy Europy. Nie tylko ze względu na umowy z Polakami, widział też potencjał rosnącej w siłę Armii Czerwonej i mocarstwowe zapędy Stalina. Mimo to nie chciał mieć w nim wroga. Obiecywał Rosjanom zwiększenie strefy, gdzie stacjonowałyby wojska radzieckie wchodzące w skład sił korpusu pokoju, który miał liczyć milion alianckich żołnierzy i jeszcze przez pięć lat stacjonować w Niemczech. Radziecka strefa miała powiększyć się kosztem francuskiej. Rosjanie mieli otrzymać odszkodowanie od Niemiec dwukrotnie wyższe niż Amerykanie i możliwość transportu niektórych niemieckich fabryk ze swojej strefy do ZSRR w ramach reparacji. Dodatkowo strona amerykańska zobowiązała się zrezygnować z odzyskania połowy kosztów operacji Lend Lease, w ramach której ZSRR otrzymał uzbrojenie od Stanów Zjednoczonych.

Mołotow mający pełnomocnictwa Stalina nie chciał jednak pójść na żadne ustępstwa i rozmowy zakończyły się bez porozumienia. Rosjanin oświadczył, że jego kraj czuje się oszukany i wobec tego będzie sam prowadził wojnę z faszyzmem. Odmówił też wszelkich negocjacji na temat granic, tłumacząc, że Związek Radziecki wobec zerwania poprzednich umów musi zweryfikować swoją politykę. W trakcie rozmów przewinęła się sprawa wschodnich granic Polski, na co Mołotow odpowiedział, że wyzwoleni marsz Armii Czerwonej bronił tych terenów przed Niemcami i na prośbę żyjącej tam ludności przyłączył zachodnie Białoruś i Ukrainę do Republik Sowieckich. Wobec tego żadna rewizja tych granic nie jest możliwa.

Delegacja polska w składzie: premier Mikołajczyk, minister spraw zagranicznych Tadeusz Romer i generał Klemens Rudnicki została wprowadzona do sali, gdzie po przeciwnych stronach ustawiono długie stoły z opisanymi miejscami. Mikołajczyk znalazł kartkę ze swoim nazwiskiem, pogładził niebieskie sukno, którym nakryto stół, jakby chcąc się zaprzyjaźnić z tym ważnym dzisiaj meblem. Po jego prawicy zasiadł Tadeusz Romer, uznany polityk i były ambasador RP w Japonii. Przez rok pracował też w ZSRR, był rzecznikiem praw nieszczęślików deportowanych przez NKWD. Z racji znajomości tematyki zarówno ZSRR, jak i Japonii znalazł się w składzie polskiej trójki. Premier nie darzył Romera sympatią z powodu jego korzeni, ponieważ płynęła w nim błękitna krew. Był on potomkiem Stanisława Augusta. Wprawdzie po linii nieślubnego syna, ale miał swój herb i nie krył dumy z tego powodu, przy-

poninając o tym przy byle okazji. Co oczywiście irytowało działacza Stronnictwa Ludowego Mikołajczyka. Premier cenil jednak ministra spraw zagranicznych za niezwykłą fachowość. Trzecim członkiem delegacji był przedstawiciel polskich sił zbrojnych, generał Klemens Rudnicki. Rotmistrz Szwoleżerów Rokitniańskich, dowódca 9. Pułku Ułanów Małopolskich, na którego czele walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku. Aresztowany przez NKWD trafił na Łubiankę, skąd wyszedł dopiero w 1941 roku. Po układzie Sikorski–Majski trafił do Armii Andersa i był cenionym dowódcą. Początkowo do Waszyngtonu mieli przybyć Sosnowski i Anders, lecz obaj stwierdzili, że ich miejsce jest przy armii, gdyż prowadzili właśnie nową mobilizację, przygotowując Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie do powrotu na łono ojczyzny. Rudnicki został wytypowany przez Andersa, żeby reprezentował Wojsko Polskie w tym ważnym wydarzeniu. Budujące było to, że trzy mocne charakterologicznie osobowości, które przed wojną reprezentowały przeciwstawne ideologicznie fakcje, dogadały się dla dobra ojczyzny i ramię w ramię walczyły o polskie interesy.

Sala była już pełna, brakowało tylko prezydenta Deweya, który jeszcze przed chwilą próbował okiełznać radzieckiego niedźwiedzia. Przy stole aliantów obok Polaków zasiadli m.in. minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii hrabia George Hamilton-Gordon IV oraz generał Jean de Lattre de Tassigny z Republiki Francuskiej, a także przedstawiciele krajów Beneluksu, Danii i Grecji. Za stołem naprzeciwko zasiadli Niemcy reprezentowani przez generała Hansa Oстера, obecnie szefa Abwehry i prawą rękę Canarisa, generała Carla Friedricha Goerdelera, wiceprezydenta Niemiec, i feldmarszałka Günthera von Klugego plus kilku niższych rangą oficerów. Co chwilę błyskały flesze fotoreporterów chcących uwiecznić każdy moment. Oczywiście największym zainteresowaniem cieszyli się Niemcy, którzy milcząc, z twarzami pokerzystów, współtworzyli ten spektakl. Günther von Kluge sięgnął do kołnierzyka munduru, próbując bezskutecznie go poluzować. Niemiłosierny upał panujący w dużym, lecz słabo klimatyzowanym pomieszczeniu wypełnionym po brzegi ludźmi uaktywnił jego klaustrofobię. Dziesiątki wpatrzonych w niego osób sprawiały, że trudna dla feldmarszałka niezwykniętej jeszcze rok temu armii kapitulacja stała się upiornym koszmarem. Pomyślał, że wolałby teraz w ciasnym pancerzu czołgu prowadzić dywizję na sowieckie tanki, niż znosić tutaj to upokorzenie. Gdy sięgnął po kryształową karafkę, by nalać sobie wody i zwilżyć wyschnięte gardło, włączono kamerę stojącą pod ścianą i do pomieszczenia w asyście sekretarza wszedł prezydent Stanów Zjednoczonych. Jak w kościele po wejściu księdza w sali ucichły rozmowy i zapanowała cisza. Dewey bez zbędnych wstępów rozpoczął czytanie najważniejszych punktów aktu kapitulacji. Jak na byłego prokuratora przystało, robił to nierzym na sali sądowej, przez co kołnierzyk munduru Günthera von Klugego stał się jeszcze ciaśniejszy.

Pierwsze, najważniejsze zdanie brzmiało:

„My, niżej podpisani, działając z upoważnienia Naczelnego Dowództwa Niemieckich Sił Zbrojnych, niniejszym bezwarunkowo poddajemy przed Najwyższym Dowództwem Alianckich Sił Ekspedycyjnych wszystkie siły na lądzie, morzu i powietrzu, które pozostają w dniu dzisiejszym pod niemiecką kontrolą”.

Dalej podawano inne, mniej istotne treści, po czym dokument został podpisany przez stronę niemiecką, a następnie wszystkie delegacje aliantów oprócz radzieckiej, która nie zaaprobowała kapitulacji i tym samym nie była w niej stroną.

Następnie sekretarz stanu przeczytał deklarację Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec, która ogłaszała: *Całkowitą klęskę III Rzeszy.*

*Winę Niemiec za rozpętanie wojny.*

Sprawowanie kontroli na terenie Niemiec przez korpus pokojowy. Podział Niemiec na cztery strefy kontroli, w których przez następne pięć lat mają stacjonować wojska amerykańskie, brytyjskie, francuskie i w części wschodniej polskie, mające zastąpić wcześniej przewidziane siły radzieckie. Korpus pokojowy miał kontrolować uregulowanie w przyszłości sytuacji prawnej Niemiec, czyli likwidację wszelkich organizacji hitlerowskich, usunięcie hitlerowców z urzędów, ukaranie osób winnych zbrodni wojennych, zbrodni przeciw ludzkości i przeciw pokojowi, kontrolę niemieckich badań naukowych i produkcji, wypłatę odszkodowań, rewizję granic, przesiedlenia ludności niemieckiej z Czechosłowacji, Polski i Węgier do stref okupacyjnych i inne mniej istotne zagadnienia.

Po podpisaniu dokumentów prezydent Dewey uściśnił dłoń Carla Goerdelera, wygłaszając znamienne zdanie: „By rozproszyć mrok, warto wejść na chwilę w ciemność”, co tłumaczono później jako wybór mniejszego zła przez amerykańskiego prezydenta.

Kiedy sala opustoszała, w amerykańskich radioodbiornikach rozległ się głos wzruszonego spikera: „Zwycięstwo! Koniec wojny z Niemcami!”.

Po chwili cały wolny świat oszalał ze szczęścia. Ludzie w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Londynie, Paryżu, Amsterdamie i Warszawie wylegli na ulice, ciesząc się i płacząc. Młodzi mężczyźni, korzystając z okazji, całowali dziewczyny. Nieznajomi padali sobie w ramiona.

Tymczasem Paweł Reder czekał w małym pokoju na tyłach Kapitolu. Został poinformowany, że prezydent Dewey chce go poznać osobiście i przyjmie go przy okazji spotkania z polską delegacją zaraz po podpisaniu kapitulacji i konferencji prasowej. W pokoju o ścianach zastawionych regałami wypełnionymi prawniczymi książkami znajdowały się stolik kawowy, ustawione wokół niego eleganckie skórzane fotele, a pod wysokim oknem barek w kształcie globusa z markowymi alkoholami. Na kominku leżało pudełko cygar, a właściwie po cygarach, bo było puste. Ten niechybny akt kradzieży w wykonaniu jednego z amerykańskich parlamentarzystów lub służbę zirytował Pawła, gdyż zbliżając się do kominka, nabrał ochoty na cygaro. Jakież było jego rozczarowanie, kiedy puste pudełko wykazało niedoskonałości amerykańskiej demokracji. Chcąc nie chcąc, sięgnął do kieszeni i wyciągnął własne papierosy. Usadził się wygodnie w fotelu i zaczął przeglądać leżące na stoliku gazety. Kiedy małe literki zaczęły go nużyć, a brak snu zeszłej nocy wywołał ziewanie, zanosilo się na to, że przytnie komara w tym przytulnym salonie w budynku Kapitolu, podczas gdy kilka pomieszczeń dalej ważyły się losy świata. Zapewne tak by się stało, gdyby nie rozbudziło go skrzypnięcie otwieranych drzwi. Siedział w fotelu tyłem do nich, więc nie widział, kto wchodzi. Pomyślał, że pewnie jakiś amator porannego kieliszka wymknął się na jednego z oficjalnych uroczystości. Jego oczy ponownie spoczęły na gazecie, w której pisano, jak dawne sufrażystki cieszyły się z praw wyborczych oraz że w obwoźnym cyrku z Alabamy, który odwiedził Waszyngton, można obejrzeć kobietę-jaka. Następnie rzucił okiem na reklamę nowego chevroleta na ostatniej stronie i wtedy poczuł na sobie świdrujące spojrzenie. Wzrok osoby, która weszła do saloniku i jeszcze przed chwilą pobrzękiwała butelkami, co potwierdzało jego domysły o senatorze alkoholiku. Poczuł się dość dziwnie, podniósł więc głowę na stojącą przy flaszkach postać. Ku swojemu zdziwieniu zamiast grubego okularnika w garniturze, z czerwoną twarzą, zobaczył wysokiego mężczyznę w mundurze oficera Abwehry. W ręce trzymał szklaneczkę i patrzył na niego z dziwnym uśmiechem jak ktoś znajomy. Mierzyli się tak wzrokiem przez kilka sekund, gdy Pawła ogarnęło uczucie, że gdzieś już widział tę twarz, ale ni cholery nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach.

– Mówią, że góra z górą się nie zejdzie, a tu proszę. Co pan tu robi, poruczniku? – zwrócił się do niego nieznajomy po niemiecku.

Wtedy go olśniło. To Niemiec z Włoch, jak on miał... Mansfeld... Kurt von Mansfeld. Nie poznał go od razu, bo zawsze widział go po cywilnemu, w garniturze, a teraz był w szwabskim mundurze.

– Kapitanie – sprostował odruchowo.

– Widzę, że docenili pana poczynania w Alpach. W końcu dzięki temu błyskają dziś flesze. – Nalał alkoholu do drugiej szklaneczki i podał Rederowi z szerokim uśmiechem. – Za to wypijmy.

Na wpół zaspany Reder na widok niemieckiego munduru i brzmienie znenawidzonego języka poczuł, że coś w nim pęka. Wróciły koszmary. Przed oczami stanęły obrazy z alpejskiego lotniska i twarze bliźniaków, którzy zginęli na jego oczach. Cała wściekłość i nienawiść, które tłumili od września 1939 roku, nagromadziły się i znalazły ujście w tej jednej chwili. Poczuł, jak fala gorąca zalewa mu twarz. Złapał butelkę ze stolika i targnięty jakąś dziwną, niekontrolowaną siłą przywalił Szwabowi w łeb, tak że ten zachwiał się i znieruchomiał. Spod czapki pocięła czerwona strużka. Ranny nie przedstawiał się uśmiechać. Reder uderzył po raz drugi, tym razem dał się słyszeć trzask kości pękających pod ciężką butelką z grubego zielonego szkła. Niemiec zwałił się jak długi na podłogę, krwawiąc obficie z pękniętej czaszki i nadal nie przestając się uśmiechać. W furii Reder ukląkł i dalej walił butelką w głowę martwego już Mansfelda tak długo, aż wytknął na dywan pół mózgu z roztrzaskanej czaszki.

Nagle świat przed oczami zaczął mu wirować. Wszystko się rozmazało i pociemniało. Poczuł, że za chwilę chyba straci przytomność. Zamknął oczy i złapał się stolika, żeby się nie przewrócić. Wtedy usłyszał głos, najpierw dochodzący gdzieś z daleka, a potem coraz bardziej realny.

– Panie kapitanie... Panie kapitanie, dobrze się pan czuje?

Otworzył oczy. Przy nim stał Mansfeld, podtrzymując go za ramię, by się nie przewrócił. Blackout, którego doświadczył, miał i Reder powoli dochodził do siebie. Stał przed Mansfeldem blady jak ściana, chwycić się na miękkich nogach.

– Niech pan usiądzie – powiedział Kurt, widząc, co się z nim dzieje. Sam wychylił szklaneczkę, którą trzymał, a Rederowi przyniósł wermutu. – Proszę wypić. To pobudzi krążenie.

Reder wychylił jednym haustem wermut, który przywrócił naturalne kolory jego twarzy.

– Upiory wojny... – rzekł cicho, kontemplacyjnie Mansfeld, jakby jednocześnie pytając i odpowiadając sobie. Usiadł w fotelu naprzeciwko.

Paweł nie miał zamiaru trafić na jego kozetkę i opowiadać mu o tym, co przed chwilą przeżył. Przecież nie będzie opowiadał obcemu typowi, w dodatku Niemcowi, że taką akcję ma już nie po raz pierwszy. Od czasu rzezi pod Monte Cassino, gdzie spędził cztery godziny w wyrwie pod skałą, leżąc obok umierających żołnierzy, w kałuży krwi, próbując wypchać z powrotem wypadające z brzucha flaki szeregowego Matczaka. Cztery godziny czekania na posiłki, amunicję i sanitariuszy, bo ci idący z pierwszym natarciem leżeli martwi obok rannych, których próbowali ratować. Jak okiem sięgnąć, wszędzie ciała. Zewsząd swąd spalenizny, hałas bijących z góry CKM-ów i świst walących po skałach pocisków. Od tego czasu już kilka razy zdarzyło mu się zaślabnąć na wspomnienie tej traumy. Ale dzisiejszy odlot to było coś nowego.

– Nic takiego. Wczorajsza noc. – Przecież nie powie Niemcowi prawdy. Nawet się ucieszył, że nie rozwalił mu łba. Podczas planowania we włoskim burdelu trochę go polubił. Zawsze w cywilu, po angielsku, wystawiał mu Hitlera jak na tacy. Paweł wiedział, kim jest, ale cenił jego inteligencję i błyskotliwość. Dopiero teraz, gdy zobaczył go w mundurze Abwehry, dotarło do niego, że to przecież pierzyny Szwab.

– Ja też budzę się w nocy z krzykiem. Żona pyta, co się stało, ale przecież nie powiem jej, że właśnie mi się śniło, że ją i dziewczynki gwałcili i zakłuwali bagnietami Sowietci – uzewnętrznił się Mansfeld, patrząc na dno pustej szklaneczki. Jak gdyby nie dowierzał wersji rozmówcy o kacu.

– Może tak byłoby sprawiedliwie – mruknął Paweł.

– Może... – Mansfeld westchnął.

Nastała krępująca cisza, którą przerwał Kurt, gdy zauważył, że Reder wyciąga papierosy.

– Czekaj, dostałem od von Klugego kubańskie cygara.

Sięgnął do kieszeni i wyjął dwa partagasy, których historia produkcji sięgała 1845 roku.

Paweł pomyślał, że to ironia, iż po raz drugi okradziony przez sojuszników, tym razem z cygar, znowu pomoc otrzymuje od Niemca.

Wziął cygare i odgryzł czubek, tak jak to zrobił Mansfeld z braku gilotynek czy choćby noża. Niemiec podał mu ogień zapalniczką i wkrótce salonik wypełnił się dymem oraz przyjemnym aromatem cygar.

– Ciekawe, że się tu spotykamy. Co cię tu sprowadza? – ponownie przerwał ciszę Mansfeld.

No proszę, w Pescarze byli per pan, a teraz Niemiec przeszedł na formę towarzyską. W sumie miało to sens: tam byli służbowo, teraz rozmawiali prywatnie.

– Podobno prezydent chce mnie poznać – wyjaśnił Paweł.

– No, no, widzę, że sława cię nie ominęła. Tylko że to miała być tajemnica. Gdyby się wydało, że to nie Himmler...

– To jest tajemnica. Tylko Mikołajczyk musiał się czymś pochwalić przed nowym Wielkim Bratem. W cztery oczy, więc raczej nie musisz się martwić.

– Cieszy mnie to bardzo.

– Przynajmniej dopóki jesteśmy sojusznikami – dorzucił Reder.

Żart nie bardzo rozśmieszył Mansfelda.

– A co ciebie tutaj sprowadza? Bo raczej nie przebyłeś oceanu, żeby spijać szampana.

– Zawartość tego. – Tu Niemiec uniósł zapalniczkę, którą cały czas się bawił.

– Benzyna?

– Tak, a dokładnie ropa. W zasadzie nie powinienem ci mówić, bo to ściśle tajne, ale jesteśmy współpracownikami w zbrodni i teraz sojusznikami, więc... – Mansfeld zrobił przerwę na łyk wermutu i pyknięcie cygara, a właściwie na to, żeby ciekawość rozmówcy dojrzała i docenił on dopuszczenie do tajemnicy. – Baku. Dlatego tu jestem. Dowództwo wymyśliło, że trzeba częściowo odciąć Rosjan od dostaw ropy z ich pól naftowych w Baku i północnym Iranie. Na południu Iranu stacjonują Amerykanie i Brytyjczycy. Chcemy przekonać Amerykanów, żeby po cichu przetransportowali tam mój pluton.

– Myślisz, że się zgodzą?

– Mam nadzieję. Żeby ich obłaskawić, przywieźliśmy im naukowców od rakiet i tonę dokumentów. Rosjanie już raczej nie będą ich przyjaciółmi, dlatego będą potrzebować nowych. Poza tym zwróć uwagę na szczegóły... – Mówiąc to, przesunął na stoliku gazetę, gdzie na pierwszej stronie widniało zdjęcie jednego z Rockefellerów i artykuł o przybyciu miliardera do Waszyngtonu. – Wydało się, kto oprócz nas popychał Deweya do Białego Domu. Nafciarze mieli na pieńku z Rooseveltem, który niszczył ich ustawami antymonopolowymi, a teraz zastąpił go ich dłużnik. Standard Oil przejęło większość szypów w Afryce po tym, jak nas wykurzył Montgomery. Jak myślisz, komu będą chcieli opchnąć tę ropę?

– Nie wiedziałem, że tak się znasz na handlu ropą.

– Nie znam się, ale piłem wczoraj cały wieczór z Brunonem, wiceministrem gospodarki i zbrojeń. Wiesz, z kim Bruno spotyka się dzisiaj?

– No z kim?

– Z nim. – Kurt wskazał na fotkę w gazecie. – Dziś staną shermany w Europie, B-17 zostaną uziemione, ktoś musi wypełnić tę lukę. Mogę się założyć, że za miesiąc nasze czołgi będą zasuwać na ropie od kumpla nowego prezydenta, od Standard Oil. Ale żeby tak się stało...

– Amerykanie muszą pomóc wam rozpieprzyć szyby w Baku.

– Widzisz, jakie to proste. Dlatego tu jestem: żeby przekazać facetowi z ich wywiadu plany wycieczki nad Morze Kaspijskie. Bruno szepnie dzisiaj słówko gościowi ze zdjęcia. Ten wypije poranną kawę z Deweyem, a po południu dostanie przyklepany przelot do Iranu dla mojego plutonu.

– Nie wiem, jaki szatan podpowiada ci te knowania i intraty.

– To akurat nie mój pomysł. Poza tym po prostu tak kręci się świat: dzięki kasie i spiskom.

– Już widzę minę Stalina, jak rozpieprzysz mu te szyby. – Paweł na chwilę zapomniał, że rozmawia z niedawnym wrogiem, i uśmiechnął się.

– To będzie trudniejsze, niż myślisz. Sowietci mają tam w cholere agentów. Nasi donoszą, że nawet jak wychodzisz do kibla, to ktoś cię obserwuje.

– To jak chcesz to zrobić? Bez planu byś tu nie przyjechał.

– Baku to portowe miasto, szyby znajdują się na wybrzeżu. Dlatego... – ściszył głos, choć byli sami w pokoju – ...rozebraliśmy na kawałeczki dwa miniU-booty, które Amerykanie mają nam zabrać do Iranu. Tam je złożymy i podpłyniemy z ludźmi i ładunkami pod same szyby.

Reder aż podniósł się na fotelu. Śmiały plan Niemca poruszył go, oczy mu się zaświeciły.

– Dasz się zamknąć w tej puszcze?

– Nie mam wyjścia. To był mój pomysł. – Mansfeld wziął szklaneczkę i wstał, by dolać alkoholu. – Nie mogę pozwolić, żebyś tylko ty mógł się chwalić wykonaniem niewykonalnej misji.

– Będę trzymał kciuki.

– Powinieneś. Jeżeli mi się nie uda, to może twoi każą to zrobić tobie.

– Ja chcę jak najszybciej trafić do Polski.

– Teraz to sowiecka republika. My się wycofujemy. Oni się nie wycofają. Dzisiaj Sowietci zostali przyparci do muru i są nieźle wkurwieni. Boją się, że w Polsce mogą całkiem zdjąć rękawiczki.

Nagle rozmowę przerwało skrzypnięcie drzwi i pokazał się w nich ten sam oficjel, który zostawił tutaj Redera.

– Kapitanie, jest pan proszony do prezydenta.

– Kapitulacja podpisana? – zapytał Reder.

– Tak, teraz trwa spotkanie prezydenta z polską delegacją.

Reder wstał z fotela, włożył czapkę i spojrzął na Mansfelda.

– Do zobaczenia w lepszych czasach.

Niemiec nic nie powiedział, tylko przyłożył palce do skroni, salutując.

Paweł odwrócił się i wyszedł. Zastanawiał się, czy ich drogi jeszcze kiedyś się przetną.

Na korytarzu panował dość spory ruch. Przybyli tu dziś chyba wszyscy kongresmeni, wszędzie kręcili się wojskowi i pismacy najróżniejszych gazet. Przeszli do długiego korytarza poobwieszanego obrazami. Głównie o tematyce marynistycznej: żaglowce, bitwy morskie z okrętami walącymi do siebie z burtowych dział. W końcu dotarli do przestronnego pomieszczenia z dużymi oknami przyozdobionymi ciężkimi zielonymi zasłonami upiętymi w fikuśny sposób. Na tle światła wpadającego przez duże szyby kłębiły się chmury dymu z cygar i papierosów niczym londyński smog, z którym ten widok od razu skojarzył się Rederowi. Szybko podszedł do niego Murzyn w czerwonej liberii. Paweł jednak

podziękował. Miał już dość alkoholu, który wlał w niego Mansfeld. Facet, który go przyprowadził, wskazał mu grupkę mężczyzn na końcu pomieszczenia. Od razu rozpoznał Mikołajczyka, a gdy podszedł bliżej, również resztę polskiej ekipy. Obok nich stało kilku mężczyzn w dobrze skrojonych garniturach i kilku amerykańskich wojskowych.

– Dobrze, że pan już jest, kapitanie. – Na jego widok Mikołajczyk ucieszył się jak uczeń na dzwonek kończący lekcję. Chwycił Redera za ramię i podprowadził do mężczyzny mającego około metra siedemdziesięciu wzrostu, z dość dużą, okrągłą głową, z zarostem.

Kiedy Paweł zastanawiał się, skąd zna tę twarz, mężczyzna powiedział:

– Thomas Dewey. Wiele o panu słyszałem. To zaszczyt móc pana poznać.

Dewey – pierwszy od 1913 roku i Howarda Tafta prezydent z wąsami. Wąsy te były tematem nie lada sporów w czasie kampanii, gdyż powszechnie uważano, że większe szanse w wyborach ma polityk gładko ogolony, postrzegany jako towarzyski i wiarygodny, podczas gdy facet z zarostem uosabiał upór i niezależność, co nie budziło zaufania szczególnie wśród kobiecego elektoratu. Dewey jednak wąsów nie zgolił, ponieważ taki właśnie był: krnąbrny, niezależny, z uporem dążący do celu.

– Dziękuję za zaproszenie, panie prezydencie, chociaż muszę przyznać, że wolałbym teraz lecieć do Warszawy.

– Wy, Polacy, zawsze mówicie, co myślicie. Zauważyłem to, gdy kilka dni temu rozmawiałem z waszym premierem. – Spojrzył na Mikołajczyka. – To dobra cecha, ale czasem bardziej wskazane są wstrzemięźliwość i rozważa niż ta wasza ułańska fantazja.

– To samo mówiono nam w 1939. Nasi sojusznicy zmienili zdanie, dopiero gdy paliło się ich podwórko.

– Ja nie mam zamiaru czekać, aż, jak pan to określił, „zapali się nasze podwórko”, lecz dopiero zakończyliśmy jedną wojnę, nie możemy zaczynać nowej. Tym bardziej że wojna z Japonią wciąż trwa. Proszę się jednak nie martwić, nie zostawimy was samych z tym problemem. Izolacjonizm mojego poprzednika doprowadził do tego, że nasi obywatele zostali zaatakowani, a my walczyliśmy na całym świecie. To nam uzmysławia, że interesy Ameryki wykraczają poza nasze granice i są też w Europie czy azjatyckiej dżungli. Wszystkie demokracje powinny łączyć siły, dlatego jestem już po rozmowie z premierem Mikołajczykiem i generałem Rudnickim w sprawie pomocy dla Polski. – Dewey wskazała na wymienionych.

– Myślę, że wypracowaliśmy dobry konsensus – potwierdził Mikołajczyk, jednocześnie ściskając ramię Redera i dając mu do zrozumienia, by ten gryzł się w język.

– Przejdźmy do sedna. – Dewey kiwnął na sekretarza, który podał mu małe pudełeczko. – Chciałem wyrazić wdzięczność narodu amerykańskiego za pana heroizm na polu walki. Przyznaję panu kapitanowi Srebrną Gwiazdę za odwagę w obliczu nieprzyjaciela.

Paweł, zdumiony obrotem spraw, zaniemówił. Uznał, że najlepiej będzie zamilknąć, wypiąć pierś, stanąć na baczności i przyjąć honory. Obecni zgromadzili się wokół prezydenta, który udekorował polskiego bohatera.

– Ku chwale Polski, panie prezydencie.

Wszyscy po kolei podchodzili z gratulacjami, ale spośród wszystkich na sali tylko dwóch Amerykanów oprócz prezydenta wiedziało, za co dokładnie polski kapitan otrzymał order.

Reder zamienił jeszcze kilka słów z prezydentem, po czym Dewey udał się na rozmowę z brytyjskim ministrem spraw zagranicznych.

Miniprzyjęcie toczyło się swoim rytmem. Polski premier był duszą towarzystwa, szczęśliwy, że, inaczej niż w Londynie, tutaj nie dosyć, że został wpuszczony frontowymi drzwiami, to polska delegacja została przyjęta przez Deweya jako pierwsza po podpisaniu kapitulacji Niemiec. Najwyraźniej Dewey zapomniał im mały szantaż polskich służb, a docenił wkład w wypłatanie Stanów z wojny w Europie i podarowanie mu fotela w Gabinetie Ovalnym. Wspierał go minister spraw zagranicznych Tadeusz Romer. Generał Klemens Rudnicki wymknął się już jakąś godzinę temu i spotkał w pomieszczeniu obok, z dala od ciekawskich oczu, z generałem Osterem i feldmarszałkiem Güntherem von Klugem, by omówić dalszą wspólną strategię działania przeciwko Armii Czerwonej.

Reder, zmęczony przyjęciem i salonowymi rozmowami, od których odwykł przez ostatnie pięć lat, wyszedł na taras zaczerpnąć powietrza. Kiedy przez chwilę delektował się samotnością, ciszą i panoramą Waszyngtonu, podszedł do niego wysoki mężczyzna w garniturze, w dość zaawansowanym wieku,

jednak o dziarskim, energicznym sposobie poruszania się, co zdradzało wojskowe korzenie. Stał obok Redera, oparł się o barierkę i wyciągając złotą papierośnicę, zaproponował Pawłowi papierosa.

– Cisz – rzekł niby do siebie, po czym mówił dalej w ten przedziwny sposób. – Czasem jest dla mnie nie do zniesienia. To dziwne, ale brakuje mi europejskiego zgiełku. Niektórzy twierdzą nawet, że jestem szalony. Cóż, może mają rację.

– Był pan w Europie? – zapytał Reder, czując, że mężczyzna nie znalazł się tu przypadkowo.

– Tak, wielokrotnie. Dzięki naszym brytyjskim przyjaciołom mogłem zwiedzić niemal cały kontynent, a w 1942 gościłem nawet u naszych drogich sojuszników w Moskwie. Tam zrobiły na mnie wrażenie dwie rzeczy: wódka i NKWD.

– Pan wybaczy, ale co do drugiego nie podzielę pańskiego entuzjazmu.

– Dlaczego? Nie powiedziałem, że popieram ich metody, tylko że byłem pod wrażeniem ich organizacji i skuteczności. Po powrocie powiedziałem prezydentowi Rooseveltowi, że też powinniśmy mieć takie służby.

– Człowiek światowy, przyjaciel prezydenta. Nie myślałem, że z włoskich okopów trafię w tak ekskluzywnie towarzystwo, co do NKWD, to pozwoli pan, że zostanę jednak przy swoim zdaniu.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Pan kapitan pozwoli, że się przedstawię. William Donovan... Generał William Donovan, dyrektor Office of Strategic Services. – Wyciągnął dłoń i pokazał Pawłowi twarz, którą zdobił dość szczery jak na szefa wywiadu uśmiech.

– „Obawiam się Greków, którzy niosą dary”. – Reder uściśnął podaną mu dłoń. Teraz był już pewien, że jego wycieczka do Waszyngtonu miała drugie dno, a za wręczeniem medalu krył się prawdziwy powód wizyty.

– Nie ma się czego obawiać. Wiem, co pan zrobił w Alpach. Tacy ludzie jak pan nie powinni tracić czasu na siedzenie w okopach. Proszę odwiedzić mnie jutro w moim biurze, mam dla pana pewną propozycję. – Podał Rederowi wizytówkę.

– Kiedy tacy ludzie jak pan mają propozycję dla takich jak ja, to z reguły robi się z tego niezły bajzel. I tacy jak ja lądują w jego środku.

– Zapraszam pana tylko na kawę i luźną pogawędkę. Pan zdecyduje, czy temat jest interesujący. – Zsalutował, odwrócił się i ruszył dziwnym, niemal tanecznym krokiem.

– Rozumie pan, że o naszej rozmowie muszę poinformować przełożonych? – zawołał za nim Paweł.

– Niech pan nie będzie dzieckiem. Już o tym wiedzą – odparł, nie odwracając się, Dziki Bill Donovan, jak go nazywali współpracownicy, i zniknął wśród gości równie tajemniczo, jak się pojawił.

Redera zaintrygowało to dziwne spotkanie. Dopił drinka i wrócił na salę. Tłumek się przerzedził. Ludzie w grupkach dyskutowali o dzisiejszej kapitulacji Niemiec, nowym prezydencie, polityce. Większość amerykańskich dygnitarzy opuściła już salę i udała się na rozmowy z innymi delegacjami. Było jeszcze kilku wojskowych i liczne grono przedstawicieli Polonii, która wspierała rząd RP w Londynie przez swoje koneksje w Stanach oraz finansowo. Wszyscy chcieli uściśnąć dłoń polskatego premiera i zapytać o dalsze losy ojczyzny. Ten każdemu poświęcał uwagę i odpowiadał enigmatycznie „czas pokaże”, co zresztą było prawdą, bo reakcji i następnych posunięć Stalina w sprawie Polski nie sposób było przewidzieć. Reder nie czuł się dobrze wśród ludzi, których nie znał, i tego całego zamieszania, poprosił więc Mikołajczyka, by szofer odwiózł go do ambasady. Pomyślał, że przez dwie, trzy godziny odeśni zarwaną nocą i później skorzysta z zaproszenia jednej z poznanych wczoraj blondynek. Wprawdzie seksowna Wendy zapraszała go na kolację i szarlotkę, ale coś mu mówiło, że zostanie u niej również na śniadanie.

Limuzyna przyjemnie kołysała, wioząc go wśród tłumów ludzi bawiących się i świętujących na ulicach. Jemu ten nastrój jednak się nie udzielił. Czuł się samotny daleko od domu, rodziny czy choćby kolegów z korpusu. Zazdrościł tej radości Amerykanom. W Polsce kapitulujących Niemców zastępowali Sowieci. Trudno było się cieszyć wśród radzieckich czołgów.

Szybko dojechali do ambasady. Podziękował szoferowi za podwózkę i wysiadł. Gdy podchodził do furtki, zauważył stojącą tam kobietę. Panował już półmrok, ale dostrzegł, że była elegancko ubrana, za elegancko jak na zwykłego przechodnia. Miała palto z kołnierzem z lisa oraz mały, lecz szykowny kapelusz.

Złapał za kłamkę furtki, chcąc wejść na teren ambasady, gdy kobieta zbliżyła się do niego i zapytała:

– Pan kapitan Paweł Reder?

– Tak – odparł zdumiony, przystając.

– Nazywam się Helena Ornatowska. Wiem od Mariana Chodackiego, że wraca pan niedługo do Europy, a później może i do Polski. Chciałabym z panem zamienić słowo, może mógłby mi pan pomóc.

– Proszę, niech pani wejdzie. – Otworzył szarmancko furtkę przed kobietą i wskazał drogę do drzwi ambasady.

Przeszli przez hol do schodów i pokoju Redera. W środku zaczął w pośpiechu uprzątać porozrzucane szpargały i części garderoby.

– Przepraszam, nie spodziewałem się gości.

– Nie szkodzi, jestem żoną oficera. Przywykłam do męskiego chaosu w sypialni.

Reder ogarnął nieład i poprosił gościa, by usiadł w fotelu, sam zaś usadowił się naprzeciwko na łóżku. Na ulicy panował półmrok i dopiero teraz w świetle lampy dojrzał, jak piękna jest kobieta. Ubrana w gustowny granatowy żakiet i nieco jaśniejszą spódnicę opinające jej krągłe kształty, z ciemnymi, długimi, spiętymi włosami opadającymi na ramiona. Twarz o aksamitnej cerze z pięknymi szmaragdowymi oczami i pełnymi seksownymi ustami. Tylko w jej spojrzeniu widoczny był jakiś smutek.

Po pierwszych oględzinach Paweł odebrał słowo „żona” jako znaczącą niedogodność w niespodziewanej wieczornej wizycie urodziwej kobiety w jego pokoju.

– Napiję się pani czegoś? Wprawdzie nie mam tu nic, ale mogę skoczyć do kuchni i zorganizować kawę lub herbatę.

– Proszę się nie kłopotać. Wolałabym od razu przejść do rzeczy, jeżeli pan pozwoli.

– Tak, oczywiście, jak pani sobie życzy. W czym mogę pomóc?

– Jak już wspomniałam, nazywam się Helena Ornatowska. Mój mąż, Władysław Ornatowski, podporucznik kawalerii, został aresztowany we wrześniu 1939 roku przez Sowieców i wywieziony do obozu w Kozielsku. W styczniu 1940 roku przyszedł od niego list. Pisał, że jest zdrow i cały. Że martwi się o nas, jak sobie radzimy, ja i rodzice, bo nie wie, kiedy go wypuszczą. Podał adres do korespondencji: Adolf Władimirowicz Przeorski, gorod Kozielsk, smolenskaja obłast, pocztowyj jaszczik nr 12. Odpisałam, ale mąż więcej się nie odezwał. Słuch po nim zaginął. W Polsce mogą być żołnierze zwolnieni z obozów, może mają informacje o Władku, może nawet on jest gdzieś w kraju, ale nie może pisać i dać znać, że żyje.

– Rozumiem. Jeśli tylko będę w stanie, na pewno pomogę, rozpytam. Nie wiem tylko, czy i kiedy dane mi będzie wrócić do Polski.

– Wiem, ale chciałabym wykorzystać każdą szansę.

– Ma pani zdjęcie męża, które mógłbym zabrać? Potrzebowałabym też więcej informacji: w jakiej jednostce mąż służył, gdzie go aresztowano. Adres obozu mam, ale proszę mi też podać nazwiska kolegów męża, którzy z nim tam byli. Wszystko, co może się przydać.

– Mam tu zdjęcie Władka i spisane informacje. Podam panu jeszcze imiona i nazwiska innych oficerów, którzy mogli z nim przebywać. – Helena sięgnęła do torebki i podała Pawłowi kartkę i zdjęcie męża.

Paweł popatrzył na fotografię młodego podporucznika i powiedział:

– Wiem, że to, co powiem, może być straszne, ale czy słyszała pani, do czego doszło w tych obozach? Według informacji, które mam, Sowieci rozstrzelali tam setki polskich oficerów. Przepraszam, że to mówię, ale chyba powinna znać pani prawdę.

– Tak, wiem. Od majora Chodackiego. Ale dopóki nie zobaczę dowodu jego śmierci, będę czekała i próbowała go szukać. – Jej piękne oczy zaszkliły się łzami.

– Rozumiem. Zrobię, co w mojej mocy. Obiecuję. – Widząc, że kobieta walczy ze wzruszeniem i płaczem, postanowił dać jej chwilę. – Skoczę jednak na dół po herbatę i może znajdę coś do jedzenia. Jak wrócę, powie mi pani wszystko, co może być przydatne, a potem poproszę szofera, by panią odwiózł.

Helena nie oponowała, więc zszedł do kuchni. Gdy wrócił, jeszcze długo rozmawiali o jej mężu, dzieciach, przedwojennym życiu w Polsce, którego obojgu brakowało. Rozmowa zbliżyła ich do siebie, bo każde z nich potrzebowało chwili intymności i zwierzeń. Gdy zaczęło świtać, a herbata i kanapki się skończyły, Paweł odprowadził Helenę do limuzyny, obiecując, że nie spocznie, dopóki nie odnajdzie jej męża. Ona wiedziała, że może mu zaufać. Kiedy odjeżdżała, Paweł poczuł żal, że nie spotkali się w innych okolicznościach. Ogarnęło go wielkie, niespotykane dotąd uczucie samotności. Znalazł w ambasadzie butelkę whisky, którą spróbował zagłuszyć wewnętrzny ból palący jego duszę, i niedługo potem zasnął.



Obudził się rano sam, we własnym łóżku, zamiast u złotowłosej Wendy, ale nie żałował straconej randki. Cały czas czuł zapach perfum pięknej Heleny i dźwięczał mu w głowie jej aksamitny głos. Już dawno żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Przelotne wojenne romanse z Brytyjkami czy „pestkami” ze służby pomocniczej w korpusie ograniczały się zwykle do wypicia butelki wina i niezobowiązującego seksu. Jak to na wojnie. Już dawno nie spędził nocy na samej tylko rozmowie z kobietą. W dodatku taką kobietą. Jej uroda, sposób bycia i, co najdziwniejsze, miłość do męża wywarły na nim duże wrażenie. Helena całkowicie zawróciła mu w głowie. Przez chwilę nawet pomyślał, że szkoda, iż nie jest wdową, ale zaraz się skarcił za tę myśl niegodną polskiego oficera. Musiał zachować się honorowo i pomóc żonie odnaleźć męża, chociaż na razie nawet nie wiedział, od czego zacząć.

Po uroczystym śniadaniu, którym ambasador tradycyjnie podejmował gości, Reder wziął na bok Mikołajczyka i zapytał:

– Czy wiadomo coś panu premierowi o spotkaniu z szefem amerykańskiego wywiadu, na które wczoraj zostałem zaproszony?

– Tak, ale zupełnie nie wiem, o co chodzi – odparł premier. – Musi to być jednak coś ważnego, gdyż napomknął o tym wczoraj sam prezydent w rozmowie o aneksie do umowy Lend Lease dla polskich sił na Zachodzie. Amerykanie wstępnie zgodzili się przyjąć nasze warunki, co bardzo mnie zdziwiło. Bylibyśmy zadowoleni wręcz z połowy tego, o co poprosiliśmy, a tutaj taka hojność. Myślę, że ma to coś wspólnego z pańskim dzisiejszym spotkaniem.

– Nie bardzo mnie cieszy, że jestem częścią umowy handlowej.

– Niech pan nie przesadza. Pójdzie pan, posłucha, co mają do powiedzenia, i zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Czuję, że nic dobrego dla mnie.

– Spokojnie, nie musi się pan na nic zgadzać, a warto zacieśniać stosunki z nowym sojusznikiem.

– Mam jeszcze prywatne pytanie.

– Słucham.

– Czy mamy jakieś nowe wiadomości odnośnie do oficerów wywiezionych przez Sowietów w 1939? Nowe listy zamordowanych lub wcielonych do ludowego wojska?

– Niestety nie. Jak pan wie, Rosjanie już dawno zerwali stosunki z naszym rządem, więc nie mamy szans czegoś więcej się dowiedzieć. Tym bardziej że oficjalna wersja, że Katyń to robota Niemców, bardzo pasuje Churchillowi i wpada w furję, kiedy tylko poruszamy ten temat. – Premier ściszył głos. – Tak prywatnie panu powiem: cieszę się, że w końcu zagraliśmy na nosie temu mistrzowi obłudy. Czemu pan pyta?

– Szukam znajomego – wyjaśnił Reder.

– Przykro mi, ale niewiele mogę pomóc.

Paweł pożegnał się i wyszedł. Złapał taksówkę, która zawiozła go pod adres znajdujący się na wizytówce Dzikiego Billa.

Wkrótce znalazł się w biurze dyrektora Office of Strategic Services. Wprowadzony przez sekretarkę, ujrzał puste krzesło za biurkiem szefa i trzy osoby siedzące przy stoliku kawowym, zamiast kawy jednak leżały na nim teczki z dokumentami. W fotelu siedział Donovan, który na widok Pawła podniósł się i podszedł podać mu dłoń. Zrobił to mocno, po żołniersku, czym złapał parę punktów u Polaka, gdyż ten zawsze czuł niechęć do mężczyzn podających dłoń jak zdechłą rybę. Donovan zaprowadził go do stolika i posadził w fotelu naprzeciw siedzącej już pary. Reder pomyślał, że wyglądają na jajogłowych, i nie mylił się.

– Kapitanie, pozwoli pan, że przedstawię: profesor Lise Meitner oraz doktor Samuel Goudsmit. Uznanie fizycy jądrowi.

– Pan wybacz, generale, ale na fizyce znam się tak jak na robótkach ręcznych, a termin fizyka jądrowa słyszę po raz pierwszy.

– Wiem i dlatego profesor Meitner i doktor Goudsmit są tutaj z nami, żeby objaśnić panu wszystko, co niezbędne. Pozwoli pan, że wytłumaczę. Profesor Meitner pracowała przed wojną w Instytucie Cezara Wilhelma w Berlinie z profesorem Ottonem Hahnem i jego asystentem Fryderykiem Strassmannem przy eksperymentach nazwanych później przez nią „nuclear fission”, które doprowadziły do tak zwanego rozzerwania jądra atomu uranu, co samo w sobie jest dla mnie również niezrozumiałe jak dla pana, ale podobno może skutkować skonstruowaniem nowego rodzaju broni o ogromnej sile rażenia. Jakiś czas temu prezydent Roosevelt otrzymał od Alberta Einsteina i kilku innych fizyków list, w którym

przestrzegali o potencjalnym zagrożeniu, możliwości badań i produkcji tzw. broni jądrowej. Profesor Meitner była zmuszona przerwać prace i przenieść się w 1938 roku z Niemiec do Szwecji, podtrzymała jednak znajomość z profesorem Ottonem Hahnem i miała dostęp do informacji o postępach badań. Przybyła do USA kilka miesięcy temu, by przestrzec nas o możliwości użycia tej śmiertelnej broni przez Niemców. Chcemy przyjrzeć się temu lepiej i sprawdzić, czy Hitler faktycznie mógł być bliski zbudowania swojej Wunderwaffe.

– Gdyby tak było i Niemcy mieliby taką broń, zapewne już by jej użyli – wtrącił się Reder.

– Zgadza się, lecz prace nad tą bronią mogą zmierzać ku końcowi i to, co nie udało się Hitlerowi, może powieść się Canarisowi w wolnych teraz od bombardowań fabrykach i zakładach w zachodniej części Niemiec.

– Przecież zgodnie z warunkami kapitulacji Niemcy mają przekazać aliantom dokumentację badań naukowych nad uzbrojeniem i samych naukowców.

– Tak, ale biurokratyczna machina będzie się rozpędzać przez co najmniej kilka tygodni i obawiamy się, że najważniejszą dokumentację i efekty prac nad tym projektem Niemcy mogą ukryć.

– Nadal nie rozumiem, jaka miałyby być moja rola w tym wszystkim.

– Mózgiem niemieckiego programu jądrowego jest Werner Heisenberg, którego chcieliśmy dostarczyć do Ameryki w celu weryfikacji jego badań. Miała to być cicha operacja przeprowadzona przez oddział żydowskich komandosów niemieckiego pochodzenia. Nie znamy jednak dokładnego miejsca pobytu Heisenberga i położenia laboratorium, a Żydzi po oświadczeniu prezydenta, że walka z Niemcami dobiegnie końca, tydzień temu spakowali się i wyjechali do Palestyny. Tu pojawia się oferta dla pana i pańskiego oddziału.

– Panie generale, z całym szacunkiem, ale zarówno ja, jak i moi żołnierze chcemy jak najszybciej wrócić do ojczyzny. Na pewno są Amerykanie, którzy mogą nas zastąpić.

– Niestety akcja ma się rozpocząć w ciągu kilku dni i nie mamy niemieckojęzycznej jednostki gotowej do wylotu, a pański oddział mógłby wyruszyć na dniach. Sprawa jest bardziej poważna, niż pan myśli. Tu nie chodzi o kilkadziesiąt rakiet V2, które spadną na Londyn, tylko o coś zdecydowanie bardziej śmiertelności – kontynuował Donovan.

– O jakiej broni czy bombie mówimy?

– Profesor Meitner – generał zwrócił się do kobiety.

– Wszystkie założenia są czysto teoretyczne, ale można przypuszczać, że wybuch bomby z reakcją termojądrową nad średniej wielkości miastem spowodowałby jego całkowite zniszczenie – powiedziała fizyczka.

– Jednej bomby? – nie dowierzał Reder.

– Tak. Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdyby Niemcom udało się uzyskać taki arsenał. Nawet mając tylko dwie, trzy takie bomby, mogliby trzymać w szachu całą Europę. Paryż, Londyn, również Warszawa stałyby się potencjalnymi celami. Miasta na wybrzeżu USA także nie byłyby bezpieczne. To mogłoby zmienić układ sił – mówił Donovan.

– Muszę przyznać, że potrafi pan zrobić wrażenie i przykuć uwagę. Jakie jest realne prawdopodobieństwo, że Niemcy mogą mieć to cholerstwo?

– Tak naprawdę nie wiemy. Nie mamy żadnych danych wywiadowczych na ten temat. Wszystkie laboratoria były dobrze ukryte i strzeżone przez SS.

– Wywołanie reakcji łańcuchowej koniecznej do powstania bomby to złożony proces. Wymaga odpowiedniej ilości wzbogaconego uranu, reaktorów jądrowych, akceleratorów cząstek tak zwanej ciężkiej wody. Myślę, że na dzień dzisiejszy to dla niemieckich naukowców nieosiągalne. Ale nie można tego wykluczyć. Same dotychczasowe badania i ich wyniki niosą w sobie niebezpieczeństwo, że prace te zostaną ukończone za jakiś czas – powiedziała Meitner.

– Teraz pan widzi, że problem jest poważny i nie może czekać – skwitował Donovan.

– Jak miałyby wyglądać ta operacja? Bo wygląda mi to na szukanie igły w stogu siana.

– Widzę to bardziej jak układanie puzzli. Pomoże je panu złożyć doktor Goudsmit, który gościł u siebie na uniwersytecie Wernera Heisenberga, ma wielu przyjaciół wśród fizyków w dotąd okupowanej Europie i może uzyskać od nich informacje na temat prac Heisenberga.

Reder popatrzył na jajogłowego doktora i pomyślał, że będzie mu tylko kulą u nogi.

Donovan jak gdyby odgadł jego myśli, bo powiedział:

– Doktor Goudsmit zna pięć języków, w tym niemiecki. Zaręczam, że z jego pomocą misja ma szansę powodzenia.

Goudsmit, który milczał przez całe spotkanie, tylko kiwnął głową na potwierdzenie.

– Muszę poinformować moich przełożonych i podporządkuję się ich rozkazom. – Reder wstał. – Pozwól państwo, że się oddalę.

– Naturalnie. Odprowadzę pana. – Donovan również wstał i podążył razem z Polakiem do drzwi.

– Mam tylko ostatnie pytanie. Co znaczy „dostarczyć”? – przypomniał sobie Reder, gdy znaleźli się sami przy drzwiach.

– Musi go pan przewieźć do amerykańskiej strefy za pomocą wszelkich dostępnych środków, a gdyby okazało się to niemożliwe, musi pan wyeliminować Heisenberga... On nie może dokończyć tych prac. Czy to dla pana jasne?

– Tak, zrozumiałem.

Reder opuścił siedzibę OSS i spacerem, ciesząc się gwarem ulic i ciepłym amerykańskim słońcem, wrócił do ambasady.

Tam się dowiedział, że pojutrze wraz z Goudsmitem wylatuje do Francji, gdzie spotka się ze swoją drużyną. Wszyscy otrzymają lewe dokumenty, rozkazy i wyruszą na poszukiwania nazistowskiego naukowca oraz jego śmiercionośnej broni.

Nie pozostało mu więc nic innego, jak kupić flaszkę alkoholu i w ostatni wieczór pożegnać Amerykę kolacją ze śniadaniem u złotowłosej Wendy...

Był zimny styczniowy poranek, gdy amerykański douglas C-47 skytrain wylądował na podberlińskim Tempelhofie i wysiadło z niego siedmiu niemieckich żołnierzy. Co najdziwniejsze, pod samolot i jego pasażerów nie podjechała ciężarówka amerykańskiej armii z białą gwiazdą ani wóz Wehrmachtu, lecz produkowany przez GMC „jimmy” z biało-czerwonym oznakowaniem i syrenką 2. Korpusu. Uśmiechnięty kierowca wysiadł z szoferki, wykonując gest *Sieg heil*, na co usłyszał od jednego z żołnierzy w mundurze Wehrmachtu piękną polszczyznę:

– W ucho chcesz?

Do kierowcy podszedł wysoki, barczysty oficer w mundurze Hauptmanna z dwiema złotymi gwiazdkami.

– Do Fürstenbergu – rzucił również po polsku i usadowił się w szoferce. Reszta, stawiając wysoko kołnierze, by chronić się od przenikliwego wiatru, wskoczyła na pakę ciężarówki.

Podróż upływała im w milczeniu, tym bardziej że po drodze mijali mroczne miejsca świadczące o najczarniejszej stronie nazistowskiego reżimu, obozy koncentracyjne Oranienburg i Sachsenhausen. Na branie tego drugiego mogli zauważyć dyndające na sznurze trupy komendanta, SS-Standartenführera Antona Kaindla, i jego dwóch zastępców. Obozy znajdowały się w polskiej strefie kontrolnej Niemiec, ze sztabem i bazą w Fürstenbergu. Jej dowódcą był generał brygady Bogdan Siedlecki, którego brat Ignacy, profesor botaniki na Uniwersytecie Jagiellońskim, został po wkroczeniu Niemców do Krakowa aresztowany oraz wywieziony z grupą ponad stu uczonych do Sachsenhausen i tutaj zamordowany.

Bogdan Siedlecki chciał odnaleźć grób brata i wraz z innymi polskimi dowódcami udał się do opuszczonych już obozów. Tam dowiedzieli się od byłych więźniów, którzy mieli kontakt z Polakami, co naprawdę działo się w tych miejscach. Obecnie Sachsenhausen i Oranienburg zostały przebudowane i przekształcone w obozy pracy dla dezertów i opornych wobec nowej władzy esesmanów. Od Ślązaków, byłych więźniów obozu, którzy chcieli wstąpić do Wojska Polskiego w Fürstenbergu, usłyszeli o masowych mordach i niewolniczej pracy więźniów, podczas której umierali od chorób, głodu i skrajnego wycieńczenia.

Siedlecki nie odnalazł mogiły brata, za to trafił na ukryty w lesie jeden z masowych grobów, którego Niemcy nie zdążyli zlikwidować. Komendantem obozu był nadal SS-Standartenführer Kaindl, na którym ciążyły zarzuty prokuratora polskiego trybunału zbrodni wojennych; ciągle czekał na proces i miał się dobrze. Generał Siedlecki, zdruzgotany tym, co zastał w pobliskim lesie, postanowił przyspieszyć działania Temidy. Aresztował Kaindla oraz jego dwóch zastępców i po trwającym dwie godziny sądzie polowym powiesił zbrodniarza na bramie obozu, przyczepiając też tabliczkę z informacją, kto i dlaczego to wisi. Poinformował nowo wybranego komendanta, że ciała mają wisieć dopóty, dopóki wszystkie zwłoki z lasu nie zostaną ekshumowane i należycie pochowane, albo wróci tu i sprawi, że liczba

dyndających komendantów będzie zgodna z liczbą osób pełniących tę funkcję. Potem poszedł do lasu i zbił symboliczny krzyż dla brata. Dlatego przejeżdżającym obok bramy obozu Polakom ukazał się makabryczny widok rozkładających się i obdziobanych przez kruki wisielców.

Po samosądzie Siedleckiego do polskiej bazy przyjechało z Berlina z pretensjami SS i nawet tamtejszy prokurator, ale Siedlecki po wysłuchaniu zarzutów kazać im wypierdalać. Biorąc pod uwagę liczebność polskiego garnizonu, pośpiesznie wykonali polecenie.

Minęły dwa miesiące, a kiedy kapitan Paweł Reder poleciał z Waszyngtonu do Francji, gdzie na miejscu spotkał się z Konarskim i jeszcze szczęśliwymi żołnierzami mówiącymi po niemiecku, których znał z korpusu. Z wycieczki do Berghofu w ekipie był jeszcze Sawicki. Otrzymali papiery oddziału, który ma przewieźć do Paryża archiwum Technische Universität München, co umożliwiło im bezproblemową podróż w południowe zakamarki Niemiec. Najpierw udali się do Paryża, gdzie zgodnie z sugestiami Goudsmita mieli rozpocząć poszukiwania Heisenberga od rozmowy z fizykiem Jeanem Frédéricem Joliot-Curie, zięciem słynnej Marii Skłodowskiej-Curie. Był to dobry trop, ponieważ jak się okazało, Niemcy wykorzystywali jego laboratorium do eksperymentów w zakresie fizyki jądowej, sam Joliot jednak nic nie wiedział o ich skutkach ani nie miał pojęcia, gdzie mogą być Heisenberg lub jego laboratorium.

Wtedy do akcji wkroczył Goudsmit, który doskonale się sprawdził w roli psa tropiącego lub, jak ktoś woli, detektywa. Wesoły i zawsze skory do żartów na wysokim poziomie fizyk, który znał się przed wojną z prawie wszystkimi sławnymi naukowcami z tej dziedziny, wskazał kolejną osobę mogącą doprowadzić ich do Heisenberga. Następnym okruszkiem do zebrania przez ekipę Redera był Carl von Weizsäcker, fizyk wykładający do niedawna na uniwersytecie w Strasburgu. Kiedy dotarli do Strasburga, nie zastali tam Weizsäckera, za to w ich ręce wpadło archiwum pełne dokumentacji z przeprowadzanych badań i eksperymentów, które Weizsäcker opisywał w korespondencji z innymi niemieckimi naukowcami. W ukrytym w tutejszym szpitalu laboratorium Weizsäckera Reder aresztował kilku asystentów niemieckiego fizyka i wraz z dokumentami zabrał ze sobą. W korespondencji Weizsäckera z Gustavem Hertzem, laureatem Nagrody Nobla z fizyki w roku 1925, Goudsmit wyczytał, że Niemcy mają ogromne problemy z oszacowaniem masy krytycznej do zapoczątkowania reakcji łańcuchowej. Mieli również za mało wysokiej jakości materiałów rozszczepialnych i nie dysponowali wystarczająco dobrym reaktorem. Natomiast Hertz pisał, że w laboratorium badawczym Siemens & Halske, którego był dyrektorem, udało się zbudować zapalnik. Może nie było to najważniejsze, ale samo w sobie brzmiało groźnie. Do Lipska, gdzie w zakładach Siemens mógł znajdować się Hertz, było daleko, więc Reder po naradzie z Goudsmitem postanowił odwiedzić kolejnego adresata listów Weizsäckera, Nikolausa Riehla, fizyka i radiochemika, który w tajnej fabryce przy obozie w Oranienburgu pracował nad produkcją czystego uranu do reaktorów. Przyjazd do Oranienburga okazał się strzałem w dziesiątkę. W fabryce, gdzie w nieludzki sposób wykorzystywano do niewolniczej pracy więźniów obozu, zastali zarówno Hertza, jak i Riehla, którzy, przyciśnięci przez Redera, wyśpiewali miejsce pobytu Heisenberga. Fizyk ponoć w tajnym ośrodku w Szwabii miał podjąć próbę wywołania reakcji łańcuchowej. Jako bonus dorzucili też informację o miejscu składowania dwunastu ton uranu.

Przed podróżą do Bawarii Reder odstawił pojmanych naukowców do siedziby OSS koło Hamburga i przemierzył się na południe Niemiec. Prawie miesiąc zajęło mu odszukanie tajnego laboratorium, w którym pracował Heisenberg. Badacz przewieziony do amerykańskiej strefy opowiedział wszystko o swojej pracy, chętnie dzieląc się wiedzą. Próby wywołania reakcji łańcuchowej się nie powiodły, między innymi z powodu za małego reaktora. Brakowało też zapasów ciężkiej wody, której transport z norweskiej fabryki poszedł na dno jeziora wraz z promem po śmiałym sabotażu norweskiego ruchu oporu. Po podsumowaniu faktów okazało się, że Niemcy w konstruowaniu bomby atomowej byli daleko w lesie i wszyscy mogli spać spokojnie. Sam Heisenberg utrzymywał, że potajemnie sabotował badania, dzięki czemu niemiecki program atomowy nie robił postępów. Nikt jednak w to nie uwierzył i Heisenberg z grupą niemieckich fizyków został w tajemnicy zapakowany do samolotu i wysłany do Stanów.

Dziki Bill był wniebowzięty. Sam odebrał fizyka od Redera i przekazał osobiste podziękowania od prezydenta. Spektakularny sukces misji oprócz dozgonnej wdzięczności Amerykanów zaowocował dopięciem pomocy finansowej i sprzętowej dla nowo utworzonej polskiej armii na Zachodzie. Podpisane umowy Mikołajczyka z prezydentem Deweyem były tak naprawdę wypełnieniem zobowiązań nowego prezydenta z protokołu Dewey-Mikołajczyk-Canaris podpisanego wcześniej. Miał on doprowadzić Deweya do wygranej w wyborach, a Polsce umożliwić samostanowienie. Wkrótce po podpisaniu

niu kapitulacji Niemiec sojusz aliantów, zarówno militarny, jak i gospodarczy, przestał istnieć. Polskie jednostki na Zachodzie wyłączono ze struktury armii brytyjskiej i weszły one w skład nowo utworzonych polskich sił zbrojnych podległych rządowi RP pod wodzą Mikołajczyka. W ramach wcześniejszych zobowiązań Deweya alianci przekazali Polsce pod bezpośrednie zwierzchnictwo w ramach aneksu do umowy Lend Lease główne formacje wojskowe, których stan osobowy składał się w większości z Polaków, wraz ze sprzętem. Główny trzon polskich sił zbrojnych stanowiły więc teraz okrojony 1. Korpus Polski, w skład którego wchodziły m.in. brygady strzelców, Samodzielna Brygada Spadochronowa, 1. pułk artylerii ciężkiej, 1. batalion ciężkich karabinów maszynowych, 1. dywizjon rozpoznawczy, dywizjon artylerii przeciwlotniczej, batalion saperów, 11. kompania łączności, 2. Korpus Polski generała Andersa i najbardziej wartościowa 1. Dywizja Pancerna, uzupełniona Dywizją Grenadierów Pancernych i brygadą czołgów, licząca piętnaście tysięcy żołnierzy, czterysta pięćdziesiąt czołgów, czterysta siedemdziesiąt dział i pięć tysięcy pojazdów różnego przeznaczenia. Polskie siły powietrzne powstały z dywizjonów myśliwskich 300., 302. i 303. oraz 305. dywizjonu bombowego. Polska marynarka wojenna miała w posiadaniu dwa okręty podwodne – *Dzik* i *Sokół*, niszczyciele *Piorun* i *Błyskawica* oraz przejęte brytyjskie niszczyciele typu Hunt II: *ORP Krakowiak* i *ORP Ślązak*.

W ramach aneksu do umowy Lend Lease Amerykanie przekazali też 20 milionów dolarów na koszty obsługi i utrzymania armii. Całość kwoty pomocowej w sprzecz i gotówce miała być spłacana przez rząd RP na zasadach podobnych jak w przypadku Wielkiej Brytanii przez następne pięćdziesiąt lat. Ryzyko upadku polskiego rządu w przypadku niemożliwości legalnego powrotu do Polski skutkowałoby częścią niespłacalnością długu, na co strona amerykańska przystała już wcześniej podczas tajnych rozmów ze stroną polską. Sam aneks do umowy Lend Lease został stworzony i następnie podpisany w tajemnicy z wcześniejszą datą, ponieważ oficjalnie musiał dotyczyć koalicji antyniemieckiej, czyli wejść w życie przed kapitulacją. Dzięki pomocy w załatwieniu sprawy niemieckiej broni atomowej Mikołajczykowi i Sosnkowskiemu udało się dodatkowo wynegocjować przekazanie dywizjonu bombowego B17 i samolotów transportowych dla brygady spadochronowej generała Sosabowskiego.

Polskie wojska, choć z początku nieliczne, z każdym tygodniem rosły w siłę dzięki ogłoszonej powszechnej mobilizacji. Ze środowisk polonijnych w Europie i obydwu Amerykach zaczęły się do polskiej armii zgłaszać tysiące mężczyzn. Szeregi zasilali Polacy wcześniej przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, oficerowie zwolnieni ze stalagów oraz robotnicy przymusowi z terenu Niemiec. Najlicniejszą grupę stanowił jednak zaciąg z terytorium Polski, który specjalnymi kanałami zorganizowanymi przy współpracy AK i Niemców trafiał przez linię frontu, drogą morską i powietrzną, do obozów nowo powstającej armii, która miała przynieść Polsce wolność. Z kraju napływali zarówno żołnierze AK, jak i zwykli obywatele chcący wypełnić swój obowiązek względem ojczyzny. Często były to też osoby samotne, które w czasie wojny straciły rodziny i szukały w ten sposób dalszego celu w życiu. Osobną i chyba militarnie najwartościowszą grupą byli dezertery z 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, którzy mieli dość komunistycznej agitacji oraz zwierzchnictwa radzieckich dowódców i czmychali do wolnych Polaków na potęgę. Przez dwa miesiące zdezerterowało i przedostało się na Zachód prawie trzydzieści procent dywizji. Bywało, że nocą uciekały całe pułki wraz z uzbrojeniem. Dopiero brutalne czystki Smierszu i branie jako zakładników krewnych żołnierzy zakończyły ten proceder. Co ważne, szeroko przeprowadzona przez PPS akcja propagandowa wśród środowisk lewicowych, a nawet komunistycznych, doprowadziła do umiarkowanego przechodzenia żołnierzy AL w szeregi AK i armii na Zachodzie. Wszystko to sprawiło, że polskie siły zbrojne stacjonujące we Francji i w Niemczech pod koniec marca 1945 roku liczyły blisko milion żołnierzy plus około pięćdziesięciu tysięcy zakonspirowanych członków AK w Polsce. Problem stanowiły braki w uzbrojeniu, którym tylko częściowo zaradziły broń i ciężki sprzęt przekazany przez Niemców.

Ci ostatni dzielnie stawiali czoło radzieckiej ofensywie, która ruszyła w listopadzie i grudniu z niewyobrażalną siłą. Stalin, rozwścieczony zgodą sojuszników na kapitulację Niemiec, spuścił marszałka Żukowa ze smyczy, mówiąc, że gdzie żołnierz radziecki, tam Związek Radziecki. Pancerne zagony najlicniejszych w tej wojnie czołgów T-34, ciężkich KW-1, IS-2, wspierane organami Stalina i milionami czerwonoarmistów, rozlały się niczym fala na zachód na długości frontu od Bałtyku po Morze Czarne.

Taką polityczną rzeczywistość zastał kapitan Reder po powrocie z bawarskich odłudzi. Czterotonowy jenny podskoczył na koleinie i Paweł, który spał wygodnie rozparty w sferce, obudził się, co zaznaczył głośnym ziewnięciem i leniwym przeciągnięciem. Widząc to, pucołowaty kapral powiedział:

– W samą porę. Za dwie minuty będziemy w bazie.

Redera bardzo ucieszyła ta wiadomość. Szafrąński, bo tak nazywał się sympatyczny kierowca, podczas jazdy zdążył mu opowiedzieć, co go ominęło przez ostatnie miesiące, i o masach ludzi ściągniętych do Fürstenbergu i pobliskich obozów. Zdał relację z wiadomości frontowych, dzięki czemu Reder złapał jako taki obraz sytuacji. Szczególnie zainteresowały go transporty wyruszające w ostatnich tygodniach z bazy na północ Niemiec, o których zaczął opowiadać Szafrąński. Nie mógł jednak dowiedzieć się nic więcej na ten temat, gdyż pucołek ugryzł się w język i pytany, zaraz zmieniał temat na opowieści o swojej matce i jej kluskach, które chętnie by teraz zjadł. Zadreczał go erotycznymi fantazjami o sąsiadce Frani, którą podglądał przed wojną, i innymi pierdołami. W końcu Paweł uznał, że ubrany w mundur Hauptmanna nie pozyska zaufania kaprala i nic z niego nie wyciągnie, więc dał sobie spokój.

Po chwili jego oczom ukazało się długie ogrodzenie z siatki, wysokie na dwa metry, zakończone u góry drutem kolczastym. Jechali wzdłuż niego – wydawało się nie mieć końca. Za ogrodzeniem widoczne były budynki, pola namiotowe i parki maszynowe. Całość zrobiła wrażenie na Rederze, nie spodziewał się takiego rozmachu w bazie, którą odwiedzał po raz pierwszy.

– Jesteśmy! – zakrzyknął Szafrąński, pokazując palcem szlaban i lukę w ogrodzeniu. – Zobacz pan kapitan, jak dobrze być znów wśród swoich – gadał. – Chłopaki obstawiają dzień, kiedy trafimy do Polski, ja stawiam na 25 maja. Uzbierała się już niezła pula, zwycięzca wróci do domu bogaty. Pan kapitan ma może jakiś przeciek?

– Nie mam, ale gdybym miał, to pewnie bym sam obstawił, skoro to takie kokosy.

– No tak... – Szafrąński zwiesił nos na kwintę.

– Ale że byłeś dobrym kierowcą, będę o tobie pamiętał i dam ci cynk, jak mi zaraz załatwisz dobry obiad i piwo.

– Się robi, panie kapitanie. Dziewczyny w kantine jedzą mi z ręki, załatwię migusiem.

Jimmy zatrzymał się przed szlabanem. Wartownicy sprawdzili papiery, zajrzeli na pakę i wszyscy znaleźli się w obozie.

– Wyrzuc mnie pod sztabem. – Reder chciał się jak najszybciej zameldować i zapytać o nowy przydział. Jednocześnie rozglądał się dookoła i coś zaczęło go niepokoić. – Co tu tak pusto? – Od Szafrąńskiego nasłuchiwał się o setkach tysięcy żołnierzy, a tu im głębiej wjeżdżali w bazę, tym robiło się ciszej. Nie widać było ani ludzi, ani wozów pancernych, dział czy innego sprzętu. Istna pustynia.

– Opustoszało przed tygodniem, tylko nikt nie wie, dokąd wszystkich zabrali. Próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć, ale oficerowie nie puszczają pary z gęby. – Nagle zatrzymał ciężarówkę. – Sztab... jesteśmy.

Reder pożegnał się z kierowcą i resztą oddziału, która pojechała dalej do swoich kwater. Sam zaś udał się do sztabu. Tam zastał generała Siedleckiego, którego ucieszył widok dawno niewidzianego oficera.

Na stole taktycznym wały się mapy, które zakrywała wielka mapa Polski i jej sąsiadów z 1939 roku z naniesionymi aktualnymi liniami frontu oraz pozycjami niemieckimi i sowieckimi. Siedlecki postanowił wprowadzić Redera w sytuację.

– Niech pan spojrzy: Rusczy parli na zachód przez kilkaset kilometrów za Wisłą praktycznie bez przeszkód. Niemcy po krótkich, ale krwawych walkach zwinęli się z Prus Wschodnich, wycofując Grupy Armii Środek i A na umocnienia Wału Pomorskiego. Zostawili tylko część 3. Armii Pancernej, która wspierana Volkssturmem utworzyła twierdzę w Królewcu. Rosjanie jedynie otoczyli i odizolowali ten rejon i port, a armie 2. oraz 3. Frontu Białoruskiego szły dalej, nie tracąc czasu na oblężenie. Niemcy oddali bez walki Gdańsk i Gdynię, utworzyli linie obronne w oparciu o Odrę, umocnienia Wału Pomorskiego i Ostwall albo Festungsfront im Oder-Warthe Bogen, jak oni to mówią, czyli front ufortyfikowany na Łuku Odry–Warty z twierdzą Breslau na południu, gdzie zgromadzili spore siły. Tam niczym klin Grupa Armii Środek powstrzymuje 1. i 4. Front Ukraiński. Poniżej ma pan taką samą sytuację w Pradze, której Niemcy nie mogą oddać, ponieważ odsłoniłoby swoją południową flankę i groziłoby to okrążeniem ich sił za Odrą. Nadal też znaczna część obu armii jest zaangażowana na Węgrzech i w Rumunii.

Przez kilka tygodni pomimo przewagi liczebnej Rosjan na froncie trwał pat, aż do 10 marca, kiedy to połączony i zmasowany atak 1. i 2. Frontu Białoruskiego oraz 1. Frontu Ukraińskiego... o tutaj – Siedlecki pokazał miejsce na mapie – przerwał front, przeszedł Odrę i zatrzymał się pięćdziesiąt kilometrów od Berlina. Kiedy wszyscy byli przekonani, że Sowietci za kilka dni będą w Berlinie, stało się coś

nieoczekiwanego. Niemcy przypuścili kontruderzenie z kierunku Wrocławia, odrzucając i rozbijając zaskoczonych i nieprzygotowanych Rosjan. Dwie armie, w tym 3. Gwardyjska Armia Pancerna, praktycznie przestały istnieć. Wskutek tego musieli wycofać spod Berlina na południe część armii Frontu Białoruskiego, żeby nie dać się okrążyć. Pod Trzebnicą rozegrała się wielka bitwa pancerna, podobno starło się półtora tysiąca sowieckich czołgów i prawie tysiąc niemieckich, m.in. z 1. Dywizji Pancernej Leibstandarte SS Adolf Hitler. Obie strony poniosły ogromne straty. Teraz jedni i drudzy liżą rany. Szczególnie Sowietci, którzy zostali kompletnie zaskoczeni przez niemieckie uderzenie. Stalin, który już otwierał wódkę na szturm Berlina, mocno się zawiódł. Rozstrzelał marszałka Koniewa, który był odpowiedzialny za ten odcinek frontu. – Na chwilę przerwał, chyba zapowietrzył się w trakcie wykładu. – Dlatego rząd i nasze dowództwo uznało, że to odpowiedni moment – dodał po chwili.

– Odpowiedni moment na co?

– To pan nie wie? – Siedlecki popatrzył zdumiony na Redera. – Prawda, przecież miałem dać panu rozkazy. – Mówiąc to, podszedł do seflu ukrytego w starej, ciemnej komodzie. Długo gmerał przy pokrętle, nie mogąc sobie poradzić z kombinacją, raz za razem sapiąc i mrucząc coś do siebie. W końcu dało się słyszeć westchnienie ulgi i skrzywienie otwieranych drzwiczek. Po chwili wręczył Rederowi aktówkę z rozkazami.

Kapitan odebrał papiery, szybko otworzył i zaczął czytać. Czuł na karku lekkie mrowienie, spodziewając się, że znajdzie w tekście coś wyjątkowego. Po chwili oczy mu rozbłysły, a lekkie mrowienie zamieniło się w falę gorąca uderzającą w kark z siłą wodospadu.

Teczka z napisem „Operacja Grom” z wytycznymi dla kompanii A, B, C i D uchwycenia przyczółków i zlikwidowania pozycji artylerii na południe od Gdańska.

Zgodnie z danymi wywiadowczymi przekazanymi przez AK Rosjanie dysponowali w rejonie Gdańska około dwudziestoma tysiącami gwardzistów wspieranych przez stacjonujący w okolicach Przdokowa okrojony do dwudziestu czołgów 29. Korpus Pancerny. Nie spodziewali się żadnych problemów w tym rejonie, dlatego zostawili tylko niewielkie siły do zabezpieczenia portów, a głównie jako odwody mogące w razie trudności wspomóc oddziały w Królewcu. Całe siły zostały rzucone na zachód. Ludność niemiecka uciekła z miasta i okolic wraz z cofającym się Wehrmachtem, bojąc się nadchodzących Rosjan. Blisko pięćdziesiąt tysięcy Niemców opuściło Gdańsk i okolice przed wkroczeniem Armii Czerwonej, a ci, którzy zostali, pożałowali, że tego nie zrobili. Gdańsk będący miastem otwartym, kiedy nadeszli wyzwoliciele, nie mógł niestety liczyć na ich łaskę. To piękne miasto zostało doszczętnie splądrowane przez Rosjan, a fala mordów i gwałtów na ludności niemieckiej osiągnęła nieludzkie rozmiary. Łącznie w okolicach Trójmiasta, Półwyspu Helskiego, Malborka, Sztumu i Tczewa Armia Czerwona zamordowała kilka tysięcy cywilów i praktycznie nie było kobiety mówiącej po niemiecku, która nie zostałaby zgwałcona. Co gorsza, w dzikim szale grabieży i orgii czerwonooarmiści często nie odróżniali Niemców od Polaków. Często można było zginać na skutek samego posiadzenia o ukrywanie przed wyzwolicielami wódki lub w przypadku nieoddania zegarka czy roweru, które cieszyły się niewyobrażalną popularnością, szczególnie wśród na wpół dzikich skośnookich gwardzistów.

Siedlecki, widząc konsternację Redera, postanowił wprowadzić go w temat.

– Biorąc pod uwagę aktualną sytuację na froncie, dowództwo postanowiło przerzucić nasze siły do Polski, licząc na to, że Rosjanie nie będą w stanie się przeciwstawić, mając nasze wojsko za liniami frontu. Do walki z Niemcami potrzebują linii kolejowych biegnących przez Polskę, polskich kontyngentów, czyli względniego spokoju, a nie wroga za plecami. Był tylko problem, jak to zrobić. Powstał plan transportu naszych sił przez Norwegię na południe Szwecji i desant na Pomorzu Gdańskim przy równoczesnej aktywizacji AK w głównych miastach, by przejąć administrację i umożliwić powrót rządu do Warszawy. Liczono na szybką, w miarę bezkrwawą akcję, coś jak wejście Ruskich 17 września, gdy większość naszych wojsk na Kresach nie wiedziała, co robić. Taki 17 września à rebours. Miało to szansę powodzenia, gdyż przez pierwsze kilka dni moglibyśmy rzucić główne siły z Gdańska do Warszawy, mając przewagę liczebną, zanim Ruscy ściągną frontowe oddziały. Tego też za bardzo nie mogli zrobić, bo Niemcy po sprowadzeniu dywizji z Włoch i Francji dają im nieźle w kość. Na przeszkodzie stanęli jednak Szwedzi, nie wyrażając zgody na tranzyt wojsk przez ich terytorium. Tu nieoczekiwanie z pomocą przyszli nam sami Ruscy, którzy dwa miesiące temu wystosowali żądanie do rządu szwedzkiego: zakazali im handlu z Niemcami i nakazali eksport rudy żelaza do Związku Radzieckiego. Szwedzi, bojąc się, że podzielią los Finów, po cichu wsparli Niemców i nas, pomagając w zorganizowaniu naszej małej inwazji.

– Nikt nie zauważył transportu takiej masy wojsk przez Szwecję?  
– Oczywiście, że nie dało się tego ukryć, ale oficjalnie były to pułki niemieckie wracające z Norwegii na Pomorze Zachodnie przez cieśninę duńskie. Przemalowano emblematy, zakamuflowano zachodnie uzbrojenie i musimy ufać, że się udało. Za dwa dni flota złożona z około tysiąca okrętów i barek desantowych 2. Dywizji Piechoty ma wypłynąć z Karlskrony i wylądować na plażach Gdyni, Sopotu, Gdańska i Helu. Po opanowaniu portów jednostki morskie zostaną wsparte oddziałami pancernymi. Zorganizowano również desant spadochronowy na kilka godzin przed lądowaniem na plażach w celu dezorganizacji systemów obronnych wroga. Komandosi mają unieszkodliwić baterie artylerii, lotniska na Zaspie i w Pruszczu oraz okręty cumujące na Helu. Miejscowe oddziały AK mają przejąć stację radarową. To tak w skrócie, resztę ma pan w teczkach. Ma pan co nadrabiać, pański batalion ćwiczy teorię już dwa tygodnie.

– Dlaczego ja mam objąć dowództwo?

– Góra zdecydowała, że pan będzie najlepszy do tego zadania. Tylko pan wykonał skok w warunkach bojowych – wyjaśnił Siedlecki, opierając łokcie na biurku, zmęczony długą relacją. – Oprócz pańskiego batalionu od strony Helu skacze też czterystu skoczków Sosabowskiego.

– Dlaczego tylko czterystu? Czemu nie cała brygada?

– Bo oni z samym Sosabowskim skaczą tutaj. – Wskazał palcem na środek mapy.

– Warszawa? – W głosie Redera dał się słyszeć entuzjazm.

– Tak, Warszawa to bezka prochu już od sierpnia, kiedy ledwo wstrzymano powstanie przeciw Niemcom. Tamtejsza AK razem z chłopakami Sosabowskiego powinna poradzić sobie z NKWD i tymi sprzedajnymi psami Osóbki-Morawskiego z ludowego wojska. – Aha, byłbym zapomniał... Najważniejsze... Dowództwo nie chce wielkich strat po stronie radzieckiej. Ma pan działać z zaskoczenia, rozbrajać, aresztować i otwierać ogień dopiero w przypadku, gdy oni będą strzelać.

– To chyba żart?! Jak mam opanować ufortyfikowane baterie i punkty bez walki?

– Nie wiem, musi pan improwizować. Nie chcemy mnóstwa ofiar i eskalacji konfliktu. Ci z góry liczą, że Ruscy odpuszczą, ja niestety nie podzielam ich optymizmu. – Siedlecki, wyraźnie znużony długą wypowiedzią, oparł się w fotelu, układając głowę do poobiedniej drzemki. – To wszystko. Może pan odejść.

Reder wstał, zasalutował i opuścił sztab, myśląc, że to jakieś wariactwo. Przed budynkiem czekał Szafrąński.

– Zna pan kapitan datę?

– Może i znam, ale w umowie był obiad.

– Ja właśnie w tej sprawie...

Szafrąnskiemu przerwał jeden z podoficerów sztabowych, który właśnie podszedł.

– Pan kapitan Reder?

– Tak.

– Mam rozkaz zabrać pana na kwatery, do kantyny i później na spotkanie z dowódcami kompanii – wyrzucił jednym tchem chudy, żylasty chorąży Grójecki.

Paweł spojrzął na zawiedzionego Szafrąńskiego i powiedział:

– Słyszałeś? Innym razem.

Ten odszedł jak niepyszny, a Reder podążył za Grójeckim. Była połowa kwietnia, ale zimnisko straszne, więc z radością rozgościł się w części drewnianego domku, który miał do dyspozycji razem z jeszcze dwoma oficerami; jego współlokatorów akurat nie było. Szczególnie ucieszył go kominek, a przy nim stolik kawowy i fotel, który na wieczór wydawał się najlepszym miejscem do przestudiowania otrzymanych map. Zrzucił szwabski mundur, obmył się lodowatą wodą, włożył mundur kapitana Wojska Polskiego i od razu poczuł się lepiej. Wtedy poszli z Grójeckim do kantyny. Po drodze dwa razy kopnął ziemię, była zamrznięta na kamień. Zbyt szybki upadek przy skoku na takie podłoże to pewna kontuzja. Miał nadzieję, że chłopaki przeszli odpowiednie szkolenie.

Im bliżej kantyny, tym robiło się tłoczniej. Ogromna baza opustoszała i tylko w części zamieszkaney przez spadochroniarzy i dalszej, okupowanej przez lotników, panował większy ruch. Kantyna była prawie pusta, wszyscy dopiero zaczynali się schodzić na kolację. Grójecki zaprowadził go do oficerskiego stołu i po chwili Reder pałaszował kurczaka z kaszą i jakąś zieloniną. Po podróży był głodny jak wilk, więc wojskowa strawa dobrze mu zrobiła.



Kantynę powoli wypełniał gwar przybywających żołnierzy. Reder już czuł się tutaj jak ryba w wodzie. Wszędzie polskie mundury, a właściwie jeszcze brytyjskie z polskimi naszywkami. Tylko nieliczni szczęśliwcy mieli nowo uszyte mundury według przedwojennego wzoru. Dotyczyło to jedynie nowego poboru, a w kantine byli właściwie sami spadochroniarze. Doświadczone wojsko, które już dawno przeszło chrzest bojowy. Ale tylko część kompanii, które miały skakać, stanowili skoczkiwie z brygady spadochronowej. Większość przeszła szkolenie spadochronowe tu, na miejscu, w Fürstenbergu, w ciągu ostatnich miesięcy. Wszyscy garnęli się do tego ochoczo, ponieważ było wiadomo, że skoczkiwie jako pierwsi wrócą do Polski. Chociaż od zakończenia wojny z Niemcami miały tygodnie i miesiące, nikt nie dopuszczał myśli, że może być inaczej. Znow widzieli sens w tym, co robili, a chęć zobaczenia domu i bliskich nakręcała ich do codziennych ciężkich treningów. Nowicjusze, którzy z piechoty trafili do oddziałów powietrznodesantowych, musieli po kolei przejść całe szkolenie. Najpierw przez dwa tygodnie uczyli się składania spadochronów i skoków z makiety samolotu na poukładane pod nią w sterę matrace. Potem szkolenie ze skoków z wieży ze spadochronem na zamocowanym tam dźwigu. Skakali po kilka razy dziennie, aż każdy nauczył się to robić bez asekuracji liny i sterować czaszą w spadaniu swobodnym. Na końcu, korzystając z wietrznej pogody lub ze śmigieł samolotów, uczono skoczków gaszenia czaszy po wylądowaniu, by spadochron ich nie ciągnął. Tak przeszkoleni kursanci przechodzili do meritum, czyli skoków z samolotu. Tutaj niestety nie obyło się bez ofiar. Na skutek różnych wypadków, jak zły wyskok, po którym skoczek uderzał głową o spód kadłuba, nieotwarcie spadochronu czy nieumiejętne lądowanie, zginęło w sumie ośmiu chłopaków. Po pierwszych luźnych skokach nauczyli się skoków z obciążeniem i z karabinem, tak by nie wybił zębów przy lądowaniu. Większość jednak ukończyła szkolenie spadochronowe z sukcesem i wraz z resztą około pięciuset spadochroniarzy mogła przejść do konkretów. Cztery kompanie mające wziąć udział w desancie pod Gdańskiem uczono szybkiego grupowania się po skoku w punktach zbornych, walki w mieście, odpowiadania na hasła i posługiwania się specjalnymi klikaczami. Oficerowie wywiadu uczyli ich też, jak w przypadku wylądowania wśród przeważającego oddziału Ruskich próbować wcisnąć kit, że są z Ludowego Wojska Polskiego, co miało im dać czas na doczekanie pomocy ze strony nadciągających sił inwazyjnych lub ucieczkę.

Sierżant Deja skomentował to tak, że najlepiej dać każdemu po butelce wódki i w razie czego napiją się z Roskami. Na wypadek gdyby nie wszyscy Rosjanie byli tak przyjaźni, Deja otrzymał za swój pomysł od oficera prowadzącego karę i musiał policzyć oraz poukładać wszystkie nowo dostarczone spadochrony. Więcej żartów tego dnia nie było.

Reder napawał się tym widokiem. W końcu swojskie twarze i ojczysta mowa. Ostatnie miesiące spędził, oglądając tylko szwabskie ryje. Nie licząc kilku chłopaków, którzy byli z nim. Większość czasu spędził jednak sam z Goudsmitem w aulach uniwersytetów czy knajpach Bawarii. Serce rośnie, gdy patrzyło się na tych chłopaków. Nie dało się zauważyć u nich lęku, choć za chwilę mieli spotkać się twarzą w twarz z wrogiem. Od kilku dni za to dawało się odczuć wielkie napięcie, gdy po obozie się rozeszło, że nadszedł czas akcji i lada dzień przyjdzie rozkaz startu. Bezczyność i oczekiwanie skutkowało rekordową liczbą kłótni i bójek, które wybuchały o byle drobiazg, iskra skutkowało gwałtownym wylądowaniem napięcia. Wszyscy byli tak nabuzowani, że gotowi skoczyć nawet w czeluści piekiel.

Reder zjadł, potem przez chwilę odpoczywał, aż zobaczył znajome sylwetki. Grupa kilku żołnierzy weszła do kantyny, zanosząc się śmiechem i zajmując stół przy ścianie. Dwóch tak kontrastowało przy sobie wzrostem, że nie sposób było tego nie zauważyć nawet z końca sali, gdzie siedział.

– Przepraszam, zaraz wracam – powiedział do Grójeckiego, który jeszcze kończył posiłek.

Wstał i podszedł do znajomych.

– Chcieliście lecieć do Polski beze mnie? – rzucił głośno.

Siedzący najbliżej dwumetrowy olbrzym odwrócił się, słysząc jego głos.

– Pan porucznik, wszelki duch... – Zerwał się z ławki i nie bacząc na szarżę, obściskał Pawła swoimi wielkimi łapskami.

– Mamut, puść mnie, bo mi kości pogruhoczesz! – Niemalych rozmiarów Reder, znalazłszy się w niedźwiedzim uścisku kaprała Kudery, ledwo mógł zaczerpnąć tchu.

– Tak jest! – Kudera puścił szefa, odwracając się do pozostałych. – Chłopaki, patrzcie, kto tu jest! – Tak jakby tamci nie widzieli.

Następny z powitaniem pośpieszył siedzący za Kudera Kuba Pieniążek.

– Jak tam? Celownik ci się nie rozregulował przez ostatnie miesiące? Palec nadal sprawny? – zapytał Reder.

– Jest okej, panie poruczniku. Chłopaki mi teraz na strzelaniu rysują czerwone gwiazdy, żebym się przyzwyczajał.

Reder uściśnął dłoń jeszcze Janowi Paszkowskiemu i usiadł z nimi na chwilę.

– Co tam u was słychać?

– Nie możemy się doczekać wylotu, panie poruczniku – powiedział Kuba.

– Kapitanie. Dziękuję twojej celności – pochwalił się Reder, wskazując na ramię.

– Gratulacje! – rozległo się gromko od całej trójki.

– To może pan kapitan wie, kiedy ruszamy? – zapytał Kuba.

– Nie ty pierwszy dziś pytasz. Też nie wiem. Za pół godziny mam spotkanie dowódców kompanii z pułkownikiem, to może czegoś się dowiem.

– Jakby pan kapitan coś wiedział, to może dać nam cynk, bo... – Kudera nie dokończył.

– Tak, już słyszałem. Zakłady. – Uśmiechnął się. – Mówcie, co robiliście po powrocie z naszej wycieczki.

– Nudziliśmy się we Włoszech. Myśleliśmy, że pogonimy jeszcze fryców, ale wycofali się z Włoch i nie było z kim walczyć – opowiadał Kuba.

– Tak, a potem trafiliśmy tutaj i też nuda. Tylko musztra, ćwiczenia i tak w kółko, kilka miesięcy. Mamy kino i boisko do piłki. Trochę można zabić czas. Dobrze, że znamy niemiecki, to chociaż poszerzamy horyzonty z tutejszymi Fraülein. Na froncie same Niemki aż piszcza, jak do miasteczka polskie wojsko zjeżdża – uzupełnił Paszkowski.

– Ja żem krajanów tutaj spotkał – rzekł Kudera, wskazując siedzących z nimi przy stole Karlika i Antka, którzy dołączyli do polskiego wojska z Wehrmachtu, jak on wcześniej.

– Tak, tłoczno tu było. Najechało się chłopaków z każdego zakątka świata. Ostatnio bardziej tu było niebezpiecznie niż na froncie. Chłopaki wieczorami za dużo mieli czasu i pieniędzy. Wódka u miejscowych tania, a żołdu dużo, więc co raz jakiś wypity numer odstawiał. To do siebie strzelali, to do Niemców we wsi. Dobrze, że ich stąd wywieźli, bo tylko nieszczęścia z tego czekania były. Nowy pobór to nie to co starzy frontowi wyjadacze korpusu, świeżaki nawet pić nie potrafią – skwitował Paszkowski. – Wojna skończona, a my jak cygany jakieś u Niemca siedzimy. Szkoda gadać. – Zwiesił smętnie głowę.

– Co u pana kapitana? Gdzie pan się podziewał? – zapytał Kuba.

– Byłem w Waszyngtonie z naszym premierem uściśnąć dłoń nowego prezydenta, a potem z podchorążym Konarskim, Wiktorem Sawickim i jeszcze kilkoma chłopakami jeździliśmy po południowych Niemczech – krótko zrelacjonował Reder.

W tym momencie podszedł Grójecki i zakomunikował:

– Panie kapitanie, powinniśmy już iść, odprawa się zaczyna.

Rederowi było to nawet na rękę, bo chociaż ze spotkania z chłopakami bardzo się ucieszył, chciał uniknąć pytań o szczegóły podróży do Bawarii, bo te w związku z obowiązującą go tajemnicą byłyby kłopotliwe.

Pożegnał się więc ze wszystkimi i obiecał przyjść wieczorem do ich namiotu z nowymi wiadomościami.

Droga do namiotu sztabowego, gdzie odbywało się planowanie i przekazywanie rozkazów dowodzącym oficerom, zajęła mu około dziesięciu minut. Gdy z Grójeckim weszli do środka, byli tam już wszyscy dowódcy kompanii, oficerowie łącznościowi i przedstawiciel sił powietrznych. Większość obecnych oficerów znał dobrze ze służby, jak dowódcę batalionu majora Andrzeja Tarnowskiego, dowódcę kompanii A kapitana Karasia czy sprawującego pieczę nad kompanią C kapitana Kunickiego. Nowe osoby, z którymi szybko się zapoznał, to dowódca kompanii D porucznik Antoni Józwiak i porucznik Wolski, od którego miał przejąć kompanię B, a właściwie mieli dowodzić razem. Wolskiego znał trochę z widzenia, dużo też o nim słyszał dobrego. We Włoszech dowodził plutonem, a po walkach pod Monte Cassino i Pescarą awansowano go za szczególne męstwo i odwagę. Doceniono również jego decyzje w kluczowych fazach bitwy, gdy wyjątkowo skutecznie kierował ogniem plutonu. Reder ucieszył się, gdy przeczytał, że będą razem dowodzić kompanią B. Było mu trochę głupio, że po tylu miesiącach nieobecności przychodzi na gotowe, ale jako wyższemu stopniem nie wypadało się tłumaczyć. Po chwili do namiotu wszedł pułkownik Henryk Kłosowski z adiutantem i kwatremistrzem.

– Witam panów i od razu do rzeczy. Mamy termin! Przed chwilą otrzymałem rozkaz od generała Sosnkowskiego rozpoczęcia operacji 25 kwietnia wieczorem, czyli jutro. Dwudziestego szóstego o piętej rano mamy być nad celem i dokonać desantu na umówionych pozycjach. Wałkowaliśmy to tygodniami, ale powtórzę krótko, gdyby teraz pojawiły się jakieś pytania, to słucham, bo później nie będzie już czasu. – Mówiąc to, podszedł do dużej mapy wiszącej na ścianie. Ściągnął zasłaniające ją prześcieradło i oczom zebranych ukazała się mapa taktyczna wybrzeża gdańskiego z zaznaczonymi kierunkami desantu morskiego i zrztu spadochroniarzy oraz spodziewanymi umocnieniami i jednostkami wroga. Pokazując punkty na mapie długopisem, szybko wyklepał formułkę powtarzaną już wielokrotnie: – Na plaży Alfa w Gdyni wyląduje w pierwszym rzucie Brygada Strzelców Karpackich. Na plaży Beta w rejonie Sopotu 1. i 2. Batalion Strzelców Karpackich. W rejonie Gdańska na plaży Gamma w Brzeźnie 5. Wileńska Brygada Piechoty, która ma najtrudniejsze zadanie: przedostać się z plaż na teren najmocniej zurbanizowany i zdobyć lotnisko na Zaspie, oddalone o blisko dwa kilometry. Godzinę wcześniej na płytę lotniska ma zostać zrzucona 1. samodzielna kompania majora Władysława Smrokowskiego, która ma zniszczyć stojące tam samoloty i artylerię. Nie muszę mówić, że w całej operacji major i jego chłopcy mają najtrudniejsze zadanie. Jeżeli uda im się bezpiecznie wylądować, mają opanować lotnisko do przybycia z plaż Brygady Wileńskiej.

W tym czasie podpułkownik Jachnik z czterystoma skoczkami 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej ma opanować Hel z pomocą AK. Kompanie A, B, C i D wchodzą do walki na południowym terenie operacji. Kompania A kapitana Karasia ma zabezpieczyć most na Wiśle. Zaminować i wysadzić w przypadku pojawienia się ruskich czołgów. Kompania C kapitana Kunickiego skacze w rejonie Pruszcza, ma podjąć próbę ataku na tamtejsze lotnisko i zaminować drogę z Pruszcza do Gdańska, którą ruszy 29. Korpus Pancerny. Czołgów tam zostało nie więcej niż trzydzieści, ale póki nasz ciężki sprzęt nie dotrze do portów, Kunicki musi maksymalnie ich opóźnić. Kompanie B i D muszą zniszczyć stanowiska artylerii, żeby nasi chłopcy na plażach nie dostali po dupie. Kompania B na wzgórzu na zachód od miasta, a kompania D na południu, o tutaj. – Tu na chwilę przerwał i spojrzał na Redera. – Miło pana widzieć, kapitanie. Szmata czasu. Co pana do nas przygnało ponownie?

– Służba, panie pułkowniku – odparł Reder.

– Czy są jakieś pytania? – pułkownik wrócił do tematu.

Zapadła cisza.

– Dobrze, rozumiem, że wszystko jasne. Punkty zrztu oznaczy nam AK, módlcie się o nieomyślność meteorologów, żeby jutro nie złaapała nas mgła, bo będziecie skakać Ruskim do talerza z zupą. Jak Bóg da, za dwa dni spotkamy się w Gdańsku. – Potem pułkownik dodał: – Przypominam: do Ruskich strzelamy tylko w bezwzględnej konieczności. Straty zarówno własne, jak i wroga ograniczyć do minimum.

Tu wszyscy dowódcy kompanii wymienili spojrzenia mówiące: „jak, do cholery, mamy to zrobić?”, nikt się jednak nie odezwał.

– Rano dowódcy kompanii zgłoszą się do kwatermistrza w celu uzupełnienia sprzętu. – Wskazał na Jastrzębskiego, który dość biernie uczestniczył w odprawie. – Załadunek od godziny dwudziestej. Odmaszerować!

Odprawa się zakończyła. Reder pożegnał się z oficerami, którzy śmiali się, że ma farta, bo oni tkwili tu parę miesięcy, a on od razu po przylocie załapał się na akcję.

Paweł po drodze wstąpił do Kudery, Pieniążka i reszty chłopaków, by przekazać nowiny. Okazało się, że też są w kompanii B i znów razem ruszą do walki. Później z porucznikiem Wolskim poszli do kwatery przejrzeć mapy i zdjęcia umocnień przesłane przez AK, by omówić strategię działania i problemy, których można się spodziewać. Kompania B ćwiczyła już w ostatnich dniach natarcie na umocnione stanowiska artylerii strzeżonej zgodnie z wywiadem AK przez pluton czerwonoarmistów. Porucznik Wolski miał wszystko przygotowane i przeciwiczone dzięki zdjęciom z aparatów fotograficznych ukrytych w koszach rowerów, którymi chłopcy z dziewczyn z AK zjeżdżali wzdłuż i wszerz całe wybrzeże. Dołączyli do nich Konarski z Sawickim, których włączono w skład osobowy kompanii B, i do rana dyskutowali o nadchodzącej akcji.

Reder był pod wrażeniem operacji. W ciągu kilku dni do portów w Gdańsku miało zostać przerzuczone ponad pół miliona żołnierzy, dział, czołgów i ciężkiego sprzętu. Inwazję ze szwedzkich, a później niemieckich portów miały osłaniać polskie dywizyjony myśliwskie i bombowe. Na morzu polskie okręty podwodne i niszczyciele. Ponadto kilka dni wcześniej w stronę Gdańska, a później na pozycję na zachód od Królewca, wypłynęła flotyła Kriegsmarine złożona z pancerników *Schlesien* i *Schleswig-*

*Holstein*, okrętów podwodnych Grupy Saper *Grille* i *Preussen*, 12. Flotylla Ścigaczy Okrętów Podwodnych i 1. Flotylla Torpedowców, by potajemnie osłaniać polskie okręty i transportowce płynące na kursie Karlskrona–Gdańsk.

Nadszedł upragniony dzień operacji. Na apelach sprawdzano stan drużyn i plutonów, a po śniadaniu wszyscy mieli po kolei stawiać się po zaopatrzenie. Rozdano amunicję, granaty, materiały wybuchowe, radiostacje, zasobniki do karabinów maszynowych, PIAT-y i inny sprzęt, przybory medyczne oraz scyzoryki do odcinania linek czaszy na wypadek zawiśnięcia na drzewie czy innego pecha, chociaż z reguły każdy dysponował swoim nożem. Na koniec wszyscy dostali prowiant na dwa dni, kilka paczek papierosów i pigułki na chorobę lokomocyjną. Czas do obiadu mijał w ogólnej ciszy i skupieniu. Większość chłopaków zajęła się czyszczeniem broni i sprawdzaniem ekwipunku. Dawało się wyczuć napięcie, które każdy chciał rozładować na swój sposób. Jedni poszli grać w piłkę lub postawić wszystko w pokera, skoro jutro mogli zginąć. Jeszcze inni pisali listy do bliskich i zostawiali w sztabie na wypadek śmierci lub ustawili się w kolejce do kapelanów, by się wyświadczyć i otrzymać rozgrzeszenie. Niektórzy po prostu walnęli się spać, żeby mieć w nocy więcej sił. Po sutym obiedzie, podczas którego wszyscy dostali większe niż zwykle porcje oraz masę owoców i czekoladowych batoników, zaczął się szturm na latryny. Obfity posiłek w połączeniu z rozstrojem żołądka na skutek nerwów przed akcją spowodował prawdziwy zator w tych przybytkach, wyganiając co bardziej niecierpliwych w zarosła przy ogrodzeniu. Kiedy już opanowano problemy gastryczne i większość pogodziła się z tym, że wylot ich nie ominie, żołnierze obwiesili się ryzsztunkiem, co wcale nie było łatwe. Spadochrony wraz z ekwipunkiem ważyły po kilkadziesiąt kilogramów i dawały się we znaki, ponieważ na pas startowy na skraju bazy część z nich, która nie załapała się na podwózkę w jeepach i ciężarówkach, musiała dotrzeć z buta.

W końcu wszyscy stawili się na pasie, obok stojących tam już samolotów. Wtedy nadjechał generał Siedlecki, padła komenda „bacznosc” i dowódca przemówił, a właściwie przeczytał odezwę Naczelnego Wodza, generała Sosnkowskiego, do żołnierzy, pręgnąc się na jeepie tak, by wszyscy mogli go zobaczyć.

– „Żołnierze Wojska Polskiego! Dziś nadeszła noc chwały, odwetu i zemsty za zdrażdiecką napaść bolszewików na nasz kraj. Niech LEW mieszka w waszych sercach! Niech Bóg będzie z wami i prowadzi w drodze do wyteknionego domu. Szykowaliście się do tej chwili, by przynieść ojczyźnie wolność, a wrogom karę za cierpienia naszych braci, żołnierzy września, żołnierzy Armii Krajowej i każdą kroplę polskiej krwi przelaną. Niesiemy umęczoną ojczyźnie wolność, godność i sprawiedliwość. Tej godziny długo czekaliśmy. BÓG! HONOR! OJCZYŻNA! naszą dewizą, a zemsta dla wroga. Żołnierze, do czynu! Do broni! I w łeb lub serce PAL! Generał Sosnkowski” <sup>1</sup>.

Nastąpiła całkowita cisza, a później ktoś zaintonował: *Jeszcze Polska nie zginęła...* Tysiąc gardeł poniosło hymn nad lotniskiem i każdy obecny tam żołnierz poczuł się częścią czegoś wielkiego. Duma wypełniła ich piersi i wszyscy byli już gotowi zginąć za brata stojącego obok i za ojczyznę. Nie było w tej chwili żadnej przeszkody ani armii na świecie, która mogłaby ich powstrzymać. Potem znów nastąpiła cisza i rozległy się gwizdki nakazujące załadunek do samolotów.

Wszystkie cztery kompanie znalazły się w C-47 w ciągu godziny i równo o 21.00 piloci włączyli silniki, zalewając okolicę przerażającym hałasem. To samo uczynili piloci dakot, które zabierały część 1. spadochronowej. Samoloty szybko po starcie uformowały się w klucz po trzy maszyny, uzupełniony ponad nimi eskortą myśliwców 303. Pierwizjonu, i odleciały w stronę Polski.

Reder zajął miejsce w jednej z pierwszych maszyn. Obok niego siedział Konarski, naprzeciwko Paszkowski, a z drugiej strony sierżant Franek Magiera, z którym był w Bawarii. Reder z Konarskim popatrzyli na siebie znacząco.

– Oby to był nasz ostatni skok, jestem już tym zmęczony – zawołał Konarski, przekrzykując warkot silników.

Reder chciał powiedzieć coś mądrego, jak na dowódcę i przyjaciela przystało, ale nie potrafił znaleźć adekwatnych słów. Bo co mógł powiedzieć? „Będzie dobrze”? Nigdy nie było dobrze. Zawsze ktoś zginął, odnosił rany, a śmierć zaglądała im w oczy. Może fart się skończył i teraz nadeszła kolej na ich krew. Pocięszął się myślą, że jeżeli zginą, to chociaż na polskiej ziemi. Klepnął więc tylko Konarskiego w ramię dla dodania otuchy, a chłopaków siedzących naprzeciwko uraczył gestem Amerykanów – uniesionym kciukiem – po czym skulił się i oparł o zimną blachę samolotu.

Próbował znaleźć w pamięci obraz, który pozwoliłby mu się wyciszyć i uspokoić napędzane adrenaliną serce. Sam nie wiedział, czemu jego umysł wypełniła postać Heleny. Jej ciepły głos, piękna, gładka

twarz. Pomyślał, że chciałby ją jeszcze zobaczyć. Po chwili ten obraz zmącił ryk silnika wchodzącego na wyższe obroty, a wspomnienia kobiety zastąpił obraz map taktycznych i rozmyślania, jak wykonać zadanie.

Była kwietniowa noc 1945 roku. Po sześciu latach krwawego konfliktu Paweł Reder niczym Odyseusz wracał do domu na skrzydlatych okrętach boga wojny.

1. Fragment przemówienia generała Andersa przed bitwą o Monte Cassino w: Zbigniew Wawer, *Monte Cassino*, Bellona, Warszawa 2009. [\[wróć\]](#)

## Bibliografia

[wehrmacht-polacy.pl](http://wehrmacht-polacy.pl) (Relacje)

Robert Conroy, *Ostatnia wojna Himmlera*, przeł. M. Studniarek, Czerwone i Czarne, Warszawa 2013

[ciekawostkihistoryczne.pl](http://ciekawostkihistoryczne.pl) (*Awanturnicy i bohaterowie. Polscy komandosi pod Monte Cassino*)

[vaterland.pl](http://vaterland.pl) (*Niemiecka okupacja Bydgoszczy 1939–1945*)

[vaterland.pl](http://vaterland.pl) (*Ochroniarze Adolfa Hitlera*)

Marek Czerwiński, *Czas snajperów*, Bellona, Warszawa 2010

[wagabunda.slupsk.pl](http://wagabunda.slupsk.pl) (*Podróże 2014. Wyprawy wielodniowe. Alpy Bawarskie*)

[tygodnikprzeglad.pl](http://tygodnikprzeglad.pl) (*Upór Mikołajczyka stratą Polaków*)

[histmag.org](http://histmag.org) (*Teheran 1943 – szpiedzy w akcji*)

[polskieradio.pl](http://polskieradio.pl) (*Stanisław Mikołajczyk przegrał walkę o kształt powojennej Polski*)

[it.mragowo.pl](http://it.mragowo.pl) (*Szlakiem posiadłości rodu Dohnów*)

[wierni-ojczyźnie.pl](http://wierni-ojczyźnie.pl)

[tworca.org](http://tworca.org) (*Słowianie*)

[pl.wikipedia.org/wiki](http://pl.wikipedia.org/wiki) (*Dywizje górskie Waffen-SS*)

[polityka.pl/tygodnikpolityka](http://polityka.pl/tygodnikpolityka) (*Tomasz Chinciński, Piąta kolumna*)

[nowastrategia.org.pl](http://nowastrategia.org.pl) (*Szczepan Jagiełło, Zamach 20 lipca 1944 r. Operacja Walkiria*)

[wiadomosci.onet.pl](http://wiadomosci.onet.pl) (*Piąta kolumna Abwehra*)

[marianzacharski.com](http://marianzacharski.com) (*Historia Do Rzeczy*)

[odk.pl](http://odk.pl) (*Brandenburczycy i Abwehra, niemieckie oddziały specjalne*)

[opinie.wp.pl](http://opinie.wp.pl) (*Masakra w Babim Jarze*)

[newsweek.pl](http://newsweek.pl) (*Heinrich Himmler – najbogatszy człowiek III Rzeszy*)

Jochen Böhler, *Najzard 1939*, przeł. D. Salamon, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011

[pl.wikipedia.org/wiki](http://pl.wikipedia.org/wiki) (*Samodzielną Kompania Commando*)

[spodlasu.neon24.pl](http://spodlasu.neon24.pl) (*Zdobycie Berlina – 1944?*)

[odjehani.com.pl](http://odjehani.com.pl) (*Uzbrojenie i wyposażenie wojsk niemieckich z czasów II wojny światowej*)

[ciekawostkihistoryczne.pl](http://ciekawostkihistoryczne.pl) (*Marzec 1943 roku – największa rzeź na Atlantyku*)

[ciekawostkihistoryczne.pl](http://ciekawostkihistoryczne.pl) (*Sprawdzamy, jak było naprawdę, czy w nazistowskich Niemczech w ogóle istniał jakiś ruch oporu*)

[pl.wikipedia.org/wiki](http://pl.wikipedia.org/wiki) (*Erich Hoepner*)

Samuel W. Mitcham Jr. i Gene Mueller, *Generaloberst Erich Hoepner* [w:] Gerd R. Ueberschär (Hrsg.), *Hitlers militärische Elite. Vom Kriegsbeginn bis zum Weltkriegsende Bd. 2*, Primus Verlag, Darmstadt 1998

[newsweek.pl](http://newsweek.pl) (*Pieniądze i majątek Watykanu. Kościół katolicki to prężna instytucja finansowa*)

[niepoprawni.pl/blog](http://niepoprawni.pl/blog) (*Mazurski raj Himmlera*)

[newsweek.pl](http://newsweek.pl) (*Magia III Rzeszy*)

[sadistic.pl](http://sadistic.pl) (*Włócznia przeznaczenia*)

[histmag.org](http://histmag.org) (*Heinrich Himmler – listy zbrodniarza do rodziny*)

Zbigniew Stypułkowski, *W zawierusze dziejowej: wspomnienia 1939–1945*, Gryf, Londyn 1951

Janusz Ledwoch, *Waffen SS: jednostki pancerne*, Inter-Model, Warszawa 1993

Jacek Solarz, *Wiking 1941–1945*, Wydawnictwo Militaria, Warszawa 2003

Ryszard Majewski, *Waffen-SS mity i rzeczywistość*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Wrocław 1983

Robin Lumsden, *Waffen-SS – organizacja, działania bojowe, umundurowanie*, przeł. A. Chojnacki i J. Ledwoch, Wydawnictwo Militaria, Warszawa 1999

[wikipedia.org/wiki](http://wikipedia.org/wiki) (*Konferencja teherańska*)

Andrew Knighton, *Many of Germany's finest tacticians & commanders of WWII served in the panzer forces. One of those men was Walther Nehring*, <https://www.warhistoryonline.com/world-war-ii/nehring-german-tacticians.html>

Ideo – 2019 (Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau)

Andrzej Dębski, Martino Loiperdinger, *Antologia wczesnego kina cz. I*, Warszawa 2014

[polska-zbrojna.pl](http://polska-zbrojna.pl) (S. Strumph-Wojtkiewicz, Piotr Korczyński, *Piąta kolumna w Bristolu*)

Stephen E. Ambrose, *Kompania braci: od Normandii do Orlego Gniazda Hitlera: kompania E 506. pułku piechoty spadochronowej 101. Dywizji Powietrznodesantowej*, przeł. L. Erenfeicht, Magnum, Warszawa 2013

William Breuer, *Tajne epizody II wojny światowej*, przeł. M. Antosiewicz i K. Bażyńska-Chojnacka, Amber, Warszawa 2018

Przemysław Słowiński, *Otto Skorzeny: pierwszy komandos Trzeciej Rzeszy*, Bellona, Warszawa 2016

[scorpio86-planespotting.blogspot.com](http://scorpio86-planespotting.blogspot.com)

Bogusław Wołoszański, *Największy wróg Hitlera*, Wydawnictwo Wołoszański, Warszawa 2012

Winston Churchill, *Druga wojna światowa*, przekład zbiorowy, Phantom Press International/Refren, Gdańsk 1994

[pl.wikipedia.org/wiki](http://pl.wikipedia.org/wiki/Palac_Schönbrunn) (*Pałac Schönbrunn*)

[www.w.szu.pl](http://www.w.szu.pl) (*Biografia: Otto Skorzeny*)

[en.metapedia.org/wiki](http://en.metapedia.org/wiki/Karl_Radl) (*Karl Radl*)

[fakty.interia.pl](http://fakty.interia.pl) (*Nazistowskie archiwum*)

Peter G. Tsouras, *Walczyliśmy w piekle: raporty niemieckich generałów z frontu wschodniego*, przeł. K. Shawran, Wydawnictwo RM, Warszawa 2019

[dziwnawojna.pl](http://dziwnawojna.pl) (*Wasserfall, zapomniana „cudowna broń” III Rzeszy*)

[howlingpixel.com/i-pl](http://howlingpixel.com/i-pl) (*Thomas Dewey*)

[ciekawostkihistoryczne.pl](http://ciekawostkihistoryczne.pl) (*Maciej Zborek, Skutki wielkiego kryzysu w USA (1929–1933). Ćwierć miliona wygłodzonych dzieci, fala gwałtów i samobójstw*)

[pl.wikipedia.org/wiki](http://pl.wikipedia.org/wiki/Nelson_Rockefeller) (*Nelson Rockefeller*)

[rp.pl](http://rp.pl) (*Stalin idzie na południe*)

Witold Biegański, *Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1990

Józef Smoliński, *Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie: 1939–1945*, Egros, Warszawa 1997

[pl.wikipedia.org/wiki](http://pl.wikipedia.org/wiki/Polskie_Siły_Zbrojne) (*Polskie Siły Zbrojne*)

[fakty.interia.pl](http://fakty.interia.pl) (*Zbrodnia bez kary. „Lekarz Hitlera” Kurt Blome*)

[rp.pl](http://rp.pl) (*Czy III Rzesza posiadała broń atomową*)

[rygodnikprzeklad.pl](http://rygodnikprzeklad.pl) (*Zaatakować Szwecję*)

[polityka.pl](http://polityka.pl) (*Wojny w cieniu wojny cz. II*)

[polskieradio24.pl](http://polskieradio24.pl) (*Hitler o krok od bomby atomowej. Bitwa o ciężką wodę*)

Hubert Kuberski, *Mit Kałmuków, SS-Galizien i „własowców” w powstaniu warszawskim*, <https://web.archive.org/web/20190530224133/http://www.konflikty.pl/historia/druga-wojna-swiatowa/galizien-wlasowscy-powstanie-warszawskie/>

[pl.wikipedia.org/wiki](http://pl.wikipedia.org/wiki/Bitwa_o_Poznań) (*Bitwa o Poznań*)

Mateusz Łabuz, *Wojna Andersa – pod rozkazem dowódcy 2 Korpusu Polskiego*, [warhist.pl](http://warhist.pl)

[newsweek.pl](http://newsweek.pl) (*II wojna światowa: produkcja wojenna i zaopatrzenie*)

[naszahistoria.pl](http://naszahistoria.pl) (*Tajne miliony dolarów: dlaczego zginął pułkownik Hańcza*)

[polskatimes.pl](http://polskatimes.pl) (*Norman Davies, Bez powstania warszawskiego Polska stałaby się kolejną republiką ZSRR*)

[naszahistoria.pl](http://naszahistoria.pl) (*Niemiecki generał z AK wykradł Hitlerowi plany*)

[pl.wikipedia.org/wiki](http://pl.wikipedia.org/wiki/Konfederacja_Polsko-Czechosłowacka) (*Konfederacja Polsko-Czechosłowacka*)

[wprost.pl](http://wprost.pl) (*Gen. Anders kazał zamordować polskiego oficera, w tle wielkie pieniądze*)

[polskieradio.pl](http://polskieradio.pl) (*22 lipca 1944 – prawda o kłamstwie władzy ludowej*)

Copyright © by Piotr Czarnecki 2021  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2021

#### Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Fotografia na okładce

Arcangel (żołnierz)

iStock (widok gór)

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Reder '44*, wyd. I, Poznań 2022)

ISBN 978-83-8188-900-1

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61 867 81 40, 61 867 2519

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**